

OPOWIĘŚCI NIESAMOWITE



MARCIN RUSNAK



ODPOWIEDZI NIESAMOWITE

MARCIN RUSNAK

Kraków 2019

Redaktor prowadzący: Dawid Wiktorski

Redakcja: Dawid Wiktorski, Izabela Palińska

Korekta: Milena Macul, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak

Ilustracja na okładce: Łukasz Matuszek, www.artstation.com/ortheza

Projekt typograficzny: Jacek Łukawski

Skład i łamanie: Kamila Dankowska This Way Design

Kontakt: kontakt@fantazmaty.pl

ISBN:

epub: 978-83-66058-05-7

mobi: 978-83-66058-06-4

PDF: 978-83-66058-06-4

Oprawa miękka: 978-83-66058-08-8



Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym mediu i formacie.

Uznanie autorstwa – Utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla Ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne – Nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych

Bez utworów zależnych – Remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

SPIS TREŚCI

KSIĘGA KONCA 9

Zaginięcie Benedicta Constantine'a	11
Kołysanki dla umarłych	63
Zły szeląg	93
Pielgrzymka	115
Pojedynek	123

5

KSIĘGA MAGII 125

Bociani zagon	127
Opowieść, którą znam tylko ja	167
Farid Tkacz i latający dywan	171
Zabijając ptaki	217

KSIĘGA STRACHU

243

Koszmar z Yelland	245
Białe piekło	307
Pudełko pełne cudów	311
Ostatni śnieg w roku	357

WSTĘP

7

Drodzy Czytelnicy,

Od premiery pierwszego wydania „Opowieści niesamowitych” minęło pięć lat. Niby niewiele, a jednak szmat czasu. Człowiek, który pisał znajdujące się w tym zbiorku opowiadania, był kimś innym niż osoba zwracająca się do Was dziś. Temu mnie sprzed pięciu lat brakowało na przykład rozsądku i dojrzałości, miał natomiast znacznie więcej pewności siebie graniczącej z arrogancją.

O dziwo pamiętam jeszcze, co mi wtedy chodziło po głowie. Kilka miesięcy wcześniej ukazała się moja debiutancka książka. Zależało mi na pozyskaniu nowych czytelników, chciałem dotrzeć do ludzi. Dlatego zebrałem dwanaście opowiadań – kilka premier przemieszanych z tekstami, które zwyciężyły w konkursach literackich albo wylądowały w antologiach czy prasie – i zabrałem się za przedsięwzięcie iście karkołomne, jakim jest self-publishing. Wydałem „Opowieści niesamowite” samodzielnie, zajmując się wszystkim – od pozyskania numerów ISBN, przez skład i łamanie tekstu, na projekcie okładki kończąc. Popełniłem po drodze milion błędów, podjąłem dziesiątki złych decyzji, wiele się przy okazji nauczyłem. Z efektu końcowego byłem, i do jakiegoś tam stopnia wciąż jestem, zadowolony – zbiorek zebrał dobre albo bardzo dobre recenzje i trafił do całkiem pokaźnego jak na e-bookowy self-publishing grona czytelników.

A potem odszedł w zapomnienie, gdzie pozostałby pewnie po wszeczasły, gdyby nie Dawid „Fenrir” Wiktorski – człowiek młody, ale nieprzyzwoicie kumaty, energiczny, ambitny i generalnie robiący rzeczy, które powinny wprawić w zakłopotanie sporą część polskiego rynku wydawniczego. To Fenrir uparł się, żeby coś z moimi „Opowieściami...” zrobić, odświeżyć je, na nowo zaserwować czytelnikom, przy okazji poprawiając niedoróbki z przeszłości, wygładzając niezgrabności, podbijając może nie dość wyeksponowane zalety moich opowieści. To za jego sprawą te historie wracają teraz do życia, tym razem w profesjonalnie przygotowanej

wersji – solidnie zredagowane i po korekcie. Dzięki, Fenrir. Jestem Twoim dłużnikiem.

Są i inne osoby, którym należą się przy tej okazji podziękowania. Łukasz „Ortheza” Matuszek popełnił genialną ilustrację wykorzystaną na okładce i tym samym zmusił mnie do ostrego pochylenia się nad tymi reaktywowanymi opowiadaniami, żeby choć trochę zmniejszyć dysproporcje między warstwą tekstową a diabelnie wysokim poziomem oprawy graficznej. Jacek Łukawski zadbał o typografię na okładce, a korektorzy z projektu – o poprawienie przecinków i literówek. Poza tym są jeszcze ludzie, którzy przyczynili się do powstania tamtej pierwszej, chałupniczej wersji zbiorku z roku 2013: Maciek i Marta – to oni zmajstrowali ilustracje – a także Iwona oraz Wojtek, korektorzy części tekstu części tekstu. Dziękuję Wam wszystkim. Jesteście niesamowici.

Na koniec kilka słów o samym zbiorku. „Opowieści niesamowite” to trzynaście opowiadań podzielonych na trzy księgi: „Księgę końca” (przewrotnie umieszczoną na początku), „Księgę magii” oraz „Księgę strachu”. Dwanaście z tych tekstów to rzeczy z zamierzchłych lat 2008–2013, za to „Zaginięcie Benedicta Constantinea” to rzecz nowsza, popełniona bodajże w 2015 roku i nigdzie wcześniej niepublikowana – ot, taki bonus z okazji nowego wydania.

Te teksty różnią się konwencją, wrażliwością, dynamiką i podejściem do pisania. Wszystkie jednak sprawiały mi niezwykłą frajdę w trakcie tworzenia i teraz – przygotowując to poprawione, drugie wydanie – wracającem do nich z uśmiechem nostalgii, ale też autentyczną przyjemnością. Mam nadzieję, że Wam również zapewnią nieco miłych wrażeń i pozwolą przyjemnie spędzić czas.

Milę lektury, bawcie się dobrze.

Marcin Rusnak



KSIEGA KOŃCA

ZAGINIĘCIE BENEDICTA CONSTANTINE'A

Ktoś znany powiedział kiedyś, że nuda jest zmorą ludzi głupich i ograniczonych. Dawniej może i bym się z tym zgodził, ale od ponad roku – to jest od chwili, gdy zacząłem pracę dla Heliona Fairburna – coraz częściej miałem wątpliwości. Niewiele poznałem w życiu osób o podobnej inteligencji i równie szerokich horyzontach, co mój pryncypał. I nikogo, absolutnie nikogo, kto tak często narzekałby na nudę codziennej egzystencji.

– Próbuj – powiedział, podtykając mi pod nos szklankę. – Tym razem nie zgadniesz.

Nie było jeszcze ósmej, przez okna wpadało bladé światło pochmurnego poranka, a ja siedziałem w fotelu i polfykałem, jedna za drugą, powadane mi trucizny. Z powodu nudy mojego pracodawcy, rzecz jasna.

– Rycyna – odparłem po chwili namysłu.

– Niech cię diabli, Blaze! – prychnął Helion z mieszanką złości i dumy. Złości, bo nie lubił przegrywać. Dumy, bo niewielu mogło poszczycić się kamerdynerem, który po smaku rozpoznawał trzynaście z szesnastu najbardziej zabójczych trucizn znanych w Wanadii. – Myślałem, że gin cię zmyli. Jeszcze raz.

Za moimi plecami zaczął mieszać kolejny morderczy dekot – dwudziesty trzeci, o ile gdzieś po drodze nie straciłem rachuby. Taka ilość rozmaitych świństw położyłaby trupem cały pięćdziesięcioosobowy chór z katedry świętego Galahada, ale na mnie miała równie zgebungny wpływ, co szklanka soku pomidorowego. Golemiczna wszczepka – od Abermannia i Synów, najdroższej firmy w Lyonesse zajmującej się magicznymi implantami – to nie byle co, neutralizowała jak ta lala toksyny, alkohole, narkotyki i inne chemiczne badziewie.

Pomyślałem, że trzeba by się wybrać na okresową kalibrację wszczepki, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka. Niechętnie wstałem z fotela i po-szedłem otworzyć.

West Clairvale było dzielnicą bogaczy. Przed ósmą rano panowała tu zazwyczaj bliska ideału cisza zakłócana okazjonalnie przez szczęk se-katora w rękach ogrodnika. Po ulicach, sporadycznie zresztą, kursowały ekskluzywne paromobile, ociekające przepychem powozy i sportowe, jednokonne kabriolety. Jednak przed bramą posesji Fairburnów przy-cupnęła teraz prosta dorożka, a człowiek stojący za progiem miał na sobie surdut z niedrogiego, szarego samodziału. Mężczyzna był młody, krępy i średniego wzrostu, a włosy barwy słomy, blada cera oraz cha-rakterystyczny akcent sugerowały jotuńskie korzenie. Przedstawił się jako Desmond Aiksen, spirytysta i psychomanta. Głos mu drżała, oczy patrzyły błagalnie.

– Muszę pomówić z lordem Fairburnem. Proszę. Chodzi o Benedicta Constantine'a.

Jeśli przez naście lat żyłeś z robienia bliżnim różnych nieprzy-jemnych rzeczy, umiesz z łatwością rozpoznać twarz delikwenta, któremu przydarzyło się jakieś nieszczęście. Zabrzmi to może podle i samolubnie, ale widząc za progiem taką właśnie twarz, uciechyłem się i poczułem ulgę. Coś mi mówiło, że Helion rychło przestanie na-rzekać na nudę.

Helion Fairburn nie pasował do tradycyjnych wyobrażeń o elfickim lordzie i dziedzicu jednego z najstarszych alfheimskich rodów. Nie miał w sobie nic z obwieszonego błyskotkami dandysa, nie przykładał

szczególnej wagi do tradycji, konwenanse obchodziły go tyle co nic, a o posiedzeniach Izby Lordów przeważnie zapominał. Kim więc był mój pracodawca? Ekscentrykiem, jak wszyscy szlachcice, ale przede wszystkim koneserem sztuki. Jeśli szło o malarstwo, rzeźbę, muzykę czy poezję, mało kto w Lyonesse dysponował podobną wiedzą. Jednak nawet mnie, absolutnemu dyletantowi w tego typu sprawach, nazwisko Benedicta Constantine'a nie było obce. Na przestrzeni ostatnich lat ten chłopak stał się jednym z najbardziej znanych alfheimskich malarzy, a jego płótna zmieniały właścicieli za bajońskie sumy.

Kiedy zegar wybił ósmą, prezentację mieliśmy już za sobą, a Aiksen siedział w fotelu, spozierając ukradkiem na kredens, na którym pyszniły się napoczęte flaszki ginu, rumu, wódek kolorowych i czystych, koniaków, wermutów i win. Młody spirytysta trzymał zresztą w dłoni kieliszek sherry – Helion wcisnął mu go, tłumacząc, że to na uspokojenie.

– W czym mogę pomóc, panie Aiksen? – zapytał, pociągając z własnego szkła.

Przybysz zerknął niepewnie w moim kierunku, a Helion pochwycił jego spojrzenie.

– Pan Black jest nie tylko moim kamerdynerem, ale i zaufanym przyjacielem – wyjaśnił. – Może pan liczyć na jego całkowitą dyskrecję.

Aiksen nie wyglądał na przekonanego, ale zrozumiał, że nie ma wyboru. Łyknął dla kurażu. Ręka mu drżała i kropla trunku spłynęła po brodzie, ale nawet tego nie zauważył.

– Chodzi o naszego wspólnego znajomego – powiedział. – O Benedicta Constantine'a. On... zniknął.

Przez kilka kolejnych minut słuchaliśmy rwanego monologu Aiksen. Dowiedzieliśmy się, że spirytysta widział przyjaciela po raz ostatni cztery dni wcześniej, że Benedict spędził te trzy noce poza domem, Bogini jedna wiedziała gdzie, a wreszcie, że wczoraj ktoś włamał się do Constantine'a i ukradł wszystkie pamiętniki, notatniki, szkicowniki, niedokończone płótna oraz prywatne zapiski malarza. Widać było, że Aiksen w drodze tutaj poukładał sobie w głowie wszystko, co chciał powiedzieć, choć ze wzburzenia i tak się jąkał, gubił wątek.

– Czyli zginęły tylko notatki? – upewnił się Helion. – A kosztowności?
– Zostały. W szufladzie biurka było trochę not bankowych o dość wysokich nominałach. Biurko wybebeszono, ale pieniędzy nikt nie zabrał.

– Rozumiem. – Mój pracodawca odstawił koniakówkę na kredens. – Panie Aiksen, czy zechciałby pan mi wyjaśnić, czemu w ogóle zwraca się z tą sprawą do mnie?

Twarz spirytysty stężała.

– Byłem już na policji i w Alven Yardzie. Zostałem, oględnie mówiąc, zignorowany.

– Wspominał pan, o kogo chodzi? Że zaginionym jest Benedict Constantine?

– Oczywiście. Zapewniono mnie, że ktoś się tym zajmie, ale przesłuchany zostałem bardzo pobieżnie. Mówiąc wprost, nie wierzę, że ich poszukiwania cokolwiek dadzą.

Helion wydawał się poruszony, ja nieco mniej. Mój pracodawca darzył artystów szczególną estymą i zdarzało mu się zapomnieć, że reszta świata często widzi w nich tylko bandę bezużytecznych nierobów.

– Lordzie Fairburn – powiedział Aiksen. – Nie mam pojęcia, co robić. Nie mogę po prostu siedzieć z założonymi rękami i czekać.

Gdybym nie znał Heliona, pomyślałbym, że się zastanawia. Ale znam go i dobrze wiedziałem, że decyzję podjął już wcześniej, znacznie wcześniej, a teraz zachowywał pozory.

– Proszę wrócić do domu Benedicta i zaczekać tam na nas – odparł w końcu. – Spróbuję zasięgnąć języka. Może to wystarczy, może nie. Niczego nie mogę obiecać.

Aiksen poderwał się, żeby mu wylewnie podziękować, i chwilę później wybiegł z rezydencji. Biedak nie miał pojęcia, że to równie dobrze Helion mógłby dziękować jemu. Na twarzy mojego pracodawcy może i rysował się wystudiowany niepokój, ale jego oczy śmiały się do tajemnicy ciekającej na rozwikłanie.

Nuda została tymczasowo odegnana, a życie znów nabralo sensu, powabu i smaku.

– Tuby, Blaze – zakomenderował Helion. – Jest kilka listów, które muszę natychmiast wysłać.

Kiedy chwilę później zaniosłem mu do gabinetu zapas cylindrów wykorzystywanych w poczcie pneumatycznej, nawet na mnie nie spojrzał. Pochylony nad biurkiem kreślił kolejne słowa szybciej, niż ja radziłbym sobie z pojedynczymi literami. I w dodatku ładniej.

– Nie wychodź – zarządził. – Pomożesz mi z tym. Zależy mi na czasie.

Przez kolejne pół godziny Helion pisał kolejne listy, ja zaś wkładałem je do tub, które następnie pieczętowałem, opisywałem i wysyłałem, korzystając z naszej domowej skrzynki do pneumy. Gdy tylko skończyliśmy, mój pracodawca kazał mi się zbierać do wyjścia.

– Jedźmy zobaczyć ten dom – oznajmił.

Jeszcze zanim zdążyliśmy wyjść, przyszedł pierwszy list: wiadomość od bliskiego przyjaciela Heliona, starszego inspektora Alven Yardu sir Myro Isabella. W odpowiedzi na pytanie mojego szefa sir Myro informował w niej krótko, że wszyscy jego podkomendni są obecnie zaangażowani w przygotowania do nadchodzących wielkimi krokami uroczystości piętnastej rocznicy zakończenia Wielkiej Wojny i że zajmą się sprawą Constantine'a, gdy tylko przestaną odpowiadać głowami za bezpieczeństwo królowej. Yard nigdy nie narzekał na braki kadrowe, dziwny wydawał się też oschły ton listu. Nawet Helionowi, który raczej nie miał nosa do takich spraw, coś tu śmierdziało.

Benedict Constantine należał do malarzy, których Helion określał pogardliwie mianem „kopików” – artystów, którzy zamiast odkrywać nowe drogi wyrażania siebie, postanowili iść w zawody z aparatami fotograficznymi pod względem realistycznego odwzorowywania rzeczywistości. A jednak Constantine'a traktował inaczej, wyłączał go z ogółu pozbawionych wyobraźni rzemieślników – na tyle, że pięć lat wcześniej pomógł młodemu, jeszcze nieznanemu malarzowi zorganizować pierwszą wystawę z prawdziwego zdarzenia.

Dowiedziałem się o tym dopiero, kiedy wsiedliśmy do przywołanej doówki. Nie chcieliśmy rzucić się w oczy, więc Helion miał na sobie prosty szary redingot i cylinder tej samej barwy, a ja czarną pelerynę narzuconą na wełniane spodnie w kratę i kamizelę.

– To było pięć lat temu – powiedział mój pracodawca, spoglądając przez okno. – Dokładnie pięć lat temu, może i co do dnia. Miasto wtedy

też przygotowywało się do świętowania rocznicy podpisania traktatu pokojowego w Heimburgu. Dziesiątej. Na deskach Teatru Narodowego po raz pierwszy wystawiano „Pożegnanie z orężem” z Yvette Francis i Johnem Eddingsem. Właściciel galerii Trzy kruki chciał z tej okazji coś zorganizować i poprosił mnie o znalezienie odpowiedniego artysty. Constantine malował wyłącznie sceny z Wielkiej Wojny, więc nadawał się idealnie. Poza tym jego obrazy były najbardziej żywe, najbardziej wiarygodne. Inni uwieczniali na płótnach to, co widzieli na zdjęciach: ciała, okopy, dym, szczątki golemów. Tylko Constantine malował, jakby naprawdę brał udział w bitwie, czuł smród prochu i robił pod siebie, słysząc świd bomb zrzucanych ze sterowców.

Malarz miał willę w Mellow Hill, więc z West Clairvale pojechaliśmy w stronę Lasku Ferret. Przerzucony nad Teterą most Tir zdobiły posągi słynnych polityków i mężów stanu, teraz – ledwie na parę dni przed obchodami piętnastej rocznicy zakończenia Wielkiej Wojny – obwieszone wieńcami ze świeżych kwiatów. Pod stojącym na skraju parku Obeliskiem Synów Alfheimu paliły się setki zniczy, lampionów i zwyczajnych świec.

– Na tamtej wystawie – kontynuował Helion – pojawiło się między innymi płótno pod tytułem „Masakra 5. Pułku Fizylierów Królewskich z Bellshire”. Przedstawiało przeważające siły Rzeszy, otaczające garstkę naszych żołnierzy. Zrządzeniem losu do galerii trafił tego dnia jeden z trzech fizylierów, którzy z tej niewyobrażalnej rzezi wyszli z życiem. Na widok płotna rozpłakał się i długo nikt nie był w stanie go uspokoić. Później wyjaśnił, że na obrazie, do bólu zresztą prawdziwym, rozpoznał nie tylko twarze swoich towarzyszy broni, ale nawet oblicze wotańskiego żołnierza, który tamtego feralnego dnia ranił go bagnetem. Możesz się domyślać, co było później. Prasa oszalała, a wystawa z miejsca awansowała do rangi jednego z najważniejszych wydarzeń kulturalnych Lyonesse. „Alfheim Daily” wkrótce potem opublikował wywiad z Constantinem, w którym malarz zdradził, że z pomocą zaprzyjaźnionego spirytysty kontaktuje się ze zmarłymi, otrzymując od nich wyraziste obrazy z przeszłości. I że to właśnie te obrazy uwiecznia na płótnie.

– Zaprzyjaźnionego spirytysty – powtórzyłem. – Chodziło o Aiksenę?

– Tak sądzę.

– Wierzysz w to? W te kontakty z umarłymi?

Helion wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może to prawda? A może Constantine po prostu rozumiał, jakiego rodzaju historyjki dobrze się sprzedają w prasie. Ta aura mistyczmu i tajemniczości zrobiła dla jego kariery równie dużo, jeśli nie więcej, co sprawny warsztat.

Pokonaliśmy wysypane jasnym żwirem parkowe alejki i wjechaliśmy między zabudowania Mellow Hill. To była dzielnica willowa: jasne mury i soczyste czerwone dachówka cieszyły wzrok. Wiele ze stojących tu domów wzniesiono już po wojnie, lyoneski smog nie zdążył ich jeszcze pokryć szarym nalotem. Z myślą o zbliżających się uroczystościach przed jedną z posesji wywieszono flagę Alfheimu.

– Masz jakiś pomysł, co się stało z Constantinem? Musiał nagle wyjechać? Porwali go?

– Może wkrótce się dowiemy – odparł Helion.

Zrobiliśmy rundkę wokół otoczonego kwiecistymi klombami placu pełniącego nieformalną rolę dzielnicowego ryneczku. Przejechaliśmy przed udekorowanym flagami komisariatem i nowym budynkiem ochotniczej straży ogniowej. Na słupie z ogłoszeniami wisiały plakaty reklamujące wchodzące jutro kinowe premiery: „Diamenty dla zuchwałych” oraz „Tylko dla smoków”, oba z bożyszczem tłumów, Cleve’em Westwoodem.

Dorożka zatrzymała się przed niedużą, ładną willą. Uwagę zwracały gigantyczne okna połaciowe w dachu oraz zaniedbany ogród. Furtka była otwarta.

Aiksen już czekał. Wpuścił nas do środka. Służby nie było, bo Constantine takowej nie trzymał: raz w tygodniu przychodziła niziołcza kościana, która robiła, co mogła, żeby dom nie zarósł brudem. Aiksen pospiesznie oprowadził nas po obu piętrach, a następnie dał nam wolną rękę, bezradnie człapiąc w tyle i odpowiadając na pytania. Nie, od czasu włamania niczego nie ruszał. Tak, rozpytywały wśród sąsiadów. Nie, nie widzieli włamywaczy. Nie, Benedict nie miał wrogów, a przynajmniej on, Aiksen, nic na ich temat nie wiedział.

Dom został wywrócony do góry nogami. Szafki, szafy, regały i generalnie każdy inny mebel wybebeszono bardzo starannie. Gdyby do willi wpadła trąba powietrzna, raczej nie spowodowałaby większego bałaganu.

– Co myślisz? – zapytał mnie Helion.

– Dom przetrząsnęli skrupulaźnie, ale nie tknęli pieniędzy i kosztowności. Poza tym drzwi otwarto wytrychem albo kluczem, a nie wyważono. To robota zawodowców. Elfów albo ludzi, ktoś inny w tej okolicy za bardzo zwróciłby na siebie uwagę.

– Masz rację. Coś jeszcze?

– Chyba mieli marne wyobrażenie na temat tego, czego szukają. Zleceniodawcy z nimi nie było, dlatego zabrali wszystkie notatki, papiery, szkice... Nie chcieli niczego pominąć.

– Gdyby weszły za czymś konkretnym i to znaleźli, odeszliby, pozostawiając resztę domu nietkniętą – domyślił się Helion.

– Tak.

Zapytaliśmy Aiksena, czy ma jakiś pomysł, czego mogli szukać włamywacze. Spirytysta bezradnie pokręcił głową. Kimkolwiek byli sprawcy, nie ruszyli papierów bankowych, aktów notarialnych i innych dokumentów.

– Wygląda na to, że szukali czegoś sporządzonego samodzielnie przez Benedicta – wywnioskował Helion. – Rysunku, notatki, czegokolwiek.

Szwendaliśmy się od pokoju do pokoju, licząc, że intuicja lub ślepy traf podsuną nam jakiś trop. Pół godziny przewracaliśmy klamoty zasieglające podłogę, grzebaliśmy w wyrzuconych z szaf stertach ubrań. Obejrzeliśmy uważnie pracownię malarza, pokój przesiąknięty zapachem farb i rozpuszczalników. Smętne, szarawe światło wlewało się przez olbrzymie okna w dachu, na prostej komodzie stał gramofon, a na podłodze wałyły się płyty w tekturowych kopertach. Helion, chyba z wrodonego szacunku dla sztuki, zaczął je podnosić i układać obok odtwarzacza. Od czasu do czasu uśmiechał się pod nosem: widać muzyczne gusta jego i Constantine'a przynajmniej częściowo się pokrywały.

Podszedłem do drzwi balkonowych, żeby zerkać na ogród i wtedy coś zwróciło moją uwagę.

– Rośliny. – Wskazałem rząd doniczek stojących na balkonie. Już kiedyś widziałem te liście w kształcie postrzępionych, pięcioramiennej gwiazd. – Wie pan, co to takiego?

– Jakieś zioła. Benedict kupił je u aptekarza z Belville. Przyrządza z nich napar na uspokojenie. Umarli czasem zdradzają więcej, niż chciałoby się usłyszeć, i wtedy przydaje się coś na wyciszenie.

Obserwowałem Aikseną, kiedy to mówił. Był pewien, że nie kłamie. A to znaczyło, że Constantine miał tajemnice, którymi nie dzielił się z przyjacielem.

Spirytysta zaproponował, że przygotuje kawę i herbatę, po czym ruszył na dół. Helion zatrzymał go w połowie schodów.

– Panie Aiksen! – krzyknął, wciąż ściskając w dłoniach kilka płyt. – Czy Benedict miał w mieście jeszcze jakichś bliskich przyjaciół poza panem? Rodzinę? Kogoś, do kogo mógłby się udać w razie kłopotów?

– Nikogo – odpowiedział bez zastanowienia mężczyzna. Sądziłem, że tym razem również mówił prawdę. A przynajmniej to, co święcie za prawdę uważałem.

Kiedy Helion zaniechał dalszych pytań, spirytysta poszedł do kuchni i zostaliśmy sami.

– Co to za roślina? – spytał mój pracodawca, nie podnosząc wzroku z nad oglądanej płyty.

– Znam ją pod nazwą koriolskiej astry. Sprowadzają ją z Atlantydy. Napar z jej liści uśmierza głód narkotykowy.

– Ciekawe – odparł Helion. Ostrożnie wsunął oglądaną płytę między te już uporządkowane i zaczął starannie badać następną. – Blaze, mówią ci coś imię Kumari?

Rumieńce nieczęsto goszczą na twarzy ogra, a tym bardziej ogra, który przez ponad dekadę żył z handlu prochami, wymuszeń i chronienia cudzych brudnych interesów. A jednak teraz się zarumienił. Do stu diałów, popracuję u Fairburna jeszcze z rokiem i zacznę pisać sonety albo ronić łzy na widok zachodu słońca odbijającego się w Teterze. Obrzydliwość.

– No? Mówi czy nie? – zniecierpliwił się Helion.

– Mówię.

– To ona? – Pokazał mi okładkę płyty. Nadruk na tekturze przedstawiał twarz i nagie ramiona ślicznej dziewczyny o dekańskiej urodzie: oliwkowa cera, olbrzymie ciemne oczy, włosy gęste jak lwa grzywa, lśniące i czarne jak obsydian.

– Wiesz, jak ją znaleźć? – zapytał naglącym tonem, gdy skinąłem głową.

Mój szef po raz pierwszy w mojej obecności tak jawnie zareagował na widok przedstawicielki płci pięknej. Spróbowałem zapanować nad głupawym uśmiechem, a wtedy prychnął wściekle, podszedł bliżej i podsunął mi tył okładki pod nos.

Elegancki, pełen zawijasów autograf układał się w słowa: „Mojemu drogiemu Benedictowi – zawsze kochającą Kumari”.

Odrożyliśmy płytę na miejsce w chwili, gdy na schodach rozległy się pospieszne kroki. Aiksen wrócił bez obiecanych napojów, za to z niewielką kartonową tubą w dłoni.

– Znalazłem to w pojemniku poczty pneumatycznej – oznajmił zdeznerwowany.

Helion wziął pojemnik do rąk, obejrzał pocztowe stemple.

– Benedict nadał ją... – przez moment odcyfrowywał niewyraźną pieczęć – trzy dni temu. – Popatrzył pytająco, nawet jakby z naganą na Aikseną, a ten złapał się za głowę.

– Więc był tutaj! Musiał przyjść przed południem, kiedy wyszedłem na chwilę... ale czemu na mnie nie zaczekał?

Helion nie odpowiedział. Wrócił do rozgryzania stempli i informacji na cylindrze.

– List adresowany był do... na Księżycową Panią! Do Paula Sommerseta?

– Zna pan to nazwisko? – bąknął Aiksen.

Sądząc po minie Heliona, mógłby równie dobrze pytać o królową Tytanię.

– Sir Paul Sommerset – wyjaśnił mój pracodawca – to od przeszło dwudziestu lat dyrektor generalny Sekcji Szóstej. Czyli, mówiąc prościej, szef alfheimskiego wywiadu.

Szef wywiadu – powtórzyłem w myślach. Zaczyna się robić ciekawie.
 – Niedostarczony ze względu na nieaktualny adres i odesłany...
 wczoraj – doczytał Helion, po czym popatrzył na Aikseną. – Mam to otworzyć?

Spirytysta szybko skinął głową.

W środku znajdował się krótki list skreślony ręką Constantine'a. Malarz prosił w nim o spotkanie z sir Sommersetem, twierdząc, że sprawia nie cierpi zwłoki i jest najwyższej wagi.

- Co to znaczy? – Aiksen był przerażony. – W co on się wpłatał?
- Nie mam pojęcia – przyznał Helion – ale chętnie się dowiem.



Kabaret zawsze kojarzył mi się z błyskiem świąteł, barwnymi koktajlami w eleganckich kieliszkach i dziewczętami tańczącymi na scenie w samej bieliźnie. Akompaniowała temu jakaś muzyka, a młode damy – prócz świecenia białymi udami i wypinania pośladków – coś tam jeszcze ćwierkały do mikrofonu, ale w życiu bym nie podejrzewał, że istnieją ludzie, którzy przychodzą w takie miejsca dla podniet słuchowych, a nie po to, żeby napatrzyć się na kobiece krągłości. Tymczasem Kumari jako wschodząca gwiazda piosenki kabaretowej wydała trzy płyty i tylko dzięki temu jej imię w ogóle obiło się Helionowi o uszy.

Ja słyszałem o niej już wcześniej, choć nigdy się nie spotkaliśmy. Zanim trafiła do słynnego na całe Lyonesse klubu Black Cat, żyła jak ja – w słodkim mroku półświatka. Tyle że z jej urodą nie musiała rozbijać łbów i ściągać haraczy – zamiast tego brała na przykład udział w rozbieranych sesjach fotograficznych, których efekty można było później kupić po dziesięć księżyców za odbitkę. Astronomiczna cena? Może i tak, skoro znacznie mniej płaciło się za wystawny obiad w ekskluzywnej restauracji, ale nie słyszałem, żeby kupcy kiedykolwiek się skarżyli. Podejrzewam, że wielu z nich wręcz przeciwnie – zrobiło co w ich mocy, żeby spotkać tę zjawiskowo piękną, młodziutką Dekankę i bliżej zapoznać się z rozkosznymi sekretami jej ciała.

Dzięki moim znajomościom i hojności Heliona odnaleźliśmy Kumari jeszcze tego samego dnia pod wieczór na najwyższym piętrze hotelu Damascus w sercu Belville. Olbrzymi apartament składał się z kilku albo i kilkunastu pomieszczeń, nas przyjęto w salonie urządżonym w stylu orientalnym. Grube zasłony oraz lampy o kloszach z ciemnego szkła zapewniały intymny półmrok, miejsce foteli zajęły obite pluszem pufy i szezlongi, a na stoliku zamiast serwisu do kawy pyszniła się duża, zdobiona złotem fajka wodna. Pachniało kadzidłem, zmysłowo i odprężająco, miło szemrała woda płynąca w nieskończoność po miniaturowej kaskadzie projektu krasnoludzkich mistrzów. Golemiczny strażnik czuwał pod drzwiami, nieruchomy niby posąg, a młody ork we fraku poczęstował nas drogimi trunkami.

Kiedy Kumari w końcu się pojawiła, zrozumiałem, że nie skończyła z tą mniej legalną częścią swego życia. Wkroczyła bocznymi drzwiami, sunąc bosymi stopami po dywanie o gęstym włosiu. Smukłe, natarte olejkami nogi lśniły w nikłym blasku lamp niczym miedź, włosy przypominały burzę kruczych piór. Koronkowe majteczki opinały się na pośladkach, a czarna podomka z cieniutkiego batystu zdradzała łagodny łuk wcięcia w talii, zniewalający kształt młodych piersi i czekoladową barwę sutków. Kumari miała zaczerwienione policzki, oddech wciąż przyspieszony. Rozsiewała wokół zapach perfum, wonnych olejków i seksu.

– Lordzie Fairburn, cóż za miła niespodzianka – powitała go serdecznie, jak dobrego znajomego.

Ucałował jej dłoń i bąknął coś pod nosem. Nigdy nie widziałem go równie onieśmielonego.

– Panie Black. – Nie podała mi ręki, tylko dygnęła, żartobliwie i uroczzo zarazem. Miała w sobie coś ujmującego, naturalnie budzącego sympatię; jakby gracja damy i swawolność dziwki pozostawały u niej w doskonałej równowadze.

Zajęła miejsce na szezlongu, podkuliła nogi, przyjęła od orka we fraku pucharek, w którym wesoło dzwoniły kostki lodu.

– Jakiej szczęśliwej gwiazdzie zawdzięczam panów wizytę? – zapytała, uśmiechając się.

Helion spisał się jak na dżentelmena przystało: mówił grzecznie i nawet dość składnie, nie ślinił się, patrzył Kumari w oczy. Generalnie sprawiał wrażenie, jakby wieczory nie schodziły mu na niczym innym, jak na uprzejmych pogawędkach z półnagimi boginkami. A ja... powiedzmy sobie wprost: kamerdynerów życie nie rozpieszczało, toteż musieliszy się cieszyć każdym, choćby najdrobniejszym uśmiechem losu.

Cieszyłem się więc.

Gdy Kumari usłyszała, z czym przychodzimy, wyglądała na autentycznie przejętą.

– Czemu to pan tu jest? – zapytała, gdy Helion skończył. – Dlaczego nie psy z Alven Yardu?

– Pan Desmond Aiksen poprosił mnie o pomoc. Twierdził, że policja zignorowała jego zgłoszenie. – Zawahał się. – Panno Kumari, widzę, że to dla pani wstrząs. Czy mimo wszystko zechciałaby nam pani odpowiedzieć na parę pytań?

Zgodziła się natychmiast, kiwając głową z powagą. Podobało mi się to: żadnego tandemego, burdelowego aktorstwa, którym damy lekkich obyczajów zazwyczaj karmią gliniarzy. Sprawiała raczej wrażenie siostry zmartwionej nagłym zaginięciem brata.

– Chciałbym wcześniej panią uprzedzić, że zrozumiemy, jeśli nie zechce nam pani pomóc. To może być niebezpieczne. Benedict zniknął, a ktoś, zapewne dobrze wyszkoleni najemnicy, gruntownie przetrząsnął jego dom. Nie mam pojęcia, w jakie tarapaty się wpakował, ale lepiej, żeby była pani świadoma ryzyka.

Kumari uśmiechnęła się i wstała. Gestem poprosiła, żebyśmy poszli za nią.

Zaprowadziła nas do stojącej w kącie szafki, z niej zaś wyciągnęła metalową kasetkę na zamek z szyfrem. Wprowadziła właściwą kombinację i wręczyła mojemu pracodawcy plik trzymanych wewnętrz kopert.

– Proszę spojrzeć na nazwiska nadawców.

Czytałem Helionowi przez ramię. Otto von Roebler, Königstrasse 14, Heimburg. Volker Grüber, Ailecgasse 3, Valen. Bruno Heidenburg. Jean

Deloix. Calogero Morezi. Dziesiątki nazwisk i adresów, które nic mi nie mówiąły.

– Wiceminister spraw zagranicznych Wotanii. Feldmarszałek wojsk Trójmonarchii. Książę elektor Susdenii-Hauen. Wicepremier Akwitani. Pierwszy Sekretarz Pontyfikal. To są moje zabezpieczenia, lordzie Fairburn. Więc proszę przestać się o mnie martwić i powiedzieć, jak mogę pomóc.

Helion wyglądał na poruszonego. Powoli, niemal z namaszczeniem, oddał jej koperty.

– Jeśli jakiekolwiek z moich pytań uzna pani za obraźliwe, po prostu proszę nie odpowiadać i zapomnieć, że je zadałem – poprosił, gdy wróciliśmy na miejsca, a ona jeszcze raz przytaknęła. – Czy może pani powiedzieć, jaki rodzaj więzi łączył ją z Benedictem?

– Bywał u mnie raz na dwa, trzy tygodnie. Czasami po prostu sie-dzieliszy i rozmawialiśmy. Czasami się kochaliśmy.

– Sądziłem, że on... że Benedict jest... uczuciowo związany z panem Aiksenem – oznał ostrożnie Helion, potwierdzając moje wcześniejsze przypuszczenia.

– Bo jest. Desmond jest miłością jego życia, najbliższym przyjacielem i powiernikiem – odparła bez śladu zażenowania. – Ale nawet najbardziej miający mężowie czasem zdradzają żony. Benedict i ja byliśmy dla siebie odskocznią od codzienności. W swoim towarzystwie mogliśmy być... po prostu sobą. Mogliśmy przestać udawać. Poza tym...

– Tak?

Przyjrzała się nam uważniej, najpierw Helionowi, potem mnie. Miała najpiękniejsze oczy, jakie w życiu widziałem. Piękne i niebezpieczne. Dla takich oczu można zabić.

– Musicie panowie obiecać, że nigdy nikomu nie powtórzycie tego, co teraz powiem.

Uczyniliśmy, jak prosiła.

– Wizje Benedicta, te, które później uwieczniał na swoich płótnach, nie pochodziły z seansów spirytystycznych.

– Narkotyki – zrozumiałem nagle, przypominając sobie koriolskie astry na balkonie w domu Constantine'a. – Brał prochy, żeby doznać objawienia.

– Tak – przyznała. – Prochy i seks. Te obrazy chodziły za nim w snach, dręczyły noc w noc, zamglone i niewyraźne. Dopiero tutaj odpowiednia... mieszanka bodźców je uwalniała, sprawiała, że ukazywały mu się w całej okazałości. Zamykał oczy i miał je pod powiekami, wyraziste jak fotografie, utrwalone na dni albo nawet tygodnie. I te obrazy malował.

– Nie próbowała go pani skłonić do zerwania z nałogiem? – zainteresowała się Helion.

– Właśnie dlatego tu przychodził, lordzie Fairburn – odparła chłodniej.

– Nie próbowałam go zmieniać. Nie osądzałam go. Ani on mnie.

Zapadło milczenie. Pomyślałem, że tym jednym nietrafionym pytaniem mój pracodawca zamknął jej usta, ale nie, zwilżyła wargi w pucharku i podjęła przerwany temat.

– Jego wizje coraz bardziej go niepokoili. Pan, jako znawca sztuki, na pewno to zauważyl: te jego obrazy przedstawiają odwrotną chronologię. Zaczął od końca Wielkiej Wojny i jakby cofał się w czasie. Najpierw powstał „Pokój w Heimburgu”. Później „Lądowanie Ymira”, na którym zaczarowany sterowiec Sojuszu uderza w budynek Kancelarii Rzeszy i zabija licza ven Riera. W kolejnych latach malował wydarzenia z ostatniej fazy wojny: „Masakrę 5. Pułku” czy „Adreny”, z tymi wszystkimi mechanizowanymi wojskami Rzeszy przedzierającymi się przez zasypyane śniegiem przełęcze... Benedict był przekonany, że te wizje pojawiają się nieprzypadkowo, że zmierza w kierunku jakieś okropnej prawdy, która za jego sprawą ma zostać objawiona. Każdy kolejny obraz był wyraźniejszy, bardziej realny... jakby on sam był anteną krystalografu odbierającą nadawany sygnał z coraz większą czułością.

Zamilkła. Powoli zanurkowała wzrokiem do wnętrza trzymanego pucharu. Poruszała nim delikatnie, tak że drobne bryłki lodu wystukiwały na ściankach naczynia cichutki rytm.

– Panno Kumari, kiedy widziała pani Benedicta po raz ostatni?

Minęła chwila, nim zdecydowała się odpowiedzieć.

– Cztery dni temu. – Podniosła na nas smutne spojrzenie. – Był tu wieczorem. I tak, wziął wtedy swój narkotyk.

Mój pracodawca splótł dlonie, jakby zamierzał paść przed Kumari na kolana i zacząć się modlić. Ciekawe, czy po mnie też tak było widać emocje?

– Czy on... – Pytanie Heliona zawisło w powietrzu i trwało tak przez chwilę.

– Obudził się nad ranem, roztrzęsiony i zapłakany – powiedziała w końcu, odwracając zaszklony wzrok. – Próbowałam go uspokoić, ale nie słuchał. W pewnym momencie wyrwał mi się i chwytając część ubrań, uciekł na zewnątrz, w mrok. Nie goniłam go.

– Czy mówił coś? – dopytywał Helion rozgorączkowanym głosem. – Cokolwiek...

– Powtarzał nazwisko. W kółko, jakby się bał, że je zapomni. Tylko to jedno nazwisko.

Popatrzyła na nas i zrozumiałem, że przed nami też wcześniej próbowała grać, próbowała udawać dziewczynę, która wcale nie kocha Benedicta Constantine'a.

– To nazwisko brzmiało: Paul Sommerset.



Po spotkaniu z Kumari Helion wsiadł do dorożki i pojechał z powrotem do domu, ja natomiast zostałem na miejscu, żeby zasięgnąć języka.

Belville znane było na całym świecie jako kolebka kinematografii; miejsce, które zmieniało piękne dziewczęta znikąd w ubóstwiane gwiazdy i gdzie eliksir nieśmiertelności przyjmował postać celuloidowej taśmy. To tutaj mieściły się olbrzymie studia filmowe, ekskluzywne kluby zrzeszające reżyserów i scenarzystów, przerażające rozmiarami i zupełnym brakiem dobrego smaku rezydencje ulubieńców publiczności. W tej dzielnicy można było znaleźć skąpane w świetle lamp szerokie aleje pełne wystawnych hoteli i restauracji, jak również zaúłki, gdzie w zaciszu

półmroku tłoczyły się kameralne puby, podejrzane pensjonaty i burdele gotowe zaspokoić nawet najwybredniejsze gusta.

Rozrywkowy charakter Belville wziąłem w pierwszej chwili za dobrą monetę – skoro na tutejszych ulicach życie nigdy nie zamierało, istniała szansa, że ktoś widział Constantine'a opuszczającego hotel Damascus i będzie mógł mi coś powiedzieć na temat tego, co się z nim potem stało. Szybko jednak okazało się, że nie miałem racji. Owszem, ludzi pałetała się tu cała masa, niezależnie od pory dnia. Sęk w tym, że jeśli praktycznie co rusz wpadało się tu na bożyszcze tłumów pokroju Brandona Marlo czy Lizzie Seamstress, o Benedicta Constantine'a można by się potknąć i nie wrócić na niego większej uwagi.

Mimo wszystko postanowiłem być skrupulatny i wypytywałem wszystkich, którzy spędzali większość czasu na ulicy i mogli coś wieǳieć. Gadałem z odźwiernymi stojącymi na bacznosć pod hotelowymi markizami i z bileterami tkwiącymi w przeszklonych klatkach kinowych kas. Rozmawiałem z pucybutami i chłopakami sprzedającymi na chodnikach prażone migdały oraz pieczone kasztany. Zamieniłem kilka słów z wykidajłami, z dyskretnie reklamującymi swoje wdzięki damami do towarzystwa, a nawet z paroma nieszczęśliwcami, którzy maszerowali po chodniku w tę i we w tę, nosząc z przodu i z tyłu tablice z plakatami reklamującymi najnowsze kinowe produkcje. Podawałem konkretną datę i przybliżony czas, ze szczegółami opisywałem Constantine'a – niespełna trzydzieści lat, wysoki i przeraźliwie chudy, czarne, kędzierzawe włosy, cera blada, oczy jasnozielone, wyraźne kości policzkowe, opadające kąciki ust – do tego ubranie, które zdaniem Kumari miał wówczas na sobie. Na próżno. Nikt nie potrafił powiedzieć mi nic konkretnego.

Po jakichś dwóch godzinach bezowocnego deptania chodników i mielenia ozorem uznałem, że należy mi się przerwa. W niedrogim pubie, gdzie najwyraźniej stołowały się statyści, technicy i cała reszta gorzej opłacanych przedstawicieli przemysłu filmowego, zamówiłem kufel piwa oraz kiełbaski zapiekane w cieście. Czekając na jedzenie, a potem także w trakcie posiłku, po raz kolejny powtarzałem w głowie wszystko, co wiedziałem na temat Constantine'a, próbując wykombinować, gdzie ten

mógł się podziąć. Zniknięcie samo w sobie można było tłumaczyć na tuzin różnych sposobów, ale włamanie do domu sugerowało, że malarz solidnie komuś podpadł. Nie miałem pojęcia, co zrobił: rozdziewiczył czyjąś nastoletnią córkę, pożyczyl pieniędze i zapomniał je zwrócić, niegrzecznie odmówił namalowania portretu rodzinnego – możliwości było całe mnóstwo, natomiast realne następstwa tylko dwa.

Opcja pierwsza: Constantine'a dorwano i spoczywał teraz na dnie Tetery albo zajmował posłanie w jakimś podzijnym szpitalu, gdzie leżał nieprzytomny, z połamanymi kończynami i sikał pod siebie moczem z domieszką krwi.

Opcja druga: malarz zdołał się wymknąć, a teraz czekał przyczajony w jakiejś kryjówce. Helion zajął się już wcześniej opcją pierwszą, wysyłając pneumę listy do wszystkich publicznych szpitali, klinik, przytułków i noclegowni w Lyonesse. Jeśli natomiast chodziło o opcję drugą, szybko skończyły nam się pomysły. Constantine nie miał w mieście rodziny. Jednymi przyjaciółmi, którym mógł w pełni zaufać, byli Aiksen i Kumari. Oczywiście istniało pewnie niemało kolegów od kieliszka, właścicieli galerii albo miłośników sztuki, którzy chętnie przyjęliby pod swój dach słynnego Benedicta Constantine'a, ale malarz nie był przecież głupi – musiał wiedzieć, że tacy ludzie gadają. Nie ryzykowałby tak, przynajmniej zdaniem Heliona. Pozostawała jeszcze możliwość, że Constantine ukrył się w jakimś hotelu czy pensjonacie, ale takowych były w Lyonesse całe setki i większość tych lokali dokładała wszelkich starań, by ich klientów nie niepokojono wbrew woli. Bez jakiegoś tropu, punktu zaczepienia, mogłem do końca życia pukać od drzwi do drzwi i nigdy nie znaleźć naszej zguby.

Był jeszcze Paul Sommerset. Constantine powtarzał jego nazwisko po nocy spędzonej z Kumari, a następnego dnia wysłał do niego pneumę w własnego domu. Ani Aiksen, ani Helion, ani nawet Kumari nie wiedzieli, czy malarz znał osobiście szefa alfheimskiego wywiadu. Nie można było takiej opcji wykluczyć, w końcu Constantine malował sceny z okresu wojny, w której Sommerset i jego szpiedzy odegrali niebagatelną rolę. Możliwe więc, że ich drogi przecięły się przy okazji jakiegoś oficjalnego bankietu, otwarcia wystawy czy czegoś podobnego. Czyżby

Constantine łodził się, że wpływowy znajomy wybawi go od tarapatów, w które się wpakował? Według mnie brzmiało to całkiem sensownie. Problem polegał na tym, że dyrektor generalny Sekcji Szóstej to nie ktoś, z kim można ot tak umówić się na spotkanie i zadać mu kilka niezobowiązujących pytań.

Wsadziłem do ust ostatni kęs, po czym dopiłem piwo i wstałem od stolika. Niemal wpadłem na chłopaczka o wyglądzie gazeciarza, który w tym samym momencie przepchnął się do mnie między innymi klientami. Było już po zmroku i w innej części miasta obecność takiego szczały w pubie o tej porze zwracałaby uwagę, ale byliśmy w Belville, a ta dzielnica rządziła się swoimi prawami.

– Uszanowanie, kierowniku – powitał mnie z cwniackim mrugnięciem. – To pan wypytuje wszystkich o czarnowłosego, chudego jegomością w szarej pelerynie?

– Możliwe, że ja – odparłem ostrożnie. – A co?

– No bo może być tak, że ja znam kogoś, kto coś wie. Ale to już zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy będzie w tym dla mnie jakiś grosz. I czy ten facet, którego pan szuka, to ten znany malarz, Benedict Constantine.

Przyjrzałem mu się uważniej. Przed momentem miałem go za jeszcze jednego lyoneskiego gnojka, który szuka nadzianego naiwniaka. Ale nazwisko Constantinea to jednak był konkret.

– Masz – oznajmiłem, podając mu srebrną monetę, dwa jelenie. – A teraz mów, co wiesz.

– Ja, kierowniku, nic nie wiem. Ale jest taki jeden człowiek, co to może panu zdrodzić to i owo. Ja zaprowadzę.

– Dobra, prowadź.

Wyszliśmy z pubu i ruszyliśmy uliczkami Belville. Miałem ciche podejrzania, że chłystek po zainkasowaniu forsy jednak spróbuje mi nawiać w tłumie, ale tak się nie stało. Trzymał się blisko, nie próbował żadnych numerów.

Po kilku minutach znaleźliśmy się w jednym z podlejszych zaułków, gdzieś na tyłach wytwórni Supreme Studios. Po jednej stronie ulokowano

dekańską restauracyjkę, po drugiej tani pensjonat, w głębi zaś majaczyły zwaliste sylwetki ochroniarzy strzegących wejścia do jakichś szemranych lokali – palarni opium, nielegalnych domów gry albo klubów dla miłośników golizny. Cholera wie.

– Tutaj, kierowniku.

Weszliśmy do orientalnej knajpki. Szczeniak poprowadził mnie między stolikami w stronę zaplecza. Klienci pochyleni nad soczewicą z tamaryndem albo obficie przyprawionymi batatami nie zwracali na nas uwagi. Przeszliśmy przez kuchnię, gdzie panował zaduch, ciężki od nagonadzenia rozmaitych zapachów. Trafiliśmy do malutkiego kantorka, w którym stary ork z Dekanu zapamiętałe podliczał długie ciągi liczb w wysłużonym kajecie. Po chwili podniósł palec w geście sugerującym, żebym zaczekał. Zerknął na jedno ze stojących pod ścianą krzesel i natychmiast zrozumiałem, że mam tam usiąść.

– Ja zmykam, kierowniku – wyszeptał chłopiec. – Uszanowanko i powodzenia.

30

Zniknął, zanim zdążyłem zareagować.

Siedziałem i czekałem. Zza drzwi dobijał chrzest sztućców i szczęk naczyń, pokrzykiwania kucharzy i kuchcików, szmer potraw tonących w skwierczącym tłuszczu. Ork co parę chwil ocierał spocone czoło, sumował kolejne słupki, raz na jakiś czas obracał się i przesuwał kolorowe paciorki na liczydle albo notował coś w drugim zeszycie. Trwało to dobre pięć minut i zaczynałem się już niecierpliwić, kiedy Dekańczyk nagle odłożył ołówek, zamknął oba kajety i wstał z miejsca. Również się podniósł, ale on wtedy powtórzył swój gest z uniesionym palcem. Następnie wyszedł z pomieszczenia, jednak innymi drzwiami niż te prowadzące do kuchni. Kazał mi czekać, więc... czekałem.

Doprawdy, wystarczył rok relatywnie bezpiecznej, wygodnej służby u Heliona Fairburna, żeby instynkt, który tyle razy uratował mi tyłek na ulicach Lyonesse, zaczął zawodzić. Inaczej w życiu tak łatwo by mnie nie podeszli.

Było ich dwóch. Weszli do pomieszczenia równocześnie, jeden od strony kuchni, drugi przez drzwi, w których wcześniej zniknął dekański

ork. Obaj mieli na sobie czarne ciuchy, chusty na twarzach, a w dloniach wymierzone w moim kierunku małokalibrowe pistolety z tłumikami.

Uznałem, że nie ma sensu, żebym wstawał.

– Wypytywałeś o Constantine'a – powiedział ten od strony kuchni, gdy tylko zamknął za sobą drzwi. – Dlaczego?

Przyjrzałem się im, oceniłem swoje szanse. Marnie to wyglądało.

– Zniknął – odparłem. – Chcę go znaleźć.

– Dlaczego?

– Wisi mi forse.

Muszę przyznać, że pistolety są dobre, kiedy chcesz kogoś załawić, ale do zastraszania nadają się tak sobie. W przeciwnieństwie do noża, nabijanej gwoździami pałki albo starego dobrego młotka, pistolet daje raczej małe pole do manewru, jeśli idzie o stopniowe oddziaływanie na psychikę. Rewolwery jeszcze jako takie dają radę, zawsze można ze złowrogim uśmiechem odciągnąć kurek, ale kiedy wycelujesz pistolet w delikwenta, jest po ptakach – albo gościa złamiesz, albo nie. W tym drugim przypadku możesz już tylko zacząć strzelać, a jeśli tak naprawdę nie chcesz przesłuchiwanego zabijać, to w zasadzie już przegrałeś.

Chciałem wyłożyć im te swoje przemyślenia, kiedy temu drugiemu drgnęła dłoń, lufa odrobinę skręciła. Rozległ się suchy trzask, jak kość pękająca pod uderzeniem tasaka, a ja poczułem, że z krzesłem coś jest nie tak. Ułamek sekundy później siedziałem na podłodze, z reszkami połamanego mebla uwierającymi mnie w tyłek i ćwiczyłem zęza rozbieżnego, próbując spoglądać równocześnie w obie lufy. Sukinsyn był dobry: przestrzelił nogę krzesła i posłał mnie na glebę. No i najwyraźniej nie bał się strzelać.

– Słyszałeś to powiedzenie: do trzech razy sztuka? – zapytał ten przy drzwiach.

Pokiwałm głową.

– No więc my się tak nie bawimy – wyjaśnił. – Jeszcze raz będziesz zgrywał chojraka i zarobisz kulkę. Proste? No to mów. Czemu szukasz Constantine'a?

Wiedziałem, że nie żartuje. Zbyt wiele razy widziałem w podobnej roli kolesi, którzy również nie żartowali. Dlatego bez wahania powiedziałem prawdę, a przynajmniej jej okrojoną wersję. Wyjaśniłem, że znamy się z Aiksenem i że po zniknięciu Constantine'a spirytysta poprosił mnie o pomoc w jego odszukaniu. O Helionie i Kumari nie wspomniałem ani słowem.

Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że to dopiero początek posiedzenia i całej litanii pytań, ale myliłem się. Zamaskowani nieznajomi wymienili spojrzenia, po czym ten przy drzwiach do kuchni oznajmił beznamiętnym tonem doświadczonego zabójcy:

– Możesz iść. Ale jeśli dowieemy się, że dalej rozpytujesz o Constantine'a, skończysz martwy. To nie jest żart. Zostaw tę sprawę. Jasne?

Potem zniknęli równie znienacka, jak się pojawiły. Podniósłem się, otrzepałem spodnie i wyjrzałem przez drzwi. Dekańscy kucharze dalej krzyczeli jeden przez drugiego, szerokie noże siekały warzywa, nad garnami i rondlami snuły się smugi aromatycznej pary. Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Opuściłem knajpę, wszedłem w pierwszą lepszą dorożkę i kazałem się zawieźć do domu.



– Masz jakieś pojęcie, kim byli? – zapytał Helion, kiedy już umyty i przebrany w świeże ubranie zasiadłem obok niego, w drugim fotelu. Patrzyliśmy na płomienie liżące drewno w kominku. Marzyłem o koniaku, wódce, rumie, choćby i nawet kuflu piwa z kapką spirytusu, ale moja golemiczna wszczępka i tak zneutralizowałaby cały alkohol, więc poprzesłałem na filiżance herbaty.

– Wiem, kim nie byli – odparłem. – Na pewno nie pierwszymi lepszymi obwiesiami, nasłanymi przez jakiegoś tępego gangstera. To zawodowcy.

– Ludzie?

– Tak. Alfheimczycy, jeśli mam oceniać po akcencie. Albo cholernie zdolni cudzoziemcy. Dobrze wyszkoleni i wyposażeni.

Helion popatrzył na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Myślisz, że to szpiedzy? – zapytał. – Wotańczycy?

Wzruszyłem ramionami.

– Wotańczycy, Akwitańczycy, z Trójmonarchii, diabli wiedzą. Może nawet niepodległościowcy z Winlandii albo jacyś tutejsi, którzy sympatyzują z antykolonialistami z Sunniru.

Łyknąłem herbaty, mimo chodem zauważając, że pobyt na służbie u Heliona miał zgubny wpływ nie tylko na mój instynkt typu spod czarnej gwiazdy. Jeszcze rok temu z całą pewnością nie znałem takich słów jak „sympatyzować” albo „antykolonialista”, o użyciu ich w rozmowie nie wspominając.

– W co ten Constantine się wpakował? – zadumał się Helion. – Przychodzi ci coś do głowy?

– Wcześniej przychodziło, owszem. Ale teraz już nie, nie po spotkaniu z tą dwójką. A tobie?

Mój pracodawca nie odpowiedział. Siedział, postukując palcami w oparcie fotela. Wreszcie podniósł się z miejsca.

– Podczas włamania zabrano wszystkie zapiski Constantine'a, szkice, niedokończone płótna, wszystko – wymamrotał.

– Tak – zgodziłem się. – Tak było. Tylko co to znaczy?

– Jeszcze nie wiem.

Potem zamknął się w gabinecie z kolacją, flaszką brandy i całą skrzynią cylindrów na wiadomości. Kazał sobie nie przeszkaądać, więc wrzuciłem coś na żąb i usiadłem w fotelu z książką w dłoni. Nie będę zgrywał intelektualisty, znam dziesiątki lepszych rozrywek niż ślepienie w zadrukowane stronice. Ale ostatnie wydarzenia uzmysłowiły mi, że o Wielkiej Wojnie wiedziałem niewiele, a przecież ten konflikt towarzyszył mi przez pół życia: zawieszenie broni nastąpiło dopiero, gdy miałem piętnaście lat.

Wciąż pamiętałem te okropne dni – szare, pełne brudu, głodu, zniszczeń. Zburzone budynki, osmolone ulice, dym zasnuwający niebo. Ciała nakryte starymi kocami, wrzaski rannych, tłumy żebraków bez rąk lub nóg. Dzień w dzień, tydzień po tygodniu. A także długie, ciemne noce, kiedy gaszono światła w całym Lyonesse, a sterowce Rzeszy

i tak nadlatywały, raz za razem, zrzucając swoje przeklęte bomby. Pamiętałem tęczowe rozbłyski zakleć ochronnych, eksplozje w miejscowościach, gdzie magia ścierała się z zabójczą techniką. I przerzążający ryk syren informujących, że gdzieś tam bomby przedarły się przez osłonę i znowu umierali niewinni ludzie.

Otrząsnąłem się i zacząłem czytać. Wraz z kolejnymi linijkami powracały do mnie zdarzenia, o których kiedyś przecież słyszałem, a które składały się na szkielet tego strasznego, trwającego ponad trzydzieści lat konfliktu. Czytałem o Incydencie Ostryjskim i inwazji Wotanii na Czarnoborze. O kolejnych tryumfach wotańskich wojsk, o utracie przez Alfheim odległych kolonii i statusu morskiej potęgi. O wojnie wywiadów, powstaniu Grupy Kuźnia i całym wyścigu zbrojeń, w którym hołdujący tradycji Alfheim pozostał daleko w tyle za państwami kontynentu. O zawiązaniu Sojuszu przeciw Wotanii i brutalnych walkach w okopach Nordalii, na pogranicznym pasie zwanym od tej pory Polami Śmierci. O tym, jak wotański generał ven Rier, widząc nadchodząca klęskę swoich rodaków, wypowiedział słowa pradawnego, przez wieki zaginionego zaklęcia, przemieniając się w licza i dając początek Nieumarłej Rzeszy. Czytałem o trupach powstających do walki na jego rozkaz i zbierających wśród nieprzyjaciół Wotanii krwawe żniwo.

Zrobiło się późno, ale przewracałem kolejne strony i pochłaniałem ich treść. Znałem, jak prawie każdy w Lyonesse, obrazy Constantine'a i teraz mogłem porównywać wydarzenia, o których czytałem, do płócien, które je ilustrowały. Czytałem o objawieniu Żelaznej Panienki, o przemienieniu adiutantów ven Riera w licze i przystąpieniu Trójmonarchii do Sojuszu. O udostępnieniu Alfheimowi, Akwitanii i innym państwom walczącym przeciw Nieumarłej Rzeszy przełomowych technologii opracowanych przez Grupę Kuźnia. O bitwie pod Mitelup, powstaniu Nazwanych Golemów i odwróconym biegu wojennych zmagań. Wreszcie o samobójczej misji Ymira, zburzeniu Kancelarii i pogrzebaniu ven Riera w jej ruinach.

Poszedłem spać nad ranem, z piaskiem pod powiekami i potężnym bólem głowy. Trzy godziny później obudziła mnie służąca. Przygody

i śledztwa to jedno, ale ktoś tu miał obowiązki kamerdynera, którym też musiał podołać.

Przez kolejne cztery godziny wydawałem dyspozycje, doglądałem pracy podwładnych i na wiele innych sposobów udowadniałem sobie oraz wszystkim innym, że jestem niesłychanie potrzebny i że bez mnie rezydencja Fairburnów niechybnie raz-dwa zeszłaby na psy. Helion przez ten czas ani na moment nie wyściubił nosa ze swojego gabinetu. W końcu zjadłem wczesny lunch i postanowiłem uciąć sobie krótką drzemkę, ale nic z tego nie wyszło. Przewracałem się z boku na bok i rozmyślałem nad Constantinem, Kumari, Aiksenem i tymi drabami, którzy mierzyli do mnie w dekańskiej knajpie. Szczególnie nad tymi ostatnimi. Sukinsky mi groziły. Jakoś tak się poskładało, że w ciągu mojego życia wiele osób mi groziło, ale większość z nich nie mogła się obecnie poszczęścić kompletnym użębiением, a widząc mnie na ulicy, możliwie dyskretnie zmykali na przeciwny chodnik.

– A srał was pies – burknąłem, wstając z łóżka. – Nie odpuszczę tak łatwo.

35

Chwilę później wysłałem pneumę do Aiksen'a z propozycją spotkania.



– Co możesz mi powiedzieć na temat Benedicta?

Byliśmy z Aiksenem w dwupoziomowym pubie położonym niedaleko jego mieszkania. W okolicy mieściło się sporo wydawnictw oraz redakcji lyoneskich dzienników, toteż na piętrze gęsto było od redaktorów, korektorów i zecerów zajadających obiad w towarzystwie współpracowników i rywali. My siedzieliśmy na parterze, przy małym stoliczku, racząc się ciemnym piwem. Ja ze wzgledu na moją golemiczną wszechzępkę byłem trzeźwy jak niemowlę, tymczasem Aiksen, który kończył drugi kufel i najwyraźniej nie miał zbyt mocnej głowy, zaczynał zdradzać symptomy lekkiego upojenia.

– Słucham? – zapytał.

– Constantine. Zastanawiam się, co mógłbyś mi na jego temat powiedzieć. Poza rzeczami, o których wiedzą wszyscy.

– Ja? Co ja mógłbym niby wiedzieć? – Aiksen zdziwił się z teatralną przesadą i uniósł kufel. Kilka kropli piwa spłynęło mu bokiem ust i zniknęło w blond brodzie.

Poprzednie pół godziny nie było dla spirytysty łatwe. Dowiedział się nie tylko, że jego ukochany jest najprawdopodobniej ćpunem i od czasu do czasu zabawia się na boku z obłędnie seksowną dekańską damą do towarzystwa, ale również, że ludzie, którzy zadają na jego temat za dużo pytań, mogą skończyć w rynsztoku, ciężsi o kilka uncji ołowiu.

– Nie użalaj się nad sobą – burknąłem. – Wszyscy mamy jakieś sekrety. Idę o zakład, że jest kilka rzeczy, które ty też wolałbyś zachować przed swoim kochasiem w tajemnicy.

Aiksen poczerwieniał, zacisnął usta. Wyglądał jakby na poważnie rozważał chlusnięcie mi resztką piwa w twarz. Nie wiedziałem tylko, czy to przez słowo „kochaś”, czy dlatego, że trafiłem w czuły punkt.

– Posłuchaj – powiedziałem nieco ciszej, nachylając się w jego stronę. – Jeśli mam być szczerzy, to ty i Constantine jesteście mi obojętni. Powiem dosadziej: mam was gdzieś. Problem w tym, że mój szef zajął się tą sprawą i nie odpuści, aż czegoś się nie dogrzemie. A to oznacza, że będzie nadstawał dla was karku. Rozumiesz? Dlatego daj sobie spokój z tymi minami i po prostu zacznij gadać.

O ile spirytysta wcześniej wyglądał, jakby kusiło go oblanie mnie piwem, o tyle teraz sprawiał wrażenie, że z trudem powstrzymuje się, żeby nie rozbić mi kufla na łbie. Czekałem, popijając trunek niewielkimi łyżczkami, a on wpatrywał się we mnie z jawną niechęcią. W końcu sapnął głośno, opuścił wzrok i napił się.

– Co konkretnie chcesz wiedzieć?

W ciągu następnej godziny postawiłem Aiksenowi jeszcze dwa piwa i zadałem mu kilkanaście pytań. Z początku odpowiadał niechętnie, wyraźnie rozdrażniony moją bezpardonową szczerością, ale potem się rozkręcił i mówił coraz śmieej, dzielił się kolejnymi szczegółami z życia Constantine'a. Dowiedziałem się między innymi, że spotkali się

z Benedictem przed sześciu laty, gdy malarz poszukiwał pomocy spirytysty, chcąc lepiej zrozumieć naturę swoich osobliwych wizji, a ktoś polecił mu właśnie Aikseną. Okazało się też, że Constantine urodził się na północy, a także że jest sierotą oraz jedynakiem. Nigdy nie poznał ojca, który odsłużył na Wielkiej Wojnie ledwie trzy miesiące, zanim artyleryjska kula skróciła go o głowę. Matkę stracił wcześnie, w wieku lat ośmiu, gdy zabrała ją epidemia cholery. Jego wychowaniem zajęła się siostra matki, ciotka Flawia, która wyszła za średnio zamożnego właściciela ziemskego i nigdy nie doczekała się własnych dzieci.

W efekcie Constantine odebrał za młodu więcej niż przyzwoite wykształcenie i nie musiałby się przejmować finansami, nawet gdyby na przestrzeni ostatnich lat nie stał się jednym z najbardziej znanych i cenionych alfeimskich malarzy młodego pokolenia.

Aiksen opowiadał dużo o traumie swojego ukochanego, który nigdy nie pogodził się z losem rodziców, a także o jego wyjątkowej wrażliwości i o tym, jak niesłychanie dobrym i wartościowym człowiekiem jest Benedict. Może na tym etapie przemawiał już przez niego w dużej mierze wypity alkohol, ale miałem wrażenie, że Aiksen kocha Constantine'a mocno i szczerze i że wierzy swięcie w każde wypowiadane słowo. Prawdę mówiąc, nawet mnie tym trochę ujął i poczułem ukłucie wstydu, że tak surowo go wcześniej potraktowałem.

– Czy nie mógł ukryć się właśnie tam? – zasugerowałem. – Poza Lyonesse? U wujostwa, którzy zastąpili mu rodziców?

– Sprawdzałem już – odparł Aiksen. – Nie ma go tam. Mimo że mieszkali razem przez wiele lat, nigdy nie łączyły ich szczególnie zażyłe stosunki. Od przeprowadzki do stolicy Benedict rzadko pisnął do ciotki, nie odwiedzał jej prawie wcale. Potem, kiedy wreszcie odniósł sukces, to się jeszcze pogłębiło. Oni chyba chcieli widzieć w nim swojego spadkobiercę, a Benedict za nic w świecie nie zgodziłby się, żeby spędzić życie na folwarku, doglądając bydła, upraw i sadów. Jego zawsze ciągnęło do artystów, do świata sztuki, do tężniących życiem bulwarów i gwaru salonów.

– A te jego wizje? – zapytałem.

– Co z nimi?

– Słyszałem plotki, że to wszystko łgarstwa, tworzenie egzotycznej otoczki. Że nie ma żadnych wizji, są za to skrupulatne badania realiów historycznych, godziny spędżane nad dokumentami, zdjęciami i relacjami naocznych świadków.

Aiksen najpierw spojrzał na mnie z niedowierzaniem, potem zachichotał, by moment później wybuchnąć głośnym śmiechem. Nie było w tym za grosz pozy, mężczyzna wyglądał na autentycznie rozbawionego tym, co powiedziałem.

– Czasami naprawdę nie wiem, co mnie bardziej zadziwia: cuda i dziwy naszego świata czy ludzka głupota – oznajmił, kiedy już się uspokoił. – Podobne bzdury mógłby pleść tylko ktoś, kto w życiu nie widział Benedicta. Badania, dokumenty, relacje... Akurat. Benedicta używa nawet czytanie działań plotkarskich w najbardziej łaszych na skandale brukowcach, a dłużej niż godzinę potrafi usiedzieć w jednym miejscu wyłącznie, malując. Męczą go rozmowy z kolegami po fachu, a ty wspominasz o ciągnących się w nieskończoność wywiadach z obcymi... O nie, Black, nic z tego. Wizje Benedicta są prawdziwe. Zbyt wiele razy widziałem jego nagle poszarzałą twarz, łzy cieknące mu z oczu, trzęsące się wargi, gardło ściśnięte tak mocno, że nie mógł wydobyć z siebie nawet pisku. Może Benedict nie był ze mną zupełnie szczery w paru kwestiach, ale te jego wizje to co innego. Jeśli on mówi, że widzi te obrazy, tak właśnie jest.

Zgodnie z obietnicą złożoną Kumari przemilczałem fakt, że jej zdaniem to nie spirytystyczne seanse były kluczem do wydobycia tych wizji na światło dzienne, ale narkotyki połączone z chwilami fizycznej rozkoszy.

– Czym one w takim razie są? – zapytałem. – Wspomnieniami zmarłych?

– A czemu nie? – odparł spirytysta. – Mimo wszystkich naszych oszłamiających naukowych osiągnięć, o tym, co się z nami dzieje po śmierci, wiemy tyle, co nic. Może coś się wydarzyło w momencie śmierci ojca Benedicta. A może sam Benedict jako mały chłopiec padł ofiarą jakiejś mutującej klątwy albo oberwał rykoszetującym zaklęciem. Mało różnorakiego syfu Wotańczycy zrzucili w czasie wojny na Lyonesse i okolice? Coś w każdym razie uczyniło go wrażliwym na pewien rodzaj przekazu.

Może nie wiemy dokładnie, co to za przekaz i skąd pochodzi, ale to nie znaczy, że on nie istnieje.

Gdy skończył, spojrzał na mnie hardo, dając do zrozumienia, że nie da za wygraną i będzie bronić swego. Nie zamierzałem się kłócić, więc pokiwałem głową i napiłem się piwa. Potem uznałem, że dość już zwlekałem i przeszedłem do tematu, który był głównym powodem mojego spotkania z Aiksenem.

– Skoro pieniądze nie były problemem – zauważyłem – to czy Benedicta nigdy nie korciło, żeby wybrać się na kontynent? Obejrzeć na własne oczy miejsca, które pokazywały mu się w tych jego wizjach?

– Ależ on tam był, nie raz! – zaprotestował spirytysta. – Najwcześniej to chyba jeszcze z ciotką, tuż przed rozpoczęciem studiów na Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Urządzili sobie kilkumiesięczną wyprawę po Ys, Bawencji, Wotanii i Akwitanii. Potem wyprawiał się w tamte strony jeszcze nie raz, choć już na krócej.

– A z tobą?

– Co ze mną? – nie zrozumiał Aiksen.

– Jeździliście razem za granicę?

– Nie – odparł. – Tutaj mieliśmy wszystko, czego nam było trzeba.

– I przez czas waszej znajomości Constantine nigdy nie opuszczał kraju? Ani nie przyjmował gości z zagranicy?

– Nawet z miasta wolał nie wyjeżdżać, o kraju nie wspominając – stwierdził, spoglądając na mnie w taki sposób, jakbym to ja miał za dużo w czubie i zadawał pytania pozbawione sensu. – A goście z zagranicy... Może i czasem ktoś tam się przewinął, ale to chyba normalne w przypadku malarza takiego formatu.

Aiksen nie był aż tak pijany, żeby nie zauważyc błysku w moich oczach, kiedy o tym wspomniał. Zmarszczył brwi, jakby nie mógł pojąć mojej reakcji. A potem gwałtownie pobladł, wybałuszył oczy. Chwycił mnie nad podziw mocno za nadgarstek i przysunął się bliżej.

– Myślisz, że on był szpiegiem – wycedził przez zęby, zerkając nerwowo na boki. – Myślisz, że Benedict...

– Ciszej, durniu – warknąłłem.

– On by nigdy... nic o nim nie wiesz, Black. Nic. On by tego nigdy nie zrobił. Nie zdradziłby. Nie miał powodów. Poza tym, co takiego niby miał robić? Jakie informacje wykradać? On nic nie wiedział. To malarz, do diabła, a nie minister czy członek sztabu!

Upewniłem się, że nikt się nam nie przysłuchiuje, po czym nachyliłem się jeszcze bliżej i wyszeptałem:

– Nie wszyscy szpiedzy zajmują się poufnymi wiadomościami. Niektórzy czekają w ukryciu całe lata, przyczajeni i bierni, aż nadchodzi rozkaz. Pomyśl o tym, Aiksen. To by wszystko wyjaśniało. Powiedzmy, że w trakcie jednej ze swoich podróży Benedict został skaptowany...

– To brednie! – syknął wściekły spirytysta.

– Może tak, może nie. Na potrzeby chwili założymy, że mogło tak być. Powiedzmy, że przez całe lata nic się nie działo... aż do teraz. Benedict otrzymał jakieś polecenie, ale dopadły go wątpliwości. Nie chciał wykonać rozkazu. Wiedział jednak, że jeśli zawali, obcy agenci dopadną go, bo szpieg migający się od obowiązków to nie atut w rękawie, co najwyżej kula u nogi. Przestraszył się i postanowił szukać ratunku w jedynym miejscu, gdzie mógłby wymienić swoją wiedzę... A jakąś musiał posiadać, chociażby nazwiska łączników albo coś podobnego. Dla bezpieczeństwa.

– Sommerset – mruknął Aiksen. – Twoim zdaniem to dlatego próbował skontaktować się z Sommersetem.

– Tak myślę. Co ty o tym sądzisz?

– Sądzę, że to kupa łajna. Benedict jest malarzem, a nie szpiegiem i zdrajcą. Maluje sceny z czasów wojny, bo go dręczą w snach i na jawie, a nie dlatego, że chce manifestować swoje poglądy. Polityka go mierzi. I mnie tak samo.

– No to powiedz mi, że niczego ostatnio u niego nie zauważałeś – zażądałem. – Żadnych oznak podenerwowania, huśtawki nastrojów, problemów z koncentracją. Niczego, co świadczyłoby, że zmaga się z problemem spędżającym mu sen z powiek.

Aiksen otworzył usta. Oblizał wargi, spojrzał mi w oczy, a następnie uciekł wzrokiem w bok. Podrapał się po brodzie.

– Musi istnieć inne wytłumaczenie – odparł z przekonaniem, po czym sięgnął po piwo.

Niedługo potem rozstaliśmy się w dość ponurych nastrojach, kiwając sobie głowami na pożegnanie.

Nie mieliśmy pojęcia, że więcej się nie zobaczymy.



Następnego ranka zastałem Heliona w sali kominkowej. Siedział w fotelu, obracał w dłoni kieliszek koniaku i wpatrywał się w wygaszone palenisko. Tekturowe cylindry i kartki wałyły się po podłodze. Na niesione przeze mnie śniadanie nawet nie spojrzał.

– Rozesłałem wiadomości – wyjaśnił cicho – do właścicieli prac Benedicta Constantine'a. A także do wszystkich drukarni zajmujących się reprodukcjami obrazów, do galerii pośredniczących w handlu kopiami, nawet do działów graficznych „Alfheim Daily”, „The Star”, „Lyonesse Monitor” i kilku innych gazet. Wyobraź sobie, że nikt nie może mi udostępnić do wglądu ani oryginału, ani reprodukcji żadnego obrazu Constantine'a. Nikt. Od połowy w ogóle nie otrzymałem odpowiedzi.

Brak odpowiedzi był bardziej niepokojący niż jakkolwiek sformułowana odmowa. Elfickiego lorda, szczególnie z tak starego domu, po prostu się nie ignorowało.

– Co to według ciebie oznacza?

– Że komuś bardzo zależy, żeby nikt tych obrazów nie oglądał. I że ów ktoś ma albo gigantyczne pieniądze, albo wielką władzę. A najpewniej jedno i drugie.

Wstał z ciężkim westchnieniem, odłożył kieliszek na stół. Trącił jajka na bekonie widelcem, jakby chciał się upewnić, że jedzenie przy pierwszej sposobności nie ucieknie z talerza. Skrzywił się i ruszył w kierunku drzwi.

– Chodź – powiedział. – Clem lada moment powinien być z powrotem.

Clem był kierowcą Colossusa, nowoczesnego, sportowego paromobilu ze składanym dachem i równocześnie ulubionego środka lokomocji

Heliona. Kiedy znaleźliśmy się w holu, właśnie otworzyły się drzwi i mężczyzna wszedł do domu.

– Nie ma go, szefie – powiedział. – Szukałem w jego mieszkaniu i u pana Constantine'a, pytałem sąsiadów. Nikt go nie widział.

– Co się stało? – zapytałem, niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc.

– Aiksen zniknął – wyjaśnił Helion. Zasępił się na moment, po czym sięgnął po rękawiczki i elegancką laskę. – Clem, zawieziesz nas do Svart Thule. Byle żwawo.

Chwilę później siedzieliśmy już wygodnie w Colossusie i jechaliśmy w kierunku centrum Lyonesse. Wiatr targał nam włosy i wyciskał łzy z oczu, opony paromobilu terkotały na kocich łbach.

– Co chcesz znaleźć w Svart Thule? – zapytałem.

– Obrazy Constantine'a.

– Ale przecież mówię...

Helion machnął ręką. Widziałem, że z jakiegoś powodu nie chce teraz o tym rozmawiać, więc zmieniłem temat:

– Jakie one mają znaczenie? – zapytałem.

– Obrazy?

– Tak.

– Nie mam pojęcia. Ale skoro komuś tak bardzo zależy, żebym ich nie zobaczył, zamierzam zrobić, co się da, żeby móc bardzo uważnie się im przyjrzeć.

– Nie rozumiem, co... – Nie dokonczyłem, bo moją uwagę zwróciło coś we wstecznym lusterku. Odruchowo obejrzałem się przez ramię. Potem usiadłem prosto, przesunąłem się tylko bliżej środka tylnej kanapy.

– Clem, na najbliższym skrzyżowaniu skręć w lewo.

Szofer spojrzał pytającco na Heliona, ale ten skinął głową.

– Odbij w pierwszą w prawo i potem jeszcze raz w prawo – poleciłem.

– Przecież wtedy wróćmy... – zaczął Clem, ale zaraz się zreflektował: – Śledzą nas?

– Zaraz się przekonamy – odparłem.

Zrobiliśmy mały objazd i wróciliśmy na trasę prowadzącą w kierunku centrum miasta i dzielnicy Svart Thule. Teraz miałem już pewność: oliwkowy, zabudowany paromobil wędrował za nami jak po sznurku.

– Śledzą nas – potwierdziłem. – Co robimy?

– Gubimy ich – zdecydował Helion. – Clem?

– Nie ma sprawy, szefie. Szef tylko powie, czy robimy to po mojemu, czy na sposób szefa.

Helion rozejrzał się dookoła, wzruszył ramionami.

– Nie ma dużego ruchu, Clem. Zdaję się na ciebie.

– To właśnie chciałem usłyszeć.

W ruch poszły przekładnie, zaszumiały wentylatory, tłoki przyspieszyły. Syknęła para, a Colossus zaczął gwałtownie przyspieszać. Wskazówki na miernikach ciśnienia i temperatury wędrowały coraz wyżej i wyżej. Widoczna w lusterku sylwetka zielonego wozu malała i malała, ale znikać nie chciała.

– Kocham ten wóz – powiedział Clem, po czym dodał: – Trzymajcie się!

Colossus skręcił gwałtownie, aż przejechałem po kanapie i wyrżnąłłem w boczny panel. Wskoczyliśmy na inną ulicę, ledwo mieszcząc się tuż przed nadjeżdżającą dorożką. Usłyszałem rżenie koni i przekleństwa wściekłego fiakra, ale błyskawicznie zostawiliśmy ich za sobą. Clem wymanewrował między pocztowym dyliżansem i wozem strażackim, potem wślizgnął się między taksówkę a zwalisy kształtu parowego omnibusa i skręcił w wąską uliczkę biegnącą nad kanałem. Musieliśmy nieco zwolnić, żeby przechodnie zdążyli zejść nam z drogi, ale w końcu wypadliśmy na kolejną szeroką arterię tuż przy moście Mermaid. Kiedy włączaliśmy się do ruchu, spoglądałem przez ramię, ale nie dostrzegłem nigdzie oliwkowego paromobilu, tylko ujadające psy i wściekłe lub zawistne spojrzenia młodzieńców, którym zepsuliśmy spacer.

– Nie ma ich – powiedziałem, poprawiając się na tylnym siedzeniu.

– Oczywiście, że ich nie ma – prychnął Clem. – W całym Lyonesse nie ma wehikułu, który mógłby się równać z Colossusem. Na temat kierowcy też bym rzekł to i owo, ale wrodzona skromność mi nie pozwala.

– Nie wątpię, że masz rację – mruknął Helion. – Ale oni chyba by się nie zgodzili.

Obejrzałem się przez ramię w chwili, kiedy ten sam oliwkowy paromobil, który towarzyszył nam wcześniej, wtoczył się na ulicę kawałek za nami. Patrzyłem z niedowierzaniem, jak wyprzedza czarną dwukółkę i parowy karawan. Utrzymywał stały dystans trzydziestu, może czterdziestu jardów.

- Jak oni... – bąknął Clem.
- Mniejsza o to. Do dzieła.
- Się robi, szefie.

W ciągu kolejnej minuty Clem znowu popisał się kilkoma sztuczками, za sprawą których zgubiliśmy ogon. Wydostaliśmy się spomiędzy kamienic i trafiliśmy między drogie rezydencje Windbog i Mellow Hill. W oddali dostrzegliśmy słynny tor wyścigowy, a potem rozległe tereny należące do lokalnego aeroklubu. W powietrzu unosiły się lotnie, ale nad idealnie zieloną murawą czekały również balony przystrajane specjalnie na zaplanowane na następny dzień uroczystości w narodowe barwy i symbole monarchii.

– Objedziemy przez Chapel – oznajmił Clem. – Teraz już powinniśmy mieć spokój.

Mylił się. Nie minęły dwie minuty, a oliwkowy paromobil znowu nam towarzyszył, jak młodsza siostra łącząca krok w krok za starszym bratem.

- Nie wierzę – powiedział Clem. – Po prostu nie wierzę.
- Namierzyli Colossusa – stwierdził Helion. – To jedyne wyjaśnienie. Ktoś musiał obserwować mieszkanie Aiksena albo dom Constantine'a, zobaczyli cię i podczepili gdzieś krystalomaniczny nadajnik. Nie przejmuj się, mam pomysł.

Przez jakiś czas jechaliśmy bez pośpiechu przez nastrojową część Chapel rozciągającą się pomiędzy Ogrodami Botanicznymi a Opactwem Fulmonn. Wąskie uliczki tonęły w cieniu rzucanym przez stare budynki, a paromobil podskakiwał na licznych garbach i nierównościach. Zielony wóz trzymał dystans i pomyślałem wtedy, że to nie przypadek, że oni chcieli, żebyśmy ich zauważylí.

- To ostrzeżenie – powiedziałem.
- Tak – zgodził się Helion. – Przygotujcie się, Clem, zaraz skrècisz w lewo. Czeka cię d³uga prosta. Wiesz, co robić.

Tak jak zapowiadał mój szef, w starym kamiennym murze niegdyś strzegącym jakiegoś opactwa, pojawiła się luka, najpewniej pozostałość po wyburzonej bramie. Clem skrècił kierownicę gwałtownym szarpieniem, koła załomotały na wyboistym bruku. Colossus niemal w miejscu zmienił kierunek, wślizgnął się w wyłom. Clem wdusił gaz do dechy. Buchnęły dym i para, z kotła zaczęły dobiegać jakieś niepokojące syki i świdły, a paromobil wystrzelił przed siebie, na zapowiadaną przez Heliona długą, prostą parkową drogę.

- Eee.... Szeffie... – zaczął Clem.
- Jedź, jedź, jedź, do licha! – krzyczał Helion, patrząc za siebie. – Są zaraz za nami!

Plan był niezły: w podobnym miejscu Colossus mógł odstawić ogon na kilkaset metrów, by następnie opuścić rozległe założenie parkowe i rozpłynąć się w labiryncie alei, uliczek i zaułków Tintagel District. Problem w tym, że Helion nie wziął pod uwagę przygotowań do obchodów rocznicy zakończenia wojny.

– Z drogi! – wrzeszczał Clem, z jedną dłonią na kierownicy, drugą spazmatycznie ściskając gumową pompkę przymocowaną do trąbki klaksonu. Ludzie i elfy, niziołki i gnomy, orki i ogry, wszyscy czymchali na boki, między pnie starych dębów i buków. Colossus pędził przed siebie, przecinając kolorowe serpentyny i wgniatając w ziemię kwietne wieńce. Clem odbijał kierownicą to w jedną, to w drugą stronę, wymijając drabiny, skrzynie z narzędziami, rozkładane z wyprzedzeniem stoły i kramy. Otaczały nas wrzaski i gwizdy, opony chrzuciły na szutrowej nawierzchni, jaskrawe słońce atakowało spomiędzy konarów, tnąc boleśnie po oczach niczym eksplozje fotograficznej magnezji.

Potem na moment wszystko ustąpiło i pomyślałem, że żyjemy, że jakimś cudem wyszliśmy z tego cało.

Ułamek sekundy później zobaczyłem, przed nami byle jak skleconą scenę, na niej natomiast, z oczyma wielkimi i okrągłymi z przerażenia,

stał kilkudziesięcioosobowy, dziecięcy chór.

Nie było czasu, żeby hamować. Clem skręcił, Colossus odbił w bok. Zmiana nawierzchni wyrzuciła nas w powietrze, mój tyłek na ułamek sekundy stracił kontakt z kanapą. Potem grawitacja zrobiła swoje – usiadłem ciężko i boleśnie, twarzą walnąłłem w siedzenie zajmowane przez Heliona. Zamroczyło mnie trochę, dojrzałem tylko rozmyte sylwetki drzew i usłyszałem, jak najniższe gałęzie biczą lśniącą karoserię. Zaczęło nami kotłować i rzucać, jakbyśmy siedzieli nie w paromobilu, ale na grzbicie rozjuszzonego odyńca. W ułamku sekundy straciłem równowagę, cisnęło mną najpierw w bok, gdzie stulkłem sobie żebra, a potem rzuciło na podłogę. Zakleszczyło mnie między przednimi i tylnymi siedzeniami. Spróbowałem się podnieść, ale dłoń ślizgała mi się na gładkiej tapicerce, nie mogłem znaleźć pewnego chwytu. Zahaczyliśmy o coś, usłyszałem huk i jęk giętego metalu, głową znowu przywaliłem w jakiś twardy fragment wewnętrznego wyposażenia wozu. Pomyślałem, że to już, że zaraz zginiemy rozerwani na strzępy w wybuchu parowego kotła, ale nie, jechaliśmy dalej. Czułem się jak pasikonik zamknięty w pudełku na zapałki i wykorzystywany przez wrednego kalkulatka w charakterze grzechotki.

A potem nagle wypadliśmy na drogę i wstrząsy ustąpiły. Udało mi się wreszcie podnieść. Ręce Clema zatańczyły na dźwigniach i przekładniach, paromobil śmignął przed siebie – z rozbitym szybą, gałęzią pełną młodych, zielonych listków zatkniętą za wygiętą wycieraczką. Kolorowe wstęgi uczeplione klamki po stronie pasażera powiewały na wietrze.

Helion wystawił cylinder na zewnątrz i strząsnął z ronda okruchy szkła.

– Poszło nawet nieźle – oznajmił. – Clem, bądź tak dobry i skręć w lewo, a potem w prawo i zatrzymaj się gdzieś przy schodach.

Park się skończył i trafiliśmy między pierwsze zabudowania Tintagel District, finansowego centrum Lyonesse. Zgodnie z prośbą Heliona Clem zatrzymał Colossusa przy chodniku, tuż obok schodów prowadzących pod ziemię.

– Chodź, Blaze, na nas pora – oznajmił mój szef. – A ty, Clem, podnieś proszę dach i pokręć się jeszcze trochę po mieście. Może zajrzyj na drugą stronę rzeki, do Stableton albo Pothill? Podejrzewam, że nasi koledzy w tym oliwkowym wozie nie znają tamtych okolic. Tylko nie szalej, bardzo cię proszę, nie chciałbym, żeby komuś stała się krzywda.

– Się wie, szefie.

Colossus odjechał, a Helion ruszył po schodach w dół, w kierunku stacji kolejki podziemnej.

– Blaze, idziesz? – zawała za mną.

– Tak, tak. Momencik.

Zanim podążyłem śladami mojego pracodawcy, pochyliłem się nad jednym z kubłów na śmieci i zwymiotowałem do środka całe śniadanie.



Lyonesse od zawsze było tyglem, w którym mieszały się rasy i narodowości. Orkowie, krasnoludy, trolle, Scylijczycy, Eolczycy, dzicy z odległej Atlantydy, przybłędy z Shang-In albo Atmanu, czarnoskórzy uciekinierzy z Lemurii czy wyznawcy Żelaznej Panienki. Dziesiątki tradycji, religii i światopoglądów nieustannie się ze sobą mieszały, nierzadko wchodząc w gwałtowne reakcje. Czasami miało się wrażenie, że cała ta przedziwna mikstura lada moment wykipi albo wręcz wybuchnie, ale jakimś cudem miasto trwało, a jego różnorodni mieszkańcy trwali wraz z nim, powoli adaptując się do realiów Lyonesse.

Svart Thule stanowiło od tej reguły swego rodzaju wyjątek. Dzielnicę zamieszkiwały w znakomitej większości gnomi, które zamiast się asymilować, utworzyły w sercu Lyonesse namiastkę swojej ojczyzny, Thule. Na szyldach widniały runiczne napisy, zewsząd dobiegał terkot maszyn różnicowych, chodnikami sunęły golemy. Obce symbole zaczepnięte z kabalistyki czy innych odmian okultyzmu widniały na nadprożach, na nagich murach, na rozwieszonych między budynkami transparentach. Drzwi biur maklerskich i rachunkowych nie zamykały się nigdy, popychane przez gnomi w żakietach, surdutach lub strollerach z wypchanymi

kieszeniami i rękawami ubrudzonymi atramentem. Nawet numerację budynków ustanowiono według zasady wymykającej się rozumowi prostego ogra: między trzynastką a piętnastką przycupnęła siódemka, a szereg składający się z numerów dwa, cztery oraz sześć wieńczyła brama oznaczona jako 99a.

Kiedy opuściliśmy stację Rury, Helion pewnym krokiem ruszył przez tę osobliwą ceglana dżunglę. Wkrótce potem stanęliśmy przed czteropiętrowym gmachem z szarego kamienia wyposażonym w ciężkie, żelazne wrota. Obok wejścia w mur wprawiono coś, co wyglądało jak odbiornik krystalomanicznego radia. Helion dotknął jednego z przyćisków i zniekształcony głos zapytał przez kratkę głośnika, z czym przychodzimy.

– Lord Helion Fairburn oraz pan Blaze Black do Samuela Baumana – oznajmił mój szef.

Trzasnął zamek i potężne wrota uchyliły się na tyle, żebyśmy mogli wejść do środka, po czym zamknęły się zaraz za nami z ciężkim sapnięciem. Nie podobało mi się to: najwyraźniej nie mieliśmy opuścić tego miejsca bez zgody gospodarzy.

Korytarz był przestronny i surowy w wyrazie, wyłożony gładkimi, szarymi marmurami. Żadnych okien, pojedyncze drzwi – czarne, z identycznymi plakietkami pokrytymi runami. Lampy maniczne oświetlały przejście równym, niezmiennym blaskiem.

Kolejny labirynt – pomyślałem niechętnie.

Wtedy otworzyły się któreś z drzwi i wyszedł nam na spotkanie gnom w podeszszym wieku. Miał bujne, siwe bokobrody oraz elegancki grafitowy garnitur.

– Lordzie Fairburn. To prawdziwy zaszczyt. Cóż pana do nas sproxadza?

Przyjęcie kogoś o pozycji Heliona w ten sposób – na korytarzu, bez atencji ze strony służby, adekwatnego poczęstunku i uprzejmiej wstępnej pogawędkи – zostałoby w innej sytuacji uznane za zniewagę. Jednak mój pracodawca zachował spokój, jakby nie spodziewał się niczego innego. Cóż, tutaj to gnomi ustalały zasady gry.

– Chciałbym uzyskać dostęp do Wielkiego Archiwum.

– Bardzo nam to schlebia, lordzie Fairburn – odparł gnom z uprzejmym uśmiechem. – Obawiam się jednak, że gdybyśmy mieli udostępniać nasze zasoby każdemu, kto...

– Spełnię waszą prośbę – przerwał mu Helion. – Zrobię to.

Nie miałem pojęcia, o czym mowa, ale postanowiłem milczeć. Gnom natomiast uniósł brwi w zdziwieniu, które chyba nie było udawane.

– Wszystkie...

Nie dokończył.

– Tak. Wszystkie zbiory. W zamian za dostęp do Archiwum i pomoc w znalezieniu tego, czego szukam.

– Oczywiście – odparł gnom. Na jego twarzy zdziwienie ustąpiło miejsca zadowolonemu uśmiechowi obżartego kocura. – Proszę za mną.

Poprowadził nas korytarzami, najpierw w lewo, później w prawo. Zeszliśmy po schodach, później podążaliśmy prosto, mijając szeregi drzwi. Pojedyncze gnomi, które widzieliśmy, poruszały się bezszelestnie, pojawiały się i znikały w kolejnych pokojach. Dookoła rozbrzmiewał cichy, monotonny szmer jakiejś potężnej maszynierii.

– Tutaj proszę.

Gnom wpuścił nas do niewielkiego, kwadratowego pomieszczenia. Nie było tam okien ani mebli, jeśli nie liczyć prostego biurka, krzesła oraz płachty białej tkaniny zawieszonej na ścianie. W murze naprzeciw płachty połyskiwała pojedyncza, duża soczewka jakby olbrzymiego aparatu fotograficznego.

– Czego pan szuka, lordzie Fairburn?

– Prac Benedicta Constantine'a. Wszystkich.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparł gnom, po czym wyszedł. Helion przysiadł na krześle.

– Co to za miejsce? – zapytałem.

– Przed wojną miała się tu znaleźć nowa stacja Rury. Nigdy jej nie otwarto, podczas bombardowań powstał tu schron. Po zakończeniu działań wojennych miasto rozpaczliwie potrzebowało pieniędzy, więc sprzedało budynek i podziemia gnomom. Ci zaś urządzili tutaj swoje Wielkie

Archiwum. Gromadzą dane. Kopiuję książki, gazety, dokumenty. Plany architektoniczne, wnioski patentowe, audycje radiowe, zdjęcia. I obrazy.

– To coś jak PUK?

PUK, czyli Podsystem Ultraszybkich Kalkulacji, był potężną siecią maszyn różnicowych, które odpowiadały między innymi za działanie Kolejki Metropolitalnej, monitorowanie lyoneskiej giełdy czy wsparcie pracy urzędów i policji.

– Niezupełnie. PUK oblicza, Wielkie Archiwum tylko zbiera dane. To jak gigantyczna biblioteka, przy czym wszystkie informacje przechowywane są ponoć w postaci przeraźliwie długich ciągów liczb. Gnomi nazywają to „cyfrowaniem” lub „cyfryzacją”. Poza tym PUK podlega władzom miejskim, a Archiwum to własność gnomów. Tylko i wyłącznie.

– Co to za prośba, którą obiecałeś spełnić?

– Bauman już kiedyś prosił mnie o pozwolenie na scyfrowanie kolekcji Fairburnów: naszych obrazów i książek.

– To chyba niewielka cena? – zdziwiłem się.

– Nic w ten sposób nie tracę – przytaknął z ociąganiem. – Poza kartą przetargową.

Coś błysnęło, stuknęło jakieś urządzenie i przez naścienną soczewkę obraz został rzucony na białą płachtę. Z barwami coś szwankowało, ale poza tym wszystko było równie dobrze widoczne, co gdybyśmy mieli przed sobą oryginał „Masakry 5. Pułku”.

– Tego pan szukał? – Z niewidocznych głośników rozległ się głos Bauma.

– Miedzy innymi.

– W szufladzie biurka jest panel z przyciskami. Może pan nim przesuwać obrazy.

Helion wziął się do pracy. Najpierw pospiesznie przerzucił wszystkie malowidła, naliczył ich w sumie dwadzieścia trzy sztuki.

– Wszystkie. – Mój pracodawca uśmiechnął się. – Można je ustawić chronologicznie?

– Oczywiście. Proszę zaczekać.

Po takim zaaranżowaniu sekwencja zaczynała się od „Pokoju w Heimburgu” i biegła w odwrotnym porządku czasowym przez kolejne fazy wojny, by zakończyć się „Przemianą ven Riera” – najnowszym, powstałym przed trzema miesiącami płotnem Constantine'a. Przez kolejne godziny Helion oglądał obrazy. Podchodził bliżej, później odsuwał się pod przeciwną ścianę. Badał szczegóły, mrużył oczy. Za pomocą panelu, który szybko rozgryzł, zmieniał jasność projekcji. Na kartce papieru przepisywał ołówkiem różne liczby, próbując doszukać się w płotnach ukrytego numerologicznego przesłania. Bez skutku.

– Kumari mówiła, że kolejne wizje były coraz wyraźniejsze i coraz bardziej przerażały Constantine'a – przypomniałem. – Może trzeba szukać właśnie tam: w najnowszych pracach?

Helion nie wyglądał na przekonanego, ale skupił się na trzech ostatnich malowidłach. Mnie szczególnie zainteresowała „Przemiana ven Riera”: przerażający, mroczny obraz, na którym wotański generał dzierał sobie skórę z twarzy, odsłaniając zakrwawione kości. Jego olbrzymie oczy, szczególnie to lewe, pozbawione powieki, były doskonale widoczne. Otaczający go adiutanci wyglądali, jakby chcieli wypełnić poza kadr albo wcisnąć się w ściany okopu. Wszystko uchwycone z realizmem, który mógłby wprowadzić w kompleksy aparat fotograficzny.

– Wyobrażasz sobie zobaczyć coś takiego na własne oczy? – mruknąłem, by przełamać ponurą ciszę. – Stanąć twarzą w twarz z takim koszmarem?

Helion powoli pokiwał głową, po czym nagle zerwał się z miejsca i podbiegł do płachty. Przyglądał się czemuś bardzo uważnie.

– Halo? Ktoś nas słyszy? – zapytał.

– Tak. W czym mogę pomóc? – powiedział przez głośniki jakiś gnom.

– Czy zdołacie powiększyć fragment obrazu?

– Wystarczy równocześnie wcisnąć przyciski oznaczone „1” i „4” na panelu.

Helion przez dłuższą chwilę walczył z urządzeniem, ale w końcu osiągnął zamierzony efekt. Powiększył kilkukrotnie twarz ven Riera: żeby liczba wielkością przypominały teraz dojrzałe śliwki. Krawędzie rozmyły

się, ale tylko odrobinę: niebywałe osiągnięcie, świadczące o mistrzostwie tak gnomów, jak i Constantine'a.

– Tam – powiedział tryumfalnie Helion, podbiegając do wyświetlonego obrazu. Wskazywał gigantyczną żrenicę ven Riera, w której odbijała się czyjaś twarz. Dopiero teraz to zobaczyliśmy. Mój pracodawca gwałtownie wciągnął powietrze.

– Znasz go? – zapytałem.

– Tak – odparł powoli Helion. – To sir Paul Sommerset.



Szliśmy uliczkami Svart Thule w stronę najbliższego postoju dorożek. Helion od chwili opuszczenia Archiwum milczał, ale widziałem, że jest zdenerwowany: szedł pospiesznie, co rusz poprawiał chustę na szyi, miętosił w dłoniach gałkę lśniącej laski.

– Co to znaczy? – zapytałem. – Myślisz, że Constantine... że to żart? Nieudany żart?

– Do żartów trzeba mieć fantazję – wycodził Helion. – Benedict ma tyle fantazji, co pudełko po butach. On maluje tylko to, co widzi w tych swoich przeklętych wizjach.

– Czyli co? Sommerset faktycznie był obecny podczas przemiany ven Riera?

– Ciszej, do licha! – syknął na mnie. – Ani słowa więcej.

Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu wąskich uliczek, a właściwie w tunelu utworzonym z wysokich ścian. Helion musiał pomylić trasę, bo teraz rozglądał się bezradnie.

– Tedy – zdecydował w końcu.

Poszliśmy w jedną stronę, ale kilkanaście kroków dalej mój pryncypał stwierdził, że jednak powinniśmy byli obrać przeciwny kierunek. Zawróciliśmy, mijając na wysokości wcześniejszego rozgałęzienia orka w długim płaszczu, czytającego z wielkim zainteresowaniem plakat reklamujący wykład otwarty jakiegoś profesora.

Wykład, który miał miejsce w zeszłym roku.

Poszliśmy dalej, a ja milczałem, nasłuchując kroków. Nie zawiodłem się: rozległy się zaraz, niemal dokładnie równając do tempa naszego marszu. Prawie ginęły w stukocie naszych butów. Prawie.

– Nie obracaj się – powiedziałem do Heliona. – Jesteśmy śledzeni.

Kawałek dalej znaleźliśmy knajpkę serwującą tradycyjne gnomie potrawy. Weszliśmy do środka. Na widok srebrnej monety właściciel pokazał mi tylne wyjście. Opuściłem tamtedy lokal, każąc Helionowi na mnie zaczekać, i powoli okrążyłem kamienicę.

Ork czekał na rogu, obserwując wejście do knajpki. Z tego, że jestem za nim, zdał sobie sprawę, gdy było już za późno. Szarpnął się, gdy położyłem mu łapsko na barku, sięgnął po coś pod płaszcz. Za dużo czasu spędziłem na ulicznych bijatykach, żeby oddać mu inicjatywę. Zaatakowałem błyskawicznie: pchnąłem go na mur, dłoń pod płaszczem wbilem pod żebra, czołem złamałem nos. Krew trysnęła na usta, po ciocie w brzuch nie mógł oddychać. Z łatwością podciąłem mu nogę, a on wyrzucił o ziemię. Jeszcze jeden kopniak w brzuch, drugi w głowę i było po wszystkim. Ork legł nieprzytomny w blocku podлеj alejki.

Zamierzałem go przeszukać, kiedy odnalazł mnie Helion.

– Chyba prosiłem, żebyś zaczekał w środku? – przypomniałem zły, że mnie nie posłuchała.

– Zastanawiałem się... – Urwał, wzrok utknął w wylocie uliczki. Obejrzałem się przez ramię i ujrzałem kolejną parę podejrzanych typów: człowieka i elfa. Znieruchomili, popatrzyli na nas, potem na rozciągniętego na ziemi orka i znowu na nas. Ich dlonie niemal równocześnie powędrowały pod płaszcz.

– W nogi! – warknąłem, podrywając się z ziemi.

Porwałem ze sobą Heliona, który był zbyt zaskoczony, żeby uciekać. Po dwóch czy trzech wymuszonych krokach dotarło do niego, że trzeba zwiewać i zaczął przebierać nogami. Próbował zerknąć za plecy, na tę dwójkę, i się potknął. Złapałem go w ostatniej chwili i pomogłem mu odzyskać równowagę. Odbiliśmy w bok przy pierwszej okazji, w wąską uliczkę biegającą między wysokimi ceglanyimi ścianami kamienic.

– Prędzej! – poganiałem swojego szefa. – Prędzej, do cholery!

Pędziliśmy przed siebie, obcasy butów wystukiwały na płytach chodnika szybki rytm. Skręciliśmy jeszcze raz, ale pech chciał, że trafiliśmy na ślepy zaułek. Musieliśmy zatrzymać i straciliśmy kilka cennych sekund. Ruszyliśmy dalej, szukając innej drogi ucieczki, gdzieś za nami mignęły sylwetki goniących nas drabów. Przysiągłbym, że jeden z nich ściskał w dłoni rewolwer.

– Tędy!

Dwie sąsiednie parcele dzielił niewysoki murek. Pomogłem Helionowi przesadzić ścianę, po czym podciągnąłem się, przerzuciłem nogi nad krawędzią i zeskoczył po drugiej stronie. Heliona zastałem z rękoma opartymi na kolanaach, okropnie czerwonego na twarzy, dyszącego jak przedwojenny parowóz. Prawdopodobnie wiele lat minęło od czasu, kiedy po raz ostatni poruszał się na własnych nogach w tempie szybszym niż żwawy marsz.

– Jeszcze trochę – powiedziałem.

54

Po drugiej stronie słyszać było zbliżające się kroki. Dwie biegające osoby. Pokazałem Helionowi, żeby był cicho i czekałem. Miałem nadzieję, że dadzą się nabrać i polecą dalej.

– Czekaj! – krzyknął jeden z nich, chyba ten elf. – Widziałem, że przeszadzili mur.

Przycisnąłm palec do ust i spojrzałem wymownie na mojego szefa. Potem popatrzyłem do góry, na krawędź muru. Gdy tylko zobaczyłem nogę przekładaną na naszą stronę, podniosłem się, chwyciłem delikwenta za kostkę i z całej siły pociągnąłem.

– Teraz, biegim! – ryknąłem na Heliona.

Posłuchał. Facet w płaszczu tymczasem zleciał na bruk z piskiem, który w momencie upadku przeszedł w stęknięcie, a zaraz potem w przeciągły jęk. Pistolet wypadł mu z ręki i poleciął pod ścianę, natomiast mężczyzna leżał na ziemi i zwijał się z bólu, przyciskając do brzucha nienaturalnie wygiętą rękę.

Móże z dwadzieścia kroków dzieliło nas od alejki, którą moglibyśmy dalej uciekać. Pokonałem nie więcej niż połowę tego dystansu, kiedy usłyszałem sapnięcie elfa gramolącego się na mur. Instynktownie się

zgarbiłem, wcisnąłem głowę między barki. Rewolwer kaszlnął głośno, kula trafiła w gzymys nad moją łepetyną, posypały się na mnie odłamki wypalonej gliny. Skuliłem się jeszcze bardziej i czym przedzej rzuciłem się za róg. Kolejny strzał rozległ się za moimi plecami, nadgryzł narożnik, ale byłem już wtedy bezpieczny. Przynajmniej na krótki moment.

– Blaze! – krzyknął Helion.

Nie wierzyłem własnym oczom: u wylotu uliczki, która łączyła się z jakąś znacznie szerszą arterią, czekał mój pracodawca. Stał w otwartych drzwiach dorożki, która najwyraźniej akurat w tym miejscu zrobiła sobie postój. Wpadł do środka, powóz aż zakolebał się pod moim ciężarem.

– Jedź! – krzyknął Helion do fiakra. – No jedź, człowiek! Ale już!

Świsnął bat, kopyta zadzwoniły o bruk, skrzypnęły koła. Dorożka drgnęła i ruszyła, a Helion pospiesznie zaciągnął firanki w okienkach i opadł na siedzenie.

– Na słodką Tytanię! – wychrypiął, szarpiąc się z chustą. Wciąż wyglądał, jakby nie był w stanie porządnie zaczerpnąć tchu. – Oni... oni byli gotowi...

– Jesteś cały? – zapytałem.

– Tak, ale oni... do diabła, Blaze, oni chcieli nas zabić.

– Nie wydaje mi się – odparłem ostrożnie.

Myślałem o tym elfie. Z takiego dystansu nawet najgorszy strzelec powinien bez trudu trafić w cel równie duży jak plecy uciekającego ogra. A jednak nie oberwałem. Obie kule poszły gdzieś obok. Blisko, ale jednak obok.

Nie zdążyłem podzielić się z Helionem tym spostrzeżeniem, ponieważ w tym momencie obaj zdaliśmy sobie sprawę z tego, że harmider ulicznego życia, zamiast narastać, cichnie i przygasza. Dorożka skręciła raz, potem kolejny. Moment później powóz się zatrzymał. Miał sekundy, a ja i Helion patrzyliśmy na siebie. W końcu ruszyłem się z miejsca i otworzyłem na oścież drzwiczki.

Znajdowaliśmy się w ślepym zaułku, ciemnej studni między wysokimi, nagimi ścianami kilkupiętrowych kamienic. Dorożkę otoczyło sześć osób. Dwóch z nich – krasnolud i człowiek – miało strzelby, reszta rewolwery.

Wszyscy mieli też w sobie coś, jakąś ulotną, wymykającą się słowom wspólną cechę, przez którą z miejsca skojarzyli mi się nie tylko z tą trójką spotkaną koło gnomiego Archiwum, ale też z tą parą, która groziła mi na zapleczu dekańskiej knajpy w Belville.

Zrozumiałem, co to takiego, dopiero, kiedy jeden z nich błysnął nam odznaką i oznajmił:

– Alven Yard. Jesteście aresztowani pod zarzutem narażenia bezpieczeństwa narodowego.



Pół godziny później siedzieliśmy w niedużym pokoju o nagich ścianach. Niewygodne krzesła stały na gołej płycie posadzki, zza ścian dobiegały niewyraźne głosy policjantów i cichy terkot maszyn różnicowych. Kabalistyczne runy wyryte w stalowych drzwiach sprawiały, że docierały do nas wszystkie hałasy z zewnątrz, ale gdyby obdzierano nas ze skóry, osoba stojąca po drugiej stronie nie usłyszałaby najdrobniejszego szmeru.

– To krew? – zapytał Helion, zerkając na kamień pokryty rdzawymi smugami.

Stojący przed drzwiami strażnik coś powiedział i przekręcił klucz w zamku. Do pomieszczenia wszedł starszy inspektor sir Myro Isabell. Szary garnitur doskonale leżał na żywiołowym ciele, pasował barwą do srebrzystej, lwiej grzywy włosów. Za nim wkroczył do pokoju ktoś jeszcze: niepozorny człowiek o rzadkich, siwych włosach i okazałych wąsach. Szedł przygarbiony, jakby przeżyte lata – przynajmniej sześćdziesiąt na mój gust – wisiały mu u szyi niby kamień. Dopiero po chwili skojarzyłem jego twarz z tą z obrazu. Sir Paul Sommerset, dyrektor generalny Sekcji Szóstej, czyli alfeimskiego wywiadu, usiadł naprzeciwko nas, obok sir Myro. Przez jakiś czas wszyscy milczeli. Inspektor podrapał się po policzku i westchnął ciężko. Sprawiał wrażenie, jakby od tygodnia nie zmrużył oka.

– Pobicie policjanta to poważna sprawa, Helionie – powiedział wreszcie.

– Tak samo jak śledzenie członka Izby Lordów bez nakazu sądu – odparował mój szef.

Sommerset sapnął głośno, ale sir Myro go zignorował.

– Istnieje coś takiego jak wyższa konieczność – mrucnął. – Nie zrozumiesz tego, jeśli...

– Wydaje mi się, że to i owo rozumiem – przerwał mu Helion. – Urowadźcie Constantinea oraz Aiksenę, zabraliście z domu malarza wszystkie notatki i szkice, uniemożliwiliście dostęp do jego prac. Wszystko po to, żeby prawda nie wyszła na jaw.

Sommerset i sir Myro wymienili spojrzenia. Szef wywiadu nachylił się ostrożnie, splótł dlonie, łokcie oparł na kolanach.

– Jaką to prawdę staraliśmy się według pana ukryć?

Szukałem wzroku Heliona, chcąc mu jakoś dać znać, żeby siedział cicho. Na próżno.

– Jedną z większych zagadek Wielkiej Wojny – powiedział mój pracodawca lodowatym tonem – jest to, jak ven Rier wszedł w posiadanie zaklęcia przemiany w licza. Zaklęcia przez wieki uważanego za zaginionego, którego zdawać by się mogło, każdą kopię śluszy Pontyfikal skrupulatnie wyśledzili i zniszczyli. Ale przecież od czasu schizmy i powstania kościoła alpheimskiego inkwizytorzy niechętnie odwiedzali nasze wyspy. Gdzie miało się zachować jedno z tych przerażających zaklęć, jeśli nie w sekretnych zasobach Królewskiej Biblioteki?

Szef wywiadu zmrużył oczy i z lekko otwartymi ustami śledził każdy ruch, każde słowo Heliona. Domyślałem się, o czym myśli, co kalkuluje. Zgładzenie elfickiego lorda to nie byle co, nawet w obliczu, jak oni to nazwali, „wyższej konieczności”.

– Benedict Constantine – kontynuował mój pracodawca – był przekonany, że zsypane mu wizje mają na celu ujawnienie jakiejś strasznej tajemnicy. Miał rację. Każda kolejna przybliżała go do pewnego kluczowego dla Wielkiej Wojny momentu. Nie mam pojęcia, czemu to zawdzięczał... Może ponadnaturalnej wrażliwości, kontaktom z duszami zmarłych czy

cudzym wspomnieniom jakimś trafem zagnieźdzonym w jego biednej, zboalałej głowie? W końcu jednak dotarł do tej prawdy. Ujrzał, jak alfheimski szpieg przekazuje ven Rierowi zaklęcie przemiany w licza. I to pan, sir Sommerset, był tym szpiegiem.

Zapadła cisza. Pochyliłem głowę, zastanawiając się, w jaki sposób zostaniemy zgładzeni. Bo nie miałem żadnych wątpliwości, że wiedza, którą posiedliśmy, jest wyrokiem śmierci.

– Constantine rozpoznał pańską twarz – podjął Helion – ale zamiast wszczęć skandal stulecia, postanowił się z panem spotkać. Był głupi; liczył na to, że usłyszy od pana coś, co ukoi jego nerwy, uspokoi sumienie, rozwieje wątpliwości. – Utkwił w sir Sommersecie oskarżycielskie spojrzenie. – Ja głupi nie jestem. Wiem, że polityka to kupa brudu i kłamstw. I dlatego nurtuje mnie tylko jedno pytanie: dlaczego ven Rier otrzymał taki prezent w chwili, gdy wszystko zwiastowało jego klęskę?

Szef wywiadu prychnął śmiechem i odpowiedział wzrokiem pełnym pogardy.

– Ile ma pan lat, lordzie Fairburn? – zapytał. – Zdaje się, że jest pan ode mnie starszy o dziesięć, dwadzieścia wiosen? Ale ja jestem stary, a pan wciąż młody, wciąż naiwny i przekonany, że moralność nie zna ceny. Proszę w takim razie pozwolić, że udzielim małej lekcji historii. Otóż klęska Wotanii byłaby też naszą klęską, klęską Alfheimu. Byliśmy zacofanym krajem, zapatrzonym w dawno minioną chwałę, żerującym na zamorskich koloniach. Cały świat szedł naprzód, tylko my zostaliśmy w tyle. Trójmonarchia powołała do życia Grupę Kuźnia, akwitańscy inżynierowie stworzyli mechaniczne wiwerny i szybkostrzelne karabiny. Gigantyczne fabryki na całym kontynencie mogły w jednej chwili, wraz z końcem wojny, zmienić kierunek produkcji i na przestrzeni miesięcy wywrócić światową gospodarkę do góry nogami. Gdyby Wotania przegrała, Alfheim byłby dziś zaściankiem świata, krajem ubogim i nic nieznaczącym, a kto wie, przy odrobinie ambicji ze strony naszych sąsiadów, może na ulicach Lyonesse rozmawiałoby się po akwitańsku? Tak, przekazaliśmy ven Rierowi zaklęcie przemiany, licząc na to, że zrobi

z niego użytek. Nie pomyliliśmy się. Powstała Nieumarła Rzesza, która wykrwawiła inne kraje kontynentu i zmusiła Trójmonarchię do udostępnienia Sojuszowi nowych technologii, dzieł Grupy Kuźnia. Tak, umarły miliony. Ale dzięki temu Imperium Alfheimu trwa. I trwać będzie.

Nie zemdliło mnie od tej gadki chyba tylko dlatego, że wciąż czekałem na jasno sformułowany wyrok. Nie widziałem dla nas szans – gdybyśmy mieli się z tego jakoś wywinąć, Sommerset nie mówiłby tego wszystkiego. Tylko trupy obdarza się takim zaufaniem. Wszyscy chyba zdawali sobie z tego sprawę, bo sir Myro odwrócił wzrok i dotknął skroni, jakby walczył z potworną migreną.

– Co ja mam teraz zrobić, Helionie? – zapytał smutnym głosem. – Co mam zrobić?

– Ma pan tylko jedno wyjście – odparł mój pracodawca. – Musicie nas wypuścić.

Najpierw sądziłem, że mam omamy. Później jednak zrozumiałem, że słuch mnie nie zawiódł. Co więcej, Helion wcale nie wyglądał, jakby żartował.

– Musicie nas wypuścić – powtórzył. – Oczywiście po tym, jak złożymy przysięgę milczenia. Musicie też pozwolić odejść Constantine'owi oraz Aiksenowi. Dyskretna podróż do Winlandii pod fałszywym nazwiskiem powinna rozwiązać problem.

– Obawiam się, że zbyt dużo byśmy ryzykowali, lordzie... – zaczął Sommerset.

– Ależ nie, sir – przerwał mu Helion. – Najbardziej ryzykujecie w tej chwili, rozważając śmierć moją i mojego przyjaciela. A to dlatego, że jeśli cokolwiek mi się stanie, krótki opis całej tej sprawy wraz z zapisaną na kryształach manicznych reprodukcją „Przemiany ven Riera” trafi do pewnych bardzo wpływowych ludzi.

– Źałosny blef! – prychnął szef wywiadu. Niestety miał rację: Helion lgał, choć starał się, jak mógł, żeby nie dać tego po sobie poznać. – Do jakich niby ludzi?

W tym momencie, zaskakując nas wszystkich, Helion uśmiechnął się i zaczął wyliczać:

– Do wiceministra spraw zagranicznych Wotanii. Do marszałka wojsk Trójmonarchii. Do księcia elektora Susdenii-Hauen, wicepremiera Akwitania, Pierwszego Sekretarza Pontyfikalnu. Między innymi.

– To brednie... – rzucił Sommerset, ale już z mniejszym przekonaniem.

Wtedy Helion począł wymieniać nazwiska i adresy. Jedno po drugim, bez śladu wahania, jakby miał przed oczyma listę. Zająknął się przy numerze domu wicepremiera Akwitania, ale, ku przerażeniu naszych rozmówców, szybko go poprawiłem. Przecież też widziałem te wszystkie adresy, na kopertach w metalowej kasetce u pięknej Kumari.

Kiedy mój pracodawca umilkł, nasi rozmówcy wstali i wyszli bez słowa.

Po kilku godzinach zwrócono nam wolność i mogliśmy wrócić do domu.

Później unikaliśmy rozmów na temat Constantine'a. Domyślałem się, że świadomość wyboru dokonanego przez alpheimski rząd – bo przecież posłannictwo do ven Riera nie było samowolką ze strony Sommerseta – nie dawała Helionowi spokoju, tkwiła pod skórą jak cierń. Na zawsze zachwiała jego wyobrażeniem o ojczyźnie, wstrząsnęła – choć nigdy by się do tego otwarcie nie przyznał – światopoglądem i systemem wartości. Może nie mam racji, ale wydaje mi się, że po tym zajściu jego poza cynika i mizantropa przestała być tylko pozą.

Co się stało z Constantinem i Aiksenem? Pewności mieć nie mogę, wiem natomiast, że w jakieś pół roku po całym zajściu do Heliona przyszła paczka z odległej Winlandii. Kiedy rozpakowywałem przesyłkę, mój pracodawca sączył brandy, przeglądał ślicznie wydany atlas rzeźb rezyjskich i słuchał na gramofonie ostatniej płyty Kumari. W pakunku znajdował się obraz: niesłychanie staranne przedstawienie okraszonego śnieżną czapą masywu Mount Wendigo. Helion przyglądał mu się dłuższą chwilę, po czym uśmiechnął się i łyknął brandy.

– Blaze – powiedział, wracając wzrokiem do książki – bądź tak dobry i zowieź ten obraz pannie Kumari. Wydaje mi się, że komu jak komu, ale akurat jej przypadnie do gustu.

Ponoć największym grzechem, jaki może popełnić artysta, jest dążenie do przeciętności. Jednak chyba wszyscy – ja, Helion, Kumari, Aiksen – patrząc na ten tandemny, do bólu nijaki landszaft, poczuliśmy spokój i ulgę.

KOŁYSANKI DLA UMARŁYCH

Dedykowane Chrisowi Stevensowi z Cicely na Alasce.

63

Każdy dzień jest walką o przetrwanie. Walką o pożywienie, o wodę, o dach nad głową, o miejsce, gdzie nie szaleją wirusy albo promieniowanie. Nieraz budzę się z krzykiem, chociaż nie śni mi się nic poza narastającym tykaniem licznika Geigera.

Każdy dzień jest też walką z samym sobą. Trzeba walczyć, żeby nie zasnąć się gdzieś w kącie i nie pograżyc w totalnej apatii. Myśli o pragnieniu czy głodzie wydają się zupełnie bezbarwne w świecie, gdzie każdy budynek wypełnia zapach śmierci i rozkładu. Przeraża mnie świadomość, że widok kolejnych ciał nie robi na mnie takiego wrażenia, jak powinien. Czyżby drobnoustroje sprawiły, że ci zmarli stali się... mniej ludźmi? A może to ja jestem mniej człowiekiem, niż byłem?

*Boję się, że jestem jedyny. Że jestem ostatnim żywym w świecie umarłych.
Dobranoc, moi mili. Do usłyszenia jutro o tej samej porze.*

Wszystko zaczęło się od szumu.

Najpierw był to głos strumienia – łagodny szelest wody mknącej między kamieniami. Byłam piekielnie spragniona, moją manierkę kompletnie osuszyłam już poprzedniego dnia. Przystanęłam teraz na brzegu, posapując głośno – teren był pagórkowaty i kilkaset metrów intensywnego marszu wystarczyło, żeby się porządnie zmęczyć. Jednak, kiedy pochyliliłam się nad taflą, pokręciłam głową z rezygnacją – woda opalizowała lekko i gdy nabräłam jej w dlonie, dostrzegłam szarawe drobinki niesionego przez prąd osadu. Znałam ten widok – kilka miesięcy wcześniej wzięłam coś podobnego do ust i okupiłam ten błąd całym dniem wymiotów. Gdybym nie miała wtedy przy sobie prawdziwego arsenału lekarstw, pewnie dzisiaj nie byłoby mnie tutaj. Cóż, człowiek ponoć najlepiej uczy się na błędach.

Podniosłam się z kolan i ruszyłam w górę strumienia. Byłam dość daleko od najbliższego miasta i istniała – niewielka, ale jednak – szansa, że dotrę powyżej miejsca, gdzie coś zatrwało wodę. Mogłam też trafić na jakąś wioskę, w której ktoś miał studnię.

Słońce paliło mnie w twarz, a sztywne od potu i brudu ubranie ocierało skórę. Szłam przed siebie, nie mając siły myśleć. Rok wcześniej nie uwierzyłabym, że można być aż tak uzależnionym od własnej fizjologii. Jednak teraz, gdyby ktoś zaoferował mi butelkę zimnej, nieskażonej wody, mógłby mnie mieć tyle razy, ile by zapragnął.

Mogłam pozwolić sobie na takie myśli. Od czasu, kiedy spadły ostatnio bomby i z nieba wreszcie znikły chmury czarnego pyłu, nie spotkałam ani jednej żywej osoby.

Podążałam w górę strumienia, a słońce stopniowo znikało za koronami drzew. Świat stał się mniej jaskrawy, zupełnie jak sztucznie przyjemiona fotografia. Gorąc był też mniej dokuczliwy – wiedziałam, że jeszcze godzina, może półtorej, i zacznie mi być zimno.

Właśnie wtedy zobaczyłam ten dom.

To była zwyczajna górska chatka o ścianach z grubych drewnianych bali i spadzistym dachu, którego południową stronę pokrywał czarny panel baterii słonecznej – swego czasu wiele takich budyneczków zdobiło

górskie doliny i stoki. Uśmiechnęłam się na jej widok, bowiem okolicę można było nazwać górką w równym stopniu, co Śnieżkę alpinistycznym wyzwaniem. Chatka miała jednak dach i cztery ściany, a w tej chwili marzyłam tylko o tym, żeby okazała się pusta. Noc w jej wnętrzu byłaby o wiele przyjemniejsza, gdyby tym razem, dla odmiany, nie towarzyszył mi mdlący zapach gniących zwłok.

Okrążyłam budynek, ale opuszczone rolety antywłamaniowe uniemożliwiły zerkanie do środka. Stanęłam więc przed drzwiami i wtedy dotarł do mnie ten szum. Przypominał trochę ciche buczenie, trochę delikatne trzaski i z całą pewnością dobierał z wnętrza chatki. Cofnęłam się o krok, przeczesując wspomnienia w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby wydawać podobne odgłosy. Dźwięk kojarzył mi się z bzyczeniem much albo innych owadów – os czy szerszeni – ale miał też w sobie coś... obcego. Brakowało mu tej żywiołowej, właściwej insektom intensywności, przypominał za to trochę leniwe skwerczenie przygasającego ognia.

Zsunęłam plecak z ramion i ostrożnie oparłam go o ścianę chatki. Miałam nadzieję, że do tej pory zachowywałam się na tyle cicho, by nie zdradzić swojej obecności. Prawą ręką chwyciłam nóż – na wypadek, gdyby to coś w środku okazało się nietypowo pochrupującym dzikim psem albo czymś podobnym. Skąd miałam wiedzieć, jak brzmi na przykład chrzączący żbik? Biorąc pod uwagę możliwość spotkania z szerszeniami lub innym latającym paskudztwem, w lewą dłoń chwyciłam środek owadobójczy w sprayu.

Drzwi otwierały się na zewnątrz. Nacisnęłam lekko klamkę, modląc się w duchu, żeby zawiasy nie skrzypiały. Uchyliłam drzwi na szerokość dłoni i powoli przysunęłam się do szczeliny.

Wnętrze chatki było skryte w mroku. Buczenie, przerywane okazjonalnie dziwnymi trzaskami, stało się wyraźniejsze. Pociągnęłam nosem i pozwoliłam sobie na łagodny uśmiech: nie wyczułam ani gnicia, ani żadnego zwierzęcego zapachu. Usłyszałam natomiast kolejny, tym razem głośniejszy trzask. Moja pamięć zaczęła wreszcie prawidłowo funkcjonować i sięgnęła do czasu sprzed bombardowań.

Otworzyłam szeroko drzwi, wpuszczając do chatki świeże powietrze i światło kończącego się dnia. Na jednej z szafek ujrzałam tajemnicze zwierzę – źródło szumu i trzasków. Był to stary radiomagnetofon Sony, który jakimś cudem wciąż działał. Najwyraźniej sprzęt czerpał zasilanie z zainstalowanych na dachu ogniw. Zaczęłam chichotać, nerwowo i hysterycznie, nagły przypływ ulgi przypominał kij wepchnięty w szprychy mojej kruchej równowagi.

Nie wyłączyłam radia od razu; gdy tylko upewniłam się, że chatka jest pusta i nic mi nie grozi, podeszłam do zlewu. Kiedy przesunęłam wajchą mieszacza, z rur dobiegł jęk, potem szarpnęło kranem, jakby miało go rozerwać, woda bluznęła do zlewu aluminiowej misy. Strumień ureguliował się i uspokoił, z początku rdzawobrunatny, ale już po kilkunastu sekundach czysty i zimny. Pospiesznie obmyłam twarz, kark, a potem nabräłam wody w dlonie. Zaczęłam pić. Próbowałam się ograniczyć, wziąć tylko kilka łyków, ale nie potrafiłam przestać, piłam i piłam, aż rozboalał mnie brzuch. Usiadłam na krześle, pozwoliłam, by zmęczenie przejęło kontrolę. Siedziałam nieruchomo i po prostu cieszyłam się myślą, że już nie chce mi się pić i że znalazłam schronienie. Podsydana nadzieję wyobrażenia pozwalała mi łudzić się, że może jeszcze trafię w lodówce nacoś jadalnego – skoro chatka miała własne zasilanie, wszystko było możliwe.

Nawet nie wiem, kiedy przysnęłam. Obudziłam się zdrębiała i zziębnięta, a przez wciąż otwarte drzwi wpadał mrok i chłodne, rześkie powietrze. Podniosłam się, żeby je zamknąć i dopiero wtedy zrozumiałam, co się dzieje.

Z radia leciała muzyka. Jakość nie była rewelacyjna, ale przez szum przebijały się basowe tony, szelest perkusyjnych talerzy i niewyraźny damski wokal. Oniemiałam. W jednej chwili zapomniałam o głodzie, pragnieniu i wszelkich niewygodach. Nie przepadałam za jazzem, ale w tym momencie te zniekształcone dźwięki, otulone w szum i trzask, były czymś absolutnie cudownym.

Stałam w bezruchu, odczuwając irracjonalny strach, że czar pryśnie, jeśli zrobię krok, jeśli głośno odetchnę. Utwór wciąż leciał, a ja słuchałam go, starałam się nie uronić ani jednej nuty. Dopiero gdy uzmysłowiliłam

sobie, że to nie sen czy halucynacja, odzyskałam zdolność ruchu. Powoli podeszłam do drzwi i zamknęłam je. Moja dłoń powędrowała ku włącznikowi światła, ale nie użyłam go. Nawet jedna żarówka mogła okazać się zbytnim obciążeniem, a za nic nie chciałam, żeby radio przestało grać. Wyciągnęłam z plecaka latarkę i przy jej pomocy rozejrzałam się po chatce.

Damski głos ustąpił ciepłemu tenorowi saksofonu i poczułam, że mimo zmęczenia przybywa mi gracji, że poruszam się, na wpół tańcząc. Boże, przecież kiedyś istniało coś takiego jak taniec! Przecież tak to lubiłam...

O tylu rzeczach zapomina się szybko.

Nim utwór dobiegł końca, siedziałam już przy stoliku. Na blacie stały trzy świeczki, które znalazłam w szafce nad kuchenką. Pierwsze krople wosku właśnie uciekały spod płomieni. Utkwiłam wzrok w niepozornym radiomagnetofonie i zastanawiałam się, skąd pochodzi ta muzyka. Doszłam do wniosku, że musiałam trafić na jakąś stację, gdzie komputer odtwarza audycję nagraną jeszcze przed wszystkim, co zdarzyło się w ciągu ostatniego roku. Wystarczyło, żeby rozgłośnia również dysponowała bateriami słonecznymi – podejrzewałam, że zasilanie komputera i nadajnika nie jest szczególnie energochłonne.

Zaczął się kolejny numer, tym razem nastrojowy blues z rozedrganą gitarą i mocnym, zadzierzystym głosem śpiewającym o utraconej miłości. O bluesie miałam niewiele większe pojęcie niż o jazzie, ale przy świetle świec, w absolutnej ciszy, ta muzyka przemawiała do mnie bardziej niż wszystko, czego dawniej słuchałam. Poruszyła we mnie jakąś czułą nutę. Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam płakać.

Pochyliłam się nad radiem. Nie chciałam, żeby przestało grać, ale taka już jest ludzka natura – chcemy więcej, zawsze więcej. Ujęłam więc antenkę delikatnie w dłoni i zaczęłam szukać lepszego sygnału. Na moment dźwięki zniknęły zupełnie i poczułam, że wioczeją mi mięśnie, a w głowie momentalnie rodzi się panika. Na szczęście zaraz odnalazłam sygnał, tym razem silniejszy. Przekręciłam pokrętło i westchnęłam z zadowoleniem – dźwięki płynące z głośniczka stały się

czyste, słodkie dla uszu. Nie mogłam chcieć niczego więcej; pragnęłam tylko tej muzyki – wolnej, nastrojowej, pełnej smutku i tęsknoty – i światła świec.

Utwór dobiegł końca i zastąpił go męski głos. Aż mnie zatchnęło. Słyszałam drugiego człowieka po raz pierwszy od miesięcy i nie mogłam się powstrzymać:beczałam z całych sił, na przemian rycząc, jękając, pociągając nosem i zawodząc jak potępiona dusza. Może nagrany i od-twarzany setki razy, ale należał do innego człowieka.

– To tyle z tej płyty – mówił. – Czeka nas dzisiaj jeszcze parę ciekawostek... między innymi King Crimson i Pink Floyd; natomiast dla wielbicieli damszych wokali będzie Scarlett Johansson w utworach Toma Waitsa... Kurczę, głupio tak gadać samemu do siebie. Mam nadzieję, że ktoś mnie słyszy.

Uśmiechnęłam się, próbując ocenić, o jakiej porze musiała pierwotnie lecieć ta audycja. Wyobrażałam sobie tego chłopaka, niedużo po dwudziestce, jak siedzi w reżyserce o trzeciej nad ranem i nie wie, czy ktośkolwiek jeszcze ma włączone radio.

– Nawet jeśli nikt ich nie słuchał wtedy, kolego, ja słucham ich teraz – powiedziałam, a raczej zaskrzeczałam. Nie odzywałam się od bardzo dawna i teraz skrzywiłam się, słysząc własny głos.

– No nic, lecimy dalej. Noc jest piękna i bezchmurna, jeśli więc macie taką możliwość, popatrzccie na gwiazdy i księżyc. Postać z następnej piosenki pochodzi właśnie stamtąd. King Crimson, *Moonchild*.

Nim rozległy się pierwsze takty, stałam już przy oknie i walczyłam z zamknięciem. Rolety podjechały w górę z hałaśliwym klekotem, a ja poczułam na twarzy chłodne powietrze. Spojrzałam w niebo. Zupełnie jak tamtej nocy, kiedy nagrywano audycję, chmury dostały wolne i odpłynęły ku krainie nigdy-nigdy. Patrzyłam więc w gwiazdy, zasłuchana w kolejne, leniwie wybrzmiewające dźwięki.

Spiker zapowiadał kolejne utwory, a mnie fizjologia po raz kolejny przywołała do porządku. Zamknęłam okno i wróciłam do przetrząsanego chatki. W lodówce znalazłam całą butelkę mineralnej. Szczęście uśmiechnęło się do mnie po raz kolejny: dorwałam konserwy rybne, pasztet,

paprykarz, szynkę, wszystko w puszkach, z długim terminem ważności i wciąż zdątne do spożycia. W lodówce też chłodziło się parę piw oraz butelka wina, zamrażarka natomiast kryła coś, od czego łzy stanęły mi w oczach: chleb. Prawdziwy pszenny chleb. Ujęłam go w dlonie i przyglądałam mu się z niedowierzaniem.

To nie był koniec niespodzianek. Największa przyszła w chwili, gdy najedzona i szczęśliwa jak nigdy, otworzyłam jedną z butelek z piwem. W radio dobiegły końca kolejny utwór i powrócił głos spikera:

– Wszystkie te piosenki mówią o pięknie. Czym jednak jest piękno? Czy to coś namacalnego? Czy istnieje choć jedna rzecz, o której absolutnie każdy powiedziałby, że jest piękna? Wallace Stevens stwierdził kiedyś, że śmierć jest matką piękna. Podobne odczucia miał już jego literacki praszcuzur, Edgar Allan Poe, który oświadczył, że nie ma nic bardziej poetyckiego niż śmierć pięknej kobiety. Najbardziej zaś, w mniemaniu Poego, nadają się do jej opisu usta cierpiącego kochanka.

Bzdury! – pomyślałam z nutą złości. Romantyczne pieprzenie. Po wszystkim, co widziałam w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, mogłam powiedzieć bez śladu wątpliwości i wahania, że w śmierci nie ma nic, absolutnie nic poetyckiego. Ani pięknego. Gdyby panowie Stevens i Poe przeżyli to, co ja, może zastanowiliby się dwa razy przed fundowaniem czytelnikom podobnych farmazonów.

– Widziałem wiele śmierci; o wiele więcej niż ktokolwiek powinien wiecieć. Widziałem martwych mężczyzn i kobiety, dzieci, starców, kalekich, pięknych i mądrych, brzydkich oraz głupich. Nie znałem ich, ale czułem, że byli mi bliscy. Nie wiem, czy słowa Poego kiedykolwiek miały sens. Jeśli tak, to przykro mi, że ludzkość nie zasłużyła na lepszego kochanka niż ja. Bo mnie po prostu brak słów.

Poczułam się, jakbym niespodziewanie nagryzła pestkę ukrytą w wiśni. Co on powiedział? Albo inaczej: czy on naprawdę powiedział, co to mi się wydawało?

– Żegnam was przy dźwiękach Scarlett Johansson i „I Don't Wanna Grow Up”. Do usłyszenia jutro, o tej samej porze. Dobranoc. Słuchaliście „Kołysanki dla umarłych”.

Nie mogłam się poruszyć. Nie słyszałam dźwięków ostatniego tej nocy utworu, nie zauważałam też, jak butelka przechyla mi się w dłoni, jak piwo kapie na podłogę.

Nie byłam sama. Nic innego nie miało w tej chwili znaczenia. Nie byłam sama.



Następny dzień upłynął mi w dziwnym marazmie. Chatka okazała się darmem od Boga, Opatrzności, Losu czy czego tam jeszcze, ale nie mogłam w pełni cieszyć się znaleziskiem. Nie pochorowałałam się od wypitej wody, a to oznaczało, że, po raz pierwszy od sama nie wiem jak dawna, zdołałam się cała umyć i mogłam w każdej chwili ugasić pragnienie. Na śniadanie zaserwowałam sobie posiłek godny króla – kanapki z pasztetem i szynką konserwową, zapijane prawdziwą sypaną czarną herbatą.

Uśmiechałam się łagodnie, wsuwając kolejne kromki, w rzeczywistości jednak moje myśli krążyły wokół wczorajszej audycji. Gdy obudziłam się rano, byłam rozkojarzona i nieco zagubiona. Nie wieziałam, czy faktycznie słyszałam to, co wydawało mi się, że słyszałam. Czy to możliwe, że gdzieś tam, w świecie przypominającym wielką zbiorową mogiłę, żył ktoś jeszcze? Nawet jeśli tak – w końcu szczytem pychy byłoby uważać, że spośród kilku miliardów ludzi tylko ja przetrwałam – to jakie były szanse, że ten ktoś faktycznie odnalazł rozmówcę i poświęcał swój czas, aby puszczać w eter kolejne utwory i osobiste przemyślenia? Wszystko to wydawało się tak niedorzeczne, że już w okolicy południa nie wierzyłam, że wydarzenia poprzedniego wieczora były czymkolwiek więcej niż halucynacją spowodowaną zbyt długą samotnością. Myśl, że zaczynam wariować, nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Już dawno pogodziłam się z faktem, że to nastąpi... przedzej czy później.

Popołudnie spędzałam na pozornie błogim nieróbstwie. Dawno już nie przeżyłam tylu godzin w poczuciu bezpieczeństwa i bez świadomości, że każda chwila zwłoki może być moją ostatnią. Okolica wydawała

się spokojna, zupełnie jakby bombardowania i wszystkie inne działania wojenne jakimś trafem ominęły te tereny.

Siedziałam więc na krześle przed chatką, w rzucanym przez wysoki dach cieniu, i piłam piwo. W ciągu ostatnich miesięcy prawie nie miałam kontaktu z alkoholem, toteż procenty szybko uderzyły mi do głowy. Jeśli jednak oczekiwaliem rozluźnienia, przeliczyłam się. Im robiło się później, tym większe odczuwałam podniecenie. Jakaś cząstka mnie chyba wierzyła, że audycja nie była tylko omamem.

Do chatki wróciłam na chwilę przed zmrokiem. Przygotowałam sobie na kolację mięso z konserwy oraz ryż z hermetyczne zamkanej torebki; okazało się, że w butli podpiętej do kuchenki jest jeszcze dobre parę litrów gazu, z których można zrobić użytek. Radio było cały czas włączone i z głośniczka dobiegał zwyczajowy szum, trzaski i buczenie. Jadłam w ciszy, nadstawiając uszu i krzywiąc się, ilekroć nóż zazgrzytał na talerzu. Mijały minuty, a ja byłam coraz bardziej podekscytowana i wystraszona. Chciałam go usłyszeć. Możliwe, że niczego wcześniej tak bardzo nie pragnęłam. Nie wiedziałam, co by się stało, gdyby okazało się, że ta audycja faktycznie była tylko wytworem mojej wyobraźni.

Nagle szum i trzaski ucichły, usłyszałam ciche pyknięcie i pełną napięcia ciszę rozdarł przeciągły jęk saksofonu. Westchnęłam, jakby kamień spadł mi z serca, po czym się roześmiałam, a z oczu poszły mi łzy. Do ciepłych tonów pierwszego dęciaka dołączyły kolejne, a chwilę później wszedł odrobinę łamany perkusyjny rytm.

Siedziałam w absolutnym bezruchu, chłonąc dźwięki, jakby w moim organizmie tymczasowo zastąpiły tlen. Tak naprawdę jednak znajdowałam się w zawieszeniu. Czekałam nie na piosenki, choć z pewnością były one miłą odmianą po miesiącach absolutnej ciszy. Czekałam na jego głos.

I doczekałam się.

– *Homo homini lupus est* – rzekł nieoczekiwanie.

Tym razem wydał mi się nieco starszy, wciąż przed trzydziestką, ale niewiele.

– Rzymianie już tysiące lat temu odkryli prawdę o świecie: człowiek człowiekowi wilkiem. Prześladowania, wojny, tortury, zabójstwa,

gwałty... Wszystko to spowodowane żądzą, nienawiścią, egoizmem, dumą, fanatyzmem. Wszystko to było już wtedy, u progu naszej ery. Czy kolejne wieki cokolwiek zmieniły? Czy nauczyliśmy się czegoś? Jak to możliwe, żeby istoty szczerzące się inteligencją nie potrafiły wyciągać oczywistych wniosków? Jak to możliwe, że w kółko popełnialiśmy te same błędy?

Słuchałam znieruchomiałą, bolesnie napiętą, z dłońmi kurczowo za- ciśniętymi wokół flaszki piwa. Jakbym chlonęła ten głos każdym porem skóry, jakby każde słowo było skarbem, a przegapienie go – grzechem, zbrodnią.

– Pamiętam, że gdy byłem mały, oglądałem czasami kronikę filmową. Strach się przyznać, ale nie dlatego, że rodzice mnie zmuszali; zwyczajnie to lubiłem. Skaczący obraz, trzaski na fonii, szeleszczące głosy. To wszystko, pośród trójwymiarowej telewizji i wszechobecnej rzeczywistości wirtualnej, wydawało się takie... treściwe. Opowiadało jakąś prawdę. Wtedy chyba tak tego nie postrzegałem. Może po prostu oglądałem te rzeczy, aby móc wyróżniać się z tłumu podobnych mi dzieciaków. Widziałem raz relację z lądowania człowieka na Księżyku, jeszcze z ubiegłego wieku. Pamiętam kosmonautów w tych okropnie wielkich, topornych skafandrach, niezgrabne statki i ludzi, którzy mieli łzy w oczach na samą myśl o tym, czego dokonali ich pobratymcy: sięgnęli gwiazd. To było niesamowite.

Głos w głośniczku umilkł i przez moment bałam się, że to już koniec. Zbielały mi knyckie i pomyślałam, że butelka rozprysnie mi się w dloniach, ale nie mogłam nic na to poradzić. Wreszcie chłopak wrócił na antenę:

– Wtedy była to okazja do radości i świętowania. Byłem dzieckiem, niewiele z tego rozumiałem i siedziałem przed telewizorem, uśmiechając się od ucha do ucha, asystując tym ludziom sprzed dziesiątek lat w ich szczęściu. Pamiętam, że obejrzałem się na mojego ojca, a on odwrócił głowę, zanim mogłem w pełni dostrzec i zidentyfikować emocje rysujące się na jego twarzy. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, że jesteśmy wyrzutkami. Nie wiedziałem, że jesteśmy śmieciami, które pozostawiono na

Ziemi, kiedy ludzkość ruszała ku gwiazdom, by tam pisać kolejne rozdziały swojej historii.

Tym razem usłyszałam cichy szelest i wiedziałam, że spiker wciąż siedzi po drugiej stronie mikrofonu.

– Rozgadałem się. No nic, czas na trochę muzyki. Nastrój i tak już wprowadziłem zabójczy, więc nie widzę powodu, aby go nie podtrzymać. Na początek „Mack the Knife” Louisa Armstronga... choć oryginał pochodzi oczywiście z „Opery za trzy grosze” Brechta. Później zaś nieco Nicka Cave'a i jego „Ballad Morderców”. Jeśli macie jakieś sugestie co do utworów, to dzwońcie, piszcie, a najlepiej przyjdzie pogadać, bo środki łączności coś ostatnio szwankują. Słuchacie „Kołysanek dla umarłych” na antenie Polskiego Radia Wrocław.

Przez resztę wieczoru odzywał się niewiele, pozwalając muzyce przemawiać w jego imieniu. Muszę zresztą przyznać, że słuchałam jednym uchem. Mój umysł krążył wokół tej samej myśli – Wrocław był niedaleko. Ze sto kilometrów na północny wschód, może nawet mniej. Znalazłam, co prawda, miejsce idealne – bezpieczne, z czystą wodą i jako takim dostępem do elektryczności. Jednak... on tam był. Gdzieś tam był człowiek.

Decyzję podjęłam jeszcze przed końcem audycji. Zanim poszłam spać, spakowałam najważniejsze rzeczy, zabrałam resztę jedzenia i spory zapas wody. Długo nie mogłam zasnąć, podekscytowana myślą, że jutro opuszczę to miejsce i podążę na spotkanie z – być może – ostatnim poza mną człowiekiem na naszej planecie.



Odeszłam o świcie, z plecakiem wypakowanym jedzeniem, butelkami z wodą i zawartością znalezionej apteczki. Przekroczyłam próg i ruszyłam przed siebie, nie oglądając się ani razu. Niepokoila mnie myśl, że jedno spojrzenie na tę uroczą chatkę – najdoskonalsze schronienie, jakie dotychczas znalazłam – wystarczy, abym zrezygnowała z całego przedsięwzięcia i pograłyła się w bezpiecznej apatii i samotności. Bezpiecznej, choć tylko na krótką metę.

Z początku powietrze było chłodne i rześkie, mogłam więc iść szybko. Z czasem docierało do mnie jednak coraz więcej promieni słonecznych. Przed dziewiątą przystanęłam, żeby dokładnie posmarować twarz, ramię i dlonie mocnym filtrem. Założyłam też okulary przeciwsłoneczne i spraną bejsbolówkę. Po pierwszych miesiącach bombardowań promieniowanie UV dołączyło do wirusów, toksyn, choroby popromiennej i innych wyjątkowo skutecznych zabójców ludzkości. Gdyby nie fakt, że bardzo zależało mi na czasie, poruszałabym się tak, jak dawniej – kryjąc się w cieniu przed południem i pozostając w nim przynajmniej do popołudnia.

Narzuciłam sobie ostre tempo, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę ciężki plecak. Mówi się jednak, że nadzieję uskrzydla i w tej chwili byłam gotowa to potwierdzić. Wierzyłam, że mój cel jest osiągalny – że dotrę do Wrocławia i odnajdę tam tego chłopaka.

Mężczyznę? Czy ktoś, kto tyle przeżył, niezależnie od wieku może być nazywany chłopcem?

A co potem? Nie miałam pojęcia. Nie zastanawiałam się nad tym. Byłam samotna tak długo, że sama myśl o istnieniu innego człowieka – choćby i dzieliły nas setki kilometrów – przyprawiała mnie o szybsze bicie serca.

Na godzinę lub dwie, kiedy słońce najbardziej prażyło i siekło ciało morderczymi promieniami, ukryłam się w cieniu. Mimo tej przerwy zatrzymałam się na noc, zanim jeszcze zaczęło się ściemniać. Okazało się, że intensywny marsz porządnie nadszarpał moje siły, podobnie jak wcześniejsza spiekota. Zbliżała się szósta, kiedy znalazłam ogródki działkowe na obrzeżach jakieś miejscowości i schroniłam się w jednej z mniej zdewastowanych altan. Wypiłam trochę wody, zjadłam konserwę (na zimno smakowała podle, a ja nie byłam głodna, ale wmusiłam ją w siebie z rozsądku) i, zagrzebawszy się w śpiwór, zasnąłam prawie natychmiast. Żałowałam, że nie mam dostępu do radia, i że nie mogę zasypiać, wsłuchując się w melodie i słowa „Kołysanek dla umarłych”.

Wstałam wcześnie, otworzyłam kolejną konserwę i wypiłam prawie całą butelkę wody. Zarzuciłam plecak na ramię i podjęłam przerwany marsz. Kilometry przebyte poprzedniego dnia odezwały się zakwasami

w udach i łydkach, ale zacisnęłam zęby i parłam przed siebie. Z początku klełam na czym świat stoi, ale już po godzinie rozruszałam się na tyle, że koszulę pod plecakiem miałam zupełnie mokrą, a nogi przypomniały sobie, do czego zostały stworzone.

Tego dnia przed dwunastą znowu ułożyłam się w cieniu przydrożnych drzew. Przedrzemałam tam jakąś godzinę, po czym napiłam się i ruszyłam w dalszą drogę. Zostały mi już tylko dwie półlitrowe butelki z wodą i moja wysłużona litrowa manierka, a – jeśli nie pomyliłam się w obliczeniach – od miasta dzieliło mnie jeszcze sześćdziesiąt pięć kilometrów. Wkracałam na tereny, które przed wojną były gęsto zaludnione, dlatego nie mogłam liczyć na wodę z rzek, strumieni, pomp czy studni – wszystko było dokumentnie skażone i zatrute; wiem, bo już dawno temu spędziłam kilka tygodni, sprawdzając kolejne źródła. Oczywiście miałam jeszcze kilkanaście tabletek uzdatniających, ale wolałam z nich nie korzystać, jeśli nie było to absolutnie konieczne.

Około siedemnastej wydostałam się na dwupasmówkę biegnącą pomiędzy niewysokimi wzniesieniami. Szosa miejscami była gładka, gdzie indziej jednak przypominała zaorane pole – asfalt w tych miejscach był spiętrzony, popękany, pełen dziur, wykrotów i kolein.

Pół godziny później zaczęło się chmurzyć. Nie wyglądało na to, żeby miało padać, ale zrobiło się chłodniej i w ponurej szarości świat zatracił kontury, rozmył się. Minęłam parę opuszczonych samochodów – przeżartych przez rdzę, z powybijanymi szybami i przebitymi oponami – i wkroczyłam pomiędzy czarne pola ciągnące się jak okiem sięgnąć, przetykane popielatymi szkieletami drzew. Ogień i kwaśne deszcze uczyńły z tej okolicy prawdziwą ziemię jałową.

W oddali zamajaczyły bryły budynków. Zaklełam, gdy okazało się, że droga wiedzie wprost ku miasteczku. Kawałek dalej minęłam tablicę informującą, że znalazłam się w Świdnicy. Z trudem przełknęłam ślinę; dopiero teraz przypomniałam sobie, że rodzina mojej mamy pochodziła właśnie stąd.

Chmury zupełnie zasnuły niebo, a ja wkroczyłam pomiędzy pierwsze zabudowania. Na szczęście szosa nie prowadziła przez środek

miejscowości, ale szła lekkim łukiem po jej obwodzie. Truchła samochodów zalegały na jezdni, na chodnikach i podjazdach. Gdzieś niegdyś wały się bielejące kości. Odwróciłam szybko wzrok, bezskutecznie wmawiąc sobie, że to szczątki zwierząt.

Zatrzymałam się tylko raz, kiedy ciąg budynków po prawej stronie urwał się niespodziewanie, a ułożenie terenu pozwoliło mi rzucić okiem na centrum Świdnicy.

Centrum, którego nie było. W jego miejscu znajdowała się zasłana gruzami pustynia. Nie było tam krateru czy lejów świadczących o bombardowaniu – zamiast tego cała ta przestrzeń, jakieś trzysta hektarów, wyglądała, jakby sam Bóg wdeptał budynki w ziemię. Widziałam wystarczająco wiele takich krajobrazów, żeby wiedzieć, co tu się stało. Pakiety wielotonowych bomb burzących z chemicznym rdzeniem detonowano trochę nad poziomem gruntu – wówczas nie dość, że równały wszystko z ziemią, to jeszcze rozrzucaly truciznę na obszarze o promieniu paru ładnych kilometrów.

76

– Człowiek człowiekowi wilkiem – mruknęłam pod nosem. Ten widok totalnej zagłady działał na mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy. Zadrżałam, po części z powodu wiatru, który przybierał na sile, a po części na myśl o tym, jak popieprzonymi, morderczymi sukinsynami potrafili być ludzie. Kogo obchodziło takie zadupie jak Świdnica? Przecież tu niczego nie było, niczego, co miało znaczenie. Pokręciłam głową i splunęłam na ziemię, potem znowu spojrzałam na zrujnowane miasto. Miejsca pokroju Świdnicy nie były dziełem tych, którzy opuścili Ziemię i dopilnowali, byśmy nie podążyli ich śladem. Oni zrzucali z orbity bomby wodorowe i atomowe na ośrodki strategiczne, na kompleksy przemysłowe, elektrownie czy porty kosmiczne. To tacy jak ja – odrzuceni, pozostawieni na łasce nadwerężonej do granic możliwości Matki Ziemi – byli odpowiedzialni za znakomitą większość zniszczeń, które pochłonęły naszą cywilizację.

Z zamyślenia wyrwało mnie warknięcie. Drgnęłam gwałtownie i spojrzałam w bok, prosto w czarne ślepia potężnego psiska, z którego mordy obficie kapała ślina. Bestia warknęła raz jeszcze, po czym przypadła do ziemi na przednich łapach, gotując się do ataku.

Wiedziałam, że jeśli zacznę uciekać, pies mnie dopadnie. Miałam szansę, ale tylko stawiając mu czoła. Silny kopniak prosto w nos zazwyczaj wystarczył, żeby podobny napastnik uciekł z piskiem. Przygotowałam się. Świadomość, że jestem zmęczona i mogę nie trafić lub uderzyć zbyt słabo, nie pomagała, podobnie jak narastający warkot i piana gęstniejąca wokół szczęk bestii.

Zmieniłam zdanie, gdy ujrzałam kolejne czworonogi wyłaniające się spomiędzy budynków. Był dość daleko, przynajmniej kilkadziesiąt kroków ode mnie, ale zbliżały się. Zerknęłam w bok, chcąc sprawdzić, ile dzieli mnie od najbliższego domu. W tym momencie pierwszy pies zaatakował.

Rzuciłam się do ucieczki, biegąc co sił w stronę budynku – małego domu otoczonego metalową siatką gęsto porośniętą ciernistymi pnączami dzikiej róży. Słyszałam za sobą zażarte ujadanie – wyglądało na to, że teraz już cała sfora rzuciła się w pogон. Pędziłam przed siebie, ale odległość dzieląca mnie od płotu zmniejszała się w ślamazarnym tempie, a zwierzęce warknięcia były coraz głośniejsze. Nagle poczułam uderzenie w plecy i gardłowy warkot. Przez myśl przemknęło mi, że to koniec, że już po mnie; pies chwycił zębami za plecak i pociągnął mocno, prawie mnie przewracając. Jakimś cudem rzuciłam bagaż na ziemię i, już pozbawiona ciężaru, pomknęłam w kierunku siatki. Brakowało mi do niej dziesięciu metrów, po chwili już tylko pięciu. Wpadłam na płot, chwytając się czego popadło – czy to drutu, czy wbijających się głębooko kolców. Syknęłam z bólu, po czym dźwignęłam się i przerzuciłam nogę nad krawędzią ogrodzenia. Ciernie rozrywały mi skórę na dloniach i ramionach, szarpały spodnie, ale ułamek sekundy później spadłam na ziemię po drugiej stronie, a na siatkę rzuciły się trzy śmierdzące cielska.

Nie miałam czasu na odpoczynek – gdy upadłam, zauważylam, że furtka po drugiej stronie ogrodzenia jest otwarta. Dwa kolejne psy mknęły już w tamtą stronę i nie miałam szans dotrzeć do drzwiczek przed nimi. Dostrzegłam, że jedno z okien jest uchylone, natychmiast rzuciłam się do niego i szarpnęłam z całej siły za ramę. Zaskrzeczały przerzewiałe zawiasy, a jedno skrzydło ustąpiło – drugie musiało być zamknięte na zatrzask, którego nie miałam czasu szukać. Wcisnęłam się w powstałą

szparę i przepchnęłam do środka, na ułamek sekundy przed tym, jak rozwścieczone psy dopadły moich nóg. Jeden z nich klapnął zębami, ale chwycił tylko nogawkę spodni i oderwał kawał materiału. Błyskawicznie podniosłam się z podłogi i zamknęłam okno. Jedna z bestii rzuciła się jeszcze rozpaczliwie na szybę, ale nic nie działała – szkło było wystarczająco grube. Zdałam sobie sprawę z tego, że jestem bezpieczna, po czym nogi się pode mną ugięły i padłam na podłogę. Nie mogłam uwierzyć, że wciąż żyję.

Nie miałam jednak czasu na radość i ulgę. Pokaleczone dlonie i ramiona domagały się dezynfekcji i jakichś plastrów, może nawet szwów, a apteczka przepadła wraz z plecakiem. Musiałam poszukać czegoś tutaj, w domu.

Wstałam i rozejrzałam się po pomieszczeniu. Ściany pokrywały grzyb i to on najpewniej stanowiło źródło paskudnego, słodkawego zapachu obecnego w całym domu. Pokoje były zdewastowane, meble zamieniono w sterty popękanych listew, drewnianych szczap i płytów okleiny. Schody wiodące na piętro zniknęły – prawdopodobnie ktoś w pierwszych miesiącach wojny porządał je na opał.

Możliwe, że była to ta sama osoba, której truchło leżało na progu kuchni. Kiedy ujrzałam setki much kłębiących się nad zwłokami, poczułam jak nogi znów odmawiają mi posłuszeństwa. Zaczęły mną targać torsje, padłam na kolana. Rzucało mną przez dobrą minutę, ale z ust wyplułam tylko trochę śliny zmieszanej z żółcią. Nie jadłam od wcześniego rana i zwyczajnie nie miałam czego zwracać. Kiedy już mi trochę przeszło, odpełzłam z powrotem do pokoju. Paskudny zapach wciąż powodował mdłości, ale przynajmniej nie widziałam tu tych wszystkich owadów i nie słyszałam ich upiornego bzyczenia.

Skaleczenia piekły i swędziały, zupełnie jakby chciały przypomnieć, że muszę szybko coś z nimi zrobić. Wyjrzałam przez okno i zerknęłam tesknie na plecak, ale zaraz usłyszałam ujadanie, a psie sylwetki przemykały w tę i we w tę po podwórku.

Byłam uwięziona.

Musiałam rozejrzeć się po domu, a przynajmniej po tej jego części, do której miałam dostęp. Strzeżoną przez trupa kuchnię sobie odpuściłam,

na piętro musiałabym chyba pofrunąć. Pozostawała łazienka i jeszcze jeden pokój.

Śmierdziało absolutnie wszędzie – grzybem i zwłokami. W łazience, spod otwieranych drzwi uciekły dziesiątki karaluchów, a w wannie zdomowili się dwa olbrzymie pajęki. W szafce z lustrem znalazłam pełny w dwóch trzecich flakonik taniej wody kolońskiej. Powąchałam zawartość i skrzywiłam się z niesmakiem – równie dobrze można by nacierać się spirytusem. Do mojego celu kosmetyk nadawał się jednak doskonale. Przemyłam wszystkie skałeczenia, zaciskając zęby tak mocno, że aż trzeszczały. Co kilka sekund robiłam przerwę, żeby zaczepnąć tchu i przeklinać do woli. Spod kurczowo zamkniętych powiek płynęły mi łzy, ale po chwili było po wszystkim. Zgarnęłam garść ocalałych wacików, żeby spróbować zatamować nimi krwawienie i odetchnęłam z ulgą, świadoma, że zrobiłam, co mogłam.

Zajrzałam do drugiego pokoju. Był zdewastowany podobnie jak pierwszy, ale w kącie spoczywała sterta jakichś rzeczy, świadcząca o tym, że ktoś niedługo przed śmiercią zrobił sobie tutaj mały składzik. Nie znalazłam niczego naprawdę godnego uwagi – przede wszystkim żadnego jedzenia – ale po chwili pośród różnych sprzętów rozpoznałam antycznego discmana z opcją odbioru radia. Szperałam wśród zebranych przedmiotów jeszcze dość długo, ale w końcu odniosłam sukces: trafiły się też słuchawki, a z pilota do telewizora wyciągnęłam dwie baterie. Moment później odtwarzacz był już na chodzie, a ja wędrowałam przez kolejne częstotliwości w poszukiwaniu Polskiego Radia Wrocław.

Kiedy ze słuchawek popłynęły zniekształcone dźwięki „Monkey Business” The Phillipets, poczułam się, jakbym spotkała dawno niewidzianego przyjaciela. Uspokoiłam się i uśmiechnęłam. Nie miałam jedzenia, byłam okropnie spragniona, a w moich żyłach mogły krążyć najróżniejsze paskudztwa, których nie zdążyłam wybić alkoholem. Niemniej jednak czułam dziwną błogość. Przynajmniej jedna rzecz w tym popieprzonym świecie była pewna i niezmienna.

– To było The Phillipets, jedna z niewielu naprawdę ciekawych formacji trzeciej dekady dwudziestego pierwszego wieku. Za chwilę później

o dziesięć lat The Nycoteens i Kindom Kometh. Przypominam, że dzisiaj tylko muza ostatniego stulecia.

Dwa kolejne utwory przebrzmiały nie wiadomo kiedy. Siedziałam w bezruchu, bo słuchawki działały jak należy tylko w jednej pozycji – coś musiało być nie tak z kabelkiem.

Zapadła cisza i chłopak po drugiej stronie mikrofonu odezwał się dopiero po krótkiej chwili. Jego głos zdradzał zmęczenie i przygnębienie.

– Nie wiem, który dziś jest. – Westchnął. – Mój zegarek pokazuje, że siedemnasty lipca, ale przestawiał go parę razy i nie mam pojęcia, czy to prawda. Jeśli tak, to...

Urwał. Odchrząknął i zaczął ponownie:

– Siedemnastego lipca urodzili się moi rodzice. Oboje tego samego dnia, tego samego roku. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, pobrali się wkrótce po skończeniu osiemnastu lat i żyli razem... aż do końca. Nie widziałem ich od... roku? Zginęli wcześnie, w jednym z pierwszych bombardowań.

80 Umilkł, a ja poczułam słabe ukłucie wyrzutów sumienia. On najwyraźniej myślał o tych, którzy odeszli, w jakiś sposób dbał o pamięć o nich. Ja starałam się skupiać na chwili bieżącej, za dużo miałam pilnych problemów. Zmarli już nic mi nie mogli dać. A jednak teraz ich zobaczyłam: rozmazane sylwetki, oblicza niewyraźne jak kreślone palcem w popiele. Próbowałam ich odegnać, ale wracali.

– Z każdym dniem pamiętam coraz mniej – kontynuował spiker. – Z trudem przypominam sobie ich twarze, głosy. Pamiętam nic nieznaczące szczegóły, takie jak to, że ojciec nigdy nie korzystał z filtrów słonecznych i na początku lata chodził zawsze cały spieczoney, a z uszu i nosa skóra schodziła mu płatami. Pamiętam, że mama mogła całymi dniami patrzeć na kwiaty magnolii rosnącej przed naszym domem. Tęsknię za nimi i żałuję, że nie będzie nikogo, kto mógłby mnie wspominać w podobny sposób.

Móże to dziwne, ale jego słowa sprawiły, że coś się we mnie zmieniło. Rozumiałam jego smutek, rozumiałam go tak, jak Eskimos pojmuje ideę śniegu, jak wilk instynktownie odczytuje zew stada. Zamiast

z nimi walczyć, pozwoliłam moim myślom krążyć wokół rodziców. Niespodziewanie zaczęłam przypominać sobie różne obrazy, pojedyncze sceny, wyrwane z kontekstu zdania i słowa. Moment później przyłapałam się na tym, że śmieję się i płaczę równocześnie, ale najważniejsze było to, że przynajmniej na moment bolące dlonie, pragnienie i otaczający mnie smród przestały być tak potworne obecne, nachalne. W międzyczasie zrobiło się chłodniej, zimne powietrze sączyło się do domu przez jakąś dziurę w dachu albo przez otwarte okno na piętrze. Skuliłam się w kącie, opłotłam dłońmi kolana i trzęsłam się trochę z zimna, a trochę ze zmęczenia. Mimo to jakimś cudem czułam się prawie dobrze, słuchając jego słów i czekając na kolejne utwory.

– Einstein powiedział raz, że samotność jest bolesna, gdy jest się młodym, lecz pełna wdzięku, kiedy się dojrzeje. Widać ja nie dojrzałem jeszcze, bo niczego wdzięcznego nie potrafię w niej dostrzec. Bardziej przemawiają do mnie opisujące samotność słowa Ozzy'ego Osbourne'a z Black Sabbath: „Moje imię nic nie znaczy, mój los jeszcze mnie; w pustkowiu mrocznym szukam przyszłości mej”. Wniosek jest prosty: człowiek jest zwierzęciem stadnym, bez innych jesteśmy nikim. Jeśli o mnie chodzi, to w meczu Ozzy kontra Albert jest jeden do zera.

Parsknęłam śmiechem. Żałowałam, że nie mogę być przy nim w tej chwili – przy chłopaku, który, mimo że przygnębiony i osamotniony, dalej był w stanie wykrzesać z siebie cień dowcipu.

– Jednak najlepiej naturę osamotnienia opisał chyba Balzac, mówiąc: „Samotność jest piękna, ale potrzeba kogoś, kto ci o tym powie”. Przed nami „Dead Leaves and The Dirty Ground” zespołu The White Stripes. Słuchacie „Kołysanki dla umarłych”.

Przez sekundę ciszy, zanim rozpoczął się utwór, słyszałam bębnienie deszczu o dach i szyby. Wyjrzałam przez okno, ale widziałam tylko olbrzymie krople, rozpryskujące się na szkle i ciemność, spowijającą całą okolicę. Przesterowana gitara wstrząsnęła światem, by po paru taktach ustąpić miejsca nastrowiemu arpeggio. Wysoki głos zaczął śpiewać coś po angielsku, ale byłam zbyt zmęczona, by doszukiwać się sensu w padających słowach.

Zdążyłam jeszcze pomyśleć, o ile lepiej mam niż ten chłopak, siedzący gdzieś w ciasnej reżyserce i próbujący sam siebie przekonać, że to, co robi, ma sens. Ja wiedziałam o jego istnieniu, on o moim nie miał pojęcia.

Zasnęłam, nim piosenka dotarła do kolejnego hałaśliwego refrenu.



Obudziłam się, gdy słońce wisiało bardzo nisko na niebie. Czułam się paskudnie: dlonie mnie piekły, byłam cała zdrętwiała i przemarznięta, a mój żołądek przypominał pomarszczony balon, z którego uciekło całe powietrze, niemniej humor miałam niezły. Może z powodu słońca... a może dlatego, że Wrocław był coraz bliżej?

Nie wyszłam z domu, dopóki przez okna nie rozejrzałam się po okolicy. Nigdzie nie widziałam sfory psów, która wczoraj wpędziła mnie w tarapaty. Otworzyłam drzwi frontowe i nasłuchiwałam, po chwili odważyłam się stanąć w progu. Dalej nic.

82

Podeszłam do plecaka, który wciąż leżała tam, gdzie go zrzuciłam, uciekając przed psami. Był cały poszarpany – najwyraźniej bestie próbowały dobrać się do środka. Udało im się, przynajmniej częściowo. Gdy przejrzałam zawartość, zrobiło mi się słabo na myśl o tym, jakiego niebezpieczeństwa cudem uniknęłam. Pogryzione plastikowe butelki były dziurawe i popękanie, nie nadawały się do niczego. Rozbita została też buteleczka spirytusu z apteczki. Bandaże i plastry znajdowały się w strzępach, podobnie jak mój sweter. Na szczęście psy nie zdołały uszkodzić ostatnich dwóch konserw, podobnie jak mojej wysłużonej metalowej manierki. Jedną konserwę otworzyłam natychmiast i dosłownie pochłonęłam zawartość, drugą schowałam do kieszeni. Łyknęłam z manierki, po czym przewiesiłam ją przez ramię. Nóż wetknęłam za pas, latarkę zostawiłam. Mogłam co prawda powiązać plecak tak, żeby jeszcze posłużył jako tobołek, ale kiedyś już byłam tak głupia, żeby nosić ciuchy, które wcześniej namokły na deszczu i postanowiłam, że więcej nie popełnię tego błędu. Dostałam wtedy tak paskudnej, swędzącej wysypki, że miałam ochotę potraktować skórę papierem ściernym.

Przeszłam zaledwie kilkanaście kroków, kiedy szczęście uśmiechnęło się do mnie: na ganku następnego domu ujrzałam rower. Stary, bezsilnikowy model zaopatrzony w nędzne kilka przerzutek i wytarte opony, ale jednak.

Obrzuciłam jednoślad krytycznym spojrzeniem, po czym usiadłam na siodełku. Oparłam prawą nogę na pedale, lewą odepchnęłam się od ziemi, a moment później jechałam już przed siebie. Na początku poruszałam się niezgrabnie i chwiało mną na boki, ale po chwili odzyskałam dawny rytm i pewnie sunęłam po asfaltówce. Już chciałam sobie powiedzieć, że to jak z jazdą na rowerze, nigdy się tego nie zapomina, gdy uzmysłowiłam sobie, że to właśnie jest jazda na rowerze i wybuchałam serdecznym śmiechem. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz czułam się tak dobrze – z ciepłym słońcem padającym na twarz, wiatrem wdzierającym się pomiędzy skołtunione loki i świadomością, że zbliżam się do celu, że już niedługo, może nawet dzisiaj wieczorem, będę we Wrocławiu.

Kilka godzin później stało się oczywiste, że do siedziby Polskiego Radia dotrę najwcześniej jutro. Momentami jechało się wyśmienicie i rower pokonywał całe kilometry, poskrzypując i popiskując nieśmiało. Zdarzały się jednak i takie odcinki, gdzie szosa pełna była dziur, lejów i kraterów, a asfalt – cały pofałdowany lub zupełnie zdarty. W takich miejscach jedynym wyjściem było zsiąść z roweru i przeprowadzić go pomiędzy wykrotami. Te fragmenty kosztowały mnie najwięcej sił i skupienia, wystarczył przecież jeden nieostrożny krok, żeby złamać albo w najlepszym razie skręcić nogę. Wolałam nawet nie myśleć, co by mnie wtedy czekało.

Tam, gdzie jazda nie nastręczała trudności, pozwalałam sobie na swobodne rozmyślania. Dumałam przede wszystkim nad tym, jaki on będzie – ten chłopak prowadzący najpewniej ostatnią audycję naszego świata – a także jak będzie wyglądać nasze spotkanie. Czy rzucimy się sobie w ramiona, dosłownie eksplodując radością spotkania kogoś żywego? Czy może raczej będziemy patrzeć na siebie z podejrzliwością i bez zaufania, jak dwa dzikie koty spotykające się na pustkowiu, syczące i stroszające sierść? Jego słowa podczas audycji sugerowały inteligencję,

wrażliwość i poczucie humoru, ale... jaki był naprawdę? Czy mówił szybko i patrzył rozmówcy w oczy, czy też otwierał się dopiero wtedy, gdy zwracał się do bezosobowego mikrofonu? Czy wszystkie cytaty, którymi rzucał w swoich audycjach i mnogość puszczań brzmień świadczyły o erudycji, czy dowodziły jego zapatrzenia w siebie, były tylko rodzajem popisu? Wreszcie kwestie fizyczne: czy był wysoki czy niski, dobrze zbudowany czy chudy, czy nosił okulary... Setki pytań i tysiące rozważanych wariantów, możliwości – wszystko po to, by zająć czymś umysł podczas długich godzin jazdy.

Koło szesnastej rower zaczął już nie tyle popiskiwać, co otwarcie jęzieć i miałam wrażenie, jakby miał się pode mną dosłownie rozlecieć. To jednak nastąpiło dopiero chwilę przed piątą. Z boku drogi wystrzelił jakiś kształt, może szczur, może jakąś cholerną fretką; grunt, że zahamowałam gwałtownie, przyciskając z całej siły manetki do kierownicy. Usłyszałam zgrzyt metalu, później trzask i ułamek sekundy później wylądował na ziemi. Obtarłam sobie kolano, a także rozbiłam górną wargę i nadkruszyłam żąb, bo uderzyłam twarzą w kierownicę. Okazało się, że ośka przedniego koła była już mocno przerdzewiała i po przebyciu trasy obfitującej w garby oraz wyżłobienia wystarczyło ostre hamowanie, żeby metal ostatecznie się poddał.

Nie miałam żadnego alkoholu, więc wszystko, co mogłam zrobić, to przemyć kolano i wargę wodą z manierki. Bolało paskudnie, w dodatku usta mi spuchły i miałam wrażenie, jakby ktoś mi w nie na siłę władał kilogram botoksu. Kolano wyglądało, jakbym przeciągnęła nim nie po asfalcie, a po tarce do warzyw.

Od Wrocławia wciąż dzieliło mnie kilkanaście kilometrów, a upadek skutecznie wybił mi z głowy myśli o pośpiechu. Jednak jeszcze się nie zatrzymałam – po części dlatego, że nie uśmiechało mi się tkwić w szczerym polu. Do miasta nie miałam szansy dotrzeć, ale wciąż mogłam liczyć na znalezienie schronienia w jakimś domu po drodze. Ruszyłam przed siebie.

Szłam uparcie aż do zmroku. Zatrzymałam się w ruinach przydrożnej stacji benzynowej; dalsza wędrówka i tak nie miała sensu, bo

w ciemności bliskie spotkanie z pierwszą lepszą dziurą w asfalcie mogło skończyć się tragicznie. Kusiło mnie oczywiście, żeby postawić wszystko na jedną kartę i iść dalej, w nocy. Prawie nie czułam zmęczenia i istniała niewielka szansa, że dotarłabym do siedziby Polskiego Radia jeszcze przed końcem dzisiejszej audycji. Przypomniałam sobie jednak słowa, które dawno temu przeczytałam w jakiejś książce: „Przed zwycięstwem przychodzi pokusa”. Oto była pokusa, a ja znajdowałam się o krok od zwycięstwa.

Tę noc na wpół przespałam, na wpół przesiedziałam, otoczona przez śmieci, gruzy i swąd spalenizny. Nagie ściany chroniły przed wiatrem, ale to wszystko, do czego się nadawały. W chwilach, kiedy nie telepało mną z zimna podczas snu, telepało mną z zimna na jawie. To była okropna noc; noc, która ciągnęła się w nieskończoność; noc, kiedy połykałam bezgłośnie łzy i modliłam się (po raz pierwszy od ponad roku) o to, żeby na wschodzie wreszcie zamajaczyła luna nowego dnia.

Kiedy ten moment wreszcie nadszedł, wydostałam się spomiędzy ruin i podjęłam przerwany marsz. Byłam zmęczona, mięśnie miałam jak z ołówku, a usta spuchnięte do rozmiarów dętki od roweru – w nocy pęknięcie na wardze co chwilę otwierało się na nowo i czułam na języku kolejne strużki krwi.

Tym razem nogi nie przypominały sobie tajników swojej sztuki tak szybko i przez bite trzy godziny poruszałam się z gracją inwalidy. Momentami przeklinałam co sił w płucach, ale, rzecz jasna, nie zdało się to na wiele.

Do Wrocławia nie zbliżałam się od czasu pierwszych bombardowań. Unikałam zresztą wszystkich większych skupisk ludzkich, co, zważyszy na obecny stan Świdnicy, wydało się całkiem rozsądny pomysł. Spodziewałam się zniszczeń – trudno było łudzić się, że miasto tej wielkości pozostało nienaruszone.

O tym, że jestem blisko, poinformowała mnie do połowy wkopana w ziemię, osmolona i powyginana tablica, na której z trudem odczytałam napis „Bielany Wrocławskie”. Gdy podniosłam wzrok i rozejrzałam się wokoło, zaparło mi dech w piersiach.

Po gigantycznym, podwrocławskim centrum handlowym, na które składało się siedemnaście hipermarketów, cztery fabryki, olbrzymi ośrodek rekreacyjny i kilka niewielkich osiedli, nie pozostało absolutnie nic. Droga przede mną stopniowo ginęła pod coraz to większymi zwalami gruzu, zaś okolice stanowiły wyłącznie zgłiszczę. Dobre dwieście, trzysta metrów dalej teren urywał się gwałtownie, by zrobić miejsce kraterowi o średnicy kilku kilometrów.

Zbliżyłam się do krawędzi potężnej wyrwy na jakieś sto metrów, po czym znowu się zatrzymałam. Wyobrażałam sobie oczywiście, jakie zniszczenia musi powodować bomba wodorowa, ale ujrzeć taki ogrom destrukcji... po prostu niebyt, w miejscu, gdzie kiedyś istniało tak wiele rzeczy i tyle się działało... było przerażające. Budynki, samochody, ludzie – to wszystko nawet nie zostało zniszczone, ale wyparowało.

Zaczęłam obchodzić krater łukiem, z trudem wyszukując drogę pośród gruzów. Przyspieszyć udawało mi się tylko wtedy, gdy trafiałam na fragmenty, gdzie ognisty podmuch musiał zamienić wszystko na swej drodze w płynną mieszankę kamienia i metalu. Szło się po tym nie gorzej niż po asfalcie i wyobrażałam sobie, że podobnie musi wyglądać spacer po jezorze zastygłej lawy.

Byłam umordowana, spocona, spalona słońcem, a do tego głodna i spragniona, kiedy chwilę po czwartej znalazłam się z powrotem na drodze, którą podążałam wcześniej, po drugiej stronie krateru. W oddali majaczyły bryły zrujnowanych budynków, niektóre sięgające na dziesiątki metrów w niebo. Przyspieszyłam, chociaż wydawało mi się, że z każdym kolejnym krokiem zaczynam słaniać się na nogach. Mimo to parlam uparcie przed siebie. Krok za krokiem, krok za krokiem, aż do celu, ku budynkom, które tak wolno się zbliżały. Pamiętałam, że siedziba radia znajdowała się na południowym skraju miasta i dzieliły mnie od niej nie więcej niż dwa kilometry. Nie patrzyłam praktycznie na zasiane śmieciami, gruzem oraz pyłem chodniki i ulice; nie interesowały mnie mijane budynki – żelbetowe szkielety o podstawach otoczonych brudno-połyskliwą taflą stopionego szkła. Gdy trafiłam na znajome skrzyżowanie Karkonoskiej i Wyścigowej, nie wytrzymałam i puściłam się biegiem.

Przebiegłem kawałek, zasapałam się potwornie, przeszłam w trucht, po czym raz jeszcze przyspieszyłam, gdy pokazał się szereg anten rozmieszczonych wokół podłużnego gmachu, o dachu pokrytym brudną, zakurzoną czernią ogniw słonecznych. Kątem oka dojrzałam, że na bramie starego cmentarza żołnierzy radzieckich ktoś napisał sprayem:

To nie koniec podróży, ale dopiero początek. Umarłych prosimy o zapięcie pasów.

Przemknęło mi przez myśl skojarzenie z Podróżą Umarłego, Jornada del Muerto, tą pustynią w Stanach, gdzie to wszystko tak naprawdę się zaczęło, gdzie dokonano pierwszej na świecie próby atomowej.

Później nie miałam już czasu myśleć.

Z trudem łapiąc oddech i ledwo trzymając się na nogach, stanęłam przed gmachem Polskiego Radia Wrocław.



Wewnątrz budynek prezentował się podobnie, jak od zewnątrz – najwyraźniej wraz z kilkoma najbliższymi mu posesjami cudem uniknął większych zniszczeń. Od północy graniczył z wysokim nasypem kolejowym i podejrzewałałam, że to właśnie ów nasyp mógl zlagodzić ewentualną falę uderzeniową idącą od strony centrum, tak samo jak wysokie wały czteropasmowej estakady uchroniły te tereny od zniszczeń, które dotknęły Bielany.

W holu zwolniłam. Po moim wcześniejszym pośpiechu nie pozostał nawet ślad. Byłam tu, wreszcie tu byłam, po tych wszystkich trudach. Szłam powoli, wsłuchując się w odgłos własnych kroków na płytach posadzki.

Odnalazłam na tablicy numery pokoi, gdzie nagrywano i nadawano audycje. Ruszyłam po schodach na piętro, później skręciłam w ciemny korytarz. Nacisnęłam włącznik światła, ale nic się nie stało. Jasno było tylko na tyle, na ile trochę słońca wpadało do poszczególnych

pomieszczeń przez okna, stamtąd zaś przez otwarte drzwi na korytarz. Bordowa wykładzina tłumiała moje kroki, gdy sunęłam wzdłuż szeregu identycznych wejść.

Z ciekawości zajrzałam do pokoju z napisem „STUDIO”, ale zobaczyłam tylko ściany wygłuszone jakąś popielatą pianką i metalowe biurko z komputerem. W kącie stało parę pudeł, a na ziemi wiły się rozmaite kable. Nie było tu okien, więc nie mogłam dostrzec nic więcej. Poszłam dalej.

Następne pomieszczenie było tym, którego szukałam. Olbrzymie okna wpuszczaly do środka mnóstwo światła, pozwalając mi dokładnie się rozejrzeć. Na dwóch ścianach wisiały filmowe plakaty: „Ojciec Chrzestny”, „Bękarty wojny”, „Mad Max: Odrodzenie”, „Wieczne Gotham”; na trzeciej ujrzałam cztery gitary elektryczne – chyba jeden model, tyle że w różnych kolorach. Mniej więcej na środku pomieszczenia stał szeroki stół oraz parę krzesel, w kącie – wyłożona skórą kanapa. Większość miejsca na stole zajmowały dwa komputery, konsola, dwa mikrofony i jakaś czarna aparatura, która skojarzyła mi się z futurystyczną wersją automatycznej sekretarki. Najpewniej swego czasu służyła do zarządzania odebranymi połączeniami.

Minęła chwila, zanim zaczęłam zauważać szczegóły: kubek z niedopitą kawą przy jednym z monitorów, stary magazyn muzyczny wcisnięty w szczelinę przy oparciu kanapy, zgniecioną chusteczkę higieniczną porzuconą obok małego kubelka na śmieci. Ktoś tu był i w dodatku był tu niedawno. Bardzo niedawno.

Chyba dopiero wtedy faktycznie uwierzyłam, że to prawda. Musiałam ujrzeć to miejsce na własne oczy, żeby przyjąć do wiadomości, że to, co wcześniej słyszałam, nie było halucynacją, ułudą, mirażem w wersji audio. Tu naprawdę ktoś był, ten ktoś, kto puszczał muzykę i mówił do mikrofonu; ten ktoś, kto – dopiero teraz to zrozumiałam – w ostatnich dniach nadał mojemu życiu sens.

Spod jednej z klawiatur wystawał plik kartek zapisanych nieco koślawym pismem. W jednej z nich rozpoznałam spis utworów i ogólny zamysł tego, co spiker miał powiedzieć w audycji poświęconej śmierci

i piękną – tej audycji, od której wszystko się dla mnie zaczęło. Z szybko bijącym sercem przejrzałam inne kartki.

Było ich sporo. Znalazłam plan audycji o samotności oraz tej o łagdowaniu na księżyku, a także wiele innych. Chłopak musiał zajmować się tym już od paru tygodni, gdy przypadkiem trafiłam na jego głos w tej chatce na odludziu. Wydawało mi się, że od tamtej chwili minęły całe lata.

Wreszcie odnalazłam kartkę, która prawdopodobnie stanowiła plan wczorajszej audycji. Zapiski były szczątkowe i poczułam, jak w miarę ich czytania włosy jeżą mi się na karku.

Usterka techniczna, problem z bateriami słonecznymi. Ostatnia audycja. Podziękować, życzyć powodzenia.

Anita Lipnicka i John Porter, płyta Goodbye, aż do wyczerpania zapasu energii.

Nie mogłam w to uwierzyć. Czytałam te słowa raz po raz, jakby mogło to coś zmienić. Dla pewności wcisnęłam włącznik jednego z komputerów. Nic się nie stało.

Schowałam twarz w dloniach i zaczęłam płakać. Powtarzałam sobie, że to nic nie znaczy, że pewnie ten chłopak pokręci się w okolicy jeszcze przez kilka dni, żeby sprawdzić, czy nikt się tu nie zjawi, i wtedy się spotkamy. Wmawiałam sobie, że przecież wszystkie te wysiłki nie mogły pójść na marne.

Poderwałam się z miejsca, otarłam twarz.

– Hej! – krzyknęłam albo raczej zaskrzeczałam. Głos miałam słabą, kruchy, szorstki jak spalone słońcem źdóżło trawy. Mimo wszystko krzyknęłam jeszcze raz, i jeszcze raz. I jeszcze. Nie mogłam się poddać. Nie po tym, co przeszłam. – Hej! Jest tu kto? Halo?!

Wyszłam z reżyserki i podążyłam korytarzem. Otwierałam kolejne drzwi, zaglądałam do pokoi, składzików, elegancko wykafelkowanych łazienek. Krzyczałam, a łzy spływały mi po policzkach, kapały z brody na wykładzinę. Pusto. Nigdzie żywego ducha, nawet śladów ludzkiej bytności jak na lekarstwo.

– Hej! Czy ktoś mnie słyszy? Proszę, odezwij się!

Cisza, martwa i głucha. Zaczęłam biec. Wpadałam do pomieszczeń, dopadałam do okien i wyglądałam na zewnątrz. Gdzie on mógł być? Naprawdę tak szybko się poddał? Usterka techniczna... czemu nie próbował jej naprawić, zrobić czegoś? Czemu tak szybko dał za wygraną?

Wpadłam w amok. Nie nagle, ale powoli, stopniowo, osunęłam się w szal jak w miękki, puchaty śnieg. Przestałam panować nad sobą. Biegałam z miejsca w miejsce, wrzeszczałam, tłukłam rökoma w ściany, kopałam odsłonięte rury. Miałam ochotę rwać zębami przewody w gumowej izolacji, wybijać okna i miażdżyć w dloniach odłamki szkła. Wypadłam nawet na zewnątrz budynku i obiegłam go dookoła, krzycząc wniebogłosy, do utraty tchu, wywrzaskując całą frustrację, cały ból, cały sprzeciw wobec tego, co świat ze mną robił.

W końcu wróciłam do środka, odnalazłam reżyserkę, skąd jeszcze dwa dni wcześniej ten nieznajomy chłopak posytał w eter swoje słowa i dźwięki wybranych nagrani. Usiadłam na kanapie, głowę oparłam na kolana, dlonie wsunęłam we włosy, złączylam je na karku. Jakbym przygotowywała się do awaryjnego lądowania samolotu. Jakbym czeała, aż rzeczywistość uderzy we mnie z pełną siłą, aż dotrze do mnie świadomość, że się spóźniłam.

Nienawidziłam samej siebie, swojej słabości, kalkulacji, przesadnej ostrożności. Mogłam przecież iść dalej poprzedniego wieczora. Mogłam poddać się instynktowi i z całych sił dążyć do spotkania, postawić wszystko na jedną kartę, walczyć, walczyć i jeszcze raz walczyć. Zamiast tego chciałam być ostrożna i przegrałam wszystko. Teraz nie miałam absolutnie nic. Znowu byłam sama, słaba, bezradna, pozbawiona sensu i celu.

Osunęłam się na podłogę i zaczęłam jękić z rozpacz, bijąc pięściami w miękką wykładzinę. Byłam jak małe, bezsilne dziecko. Oddałabym wszystko, żeby znalazła się ktoś, kto mnie przytuli, pocieszy, obroni przed całym złem albo przynajmniej skłamie mi na ucho, że wszystko będzie dobrze.

W tej właśnie chwili w drzwiach stanął on.



Minęły prawie dwa tygodnie, nim zdołaliśmy ustalić przyczynę awarii i wymienić kabel. Nie ukrywam, że moje obycie z elektroniką miało tu pewne znaczenie. W każdym razie udało się nam i dokładnie w trzynaste dni po moim przybyciu do Wrocławia, siedzieliśmy przed dwoma komputerami, których monitory roztaczały wokół bladozielony blask. Z głośników rozbrzmiewała ostatnie dźwięki utworu, który tego dnia otwierał audycję.

– Witajcie – powiedział, nachylając się do mikrofonu. – Mam nadzieję, że się nie stęskniliście.

Spojrzał na mnie i ścisnął moją dłoń. To uczucie wciąż było dziwne, ale na pewno nie nieprzyjemne.

– Witajcie – rzekłam drżącym z przejęcia głosem. – Słuchacie „Kołysanki dla umarłych”.

ZŁY SZELĄG

Well, like a bad penny you've turned up again,
You're in my sights, there's a mist on my lens.
I think you know how it was when I tripped and fell,
Well, you double-dealed me, baby and I broke like a shell.

93

Rory Gallagher „Bad Penny”

- A ty, przyjacielu? Na co ty chorujesz?

Kiedy fala pędząca z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę uderza w osłonę z polikarbonatu, huk, jaki temu towarzyszy, przypomina eksplozję. Woda w olbrzymim rozprysku dociera nawet sto metrów w górę kopuły, a powietrze rozdziera upiorny jęk sprężynującej siatki. Parę kolejnych sekund upływa przy odgłosie strumyka puszczonego rynną z cienkiej blachy. Później całość się powtarza. Każdy normalny człowiek po kilku godzinach słuchania w kółko takich hałasów przestałby być normalnym człowiekiem. Nic dziwnego, że tereny najbliższej osłony zamieszkuje w zasadzie tylko biedota i społeczne męty z mózgami przeżartymi przez syntropoidy.

– No więc? Co za paskudztwo masz?

Facet cuchnął octem i starym olejem. Kombinezon z lateksu czy innego podobnego gówna kleił mu się do ciała, po gębie pokrytej kroстami spływał pot. W ładowni frachtowca było gorąco i duszno jak w piekle, a czerwone światło diodowych lamp budziło skojarzenia z ogniem buzującym pod kotłami zarezerwowanymi dla największych grzeszników.

– Zostaw mnie w spokoju – odparłem.

– Co jest? Wstydzisz się? Ja mam gruźlicę, świerzba i raka prostaty. – Mój współpasażer zachichotał. Kolejny huk uderzającej fali zagłuszył kilka kolejnych słów – ...pozwolił sobie zaszczepić stwardnienie rozsiane, ale zmarł, zanim zdążył to świństwo dowlec do biorcy. Nie wyobrażasz sobie, jaką forsa mu czmychnęła przed nosa. Słyszałem, że najlepszą kasę można zrobić na wągliku czy eboli. Są ludzie, którzy zapłaciliby krocie za podobne cudeńka. Ja się nie bawię w takie rzeczy, za duże ryzyko. Wolę mniej kas, ale dłuższe życie. No, a jak jest z tobą? Co ty masz?

94

Nie zdążyłem odpowiedzieć i całe szczęście. Coś uderzyło w klapę, zaskoczyła hydraulika, nad naszymi głowami pojawiła się najpierw wąska szczelina, później spory otwór.

– Wy dwaj. – We włazie pojawiła się twarz. – Już po kontroli. Za pięć minut ma was tu nie być.

Na ramię zarzuciłem torbę, przez szyję przewiesiłem futerał z caitchą. Miałem już wychodzić, kiedy poczułem szarpnięcie.

– Nie odpowiedziałeś.

Wystarczyłby ułamek sekundy, jedno napięcie mięśni, żeby strumień adrenaliny trafił mi z chipa prosto do mózgu, a wzmacnione aramidami dlonie równocześnie zmiażdżyły mężczyźnie krtań i złamały mostek.

Nie poruszyłem się. Zamiast tego odpowiedziałem:

– Ja? Ja mam złamane serce.

Przyglądał mi się, jakbym mówił po norwesku. Później wysilił ostatnie szare komórki i wyszczerzył zęby.

– To znaczy w przenośni? – zapytał. Spojrzał mi w oczy i puścił moje ramię.

– Nie. Nie w przenośni.

Trap trzeszczał pod moimi stopami, a Atlantis wyciągało do mnie ręce – chude, chorobliwie sine ramiona trupa. Chciało mnie objąć, przytulić, powitać jak dawno niewidzianego syna.

Nareszcie.



Ty. Zawsze Ty.

Nawiedzasz mnie w snach. Nie dajesz zapomnieć. Nie dajesz nawet odpuścić. Ile razy pomyślę, że już po wszystkim – wracasz.

Jak zły szeląg.

Nigdy mnie nie opuszczasz.



Filia noclegowni Quin-Yung wyglądała tak samo, jak w każdym innym większym mieście. Nieduży dziedziniec z plastikowymi sprzętami, ochroniarzem wyglądającym jak małpa wciśnięta w garnitur ze sklepu Armii Zbawienia i stuletnim recepcjonistą. Wokół dziedzińca strzelające ku niebu ściany napchane okrągłymi, przesklonymi drzwiczками przypominającymi bulaje. Setki okienek, w niektórych paliło się zimne, niebieskawe światło.

Zapłaciłem za jedną noc, dostałem plastikową kartę dostępu i skierowałem się do właściwej windy. Wjechałem na siedemnaste piętro i wyszedłem na galerię z metalowej kratki. Jak w każdej innej placówce Quin-Yung, piętro miało dokładnie metr wysokości, przeszedłem więc na czworaka pod właściwy bulaj i wgramoliłem się do środka. Tuba była głęboka na nieco ponad dwa metry, wyłożona pianką. W powietrzu wciąż unosił się zapaszek gazu czyszczącego.

Nie byłem śpiący. Wrzuciłem torbę i futerał z caitchą w głąb tuby, zamknąłem okrągłe drzwiczki i wróciłem do windy.

Powietrze trwało ciepłe i nieruchome, ulice zalewał blask dziesiątek neonów, lamp, ekranów diodowych czy holoprojekcji. Światło nie sięgało

kopuły rozpiętej kilkaset metrów nad miastem i można było odnieść wrażenie, że nad Atlantis rozciąga się zwyczajne nocne niebo, skrzetnie zakryte chmurami.

Nogi mnie poniosły ku kwartałowi Cleito – dzielnicy nocnych klubów, burdeli, nieustannie otwartych barów. Szybko otoczyły mnie dźwięki i zapachy dochodzące z różnych lokal: synkopowy cosmo-jazz z Nine O'Clock mieszał się z szaleńczym tech-grindem z Gue-Te-Kamas; woń syntetycznego curry i grillowanej polenty ze sproszkowanej kukurydzy walczyła o lepsze z afrodyzjakami pokroju olejku z drzewa sandałowego. Przed którymś z domów uciechy para nagich modeli zamknięta w szklanym sześcianie prezentowała grę wstępna, przed innym podobny duet tkwił w zawieszonej nad ziemią klatce, a w ruch szły bicze, kajdanki i kneble. Widzów mieli niewielu – więcej osób przyciągał chociażby wspomniany Nine O'Clock, gdzie w cenie biletu każdy dostawał局长kę coreoiny prosto w żyle. Szedłem główną ulicą, błądząc wzrokiem od wejścia do wejścia, od neonu do neonu. W końcu zajrzałem do jakiegoś w miarę neutralnego baru z tajskim żarciem, zamówiłem pierwsze danie z brzegu. Usiadłem przy stoliku i czekałem.

– Mogę się dosiąść? – zapytał zgarbiony chłopak ze szczerbatym usmieszkiem. Wyrósł jak spod ziemi i zajął miejsce naprzeciwko, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Miał skośne oczy i czarne włosy z czerwonym pochlaskiem, na grzbiecie brudny płaszcz z tysiącem kieszeni. Roztaczał wokół zapach tanich perfum typu unisex. – Dopiero co przyjechałeś? To widać. Nasłuchajesz się o Atlantis i pomyślałeś, że tu będzie fajnie, co? Mówię ci, facet, tu nie jest fajnie, tu jest re-we-la-cyj-nie! Tyle że można łatwo kojfnąć. Wiesz, co mam na myśli, facet?

Pokręciłem głową. Nie drażnił mnie na tyle, żeby mu coś zrobić, poza tym takie cwaniaczki lubiły trzymać jakąś niespodziankę w zanadrzu. Pozwoliłem mu mówić, w nadziei, że za chwilę sam się odczepi.

– Kojfnąć. Kopnąć w kalendarz. Skasować twardziela. Płasnąć w nie-byt. Nazywaj to, jak chcesz! – Nieznajomy nachylił się nad stołem, spojrzał w stronę sufitu i kontynuował konspiracyjnym szeptem: – Chodzi o to promieniowanie, facet. Władze mówią, że osłona wszystko załatwia,

ale ja wiem, że tak nie jest. Te przeklęte promienie przedostają się tutaj cały czas, słyszysz, cały pieprzony czas, wyżerają ci mózg, wyżerają ci oczy. Rozumiesz, co mówię, facet? To jakbyś miał we łbie jakieś cholerne larwy, które dobierają się do ciebie od środka. Kumasz, facet? Larwy! Ale nie bój duszy, ja pomagam takim jak ty. Wystarczy, że mnie posłuchasz.

Z kieszeni płaszcza wyciągnął okulary przeciwsłoneczne i kilka plastikowych ampułek.

– Słuchaj, facet, podobasz mi się – mówił dalej. – Dobrze ci z oczu patrzy. Wystarczy, że kupisz te okulary ochronne i zestaw leków. Starczą na tygodniowy pobyt w Atlantis. Wytluką te pieprzone larwy w twoim pieprzonym mózgu! Ja ci, facet, chcę życie uratować i to za śmieszne dwadzieścia zielonych. Dwadzieścia zielonych za zdrowy mózg i oczy, których nie będzie wypalało to cholerne słońce, wyobrażasz sobie, facet? Więc jak?

Kelnerka przyniosła mi taczkę z żarciem. Stek przy pierwszym nakłuciu puścił na talerz chyba z pół litra wody, a kasza przypominała sklejoną bryłę o smaku mokrego papieru. Zabrałem się do jedzenia.

– No i jak? – spytał chłopak, nieco zaskoczony moim brakiem reakcji.

– Dam ci dwadzieścia zielonych – odparłem – jeśli w ciągu godziny dowiesz się, gdzie znajdę Carlę de Vicko.

Nie był głupi. Spojrzał mi w oczy, później na zegarek, zapakował okulary i zestaw ampułek z powrotem do kieszeni.

– Zdążyę – powiedział i już go nie było.



To Ty nazwałaś mnie Minstrelem. To była jedna z Twoich cudownych słabostek – słowa, które zatraciły już znaczenie, zatarły się w pamięci kolektywu, ale w jakiś sposób wciąż dobrze układały na języku.

– Jesteś moim Minstrelem – mawiałaś. – Graj dla mnie. Graj na swojej caitchy.

Później leżałaś na pościeli z białej satyny, zamykałaś oczy i mruczałaś cicho do melodii płynącej z instrumentu. Wciąż pamiętam szelest Twoich

nagich stóp na prześcieradle, ciało preżĄce się leniwie w zgodzie z rozciąganimi w nieskończoności akordami.

To Ty nazwałaś mnie Minstrelem.

To Ty mnie stworzyłaś.



Nie pojawił się. Czekałem równo godzinę, później wyszedłem i ruszyłem z powrotem do noclegowni. Jeśli tacy jak ten chłopak się spóźniali, to znaczyło, że w ogóle nie przyjdą.

Z tego, że się pomyliłem, zdałem sobie sprawę dopiero, gdy było już za późno. Wszedłem w głąb wąskiej uliczki, kiedy zauważyłem, że mam ogon. Zerknąłem przez ramię: szedł za mną wysoki mężczyzna w jednoscieciowym stroju z kevlaru czy czegoś podobnego. Na biodrze miał spluwę, drugą pod pachą. Popatrzyłem przed siebie w tej samej chwili, gdy w wylocie uliczki stanęła kolejna postać. Miecz przewieszony przez plecy, w dłoni automat, spodnie i kurta wzmacnione płytami tytanu. Stanąłem w miejscu, oni zaczęli się zbliżać. Powoli, jak koty niechcące spłoszyć ptaka. Ale ja przecież nie potrafiłem latać.

– Słyszeliście kiedyś o ataku z zaskoczenia? – spytałem, kiedy znaleźli się mniej więcej w równej odległości; każdego dzieliło ode mnie dobrych parę kroków. Drgałem ledwie zauważalnie, kiedy dziesięć różnych substancji pobudzających równocześnie trafiło mi do mózgu.

Obróciłem się w stronę tego z pistoletami, ruszyłem biegem. Zanim zdążył wycelować, pokonałem połowę dystansu, później skoczyłem w stronę ściany i odbiłem się od niej nogą. Rozległ się huk wystrzałów, kule świsnęły obok mnie. W mgnieniu oka znalazłem się po drugiej stronie niefortunnego rewolwerowca, chwyciłem go za prawą rękę i złamałem ją na kolanie. Nim zdążył wrzasnąć z bólu, kopniak w piszczel posłał go na ziemię, a grzmotnięcie z łokcia w ucho pozbawiło przytomności. Legł jak długi, a jego pistolet pozostał w mojej dłoni. Zdążyłem wybić się w powietrze – podrasowane stawy skokowe wyrzuciły mnie dwa metry w górę – i uniknąć serii z automatu. Padłem na ziemię,

przeturlałem się pod ścianę i sam zacząłem strzelać. Ten z mieczem był dużo lepszy; może po prostu więcej zainwestował w dopalacze. Usunął mi się przed muszki, pociski śmignęły w mrok z szalonym gwizdem. Przy okazji zmniejszył dystans, dzieliło nas góra piętnaście kroków. Powtórzył mój manewr: skoczył na ścianę i odbił się od niej nogą tak szybko, że nie zdążyłbym wycelować. Tyle że nie zamierzałem tego robić. Byłem spokojny i opanowany, a gdy tylko zobaczyłem, co planuje, reakcję miałem przygotowaną – wmontowany mikroprocesor w ułamku sekundy wyliczył, gdzie mężczyznna spadnie. Wylądował mi przed muszką i przyjął trzy kule prosto na klatkę piersiową. Zatańczył, jakby asfalt uciekł mu spod nóg i w końcu padł na ziemię, plując krwią. Czwarty pocisk skrócił jego cierplenie.

Podszedłem do nieprzytomnego najemnika, odnalazłem palcami odpowiednie nerwy na szyi. Nacisnąłem je, a mężczyzna przebudził się z jękiem. Złamane ramię musiało boleć jak cholera.

– Posłuchaj mnie – powiedziałem i pozwoliłem mu spojrzeć w lufę jego własnej broni. – Wiem, kto cię wynajął i dlaczego. Wiem, że w którymś zaułku leży martwy chłopak z czerwonymi włosami, a nie żyje tylko dlatego, że zadawał nieodpowiednie pytanie nieodpowiednim ludziom. Przestań więc skamleć i teraz ty odpowiedz mi na jedno ważne pytanie: gdzie ona jest?

Wyglądał, jakby przez moment chciał zapytać, kogo mam na myśli. Spojrzał jeszcze raz prosto w lufę i nie popełnił tego błędu. Zamiast tego, wykrztusił:

– PoseidonQuay. Rezydencja numer siedemdziesiąt trzy.



– Zagraj dla mnie – poprosiłaś. – Jeszcze raz.

A ja grałem. Głupi szczeniak przekonany, że jeśli wzbiże się na wyżyny, jeśli zagra dość dobrze, może zmienisz zdanie. Może wreszcie uwierzysz, że wszystko jest możliwe. Tak jak ja wierzyłem.



Przebudzenie w tubie sypialnej nie jest przyjemne: w Quin-Yung przeażnie nawala wentylacja, o klimatyzacji nie wspominając, a ty budzisz się w klaustrofobicznie małym cylindrze, zdając sobie nagle sprawę z tego, że brakuje ci powietrza. Jesteś cały spocony, pianka śmierdzi tobą tak, jak nie sądziłeś, że cokolwiek może śmierdzić, jest gorąco, a głowa pulsuje ci bólem, który szybko nie przejdzie. Idąc spać można oczywiście zostawić uchylone drzwiczki tuby, ale nie wiem po co. Istnieją przecież dużo łatwiejsze i pewniejsze sposoby popełnienia samobójstwa.

Otwierasz bulaj i przez chwilę po prostu oddychasz, zaczynasz wysychać. Powietrze się stopniowo wymienia, mija kwadrans i gdyby nie ten smród zapoconej syntetycznej pianki, dałoby się żyć.

Na galeryjce z metalowej siatki czekał na mnie czarnoskóry dziesięciolatek. Miał kręcone tlenione włosy i ślad po oparzeniu na cały prawy policzek. Tatuaż na przedramieniu układał się w nazwę miasta: Atlantis. Chłopak siedział w samych slipkach, machając nogami i patrząc, jak wycołguję się z tuby.

– Czy to caitcha? – spytał, widząc futerał. Nie ukrywał zdziwienia: mało który pięćdziesięciolatek pamiętał o tym, że kiedyś istniał taki instrument, a ten szczeniak rozpoznał go po samym pokrowcu.

- Tak.
- Umie pan na tym grać?
- Inaczej już dawno bym ją opchnął.
- Pokażę mi pan?
- Lubisz muzykę?

Pokiwał głową. Poczułem się głupio, ale rzuciłem torbę na galeryjkę, przysiadłem obok chłopaka i otworzyłem futerał. Rząd klawiszy kusił palce gładkością kości słoniowej, pokrętła z cichym szczękiem wylądowały na właściwych pozycjach. Prawą dlonią ująłem korbkę, środkowym palcem lewej chwyciłem strunę odpowiadającą za otwieranie i zamknięcie otworów rezonansowych. Pozostałymi palcami dotknąłem klawiszy.

- Jest piękna – zauważył chłopak.
- To prawda.
- Jak pan nie chce na niej grać, to nie szkodzi. Miło było ją choćby zobaczyć. Poza tym, to chyba nie najlepsze miejsce dla takiego instrumentu.

Oblizałem wargi. Przypomniałem sobie dziesiątki przyjęć, na których grywałem na mojej caitchy, kiedy za muzykę dostawałem tyle szmalu, że mógłbym się nim podcierać. A potem popatrzyłem w oczy chłopca. Caitcha drżała mi w dłoniach, jakby rwała się do gry, jakby nie mogła się doczekać, kiedy znowu będzie tworzyła dźwięki.

- To doskonałe miejsce dla niej – zapewniłem.

Poruszyłem korbą, by nadać utworowi tempo. Klawisze poszły w ruch, wydając na świat kolejne akordy, a obwody połączone z pokrętlami nadawały dźwiękom pełne, soczyste brzmienie – raz ciągnące się jak gorący karmel, kiedy indziej zwiewne niczym mgła. W połowie utworu przesunąłem jedno z pokręteł i dźwięk rozmył się, rozprzestrzenił, wzbogacił o słabe echo. Dwa motywy przeplatały się ze sobą, urozmaicane pojedynczymi dźwiękami lub króciutkimi, jednotaktowymi pasażami. W końcu korbka zaczęła zwalniać, pomiędzy kolejne tony wdarła się cisza, aż wreszcie wybrzmiała ostatnia nuta, gasnąc powoli jak rozżarzony węgiel.

- Czy to trudne? – spytał chłopiec. – Móglbym się tego nauczyć?
- Nie bardzo, po prostu wymaga ćwiczeń. Ale niełatwo znaleźć taki instrument. Od dawna już ich nie produkuję.

Pokiwał głową, jakby nie spodziewał się niczego innego. Mieszkając w takim miejscu jak Atlantis, człowiek musiał być przyzwyczajony do tego, że los ciągle śmieje mu się w twarz.

- Niech pan już lepiej idzie – poradził. – Na dole czeka na pana policja. Lepiej żeby pan poszedł do nich, niż żeby oni przyszli po pana.



Było tak, jak mówił mały: czekała na mnie policja. Co prawda tylko w jednej osobie, ale to nieważne. Kiedy przychodzi po ciebie sam nadkomisarz służb Atlantis, Leon Gireaux, idziesz z nim, dokąd każe.

Szczególnie jeśli znacie się od przeszło dwudziestu lat.

Gireaux był potężnym facetem o kwadratowej szczęce, łysej czaszce i spojrzeniu starego żołnierza. Miał czterdzieści lat i tyle implantów, że mógłby nimi obdzielić cały pluton. Kiedy wysiadłem z windy, przyjrzał mi się i powiedział:

– Ryj na kłódkę i dupa w troki. Idziesz ze mną.

Atlantis wypełniała duszna szarówka, przez osłonę z polikarbonatu przedostawało się na drugą stronę niewiele światła. W ciągu dnia wygądało to tak, jakby nad miastem rozciągała się ołowiana pajęczyna, a przestrzeń pomiędzy kolejnymi nićmi wypełniała jasnoszara masa.

Zaprowadził mnie do Savoy – jednego z tych lokali, gdzie płaci się za samą myśl o kawie i cholernym croissancie. Usiedliśmy w rogu, Gireaux w paru oszczędnych ruchach wybrał szereg opcji na małym panelu. Interaktywne ściany zaraz zamieniły się w hiperrealny obraz sosnowego lasu, krzesła i stół przyjęły wygląd wiklinowych mebli, z głośników popłynął śpiew ptaków i szmer strumienia. Przed nami pojawiły się holografie dań i napojów; wystarczyło przesunąć ręką, by miejsce sałatki warzywnej zajął omlet, a soku ze świeżych pomarańczy – filiżanka aromatycznego espresso. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, że miejsca takie jak Savoy i noclegownia Quin-Yung znajdują się zaledwie kilka minut drogi od siebie.

Złożyliśmy zamówienie na sumę, jaką normalnie wydawałem w ciągu tygodnia lub dwóch.

– Dobrze ci się wiedzie – zauważylem.

– Nie narzekam – odparł. – Na pewno lepiej niż tobie.

– Muzykom dają obecnie mniejsze napiwki niż glinom. Chociaż zdaje się, że u was nazywają to łapówkami.

– To kwestia terminologii. Ja wolę się nie bawić w szufladki i nazywam je pieniędzmi. Skądkolwiek pochodzą, są warte tyle samo. I znacznie lepiej je mieć, niż ich nie mieć.

Kelnerka przyniosła nam zamówione dania. Ich zapach i wygląd po- działał na mnie jak uderzenie pioruna. Nie pamiętałem już, kiedy ostatnio miałem w ustach prawdziwe jedzenie, a nie jakąś pozbawioną smaku papkę zmajstrowaną z syntetycznych półproduktów.

– Przekonałeś mnie – powiedziałem, nabijając pierwszy kęs na widelec.

– Skoro tak, to podejrzewam, że chętnie weźmiesz forsy, którą ci za- oferuję i się stąd wyniesiesz.

– Pieniądze? – zdziwiłem się. – Za to, żebym wyjechał? Tego jeszcze nie słyszałem. Ile?

– Dziesięć tysięcy.

Gwizdnąłem przezzęby. Kelnerka zmierzyła mnie takim spojrzeniem, jakbym co najmniej załatwiał się na środku lokalu.

– Kupa forsy – przyznałem. – Kto jest tak hojny?

– Ona. Carla de Vicko.

Znieruchomiałem z widelcem w połowie drogi między talerzem a ustami.

– Kłamiesz – powiedziałem. – To niemożliwe.

Gireaux otarł usta serwetką, odsunął częściowo opróżniony talerz na bok i pochylił się w moją stronę, opierając łokcie na stole.

– Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że może ona naprawdę ma cię w dupie? – spytał. – Ile się już tułasz jej tropem? Dziesięć lat? Dwanaście? To cholernie długo nawet na takiego osła jak ty. Z miasta do miasta, ilekroć ona się przenosi, ty za nią, jak pies. Kiedyś może byłeś nawet zabawny, ale zdążyłeś zacząć ją nudzić. Cholera, może ona się ciebie nawet boi? Kto wie, co tam się urodziło w tej twojej zakutej pale przez lata wędrówki?

– A może boi się o mnie? – spytałem. – Może boi się, że, jeśli się zbliżę, jej cholerny mężulek w końcu dopnie swego i mnie załatwii?

– Ona? O ciebie? Bądź poważny. Kim ty jesteś, żeby współwłaścicielka VickolIndustries miała się o ciebie martwić?

– Powiedz, że Roland de Vicko cię nie kupił – zażądałem. – Że gdy- bym nie przyjechał ukradkiem, twoje psy nie odmówiąby mi wstępu do miasta.

Gireaux parsknął śmiechem, sięgnął po kolejny kęs rogalika z pastą rybną. Przegryzł go, zapił kawą i dopiero wtedy się odezwał:

– Posłuchaj mnie, Dorian – zwrócił się do mnie po imieniu. Znał mnie, jeszcze zanim ludzie zaczęli tytułować mnie Minstrelem. Znał mnie, kiedy jeszcze miałem nazwisko i to nazwisko coś dla mnie znaczyło. – Mówię teraz nie jako szef tutejszej policji, ale przyjaciel. W Atlantis wszystko jest na sprzedaż. Do diabła, jacyś skurwiele nawet szmuglują do miasta choroby, żeby zarażać mieszkańców i żeby przeklęte firmy farmaceutyczne miały swój urobek. Wyobrażasz sobie? Ale do rzeczy. Fakt, dostałem kasę za to, żeby trzymać cię z dala od miasta. Gdybyś się jednak pojawił, miałem ci zaoferować odpowiednią sumę, żebyś się łaskawie wyniósł. Nie chcą cię tutaj i wczorajszy atak powinien dać ci to wyraźnie do zrozumienia. Tak, znaleźliśmy tych dwóch, domyśliłem się, że to twoje dzieło. Przejrzyj na oczy, Dorian. Weź forsę, póki dają, i wyróż się stąd. Poukładaj sobie gdzieś życie. Mówię ci to jako przyjaciel.

Uniósł dłoń, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

104

– Teraz, Minstrelu – powiedział już bardziej oficjalnym tonem. – Pozwól, że powiem ci jedno. Jako szef policji Atlantis. Rezydencja de Vicko jest pod ochroną moich ludzi. Póki nie złamiesz prawa, włos ci z głowy nie spadnie. Ale jeśli naruszysz własność tej rodziny, znajdę cię i zabiję.



– Zawsze będę twoja – wyszeptała mi kiedyś na ucho. Caitcha leżała wtedy na podłodze w kącie pokoju przykryta moimi spodniami. – Nie potrafiłabym żyć bez ciebie.

Carla de Vicko. Miłość mojego życia. Ty, która nazwałaś mnie Minstrelem.

– Nie opuszczaj mnie – prosiłaś, wpijając się z całych sił w moje ramię.
– Nigdy mnie nie opuszczaj.

Byłem przy Tobie, a Ty w zamian złamałaś mi serce.



Caitkę wraz z bagażem zostawiłem w porcie, w jednej ze skrytek. Wziąłem ze sobą tylko dwa pistolety – obie kabury ukryłem pod pachami – i kilka granatów oszałamiających, które schowałem do kieszeni spodni.

PoseidonQuay okazał się eleganckim bulwarem położonym na zachodnim krańcu miasta. Posiadłości było tylko kilkanaście, każda otoczona murem i ogrodem wielkości niewielkiego parku. Wszystkie tworzyły półkole na brzegu urokliwej zatoczki. Osłona Atlantis znajdowała się niedaleko, ale potężne, wyrastające z wody ekranы chroniły mieszkańców PoseidonQuay przed hałasem fal tłukących o kopułę.

Numery rezydencji były wyssane z palca: obok osiemnastki stała dziewięćdziesiątka dziewiątka, obok dwójki mieściła się ta z numerem dziewiętnaście tysięcy osiemset siedemdziesiąt sześć. Najwyraźniej każdy właściciel dobierał swój numer wedle uznania. Pasowała mi taka opcja. PoseidonQuay 73. W siedemdziesiątym trzecim ja i Carla spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Dom de Vicko był potężną bryłą zbudowaną bez smaku, za to z zatrważającym przepychem. Marmurowe ściany, alabastrowe detale, wieżyczki o strzelistych, stożkowatych hełmach. Drzwi o złotych okuciach, zdobione platyną wrota garażowe. Aż się niedobrze robiło.

Zaimplantowany czujnik z łatwością odnalazł przebieg kabli w murze. Wystarczyło odbić kawałek tynku, odsunąć płytę z ceramoplastu i dobrać się do przewodów. Wybrałem właściwy, naciąłem izolację. Z opuszek serdecznego i małego palca mojej prawej dłoni wysunęły się dwie szypułki barwą i kształtem przypominające stalowe igły, a elastycznością dżdżownice. Owinęły się wokół przewodu i zapewniły mi dostęp do systemu ochrony. Przedarcie się przez zabezpieczenia było równie trudne, co ułożenie pasjansa, później wystarczyło wykasować kilka plików, jeden uszkodzić. Gotowe.

Wrota do rezydencji de Vicko zaczęły otwierać się i zamykać rytmicznie, a ludzie ze stróżówki nic nie mogli na to poradzić. W ciągu minuty przy bramie zebrał się spory tłumek, ja tymczasem przesadziłem mur kawałek dalej i, nie zwracając niczyjej uwagi, przekradłem się pośród krzaków i drzew pod tylne drzwi posiadłości.

Wszedłem do środka. Powitał mnie przyjemny chłód, szmer pracującej klimatyzacji i ciepłe światło staromodnych sodowych świetlówek. Wyciągnąłem oba pistolety, przełączylem na tryb tłumiony. Ruszyłem przed siebie.

Chip regulujący pracę gruczołów wstrzyknął mi do mózgu dodatkową dawkę acetylocholiny – niemal natychmiast poczułem, jak wystrzają mi się zmysły, poprawia percepcaja. Przygotowane były też stymulacje adrenaliny i dopaminy – wystarczył jeden impuls z mojej strony, żeby substancje uczyniły ze mnie chodzący wulkan energii. Wszystkie dopalacze mięśni i stawów ustawiłem na razie na pierwszy poziom – przy przyspieszonych reakcjach i z pomocą mikroprocesora potrzebowałbym niecałą sekundę, żeby przestawić je na najwyższy, trzeci, i zsynchronizować.

Minąłem wejście do kuchni, później składzik i windę towarową. Zajrzałem do jadalni, ale była pusta. W całym domu panowała cisza i spokój, zupełnie jakby od dawna nikt tu nie mieszkał. Porządku utrzymywanej przez automaty czyszczące nie zakłócał najmniejszy bodaj detali świadczący o ludzkiej obecności. Nic. A jednak wiedziałem, że dom nie jest pusty. Gdyby było inaczej, nikt nie oferowałby mi dziesięciu tysięcy za wyniesienie się z miasta.

Pierwszych chłopców de Vicko napotkałem przy schodach. Dwóch wymuskanych macho w garniturach i nafaszerowanych elektroniką przeciwskłonecznych okularach sprzężonych z neurochipami. Wystarczyły dwa strzały, stłumione do odgłosu korka ostrożnie wyciąganego z butelki szampana, oba prosto w głowę. Ochroniarze niemal równocześnie gruchnęli na podłogę.

Zza zakrętu dotarły do mnie kroki oraz zaniepokojone głosy i kroki. Dwie osoby. Wszedłem im naprzeciw, puszczając z mikroodtwarzacza w intelligentnej bransoletce przygotowany wcześniej plik dźwiękowy.

– Tak, jestem pewna, że to ma sens – oznajmił głos Carli de Vicko, zgrany z jednego z sieciowych podcastów z jej udziałem.

Głupia sztuczka, która nie miałaby prawa zadziałać w przypadku prawdziwych zawodowców. Tych dwóch jednak zawałało się na ułamek

sekundy w tym kluczowym momencie, kiedy powinni zachować maksymalną czujność i koncentrację. Oberwali po dwie kule każdy i padli na mięciutką wykładzinę, nie rewanżując się choćby jednym wystrzałem.

Kawałek dalej znalazłem windę osobową, której najwyraźniej pilnowali. Podpiąłem się do jej panelu sterowania i wyłączyłem zasilanie, potem zwróciłem w stronę schodów. Parter miałem sprawdzony.



- Mam coś dla ciebie – powiedziałem wiele lat temu. – Zamknij oczy.

Drgnęłaś, czując na skórze chłodny dotyk srebra. Uśmiechnęłaś się, ale nie otworzyłaś oczu. Zapiąłem wisior i poprawiłem, tak żeby kamień granatu znalazł się dokładnie w miejscu, gdzie schodzą się obojczyki.

– Już.

Westchnęłaś cicho, zakryłaś dłonią usta.

– Jest śliczny.

– Będzie zawsze blisko – powiedziałem, całując Cię w kark. – Na wyciągnięcie ręki. Tak jak ja.

107



Pojawili się nagle, atakując całą trójkę. Byli nieźli, potrafili współpracować i mieli lepszy sprzęt niż ich kolędy na parterze. Pierwsze poleciły dwa granaty ogłuszające, ale uprzedził mnie dźwięk ich odbezpieczania. Zadziałyły dopalacze refleksu – jeden granat złapałem w locie i odrzuciłem w kierunku, z którego przyleciał; drugi potraktowałem z kopniaka, w efekcie wybuchł w dole schodów. Potem wypadłem na korytarz i na widok gościa z karabinem szturmowym natychmiast rzuciłem się w bok. Seria zagrzechotała po podłodze, ominęła mnie o włos. Zanim zdążyłem wycelować, wróg już schował się w jednym z pokoi. Nie miałem czasu rozejrzeć się, zorientować w ułożeniu pomieszczeń. Ledwie wyłowiłem szelest za moimi plecami, obrociłem głowę i instynktownie strzeliłem spod ręki. Najemnik, który zachodził mnie od tyłu, dostał w ramię, później

w klatkę i znowu w ramię. Ziemia zaczęła mu uciekać spod nóg, wpadł plecami na ścianę, ale wciąż stał. Od razu było widać, że ci goście to już inna liga, dobre pancerze, dopalacze, pewnie jeszcze wszczepy nowej generacji. Skorzystałem z tego, że facet był oszołomiony i poderwałem się z miejsca, nie chcąc dopuścić, żeby mnie wzięli w ogień krzyżowy.

Dopadłem do pierwszych z brzegu drzwi, otworzyłem je kopniakiem, wskoczyłem do środka. Za mną odezwały się znowu karabin szturmowy, pociski pruły ściany, wypełniając powietrze odłamkami gipsu i drewna, chmurami pyłu.

Trafili mnie w ramię, na szczęście tylko drasnęli. Słyszałem kroki, okrzyki, wydawały się dobiegać ze wszystkich stron równocześnie. Rzuciłem się za obszerną, staromodną kanapę, sprawdziłem magazynki. Nie dali mi ani chwili na odpoczynek i zebranie myśli – jeden z ochroniarzy wyważył drugie drzwi i stanął w progu, waląc gdzie popadnie z pistoletu maszynowego. Pociski zaświstały mi nad głową w tym samym momencie, w którym przewróciłem metalowy stolik i zakryłem się nim jak tarczą. Osłona zaczęła wierzgać pod deszczem pocisków, w blacie, ledwie o kilka centymetrów od mojej twarzy, pojawiły się złowróźbne wybruszenia. Wychyliłem się, ale za wcześnie, oberwałem w ramię. Wrzasnąłem z bólu, ale sam też nacisnąłem spust. Strzeliłem trzy razy, kule strzaskały wzmacniony wizjer hełmu i wgryzły się w twarz. Najemnik runął na ziemię.

Pozostali dwaj się zbliżali. Natychmiast pobiegłem w stronę drzwi, na progu których leżał załatwiony ochroniarz, ale i tak byłem zbyt wolny. Zrobiłem ledwie cztery czy pięć kroków, kiedy za moimi plecami huknął granat zaczepny. Siła wybuchu wyrzuciła mnie z pokoju prosto na ścianę. Wyduściło mi powietrze z płuc, pogubiłem pistolety. Z nosa, chyba złamanego, chlusnęła mi krew. W głowie huczało, myśli mieszały się bezładnie z komunikatami neurochippa, na plecach czułem obrzydliwość, cieplą wilgoć. Zmusiłem się do działania. Podniosłem broń, kopnięciem odturlałem pod przeciwną stronę ścianę i wywaliłem oba magazynki w wylot korytarza. Zyskałem kilka sekund, dość, żeby wyważyć któreś drzwi i wskoczyć do środka, do wykafelkowanego pomieszczenia, które

okazało się łazienką. Mikroprocesory podpowiedziały moim wrogom, że wyprzykałem się z amunicji, więc ruszyli ostro, na pełnym gazie. Chcieli mnie dorwać, zanim przeładuję.

Właśnie o to mi chodziło.

– Ostro pogrywacie – mruknąłem pod nosem. – Ale jak tam chcecie.

Wyciągnąłem z kieszeni całą garść granatów ogłuszających, uzbroiłem wszystkie i sypnąłem nimi na korytarz, wprost przed nadbiegających najemników. Zamknąłem oczy, wyłączyłem receptory słuchowe, przełączylem się na analizę cieplną. Później skoczyłem prosto w piekło.

Huk i błysk, jakie powstały, musiały być potworne; zwykłego człowieka bez wszczepów i dopalaczy z pewnością zamieniłyby w głuchego ślepcą. Na rysowanym przez mikroprocesor obrazie pojawiły się dwie plamy ciepła. Pierwsza była bardzo blisko. Kopniakiem złamałem mężczyźnie nogę w kolanie, potem wyszarpnąłem mu z rąk karabin. Nawet nie próbowałem strzelać. Poczułem, jak pod uderzeniem kolby pękażą kości, później wepchnąłem przeciwnikowi lufę do ust, wybijając po drodzezęby. Zwiotała jak kukła –zasłoniłem się jego ciałem. W samą porę szarpnęła nim seria z automatu, słana najpewniej na ślepo. Sam też oberwałem, choć właściwie nie poczułem bólu, tylko mikroprocesor poinformował mnie o krvawieniu z uda oraz łydki i automatycznie uwolnił kolejny chemiczny koktajl. Wycelowałem i zacząłem strzelać. Wróg, wciąż częściowo oślepiony, nie miał szans. W starciu z dwoma tuzinami pocisków wystrzelonymi w ciągu półtorej sekundy z odległości pięciu metrów praktycznie żaden pancerz, wszczepy czy dopalacze nie miały szans. Kiedy wszystko wokół znieruchomiało, włączylem z powrotem słuch, otworzyłem oczy.

Otaczały mnie trupy, podziurawione ściany, osmolona wykładzina. Cuchnęło krwią, prochem, gipsowy pył kręcił w nosie. Upuściłem karabin. Odnalazłem moje pistolety, przeładowałem je. Otarłem twarz, popatrzyłem na wierzch dłoni pokryty lepką czerwienią. Potem obejrzałem nogę i rękę. Syntkoagulanty zaczęły już działać, byłem słaby, ale nie istniało ryzyko, że się wykrwawię. Całe ciało mnie bolało, ale wiedziałem, że to zaraz minie, środki przeciwbólowe uwalniane przez neurochip z każdą

mijającą sekundą działały coraz lepiej, rozmywały ból, studziły rozpalone do czerwoności węzły neuronów.

Odetchnąłem głęboko, po czym podkręciłem receptory audio, ale wyglądało na to, że w okolicy nie było więcej wrogów. Walka dobiegła końca.



– Będą próbowali cię zabić – mówiłaś. – Niektórzy nie mogą znieść prawdziwej miłości.

– Niech próbują – odpowiedziałem wtedy. Byłem młody, odważny, głupi.

Minęło dwanaście lat. Skończyła się młodość, odwaga uległa przeterminowaniu. Tylko głupoty jakoś nic nie mogło ruszyć.

– Niech próbują – powiedziałem teraz, schowałem pistolety do kabur i ruszyłem przed siebie. Byłem pewien, że w tej rezydencji przy PoseidonQuay wreszcie Cię znajdę.

Byłem pewien, że coś się wreszcie zmieni.



W gigantycznym pokoju przechodzącym w oszklonym taras spotkałem tylko jedną osobę. Mężczyzna na wózku był stary, okrągłą twarz znałyły włochate brodawki. Siedział na środku pomieszczenia zwrócony przodem do drzwi, jakby na mnie czekał.

– Kim pan jest? – spytał. Głos miał pełen siły, nieprzystający do nieruchomej, zapadniętej sylwetki. – Czego pan chce?

Podszedłem bliżej, chociaż podrasowany wzrok powiedziałby mi to samo ze stu metrów. Miałem przed sobą Rolanda de Vicko.

Mąż Carli.

– Nie zna mnie pan? – spytałem, wciąż się zbliżając.

– Pierwszy raz pana widzę! Kto pana tu wpuścił?! Gdzie są moi ochroniarze?!

– Obawiam się, że panu nie pomogą. Nie tym razem – odparłem. Wyciągnąłem pistolet, odbezpieczyłem. Na de Vicko nie zrobiło to wrażenia. W każdym razie nie takie, jakiego oczekwałem.

Mężczyzna parsknął śmiechem i podjechał wózkiem w moją stronę.

– Zanim mnie pan zabije, może zechciałby pan powiedzieć, jak się nazywa? I czemu zawdzięczam tak żywe, proszę wybaczyć grę słów, za-interesowanie moją osobą?

– To ja jestem Minstrelem.

Przez moment nie reagował. Później przyjrzał mi się uważniej i rzekł:

– Coś mi się przypomina. Zdaje się, że moja żona kiedyś wspominała o panu. Raz. Wiele lat temu.

Nie kłamał. Do jasnej cholery, on nie kłamał, widziałem to po jego twarzy, po jego spojrzeniu, zdradzał to tembr jego głosu. I nagle błysk w oku, złośliwy uśmiech, który pojawił się znikąd.

– Czy pan nie był przypadkiem jedną z tych jej młodzieńczych miłostek? Moja droga Carla, zanim mnie poznała, wiodła... ciekawe życie.

Nie wytrzymałem, złość skierowała broń, palec nacisnął na spust. Jeden strzał, tylko tyle. Jeden ostatni dech.

Naraz rozległy się oklaski: pojedyncza para dloni uderzających w siebie w parodii aplauzu. Odwróciłem się i zobaczyłem ją.

Carla. Moja Carla.

Stała ledwie kilka kroków ode mnie w sukni z fioletowego jedwabiu. Czarne włosy przy szyi podkręcały jej się do góry, tak jak dawniej. Nad dekoltem miała srebrny wisior z granatem. Mój wisior.

Zrobiłem krok w jej kierunku, ale zaraz się zatrzymałem. Pierwsza iluzja minęła, wiedziałem już, że mam przed sobą holoprojekcję. Nic więcej.

– Witaj, Minstrelu – powiedziała, a ja z trudem zdobyłem się na to, żeby nie upaść. Całe lata nie słyszałem jej głosu.

– Wit... – zacząłem, ale przerwała mi. To nie było połączenie, tylko zwykła, zawsze nagrana wiadomość.

– Wiedziałam, że przedżej czy później tu dotrzesz. Wybacz, ale nie znajdziesz mnie już w Atlantis. Musiałam... – urwała nagle, popatrzyła

w bok, jakby na kogoś, kogo ja nie mogłem widzieć. Uśmiech na moment zniknął z jej twarzy, by powrócić, gdy kobieta znowu spojrzała w moim kierunku. – Musiałam odejść. Który to już raz odnajdujesz mnie, a jednak przybywasz za późno? Ile miast jeszcze tak razem odwiedzimy? – Krótka pauza, wzrok utkwiony w podłodze. Westchnienie. – Cieszę się, że zastałeś mojego męża. Myślę, że to było... owocne spotkanie. Niektórzy mężczyźni tak kurczowo trzymają się życia, kiedy powinni już dać sobie spokój i zrobić miejsce... – Nie dokończyła. Na moment przygryzła wargi i wreszcie zdobyła się na to, żeby jeszcze raz popatrzyć mi w twarz. – Musisz w końcu dać mi spokój. Musisz o mnie zapomnieć i zacząć żyć. Bo ja i ty... nie możemy być razem. Nigdy. – Jej dłoń powędrowała do wisiorka, w oczach zamajaczył smutek. – Żegnaj, Minstrelu. Pozwól mi odejść.

Projekcja skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. W pokoju znów byłem tylko ja i trup na wózku. Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Nie chciałem w to uwierzyć. Czułem w sobie pustkę, w której jej słowa odbijały się zwielokrotnionym echem.

„Musisz o mnie zapomnieć” – powiedziała. Nie możemy być razem. I jeszcze to o jej mężu...

Fakt, że z taką łatwością wdarłem się do posiadłości i zlikwidowałem ochronę, nagle przestał mnie dziwić. Zostałem wykorzystany.

Przez olbrzymie okna tarasu widziałem, co się dzieje na zewnątrz. Policja otaczała posiadłość ścisłym kordonem. Nie miałem wątpliwości, że gdzieś tam jest Leon Gireaux. Wiele bym dał, by uniknąć tej konfrontacji.

Coś zazgrzytało za moimi plecami. Obróciłem się błyskawicznie, oba pistolety wzięły przybysza na cel. Nie strzeliłem.

To był chłopak z noclegowni, ten czarnoskóry malec, dla którego zagrałem na caitchy. Obejrzał pomieszczenie, wzdrygnął się na widok trupa i kiwnął na mnie.

– Tedy. Szybko.

Poszedłem za nim. I tak właściwie nie miałem wyboru. Chłopak prowadził mnie do windy towarowej. Ledwie się zmieściliśmy do środka.

– Niech pan wciśnie ten żółty przycisk – polecił. – Zjedziemy pod piwnicę.

Faktycznie, winda ruszyła i chwilę później wylądowaliśmy w wilgotnym tunelu. Ściany, podłoga, sufit – wszystko zlewało się w jednolitą szarą masę zbrojonego betonu.

– Tedy. – Chłopak wskazał drogę. – Wyjdziemy z dala od nabrzeża. To prywatny kanał ewakuacyjny de Vicko, gliny raczej go nie znajdą. Ale musimy się spieszyć.

Przeszliśmy parę kroków, kiedy trafiłem na jakiś kawałek rozmołkłego papieru. Instynkt kazał mi go podnieść. Mimo ponagleń mojego przewodnika, zdążyłem odczytać parę słów. Przewóz... pasażerowie... de Vicko... Nowy Amsterdam... i wczorajsza data.

Schowałem kartkę i pobiegłem za chłopakiem.

Wyprowadził mnie na powierzchnię, kawał drogi od posiadłości. Byłem bezpieczny, choć musiałem szybko zniknąć z Atlantis.

– Wie pan, Któredu do portu? – zapytał.

– Tak. Ja...

– Niech pan rusza. Im szybciej pan zniknie, tym lepiej.

– Poczekaj! – zatrzymałem go. – Kim jesteś? Czemu mi pomogłeś?

Popatrzył mi w oczy, później odwrócił spojrzenie.

– Wierzy pan w to, że miasto ma swoją duszę?

Zaskoczył mnie.

– Metafizyka nigdy nie była moją mocną stroną.

– Ja wierzę – powiedział chłopak, po czym poklepał się po przedramieniu z tatuażem. Atlantis. Tak jakby to cokolwiek wyjaśniało. A jednak, kiedy znowu popatrzył mi w oczy, pomyślałem, że w jego spojrzeniu jest coś, co nie pasuje do młodzieńczej sylwetki.

Chłopak miał wyblakłe oczy o żółtawych białkach.

Oczy schorowanego starca.

– Niech pan ucieka – powiedział. – I nie wraca do Atlantis. Pan już tu nie ma przyjaciół.

– Czy to Gireaux cię przysiązł? – zapytałem tknięty nagłym przeczuciem.

Chłopak przyglądał mi się przez moment, po czym przysiągłbym, że puścił do mnie oko. Następnie w paru susach znalazł się z powrotem w tunelu i więcej go nie widziałem.



Ładownia skąpana w czerwonym blasku diod była wypełniona towarami aż po sufit. Jeszcze nie było gorąco, ale wiedziałem, że wkrótce będzie. Maszyny dopiero się rozgrzewały.

Pot spływał mi po twarzy, kiedy siedziałem oparty plecami o kontenery i grałem na caitchy melodie z dawnych lat. Nie myślałem o tym, co gram. Myślałem o Tobie.

„Żegnaj, Minstrelu” – powiedziałaś. „Musisz dać mi spokój. Musisz o mnie zapomnieć”.

Ale to nie było wszystko. Bo przecież dawno temu poprosiłaś, abym nigdy Cię nie opuszczał. I obiecałem, że tego nie zrobię. Poza tym nie powiedziałaś, że nie chcesz ze mną być... powiedziałaś, że nie możesz.

Odtwarzając w pamięci zapis holoprojekcji, to jak odwróciłaś głowę i Twój uśmiech nagle zniknął. Czyżby ktoś zajął miejsce Rolanda? Ktoś jeszcze gorszy? Przypominałem sobie po tysiąc razy, jak dotykałaś wisiorka z granatem. Tego samego, który dostałaś ode mnie tyle lat wcześniej. Zupełnie jakbyś dawała mi znaki. I jeszcze ta kartka w tunelu... niby zostawiona przypadkiem. A jednak... nie wierzę w przypadek. Wiesz o tym.

Obiecywałem, że Cię nie opuszczę, Carla. Dotrzymam obietnicy. Pojadę do Nowego Amsterdamu. Pojadę gdziekolwiek będzie trzeba. Będę Cię szukał i odnajdywał, i znowu szukał, i znowu odnajdywał.

Jak zły szeląg.

Nigdy Cię nie opuszczę.

PIELGRZYMKA

115

W noc poprzedzającą pielgrzymkę przyśnił mi się wuj Tolec. Było to dość niezwykłe, bo ostatni raz nawiedzał mnie w snach, gdy miałem pięć, może sześć lat. Wówczas miało to sens – wuj dopiero co popełnił samobójstwo i chociaż nie widziałem ciała, wyobraźnia podsuwała mi potworne obrazy spuchniętego, wywalonego na wierzch języka, sinej skóry i oczu poprzecinanych paskudnymi granatowymi żyłkami. To był czas koszmarnych nocy i ponurych dni.

A jednak teraz, mimo trzynastu lat na karku, obudziłem się drżący i zlany zimnym potem. Noc miała się ku końcowi, zbliżający się świt barwił niebo na różowo. Wiedziałem, że z dalszego snu nici, więc podszedłem do okna i zapatrzyłem się na pole kozieliny. Kłosy sięgały dorosłemu człowiekowi już nieco nad kolana. Zbliżała się czas żniw.

Opierałem czoło o chłodną szybę i myślałem o wuju Tolecu. Znajomi rodziców i moi nauczyciele zawsze chwalili moją inteligencję, ale mimo upływu lat wciąż nie mogłem wyobrazić sobie powodu, dla którego ktoś byłby w stanie targnąć się na własne życie.

Za moimi plecami otworzyły się drzwi.

– Już nie śpisz – zauważył ojciec.

– Miałem koszmar – odparłem.

Moi rodzice zawsze byli wobec mnie szczerzy i starałem się odpłacać im tym samym.

– Wielu tak ma przed pielgrzymką. Ubieraj się. Śniadanie prawie gotowe.



Milczeliśmy przez całą drogę, co nie jest rzeczą normalną, gdy na pokładzie sferostatu zbierze się niemal pół setki trzynastolatków. Ciszę zakłócił dopiero pilot, który poinformował nas, że wkrótce będziemy podchodzić do lądowania. Przysunęliśmy się do okien, wypatrując w szarobrązowym krajobrazie plam czerni. Minęła pełna napięcia minuta lub dwie, po czym komuś wyrwało się krótkie:

– Jest! Tam!

I już. Kilka westchnień, ale żadnych słów. Tylko szmer oddechów i oczy wpatrzone w rosnący z każdą chwilą czarny punkt.

Moment później kołowaliśmy nad aerodromem. Lądowisko leżało wprawdzie kilka kilometrów od celu naszej podróży, ale i z tej odległości mogliśmy już dostrzec szczegóły.

Olbrzymi krater.

Czarną spaloną ziemię.

I wrak statku Przybyszów, którego rozprutý kadłub przypominał zęby zakopanego w piasku olbrzyma.



Pielgrzymkę do Samoa Thero, do Czarnej Łąki, odbywa się zawsze parę miesięcy po skończeniu trzynastego roku życia. Jest coś niesamowitego w tej wyprawie – chociażby świadomość, że każdy z nas odwiedzi to miejsce tylko raz. Nic dziwnego, że dla wielu to właśnie pielgrzymka, a nie dzień trzynastych urodzin, stanowi punkt, w którym dziecko staje się dorosłym.

Do tej w gruncie rzeczy przerażającej, ale i ekscytującej jednorazowości dochodzi niechęć, z jaką nasi rodzice mówią o tym, co nas czeka w Samoa Thero. To nie tak, że nie chcą albo nie mogą o tym mówić. Raczej zdają sobie sprawę z tego, że w przypadku Czarnej Łąki – miejsca, gdzie wylądowali Przybysze – wszystkie słowa wydają się błahe i bez wyrazu.



Z aerodromu poszliśmy na piechotę. Kilka kilometrów wśród nagich skał, z piachem chrzęszczącym pod stopami oraz kurzem osiadającym na butach i nogawkach. Poruszaliśmy się karnie, w ciszy, prowadzeni przez jednego z przewodników; drugi zamykał pochód.

Niedługo później przekroczyliśmy granicę Czarnej Łąki. Rudawy pył ustąpił miejsca twardej popękanej ziemi barwy popiołu, by kawałek dalej przejść w gładką czerń – miejscami matową jak bazalt, miejscami szklistą i połyskliwą jak żużel. Znaleźliśmy się na krawędzi krateru w kształcie łzy i teren przed nami gwałtownie opadał. Nieco ponad kilometr dalej, na przeciwnym końcu gigantycznej wyrwy, spoczywał czarny potwór, którego metalowe ściany w wielu miejscach złączyły się na zawsze ze stopionymi skałami.

Przed drogą w dół zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. Jeden z przewodników skorzystał z okazji, by powiedzieć parę słów tytułem wstępu. Opowiadał o dramatycznym lądowaniu statku Przybyszów; o tym, jak zamiast łagodnie osiąść na równinie, olbrzym uderzył w ziemię z prędkością blisko trzystu kilometrów na godzinę; wreszcie o tym, jak zapaliły się złoża termonidu ukryte płytka pod powierzchnią, a okolica w promieniu kilku kilometrów zamieniła się w morze ognia.

- Aż dziw, że cokolwiek przetrwało – powiedział ktoś.
- Przetrwało – zapewnił przewodnik. – Zaraz zobaczycie, jak wiele.



Zobaczyliśmy. Kiedy tylko zajrzeliśmy do wraku, wszyscy poczuliśmy się jak w innym, niezwykłym świecie. Otoczeni ścianami ze skał i metalu stopionych w jednolitą masę zaczęliśmy oglądać to, co zachowało się wewnętrznej, specjalnie wzmacnionej części statku, a teraz tkwiło w przezroczystych gablotach.

– Pojazd przewoził blisko cztery i pół tysiąca Przybyszów – oznajmił przewodnik, gdy tylko znaleźliśmy się we wraku. – W założeniu była to jednostka kolonizacyjna, przeznaczona do zasiedlania nowych planet. Dzięki specjalnie skonstruowanym grodziom i systemowi trzech aktywnych powłok faktyczne serce statku, czyli kwatery mieszkalne oraz składy o najwyższym priorytecie, przetrwało nie tylko katastrofalne lądowanie, ale także kilkudniowy pożar złóż termonidu. To w oparciu o obszerne bazy danych zgromadzone w tych magazynach naszym badaczom udało się poznać nie tylko język Przybyszów, ale też warunki, w jakich żyli, czy motywacje, które nimi kierowały.

Sam nie wiem kiedy, ale zatraciłem się w tym informacyjnym bogactwie. Chodziłem od gabloty do gabloty, chłonąc obrazy, nagrania, opisy, doznania. Usta miałem wciąż rozdziawione, a jakiś głos w mojej głowie powtarzał w kółko:

To niemożliwe. To niemożliwe...

Pod pewnymi względami Przybysze potrafili bardzo wiele: okieźnali energię jądrową, ingerowali w materiał genetyczny, opracowali systemy umożliwiające błyskawiczną komunikację na odległość wielu tysięcy kilometrów. Chirurgów mieli nie gorszych niż my, podobnie zresztą jak biotechników. Wyprzedzali nas o całe wieki w robotyce i nanotechnologii.

Z drugiej strony w innych sferach trzymali się rozwiązań tak anachronicznych, że zwyczajnie śmiesznych. Przypominali przez to dzieci, które z irracjonalnym uporem obstają przy swoim, nawet gdy dla nich samych staje się już jasne, że popełniają błąd.

Demokracja – żeby rzucić pierwszym lepszym przykładem. Znakomita większość Przybyszów trzymała się tego absurdalnego systemu sprawowania rządów, który u nas kojarzył się niemalże z prehistorią. Dalej? Monoteizm, religie instytucjonalne – niektórzy z moich rówieśników

marszczyli w zdziwieniu brwi, tak niezrozumiałe były dla nich te pomyśli. I jeszcze cały ten fanatyzm religijny, święte wojny. Kto przy zdrowych zmysłach byłby w stanie zabić innego człowieka – żyjący byt, co do którego istnienia nie może przecież mieć wątpliwości – by oddać cześć jakiemuś wyobrażonemu bóstwu?

Niektóre zbiory napawały nas zgrozą, inne kazały Przybyszów podziwiać. Jednak było też mnóstwo takich, które pozwalały po prostu ujrzeć ich codzienne życie. Ich domy, wioski, miasta. Wykonywane przez nich zawody i sposoby spędzania wolnego czasu. Obserwowaliśmy, jak się śmieją i płaczą, jak na ich twarzach malują się strach i ulga. Patrzyliśmy, jak kochają, jak nienawidzą, jak marzą i jak stawiają mniej lub bardziej nieporadne kroki, by te marzenia spełnić. Widzieliśmy ubrania, w jakich chodzili, oraz dzieła sztuki, które ich wzruszały, słuchaliśmy ich mowy, muzyki. Wąchaliśmy zsyntezowane wonie ich ciała, perfum, roślin, które lubili. Dotykaliśmy wytwarzanych przez nich sprzętów, smakowaliśmy potrawy odtworzone dzięki biotechnologii i rekonstrukcji molekularnej.

A mimo wszystko rozpłakałem się dopiero na widok zdjęcia przedstawiającego złociste łany zboża zwanego przez Przybyszów pszenicą. Pole sięgało po horyzont, jak skąpany w słońcu dywan pod błękitnym niebem.

Kilkanaście godzin wcześniej widziałem to samo z okna mojego pokoju.



Pamiętam, że wkrótce po tym, jak wuj Tolec popełnił samobójstwo, mój ojciec zdecydował, że musi ze mną porozmawiać. Nie bardzo mogę sobie przypomnieć, jak ta rozmowa przebiegała. W pamięć zapadła mi tylko jedna rzecz, którą powiedział.

– Nikt nie zabija się ot tak, nagle – rzekł. – Zabijamy się miesiącami, czasem latami. Bywa, że nawet nie mamy pojęcia, że to robimy. Sama chwila śmierci... to tylko jeden mały krok w niewłaściwym kierunku. A czasami jest to jedyny kierunek, jaki nam pozostał.

Nie rozumiałem go – ani wtedy, ani przez następne lata – choć bardzo się starałem.

Udało mi się dopiero po wizycie we wraku Przybyszów.



Sądziłem, że widziałem już wszystko i nic już nie zrobi na mnie większego wrażenia. Wtedy przewodnik zaprowadził nas do wewnętrznej części wraku. Szliśmy niemal nienaruszonymi korytarzami, po podłogach z gładkich jak szkło poliwęglanowych płyt. Wreszcie dotarliśmy do niewielkiego pomieszczenia, gdzie usiedliśmy w ciemności. Ledwo się pomieściliśmy.

Jedna ze ścian rozbłysła, z głośników popłyneły pierwsze dźwięki. Na ekranie pojawiła się twarz wycieńczonego Przybysza, a interpreter mowy zastąpił jego słowa odpowiednikami w naszym języku:

– Mówi porucznik Jasper Byrne – powiedział Przybysz. – Drugi oficer na statku kolonizacyjnym Noah. Składam ten meldunek w nadziei, że pewnego dnia ktoś go odnajdzie i zrobi z niego użytek. Może nasz los posłuży jako ostrzeżenie. Komuś, dla kogo jeszcze nie jest za późno.

Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w twarz tej istoty. Fascynował mnie brak łusek, blada, gładka derma, zarost jak igiełki trującego szpicowca, te kolorowe obwódki wokół ich śmiesznie maleńkich źrenic oraz to dziwaczne wybruszenie na środku, które Przybysze nazywali nosem, a które – zdaniem naukowców – mieściło część filtrów ich układu oddechowego. Obcy byli autentycznie obcy, a jednak coś w ich mimice, w sposobie, w jaki poruszały się ich gałki oczne, w ułożeniu ust, gdy wydawali z siebie dźwięki... to wszystko wydawało się upiornie znajome. Jakbym patrzył we własne odbicie w taflę jakiejś toksycznej brei.

– Opuściliśmy Ziemię dokładnie rok, trzy miesiące i osiemnaście dni temu. Byliśmy jednym z czternastu statków, które miały uratować ludzkość przed zagładą: niemal kompletny zanik warstwy ozonowej oraz częste wyrzuty plazmy w połączeniu z błyskawicznie mutującymi inżynierijnie zmodyfikowanymi wirusami zabrały się za tępienie naszego gatunku skuteczniej niż jakakolwiek wcześniejsza zaraza czy konflikt zbrojny. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę z tego, co się dzieje, na walkę było

już za późno. Jedyną możliwością okazała się ucieczka. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że to samobójstwo.

Mowa syntezowana przez interpreter brzmiała sztywno i sterylnie, ale spod niej przebiała się czasem oryginalny głos Jaspera Byrne, oso-bliwa mieszanka dźwięków, do opisania których brakuje mi słów. I tutaj, o dziwo, dostrzegałem podobieństwa: pauzy, westchnienia, zgrana z wy-razem twarzy dynamikę, którą rozpoznałem bez większych trudności. Miałem przed sobą kogoś, kogo ciężkie brzemię rzuciło na kolana i przy-gięło do ziemi. Byrne mówił o tym, co zgubiło Przybyszów – o żądzy bogactwa, która sprawiła, że stosowano wyłącznie najbardziej opłacalne rozwiązania, nie zwracając uwagi na ich wady. Wspominał o grafenie – cudownym materiale, który nigdy nie został dopuszczony do użytku, bo jego wdrożenie spowodowałoby plaję kilku korporacji. Opowiadał o pojazdach zasilanych wodą i zimnej fuzji, o genialnych lekach, które nigdy nie trafiły do masowej produkcji, bo połowa ziemskiej służby zdrowia stałaby się bezużyteczna.

– Zawsze znalazł się ktoś, kto chciał się nachapać – powiedział Byrne i wydawało mi się, że słyszę w jego głosie echo dawnej złości i frustra-cji. – Idee zdeptano i zepchnięto w kąt. Powszechnie dobro wyśmiano i opluto. Wyparto myśli o przyszłych pokoleniach, o dalszych losach świata. Pozwolono, żeby załamywały się ekosystemy, ignorowano nie-odwracalne zmiany klimatu. Dopuszczono do władzy populistów obiecu-jących lepsze dziś za cenę gorszego jutra. Bijącą na alarm inteligencję wyśmiewano, podważano wyniki ich badań, odsuwano od decyzyjnych stanowisk. Bagatelowano znaczenie wiedzy, kwestionowano prawdziwość wszystkiego, co godziło w upragnione przekonanie, że jakoś to będzie. W nieskończoność odsuwano plany oszczędności, kompromisów, zmian. Aż w końcu okazało się, że zwlekano zbyt długo. Był taki czas, że mogliśmy dumnie kroczyć przed siebie i zasiedlać kolejne planety. Zamiast tego ukręciliśmy sznur na własną szyję.

Nie wszystko rozumiałem, możliwe, że niektóre słowa w ogóle sły-szałem pierwszy raz w życiu. Ale dotarł do mnie ich ogólny wydźwięk, potem zaś uderzyło mnie coś jeszcze. Zrozumiałem mianowicie,

że już wcześniej byłem świadkiem czegoś podobnego – słyszałem słowa cedzone przez zaciśnięte szczęki i widziałem oczy wstydiwie uciekające w bok, w których gdzieś pod warstwą rezygnacji tlił się jeszcze gniew.

Mój ojciec parę razy wyglądał tak samo po powrocie z plemiennego wiecu.

– Za dwie godziny lądujemy na planecie, która według sond nadaje się do życia – oznajmił Przybysz. – Marna to pociecha, od początku lotu mieliśmy tyle awarii, że z naszej załogi przeżyło sto trzydzieści osób, a nawigacja i systemy sterownicze są w rozsypce. Nawet kiedy walczymy o przetrwanie gatunku, ktoś zwęszył okazję do łatwego zarobku i dał nam nic nie warty złom.

Na chwilę zapadła cisza. Byrne pokręcił głową i odwrócił wzrok od obiektywu.

– Mam nadzieję, że inni mieli więcej szczęścia. Że jeszcze jest szansa, by naprawić błędy minionych stuleci.

Po tych słowach ekran zgasł, a w sali projekcyjnej zapadła głucha cisza. Jestem pewien, że nie ja jeden poczułem się w tym momencie – całkiem słusznie zresztą – jak na wyjątkowo ponurym cmentarzu.



Kiedy wróciłem do domu i popatrzyłem w twarz mojego ojca, zobaczyłem w niej coś, czego nie dostrzegłem nigdy wcześniej. On też spojrzał na mnie, jakby widział swojego syna po raz pierwszy w życiu. Przez jakiś czas staliśmy w milczeniu.

– Oni byli... – wydukałem. Słowa jakoś nie chciały mi trafić na język.
– Tato, oni byli...

– Jak my – dokończył. Potem objął mnie: krótko, mocno, po męsku. – Wiem. Byli dokładnie tacy, jak my.

POJEDYNEK

123

Na ułamek sekundy przed naciśnięciem spustu dociera do mnie, że wokół panuje cisza. Zginął gdzieś harmider samochodów pędzących ulicami, nie słychać muzyki z klubów, ucichły głosy przechodniów.

Huk wystrzału niesie się po mieście guchym echem. Jakby cały świat zamarł w oczekiwaniu na koniec naszego pojedynku.

Padasz na ziemię. Nie od razu, gwałtownie – o nie, to nie w twoim stylu. Nawet w takiej chwili zachowujesz klasę. Osuwasz się na kolana, Twoja broda opada na pierś. Noc jest pochmurna, jedyne światło dochodzi z boku, od strony bladego neonu. Cień kładzie się na Twoją twarz i przez moment wyglądasz jak sam diabeł.

Podpierasz się rękoma, ale obaj wiemy, że tylko odwlekasz nieuniknione. Umierasz.

Podchodzę bliżej. Idę jak starzec, kuśtykając. Ręka z pistoletem wiszi mi wzduż ciała jak przyszyta do tułowia kończyna lalki. Wolną dłonią ocieram twarz z krwi. Złamałeś mi nos, ale teraz to bez znaczenia.

Kiedy staję nad tobą, jest już prawie po wszystkim. Na ustach pękają ci jeden po drugim krwawe bąble. Noga telepie się w paskudnych, przedśmiertnych drgawkach. Zostały sekundy.

Pochylam się nad tobą, zsuwam maskę, która skrywała twoją twarz. Wyglądasz tak zwyczajnie, że aż trudno w to uwierzyć. Sam nie wiem, kogo albo czego się spodziewałem. Na pewno nie przeciętniaka z coraz wyraźniejszymi zakolami. Na pewno nie kogoś takiego jak ty.

Zastygasz w bezruchu, światło neonu odbija się w szklistych, pozbawionych życia oczach. Sam nie wiem, czemu zamykam ci powieki. Gdyby nie krwawa ślina wokół warg, moglibyśmy udawać, że tylko śpisz.

Siadam obok na zimnym, betonowym dachu. Wznoszę wzrok ku niebu, a kilkadziesiąt pięter niżej odzywają się silniki aut, rozlega się muzyka, ktoś krzyczy, ktoś inny rży ze śmiechu.

Świat nabiera powietrza, stawia kolejny krok.

A ty nie żyjesz. Mój największy, odwieczny wróg. Nareszcie martwy. Nareszcie.

Siedzę na dachu i próbuję się śmiać, ale nie mogę. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie potrafię się uśmiechnąć. Więc tylko siedzę. Siedzę, milczę i wspominam.

W końcu kładę się obok, opieram policzek na skrawku twojej czarnej peleryny. W pierś uwiera mnie ukryta w kieszeni marynarki talia pełna jokerów, ale staram się nie zwracać na to uwagi.

Przecież to wszystko już bez znaczenia.

Chwilę później wsadzam lufę do ust i zamykam oczy.



KSIEGA MAGII

BOCIANI ZAGON

Moi krakowscy mistrzowie wielokrotnie powtarzali, że są dwa rodzaje magów: tacy, którzy mają szczęście, oraz tacy, którzy szczęścia nie potrzebują, ponieważ dysponują zdrowym rozsądkiem. Choć przykro mi to mówić, moi nauczyciele nie mieli racji. Istnieje bowiem jeszcze trzeci rodzaj magów.

Magowie martwi.

Był późny wrzesień, wokół dróg aż po horyzont rozlewały się czarne, świeże zaorane pola, powietrze wypełniał zapach ziemi i ciepło przemijającego lata. Zapowiadano zimę wczesną i mroźną, a ja, znużony pełnymi fabryk miastami Zagłębia Saary, postanowiłem spróbować szczęścia po drugiej stronie granicy, w owianej złą sławą Republike Francuskiej. Od czasu, gdy tamtejsze gildie zostały zdziesiątkowane przez fanatyków z Ruchu Oczyszczenia, każdy mag – nawet równie mało utalentowany jak ja – był na wagę złota. Zbyt mało czarowników kręciło się po wsiach i miasteczkach w poszukiwaniu magicznie uzdolnionej działy. Zbyt wiele francuskich dzieci umierało dosłownie masakrowanych objawiającym się w nich talentem.

Zgodnie z sugestią jednego z magów z Saarbrücken zdecydowałem się unikać głównych przejść granicznych – ponoć ro;oło się tam od kleryków Straży Kościelnej, a do spotkania z nimi nie było mi spieszno.

Wybrałem więc trasę inną, mniej znaną, a objaśnioną mi przez człowieka, który dawnymi czasy szmuglował z Republiką ilustrowane poszyty o moralnie wątpliwych treściach. Droga ta wiodła przez niewielki, przygraniczny zajazd Bociani Zagon.

To właśnie tam niewiele zabrakło, bym trafił do tej trzeciej kategorii magów – pozbawionych rozumu, fartu i życia.



Zmiana pogody przyszła niespodziewanie, na skrzydłach porywistego zachodniego wiatru. Chmury popędziły przez niebo niczym stado brudnych, zdziecałych owiec; pożarły słońce i nakryły rzeczną dolinę kloszem szorstkiej, ponurej szarówki.

Od najbliższej wioski dzieliły mnie przeszło dwie mile, do zajazdu została mi w najgorszym razie połowa tego dystansu. Przyspieszyłem, łudząc się, że dotrę na miejsce, nim zacznie padać. Nie przeszedłem jednak więcej niż sto metrów, gdy lunęło, a niebo rozcięła błyskawica. Naciągnąłem kaptur, zebrałem w dłoni poły peleryny i stawałem krok za krokiem, coraz bardziej przeklinając pecha, który akurat tego dnia kazał mi ruszyć w drogę.

Czy naprawdę muszę wspominać, że przez ostatnie dwa tygodnie – spędzone nad magicznymi tomami w dusznej klitce z oknami wychodzącymi na hutę szkła w Saarbrücken – nie spadła choćby kropla deszczu?

Nie minął kwadrans, a już przemokłem do suchej nitki. Deszcz rozmał widnokrąg, drzewa widoczne po francuskiej stronie rzeki zamienił w bezkształtną, brunatną plamę, położył po ziemi kępy rosnącej tu i ówdzie samosiejki. Świat pograżył się w mroku, zupełnie jakby coraz śmieej błyskające pioruny wysysały z niego resztki światła. Temperatura spadła gwałtownie jak ptak zestrzelony w locie.

Naraz pośród szarówki rozpoznałem kanciąstą bryłę zajazdu. Przyspieszyłem ucieczony. Po chwili udało mi się dostrzec więcej szczegółów: stromy, kryty gontem dach, przyklejony do budynku niby przemoczony kapelusz; uszczelnione czarnymi wstęgami smoły deski;

okiennice zamknięte, niewzruszone, ciężkie niczym powieki śpiącego starca. W końcu dojrzalem i szyld – niewyraźny na rześistym deszczu, huśtany przez wiatr. Rzeka zakręcała za zajazdem, zwalniała i rozlewała się w porośnięte turzycą i sitowiem mokradła pełne sadzawek, strumieni i grzewanisk.

Bociani Zagon.

Przeszedłem przez zabłocone podwórze i zacząłem walić do zamkniętych drzwi. Wiedziałem, że od czasu, gdy odbudowano most w Saarbrücken, a w Saargemünd wznowiono przeprawę promową, mało kto tedy podróżował, ale zupełnie pustki się nie spodziewałem. Może tutejsi lepiej ode mnie potrafili przewidywać pogodę?

Kołatałem do drzwi przez dobrą minutę, nie dopuszczając do głosu myśli, że przyjdzie mi spędzić noc w mokrych łachach, w kącie stojącej nieopodal stodoły, gdy nagle szczeknęły zasuwy. W szczelinie pokazała się okrągła twarz i oczy lypiące na mnie spod byka.

– Zamknięte – burknął głos. Znałem ten ton, słyszałem go nie raz i nie dwa. Zawsze należał do ludzi, którzy mieli ważniejsze rzeczy na głowie niż rozmowę z podobnym do mnie przybłądą.

– Proszę – wraciłem, zanim zdążył zamknąć drzwi. – Potrzebuję tylko dachu i kawałka podłogi. Rano zniknę. Nie będę sprawiał problemów.

– Zamknięte jest – powtórzył mężczyzna, choć z mniejszym przekonaniem.

– Zapłacę. – Poklepałem się po kieszeni, ale brzęk monet zginął pośród zawiei. – Tylko proszę mnie wpuścić.

Mężczyzna mruknął coś pod nosem, po czym otworzył drzwi szerzej. Zamknął je, gdy tylko przekroczyłem próg, i zaraz pchnął mnie pod ścianę. Mam dwa metry wzrostu i nie jestem chudzielcem, ale ten facet mógłby bez trudu poprzerącać mi wszystkie gnaty. Niższy ode mnie o pół głowy, przypominał wyliniałego niedźwiedzia – pod skórą preżyły się węzły mięśni, a potężny tułów spoczywał na krótkich, masywnych nogach. W lewej ręce trzymał ciężki świecznik.

– Nie mam dla ciebie czasu, rozumiesz? – Kolejne warknięcie. Jeśli ten oberżysta zawsze tak traktował gości, to nie dziw, że klienci omijali

przybytek szerokim łukiem. – Jeśli potrafisz siedzieć cicho i nie będziesz płakał mi się pod nogami, możesz zostać do rana. Ale jeśli mi się nie spodobasz, natychmiast wykopię cię na zewnątrz. Zrozumiano?

Szybko pokiwał głową i wyciągnąłem z kieszeni garść monet. Gospodarz niecierpliwym gestem chwycił dziesięciofenigówkę i kiwnięciem głowy wskazał palenisko.

– Dorzuć do ognia, jeśli chcesz – powiedział już nieco łagodniejszym tonem. – Na tamtej ławie są koce, możesz wziąć jeden, gdybyś chciał wysuszyć ubranie. Moja żona przyniesie ci coś do jedzenia, jak będzie miała chwilę, ale to może potrwać.

Gdzieś w głębi zajazdu rozległ się stłumiony krzyk, przeciągły i bolesny. Trwał kilkanaście sekund, ucichł na moment, po czym powtórzył się, równie głośny, rozedrgany i przejmujący co wcześniej. Oberżysta drgnął, popatrzył na mnie ostro, jakby ostatni raz przypominał warunki naszej umowy, po czym zostawił mnie samego i zniknął w drzwiach za szerokim kontuarem.

130

Cóż, moja wyprawa nieoczekiwanie nabräła rumieńców.

Cały się trząłem, w ciągu ostatnich dwóch kwadransów deszcz i wiatr skutecznie wygnały z mojego ciała resztki ciepła. Strzepnąłłem mokrą pelerynę i powiesiłem ją nad paleniskiem, po czym wykręciłem ubranie i zrobiłem z nim to samo. Zostałem w mokrej koszuli i bieliźnie, na ramiona narzuciłem koc. Do paleniska dołożyłem dwa grube polana i, upewniwszy się, że wciąż jestem sam, wyciągnąłem spod koszuli medalion gildii zawieszony na rzemieniu. Ścisnąłłem amulet w dłoni i pospiesznie wyszeptałem słowa zaklęcia – ogień buchnął, jakby ktoś chlusnął w płomieniu kubek mocnego samogonu. Drewno prędko się zajęło, a ciepło z wolna rozlało się po zziębniętym ciele. Opatułem się kocem, usiadłem na wytarnej baraniej skórze i wsłuchiwałem się w wiatr gwiżdżący pod powałą.

Krzyk się powtórzył, choć tym razem był krótki, jakby nagle zduszony. Włoski zjeżyły mi się na karku, a na ramionach pojawiła gęsia skórka.

Co, do diabła? Zarzynali tam kogoś na tyłach zajazdu, kiedy ja tu w najlepsze rozcierałem skostniałe łapska? Człowiek, który mnie wpuścił,

wyglądał na takiego, co się lepiej czuje w zbójeckim rynsztunku niż w fartuchu oberzysty, ale kto go tam wie, sprawiał też przecież wrażenie szczerze zafrasowanego, a spece od gardłowej roboty rzadko kiedy się czymkolwiek frasują. Co więc innego...?

W izbie było ciemno, tylko wokół trzaskającego ognia fruwały skry i tańczyły cienie. Ciepło dodatkowo mnie rozleniwiło i otumaniło, tak że z obecności kobiety zdałem sobie sprawę dopiero wtedy, gdy trąciła mnie w ramię.

– Macie – powiedziała. – Zjedziecie, napijcie się. Zimne, ale tylko to jest. Podła noc.

Nie wiedziałem, czy to ostatnie dotyczyło pogody, mojego pojawienia się w zajeździe czy może tajemniczych krzyków. Kobieta wetknęła mi miskę z zimną kaszą ze skwarkami oraz kufel mętnego piwa. Była przysadzista, szeroka w ramionach, ciemne włosy wiązała w gruby warkocz; mogła mieć ze czterdziestu lat, ale poruszała się ociążale, z widocznym trudem.

– Dziękuję pani – bąknąłem. – Jeśli tylko mogę w czymś pomóc...

Obdarzyła mnie bystrem spojrzeniem, ale zaraz uśmiechnęła się i pokręciła głową. Uśmiech miała smutny, podobnie jak oczy otoczone siecią drobnych zmarszczek.

– Niech się panicz spróbuje przespać – odparła. Później dodała pod nosem: – Podła noc.

Podreptała z powrotem w mrok. Odprowadziłem ją wzrokiem, coraz bardziej przekonany, że dzieje się tutaj coś niezwykłego.

Zajazd nie był duży. Główna izba, w której siedziałem, miała kształt prostokąta. Pośrodku umieszczono palenisko z rożnem, w kącie stał wygaszony kaflowy piec. Toporne drewniane ławy nakryto baranimi skórami, a po schodkach można było wejść na antresolę – z braku osobnej sali tam najpewniej udawali się ci, którzy nad trunki przedkładali odrobinę snu. Pod kontuarem stały beczki, obok nich trwał w gotowości szereg flaszek z ciemnego szkła, a na półkach czekały naczynia: talerze, misy, półmiski, kubki i kieliszki najróżniejszego sortu – cynowe, miedziane, kamionkowe, drewniane. Drzwi za kontuarem wiodły najpewniej w głąb

domu, na pokoje gospodarzy i być może do kilku izb, które wynajmowano co zacniejszym gościom.

Odstawiłem pustą miskę, dopiłem piwo. Kobieta musiała chyba wzboić zawartość kufla o kieliszek czegoś mocniejszego, bo zrobiło mi się przyjemnie ciepło, a po ciele rozlało się rozleniwienie. Dorzuciłem jeszcze do ognia i wróciłem na miejsce. Koszula zaczęła na mnie dosychać, płonące drewno skwierczało wesoło, a rytmiczne bębnenie deszczu o dach kołysoło, uspokajało, usypiało.

Przymknąłem oczy, złożyłem głowę na ramionach, opatuliłem się szczelnie kocem. Zmęczenie opadło na mnie jak kurtyna w teatrze i choć w pewnym momencie przysiągłem, że słyszałem stukot laski, uznałem, że ta oraz inne tajemnice Bocianiego Zagonu będą musiały zaczekać.



Sny, które nadeszły, przypominały świat widziany oczami szaleńca. Niosły ze sobą ból: ten fizyczny – przeszywający kości imięśnie, przypominający kulę ognia w żołądku i pokruszone szkło w żyłach – oraz duchowy, obezwładniające poczucie samotności, bezradności, kruchosci własnej jaźni.

Śniło mi się, że jestem pogrzebany żywcem w miękkiej, zimnej ziemi, która sypie mi się do ust i dlawi wołanie o pomoc; która klei się do palców niczym mokra glina, krępuje ruchy na podobieństwo grząskich piasków.

Śniło mi się, że leżę w skwierczącym słońcu, jadowite węże i skorpiony kąsają moje opuchnięte ciało, a ja mimo wszystko nie mogę umrzeć. Nie jestem w stanie się poruszyć, gdy nadlatują pierwsze muchy i zaczynają wędrować po mnie w poszukiwaniu miejsc, gdzie dałoby się złożyć jaja. Widzę pochylającego się nad mną sępa o potężnym, zakrzywionym dziobie i błagam, żeby uderzył, żeby jednym morderczym ciosem zakończył moje cierpienie. Nic z tego – sęp poprawia czarny płaszcz, dotycza skrzydłem krawędzi cylindra i po raz kolejny kuštyka wokół mnie, a akompaniuje mu stukot laski.

Śniło mi się, że leżę na łóżku, w pokoju bez okien. Prześcieradło, którym jestem przykryty, jest ciężkie niczym głąz, miażdży mi kości, rozciera

skórę i ścięgna na krewą miazgę. Pochyla się nad mną para świń chodzących na tylnych nogach, ubranych w białe fartuchy. Przytrzymują mnie, gdy próbuję wydostać się spod prześcieradła, wlewają do gardła jakąś paćkę przypominającą rzeczny muł. Ktoś przechadza się za ich plecami, słyszę stukanie laski i nagle ponad ramionami ludzi-świń dostrzegam zakrzywiony kształt ptasiego dzioba.

– Jeszcze raz – skrzeczy ptak, a kubek z obrzydliwą cieczą znów zostaje napełniony. – Jeszcze raz.

Wrzeszczę, a mój krzyk jest jasny i piskliwy – to wrzask dziewczynki. Co najgorsze, wcale nie cichnie, gdy budzę się na podłodze zajazdu, na wytartej baraniej skórze, o krok od przygasającego paleniska.



Krzyk najpierw przeszedł w ciche, stłumione utyskiwanie, by wreszcie zupełnie zginąć pośród innych odgłosów: wiatru świszczącego w szczeelinach, deszczu łomoczącego o dach, ognia sycącego się szczapami drewna.

Wahałem się przez kilka uderzeń serca, później wstałem i ubrałem się pospiesznie. Moje rzeczy były już prawie suche, tylko pachniały dymem jak świeża wędzonka. Obok kontuaru znalazłem skrzyneczkę ze świecami i zapaliłem jedną z nich od paleniska. Mogłem przywołać magiczne światło, ale trudno byłoby się z niego w razie czego wytłumaczyć, a nie zamierzałem niepotrzebnie ryzykować. Indoktrynacja ze strony Straży Kościelnej sprawiła, że wielu mieszkańców Cesarstwa nie miało za grosz zaufania do przedstawicieli mojego fachu.

Drzwi za kontuarem nie były zamknięte. Otwierały się na spowity mrokiem korytarz oraz wąskie, strome schody prowadzące na piętro. Przystałem w progu i zacząłem nasłuchiwać. Przez chwilę nie wydarzyło się absolutnie nic – odgłosy ulewy szalejącej na zewnątrz skutecznie zagłuszały wszelkie szmery. W końcu dotarł do mnie czyjś głos, padło kilka niewyraźnych słów, przysiągłbym też, że rozległo się znajome stukanie laski.

Na dole – zdecydowałem.

Minąłem schody i podążyłem korytarzem, a świeca w moich dloniach roztańczała wokół wątły krąg światła. Czułem krople wosku stygnące mi na palcach i pot zbierający się na skroniach. Wmawiałem sobie, że suchość w ustach to efekt doprawionego gorzałką piwa, a nie rosnącego niepokoju.

Pierwsze drzwi otwierały się na kuchnię. W pomieszczeniu było przyjemnie ciepło, na piecu stały gary i rondle, na ścianie wisiały rzędem chochle, sita oraz cedzaki, w jednym wiklinowym koszyku leżały sztućce drewniane, w drugim – stalowe. O ścianę oparto szeroką stolnicę, a pod sufitem wisiały pęki suszonych ziół: majeranku, bazylii, estragonu. Z kuchni można było przejść jeszcze do spiżarki, gdzie obok beczek z kapustą i ogórkami leżały w workach ziemniaki i cebula, a na półkach czekały słoje z konfiturami, kompotami i marynatami.

Zamierzałem iść dalej i sprawdzić resztę parteru, gdy nieoczekiwane zadrzął medalion wiszący na mojej szyi. Przywarłem do ściany, szukając wzrokiem zagrożenia. Amulety były nie tylko symbolem przynależności do danej gildii oraz katalizatorem magicznej energii przydatnym mniej doświadczonym adeptom sztuk tajemnych, ale też potrafiły ostrzec swego właściciela przed niebezpieczeństwem magicznego pochodzenia. Raczej nic nie wskórają w sprawie pechowo obluzowanej dachówki, ale mogą się przydać, gdy zazdrośnie kolega po fachu zapragnie potraktować cię piorunem kulistym. I teraz zadrzął. Krótko, ale jednak.

Deszcz chyba na moment zelżał i dzięki temu usłyszałem głosy – ciche, na granicy szeptu, a jednak dziwnie bliskie, jakby dzieliła nas tylko pojedyncza ściana. Nie słyszałem ich dość wyraźnie, by zrozumieć znaczenie słów, ale wystarczył mi pełen przejęcia ton, może trochę napaściły, trochę błagający.

Skąd pochodziły te szepty? Byłem przekonany, że nie dobiegają z piętra, a kuchnia sąsiadowała ze spiżarnią, korytarzem oraz główną salą zajazdu – wszystkie te miejsca już sprawdziłem. A to oznaczało...

Zacząłem metodycznie obchodzić kuchnię dookoła, przesuwając dlonią po ścianie. Szukałem ciepła i znalazłem je – gorący pion

szerokości kilkudziesięciu centymetrów biegnący od poziomu gruntu w górę. Uśmiechnąłem się tryumfalnie i zaraz przykucałem. Znalazłem pierwszy fragment układanki, potrzebowałem jeszcze drugiego.

Teraz, gdy już wiedziałem, czego szukam, poszło mi szybko. Klapa w podłodze znajdowała się na środku ciemnej, pozbawionej okien spiżarki i w słabym świetle świecy była nie do wypatrzenia. Sam pewnie bym ją przegapił, gdyby nie mój medalion. Wcisnąłem w szczelinę ostrze noża i podważyłem właz, później powoli odsunąłem go na bok. Świeca wydobyła z mroku stromo opadające stopnie, gdzieś w głębi piwnicy żarzył się żółtawy blask lampy naftowej. Po raz kolejny usłyszałem szmer głosów i towarzyszące krokom postukiwanie laski.

Przez moment zastanawiałem się, co dalej. Mogłem przecież dać temu spokój, wrócić na baranią skórę, przed ogień w palenisku, i spaść spokojnie do rana, a później pójść w swoją stronę. Gospodarz i jego żona nie zamierzali mnie skrywdzić – inaczej w ogóle bym się nie obudził. Ale nie ulegało wątpliwości, że skrywają jakąś tajemnicę... Do czego mogli się posunąć, gdybym ją odkrył? Czy warto było ryzykować z powodu głupiej ciekawości?

Rozważania przerwał mi dobiegający z dołu krzyk, zaraz po nim rozległy się zaniepokojone głosy, coś zaszurało, a bolesny dziewczęcy wrzask przeszedł w rwane pojękiwanie. Wydawało mi się, że słyszę głos oberżystki układający się w słowa jakiejś modlitwy, ale z ogólnego hałasu docierało do mnie piąte przez dziesiąte.

Niech tam, do diabła z przezornością.

Ruszyłem w dół. Piwnica była wysoka, więc musiałem się tylko trochę przygarbić. Pomieszczenie miało jakieś trzy na trzy metry, dalej można było przejść uchylonymi drzwiami, zza których błyskało światło lampy i dobiegały głosy. Od nagich ścian ciągnęło wilgocią, co nie powinno dziwić, zważywszy, jak blisko znajdowało się rozlewisko Saary, ale poza tym było ciepło i duszno. W mur wkręcono żelazne haki, w jednym kąciku wciąż jeszcze rozwieszony był zetlały hamak. Podejrzewałem, że dawniej piwnica służyła za kryjówkę – pozostawało tylko pytanie komu i dlaczego.

Teraz głosy słyszałem już wyraźnie: rozpoznałem oberżystę i jego żonę; był też trzeci, należący do mężczyzny, który burknął coś niezrozumiałego i zamilkł. Podszedłem bliżej. Amulet gildii drżała właściwie bez przerwy, ale wiedziałem, że już się nie wycofam. W końcu zakradłem się do uchylonych drzwi i zerknąłem do środka.

Na haku pod sufitem wisiała lampa naftowa, w kącie stał nieduży piecyk. Na wprost drzwi znajdowało się pojedyncze łóżko i to przed nim klęczała oberżystka, modląc się żarliwie. Jej mąż siedział na zydlu, kawałek z boku, i chował twarz w dłoniach.

Na łóżku, pod nakryciem z grubej pierzyny, leżała dziesięcio-, może jedenastoletnia dziewczynka i kwiliła boleśnie, a po policzkach ciekły jej strużki krwawych łez.

W tej samej chwili na wprost uchylonych drzwi stanął mężczyzna z laską i, nim zdążyłem zareagować, psiknął mi w twarz czymś ze szklanej gruszki – jednej z tych, w jakich trzyma się drogie perfumy. Wzrok mi się rozmył, w nosie zakrącił dziwny, chemiczny zapach. Poczułem, że uginają się pode mną nogi, a ciemność wyskoczyła z kątów piwnicy, pożarła wszelkie światło i otuliła mnie szczelnym, ciepłym całunem snu.



Obudziłem się, co samo w sobie stanowiło powód do radości. Inna sprawa, że obudziłem się skrępowany, z potężnym bólem głowy i szmatą wetknietą w usta. Ale cóż, tylko skończony niewdzięcznik mógłby w takiej sytuacji narzekać.

Siedziałem w kącie tego samego pomieszczenia, w którym odkryłem dziewczynę. Ręce miałem związanymi za plecami, sznur wzynał mi się w nadgarstki. Czułem też wilgoć na karku – musiałem w coś przywalić głowę, kiedy straciłem przytomność. Przynajmniej już wiedziałem, skąd to nieznośne łupanie pod czaszką.

Łóżko wciąż tam było, podobnie jak dziecko, buchający ciepłem żeliwny piecyk, a także oberżysta i jego żona – nic z tego mi się nie uroíło. Dziewczynka była chuda, blada, z chorobliwymi wypiekami na

twarz i szklistymi oczyma. Policzki miała już czyste, ale wydawało mi się, że w świetle lampy dostrzegam plamy krwi zlepiające tu i ówdzie jasne włosy.

W pomieszczeniu był także mężczyzna z laską: stał plecami do łóżka, twarzą do ściany, a właściwie do zawieszanej na gwoździu maleńkiej tablicy. Miał na sobie dobrze skrojony, ciemny surdut, śnieżnobiałą koszulę przewiązaną pod szyją czarną wstążką i wysokie buty lśniące od pasty. Marszczył młode czoło – nie mógł być starszy ode mnie o więcej niż pięć czy sześć lat – i podrzucał w dłoni kawałek kredy, wpatrując się w kolumnę wypisanych na tablicy słów. Z miejsca, gdzie siedziałem, nie byłem w stanie ich przeczytać.

– Obudził się – odezwał się oberżysta.

Nie od razu zrozumiałem, że mówi o mnie. Jego żona na moment podniosła wzrok, po czym wróciła do przerwanej modlitwy. Poruszała bezgłośnie wargami, w dloniach ściskała prosty drewniany różaniec.

Gospodarz podszedł bliżej i popatrzył na mnie z góry. Spodziewałem się wyrzutu w jego oczach, ale ujrzałem tam tylko strach i zmęczenie.

– Co z nim zrobimy? – zapytał.

– Wyjścia masz dwa – odparł obojętnie mężczyzna z laską. Ani na moment nie oderwał wzroku od tabliczki. – Możesz go zabić albo puścić wolno.

Oberżysta wzdrygnął się, ale jego spojrzenie sugerowało, że już zaczął rozważać wady i zalety obu rozwiązań.

– W pierwszym przypadku – kontynuował ten z laską – ryzykujesz, że ktoś będzie go szukał i trafi tutaj, a oskarżenie spadnie na ciebie. Gdyby udowodnili ci morderstwo, zapłacicie szyja, ty i twoja żona, a dziecko skończy w przytułku albo, co bardziej prawdopodobne, w przydrożnym rowie.

Może nie brzmiało to zbyt dobrze, ale działało na moją korzyść.

– Z drugiej strony – dodał mężczyzna – idę o zakład, że nikt go szukać nie będzie.

Szlag by go trafił, kulawego zasrańca. Naprawdę musiał to mówić?

– Nie? – zainteresował się oberżysta.

– Nie – odparł mężczyzna, wciąż nie zaszczycając mnie spojrzeniem.
– Przyjrzyj mu się. Łata na spodniach, wyblakła koszula, buty schodzone. Nie wygląda na bogatego ekscentryka, którego ulewa złapała w połowie przechadzki. Łapska ma spore, ale gładkie, niespracowane, więc nie należy do okolicznego chłopstwa. Kim jeszcze może być? Handlarz miałby ze sobą towary lub pieniądze, nie wspominając o tym, że mądrzej obmyśliłby trasę. W kieszeni ma guldeny i franki, więc zamierzał przekroczyć granicę, a tylko jeden rodzaj ludzi ciągnie w tym celu nad Bocianą Zagon, gdzie można chyłkiem przedostać się przez rzekę. Ludzie, którym nie po drodze z prawami Cesarstwa i Straży Kościelnej. No i pozostaje ten medalion cechowy, który nosi na szyi, a który w połączeniu z blizną po chemicznych odczynnikach na lewym nadgarstku wskazuje na niespecjalnie bystrego adepta alchemii. Za takimi ludźmi nikt nigdy nie teskni.

Oberżysta popatrzył na niego z rozdziawionymi ustami. Mnie też zatkało – pomijając fakt, że był magiem, a nie alchemikiem, wszystko inne się zgadzało. Drań zdążył mnie przeszukać i dobrze mi się przyrzec, kiedy byłem nieprzytomny.

– Nie możemy go zabić – odezwała się nagle kobieta. Gdybym nie był związany, pobiegłbym ją czym przedżej uścisnąć. – Nie godzi się odbierać życia, kiedy prosi się Boga o jego ratowanie.

– Nic bardziej mylnego – zaoponował znowu mężczyzna z laską. Jego arogancki ton z każdą chwilą bardziej działał mi na nerwy. – Wyznawcy najróżniejszych religii przez małe tysiąclecia uważali ofiarę z ludzi za najbardziej niezawodny sposób na przebłaganie mieszkańców niebios. Nawet w Biblii wspomniana jest historia Jonasza...

– Nie możemy go zabić! – powtórzyła żona oberżysty.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Wasz wybór. Z drugiej strony może nie być takiej potrzeby: alchemik raczej nie pójdziesz donieść na was Straży Kościelnej.

Oberżysta przyjrzał mi się po raz kolejny, oblizał spierzchnięte wargi, otarł spocone dlonie o fartuch. Coś w jego oczach mówiło, że gdyby decyzja należała tylko do niego, skończyłbym na moczarach, z kamieniem przywiązanym do nóg i puderżniętym gardłem.

– Niech przysięgne – wymamrotał, sięgając do knebla. – Jeśli przysięgne, że będzie milczał, pozwolę mu żyć.

– Niech przysięgne na swoją gildię – podpowiedział mężczyzna z laską. – Tacy jak on za nic mają Boga i Biblię. Gilda jest ich rodziną, religią i największym skarbem.

Gałgan zniknął, poruszałem na próbę ustami. Zdrętwiała szczeka bolała, ale wiedziałem, że to prędko minie.

– Przysięgam – wykrztusiłem. – Przysięgam na moją gildię, że nie doniosę na was ani Straży Kościelnej, ani władzom świeckim.

– Jak się nazywasz? – zapytał oberżysta.

– Filip Saggo.

– W takim razie posłuchaj, Filipie Saggo. Siedź cicho i nie przeszkadzaj dobremu doktorowi, a może wyjdzieś z tego cało. Moja żona jest przeciwna pozbawieniu cię życia, ale nie powstrzyma mnie przed wyrwaniem ci języka i połamaniem paluchów, jeśli wejdziesz nam w drogę, jasne?

Skinąłem głową. Gospodarz popatrzył na mnie raz jeszcze, po czym podszedł do swojej klęczącej żony. Nie słyszałem, co do niej powiedział, ale objął ją i wyprowadził z pomieszczenia. Zostaliśmy sami: ja, człowiek z laską i dziewczyna na łóżku. Ostrożnie sprawdziłem więzy, ale ktokolwiek mnie skrępował, zrobił to zawodowo.

Mężczyzna podszedł do chorej i pochylił się nad nią. Pociągnął nosem, podniósł jej zamknięte powieki. Dziewczynka nie obudziła się – prawdę powiedziawszy, nawet nie drgnęła.

– Co jej jest? – zapytałem.

– Gdybym wiedział, nie byłoby tutaj ani mnie, ani ciebie, ani tym bardziej jej samej – odparł mężczyzna.

– Gospodarz nazwał pana doktorem. Jest pan medykiem?

Odpowiedział pogardliwym prychnięciem. W lewej dłoni trzymał złoty zegarek, prawą położył chorej na tętnicy szyjnej.

– Georg Haus. I nie medykiem, a doktorem nauk medycznych. Dla ciebie to żadna różnica, ale dla tej małej i paru innych nieszczęsników równie zasadnicza, co między ślepym felczerem a Awicenną. O ile wiesz, co mam na myśli. – Westchnął niewesoło. – Znowu się zaczyna.

Dziewczynka nagle otworzyła oczy i poderwała się do siadu. Rysy momentalnie się jej wyostrzyły, usta otworzyły szeroko, ale z gardła wydobył się tylko upiorny charkot. Dlonie zaciśnięte na pościeli pobiegały z wysiłku, ramionami wstrząsały rozpaczliwe spazmy. Jej oblicze nabiegło czerwienią, na czole pokazały się nabrzmiałe żyłki. Nie mogła oddychać.

Haus bez słowa wyciągnął z kieszeni płaszczu stetoskop i zaczął osłuchiwać chorą. Świadomość tego, jak to dziecko cierpi, paraliżowała mnie, ale w poczynaniach doktora próżno było szukać oznak zdenerwowania. Mężczyzna odłożył stetoskop, otworzył leżącą obok łóżka torbę i wyciągnął z niej metalową puszkę. Gdy tylko zdjął wieko, w pomieszczeniu rozniósł się specyficzny zapach – ostry, przesywający, ale wbrew pozorom dość przyjemny. Haus podstawił puszkę przed twarz dziewczynki, a ta po paru sekundach zdołała wreszcie zaczerpnąć tchu. Łzy popłynęły jej ciurkiem, czoło natychmiast zrosiło pot. Opadła na poduszkę wyczerpana, wciąż głęboko oddychając, a Haus zamknął naczynie i schował w torbie.

140

Z tego, że medalion na mojej szyi przez cały czas ostrzegawczo podrygiwał, zdałem sobie sprawę dopiero, gdy znieruchomiał. Niebezpieczeństwo, czymkolwiek było, chwilowo minęło.

– Co jej dolega? – powtórzyłem.

Haus nie odpowiadał od razu. Skreślił parę słów na tabliczce, odszedł na krok i przyjrzał się im krytycznie.

– Halucynacje – zaczął wymieniać. – Raptownie pojawiająca się i znikająca gorączka. Krwawienie z oczu i uszu. Wymioty. I teraz duszności. Jakieś pomysły?

– Febra? – podsunąłem.

Mężczyzna popatrzył na mnie, najwyraźniej zaskoczony, że w ogóle uzyskał odpowiedź. Postukał laską w podłogę, podrzucił w dłoni kawałek kredy.

– Nie tłumaczy halucynacji ani krwawienia. Poza tym w Cesarstwie odnotowano zaledwie tuzin przypadków malarii na przestrzeni ostatniej dekady.

– Zatrucie? – zaryzykowałem po raz kolejny.

- Też nie wyjaśnia krvawienia.
- Krvawienie może być wynikiem gwałtownego skoku ciśnienia.
- A co miałoby spowodować gwałtowny skok ciśnienia u dziesięcioletki? – zapytała z przekąsem.
- Na przykład niewłaściwy lek. U niektórych to się zdarza.
- Zdarza się – przyznał Haus z uśmiechem politowania. – Ale nie mnie. Partaczom bawiącym się w alchemię, owszem. Szarlatanom, zunchorom, wioskowym zielarzom i cyrulikom od siedmiu boleści. Nie mnie – powtórzył.

Zapadło milczenie. Ogień strzelił w piecyku, coś trzasnęło o żeliwne drzwiczki. Przyglądaliśmy się dziewczynce, jej wychudzonej twarzy, włosom lepiącym się do czoła, dloniom złożonym na pościeli jak dwa białe martwe pajaki.

- Ale wciąż nie wiesz, co jej jest, prawda?
- Nie – wyszeptał. – Nie wiem.

Usłyszeliśmy kroki. Oberżysta stanął w drzwiach, jakby bał się wejść do pomieszczenia. Popatrzył na nas, zerkał na łóżko, podrapał się po łysej czaszce. Odchrząknął, otworzył nawet usta, ale koniec końców nie powiedział ani słowa. Wyobrażałem sobie, jak bezradny musi się czuć ten surowy, twardy człowiek w obliczu nieznanej choroby, która zabijała małe i która być może właśnie wyciągała zabójcze, żądne krwi łapska w naszą stronę.

– Niech się pan nie obawia, Bendtner – mruknął Haus. Nie musiał widzieć miny oberżysty, żeby przejrzeć go na wylot. – Proszę podejść do córki.

– Nie złapię tego świństwa? – bąknął gospodarz. Zbliżył się do dziewczynki i schował jej drobną dłoń w swoich szerokich łapskach.

– W przypadku większości chorób okres pomiędzy zarażeniem a wystąpieniem pierwszych objawów wynosi kilka dni – rzekł Haus. – Czasem nawet dwa tygodnie.

– To znaczy? – Oberżysta popatrzył na niego bez zrozumienia.
 – To znaczy, że mógł się pan zarazić, jeszcze zanim jej cokolwiek zaczęło się działać – wyręczył doktora.

– A jeśli to diabelstwo jest naprawdę zaraźliwe, to wkrótce zabierze się i za nas – mruknął Haus, kładąc dłoń na czole dziewczynki. – Gorączka wraca. Bendtner, przynieście wody i czysty ręcznik. Żywo, człowiek. I rozwiążcie tego wielkoluda, może się na coś przyda. Z twoją córką nie jest dobrze, ale jeśli to paskudzto łatwo się rozprzestrzenia, a ja nie znajdę na nie lekarstwa, za parę dni będzie nam już wszystko jedno.



Szybko przekonałem się, że Haus wcale nie potrzebował asystenta, tylko kogoś, przy kim mógłby głośno myśleć. Skromna wiedza medyczna pozwalała mi rzucić parokrotnie jakimiś uwagami czy pomysłami, które doktor zaraz wykpił, ale miałem wrażenie, że te moje nieudolne próby w jakiś sposób go nakręcają, skłaniają do myślenia i obracania problemu w głowie.

– A jeśli to toczęń...? – wyszeptał nagle, kiedy puszczaliśmy dziecku krew, chwilę po tym, jak wyśmiały moje pytanie o zmiany skórne. – To by tłumaczyło objawy...

Wysłał mnie do oberżysty po dwa kubki i butelkę jałowcówki, po czym zaczął szperać w swojej skórzanej torbie. Z przyjemnością opuściłem pomieszczenie: dość miałem tego gorąca przesiąkniętego zapachem choroby oraz widoku pijawek pęczniących na niemal przezroczystej skórze dziecka.

Haus mówił o sobie niechętnie, ale okazało się, że i ja potrafię ruszyć głową. Po akcencie rozpoznałem w nim mieszkańców Nadrenii, natomiast powoływanie się na niezbyt cenionego w ultrakatolickim Cesarstwie Awicennę i innych starożytnych znawców medycyny sugerowało absolutnego którejś z poważanych, ale prowincjalnych akademii. Stawałem na Królewiec i trafiłem.

– No proszę – mruknął zaskoczony doktor, kiedy podzieliłem się z nim swoimi podejrzeniami. Przez twarz przemknął mu cień uśmiechu. – Więc alchemicy nie rekrutują się obecnie wyłącznie spośród upośledzonych umysłowo. To pocieszające.

– Nigdy nie mówiłem, że jestem alchemikiem – odparłem, wzruszając ramionami.

Haus nie drążył tematu, zajęty mieszaniem w kubkach dekoktów. W obu znajdowała się woda i jakiś proszek, który wyciągnął z zapinanej wewnętrznej kieszeni torby. Do jednego naczynia dolał solidną porcję jałowówkwi.

– Co to takiego?

– Chinina – odparł, starannie mieszając powstały tonik. – Według badań Rudolfa Scheffessa hamuje rozwój tocznia.

– A po co jałowówka?

– Dla mnie – odrzekł, łykając trunek zmieszany z chininowym roztworem. – Smakuje pierwszorzędnie, znacznie lepiej niż wszystkie lokalne wódki razem wzięte. Chcesz spróbować?

Podczas kolejnych zabiegów – puszczenia krwi, nakładania zimnych kompresów, pojenia herbatą za pomocą łyżeczki – podpytałem Hausa o rodzinę oberżysty i o to, jak on sam tu trafił. Na temat doktora dowiedziałem się tylko tyle, że pracował w słynnym Szpitalu Cesarskim w Wiedniu oraz w klinice imienia Fryderyka II w Stuttgarcie. Nie udało mi się wyciągnąć z niego powodów, dla których wylądował w prowincjonalnym, zadymionym Zagłębiu Saary, ale podejrzewałem, że jego nieortodoksyjne zachowanie i hojnie rozdawane uszczypliwości nie były bez znaczenia.

Oberżysta Bendtner – Haus nie uznał za istotne zapamiętać jego imienia – kupił zajazd dziesięć lat wcześniej od starzejącego się mężczyzny nazwiskiem Hoffman. Sprowadził się tu z żoną i dzieckiem: półroczną dziewczynką. Interes nie przynosił olbrzymich zysków, ale przy odrobinie wysiłku wystarczał, by rodzina wiodła znośne życie.

– Bendtner nie chciał mieć więcej dzieci? – zainteresowałem się.

– Może i chciał – odparł Haus. – Ale nie mógł. Widziałeś jego żonę? Ma nie więcej niż czterdzieści lat, ale dokuczają jej stawy, jest ciągle zmęczona, a w tym gorącu prawie się nie poci. Idę o zakład, że ma zaawansowaną niedoczynność tarczycy, a to schorzenie często uniemożliwia poczęcie.

Poza tym mają chyba wystarczająco dużo zabawy z jednym dzieckiem, nie uważasz?

Okazało się, że Trudi – imię dziewczynki poznałem od oberżysty; kiedy zapytałem o nie Hausa, popatrzył na mnie, jakby wcześniej nie przyszło mu do głowy, że chora w ogóle może mieć jakieś imię – od małego była chorowita. Według opinii niezależnie zasięgniętych u medyka z Saarbrücken i aptekarza z Saargemünd, miała stopniowo wyrosnąć ze swoich przypadłości, ale nic takiego się nie stało; przeciwnie, z każdym rokiem było gorzej. Naprawdę fatalny obrót sprawy przybrały w ostatnim tygodniu: gorączka pojawiała się znikąd, a wraz z nią wymioty, zawroty głowy i ból, którego nic nie mogło usmierzyć. W końcu Bendtner postanowił zrobić użytkę z rozległej piwnicy pełniącej za dawnych czasów rolę kryjówki dla przemytników i rozbójników. Odkurzył żeliwny piecyk, pozdejmował pajęczyny, wstałał tu łóżko i przeniósł chorą córkę. Następnie zaś wysłał z Saarbrücken telegram do człowieka, o którym kiedyś opowiadał jeden z przejezdnych – do lekarza, który podobno potrafił rozpoznać każdą chorobę i nie cofał się przed niczym, gdy szło o ludzkie życie. Do Georga Hausa, doktora nauk medycznych ze Szpitala Opatrzności Bożej w Mannheim. Niespełna dwa dni później Haus był już na miejscu.

– Czemu oberżysta przeniósł tu córkę? Mimo palenia w piecyku, jest tu dość wilgotno – zainteresowałem się.

– Bendtner bał się, że ktoś usłyszy jej krzyki i doniesie Straży Kościelnej.

– Co obchodzą inkwizytorów krzyki jakiejś dziesięciolatki?

– Nie obchodzą – odparł Haus. – Przynajmniej tak długo, jak są po niemiecku, a nie w aramejskim.

Znieruchomiałem w połowie wyciskania kompresu nad blaszaną miednicą.

– Chcesz powiedzieć, że...?

Haus skinął głową.

– Dokładnie w dialekcie nowoaramejskim, o ile się nie mylę.

A więc mężczyzna był nie tylko ekspertem w dziedzinie medycyny, ale i uzdolnionym lingwistą. Nigdy nie miałem o sobie specjalnie

wysokiego mniemania, ale w towarzystwie Hausa czułem się jak siedmiolatek z zadatkami na wioskowego idiotę.

Zanim o tym wspomniał, przeszło mi przez myśl, że winny może być manifestujący się w dziecku talent magiczny. Problem w tym, że zdarzało się to u znacznie młodszych dzieci, a poza tym nawet największy magiczny dar nie zapewniał dostępu do języków, których dana osoba w życiu nie słyszała.

– Na co trzeba chorować, żeby mówić w języku, którego się nie zna? – zapytałem. – Bo zakładam, że ona nie zna aramejskiego.

– Nie zna – przyznał Haus. – Próbowałem z nią porozmawiać, gdy była przytomna, ale nie zrozumiała ani słowa.

Zaczekałem, aż mężczyzna skończy badać dziewczynce puls, i spróbowałem raz jeszcze:

– Jaka choroba...

– Żadna – uciął. – Żadna choroba nie sprawia, że zaczynasz mówić w języku, którego nie znasz.

Milczałem, starając się pogodzić z implikacją, kryjącą się za tymi słowami. Po tym, w jaki sposób Haus na mnie spojrzał, wiedziałem, że myśli o tym samym.

– Więc czemu... czemu próbujesz ją leczyć?

– Bo wolę wierzyć, że się pomyliłem – wycodził przezzęby. – Że się przesłyszałem. Bo jeśli to choroba, to znajdę ją, rozpoznam i wyleczę. Ale jeśli dziecko jest opętane...

Miałem wrażenie, jakby to słowo zawisło w powietrzu i tkwiło tam jak złośliwy chochlik, szczerząc do nas krzywezęby. Popatrzyłem na tablicę, na wypisany kredą wyrok. Krwawienie z oczu. Halucynacje. Gwałtowne gorączkowanie. I aramejskie słowa w ustach niemieckiej wieśniaczki. Opętanie tłumaczyło wszystkie objawy.

Ale jeśli diabelskie moce faktycznie wyciągnęły po dziewczynę swoje brudne łapska... Najbliższy znany mi mag, który mógłby pomóc, mieszkał w Monachium, prawdopodobnie był też ktoś w Kolonii. Tyle że zanim moja wiadomość by do nich dotarła, Trudi byłaby już martwa. Egzorcysta także nie wchodził w grę – gdy szło o pospółstwo, Straż Kościelna przeważnie

skłaniała się ku najprostszym i najbardziej radykalnym rozwiązańom. Wzdrygnąłem się na samą myśl.

– Sęk w tym – dodał Haus – że nie ma testu na opętanie. Nie ma papierka lakmusowego, który zabarwi się na czarno przyłożony do czoła opętanej osoby. Więc póki co muszę wierzyć, że się mylę, i próbować ją leczyć.

Przytaknąłem z ociąganiem. Haus miał rację, ale tylko połowiczną. Fakt, nie istniał papierek lakmusowy do wykrywania diabelskich sił. Były jednak inne sposoby.

Zaczekałem, aż natura zmusi Hausa do wyjścia z piwnicy. Gdy tylko zostałem z Trudi sam na sam, wyciągnąłem spod koszuli medalion gildii. Wyszeptałem słowa zaklęcia i tchnąłem na amulet, po czym zakryłem nim lewe oko. Gdy nic się nie wydarzyło, spróbowałem raz jeszcze, z większą starannością artykułując kolejne sylaby. „Objawienie świętego Pawła” było niełatwym czarem, wystarczył drobny błąd, by cały wysiłek spełzi na niczym.

146

Zadziałało. Za drugim razem medalion spełnił swoją funkcję i spojrzałem przez niego jak przez monokl. Fakt, że wykonano go z bitego srebra, nie miał większego znaczenia – za sprawą zaklęcia rozlał się przede mną obraz piwnicznego wnętrza, wyzbyty kolorów, pograżony w szarości. Świat stracił głębię: złagodniały kontrasty, faktury uległy wygładzeniu, światło lampy zbladło, a przedmioty przestały rzucać cienie. Piecyk wyglądał, jakby stopił się ze ścianą w jedną bezkształtną mase, to samo stało się z łóżkiem, pościelą i spoczywającą pod nią dziewczynką. Tylko wokół niej...

Cofnałem się o krok, a medalion niemal wyślizgnął mi się z dłoni. To, co widziałem, opanowało moje zmysły, zdominowało myśli, sparaliżowało ciało.

Wokół Trudi kłębiły się dziwne kształty, raz przypominające gęste opary, raz znów jakieś gigantyczne pareczniki wijące się wokół młodego ciała, opłatające je smugami mroku niczym wielostawowymi, wykręcającymi się na wszystkie strony odnóżami. Całość pulsowała, sycząc cicho wraz z każdym skurczem, rozsiewając wokół jakieś wirujące w powietrzu

drobiny – trochę jak popiół, trochę jak spory olbrzymiego grzyba – opalizujące na zielono, niebiesko i żółto.

Nie miałem pojęcia, co widzę; wiedziałem tylko, że jest w tym magia i to potężna. Moc otaczała dziewczynkę jak kokon.

Trudi drgnęła, z jej ust uleciało ledwo słyszalne słowo. Opalizujące wyziewy buchnęły kolejną chmurą, a czarne wstęgi skupiły się wokół twarzy dziecka jak pajęki ciągnące do much złapanych w sieć. Dziewczynka jęknęła i uniosła dłoń, a powietrze wokół niej zafałowało. Drobne palce wyprostowały się, zesztyniły i uderzyły w płachtę pościeli, sypiąc wokół kolorowymi iskrami...

Uderzenie w kark przyszło niespodziewanie, na podobieństwo błyskawicy. W jednej chwili stałem na środku pomieszczenia zapatrzony w szary świat po drugiej stronie medalionu; w drugiej klęczałem na ziemi, z głową pełną bólu, zdezorientowany i słaby jak niemowlę. Upłynęło kilka sekund, nim zgasły rozbłyski pod powiekami, a kilka kolejnych, zanim myślał przebiły się przez zaslonę bólu. Otworzyłem oczy i spróbowałem wstać.

Oberżysta pochyłał się nad córką, która głośno jęchała i ślepiła w suficie wytrzeszczonymi oczyma. Mężczyzna próbował ją uspokoić, przytrzymać w miejscu, ale gdy zobaczył, że się podnoszę, warknął coś jak rozjuszone zwierzę i rzucił się na mnie z zaciśniętymi pięściami.

– Zabiję cię! – ryknął.

Pomieszczenie było maleńkie, więc czasu na reakcję miałem tyle co nic. Może i był wyższy od Bendtnera, ale on był cięższy, z grubymi mięśniami pręczącymi się pod skórą. Nie mogłem dopuścić go do siebie, jeśli chciałem przeżyć.

Rzucił się na mnie pochylony – najwyraźniej zamierzał złapać mnie w pół, obalić na ziemię i zdzielić po pysku. Nic z tego. Wywinąłem się w ostatniej chwili, uskoczyłem w bok niczym matador przed bykiem. Bendtner natychmiast ruszył w moją stronę, szybciej niż bym się po nim spodziewał. Wyślizgnąłem się w ostatniej chwili, odpychając go w jednym kierunku, a samemu sadząc ponad biedną Trudi na drugą stronę łóżka.

– Bendtner, uspokój się, do chol... – nie dokończyłem, ponieważ posłizgnąłem się na pościeli i zleciałem na podłogę. Stukłem sobie

boleśnie nogę, a zanim się podniosłem, poczułem na barku ciężkie łap-sko oberzysty. Szarpnąłłem się, a gdy nie puścił, sięgnąłem za siebie, chwyciłem jego masywne przedramię i ze wszystkich sił spróbowałem wywinąć kozła w przód. Ciężki był potwornie, czułem się jakbym dźwi-gał na plecach podskakujący ołowiany kufer, kości mi zatrzeszczały, w oczach stanęły łzy. Strach musiał dodać mi sił, a może po prostu miałem szczęście – grunt, że chwyt Bendtnera nagle osłabił, a kiedy się wyrwałem, mężczyzna ześlizgnął mi się z pleców i uderzył o ziemię jak wóz ziemniaków.

– Ty gnoju... – wykrztusił oberzysta, krzywiąc się z bólu.

Jego dłoń zaciśnęła się na mojej nodze jak żelazna obręcz. Chciałem uciec, wyrwać się, ale mężczyzna trzymał zbyt mocno. Straciłem rów-nowagę, upadłem plecami na łóżko, gdzieś pod sobą poczułem okryte pościelą, wierzgające nogi Trudi. Bendtner podniósł się do siadu z oczy-ma rozjarzonymi nienawiścią i obietnicą mordu.

– Zabiję...

148

Nie zamierzałem czekać, aż spełni swoją obietnicę. Nieskrępowaną nogą kopnąłłem go w pierś. Uderzenie było wystarczająco silne, żeby odeprchnąć mężczyznę na dwa kroki w tył.

Wprost na rozgrzany piecyk.

Bendtner wpadł na kozę, na ułamek sekundy znieruchomiał, po czym odskoczył z wrzaskiem. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i mężczyzna opadł na kolana, wyjąc z bólu i wyginając poparzone plecy w łuk.

– Człowieku, posłuchaj mnie... – zacząłem, ale nie dał mi skończyć. Rzucił się na mnie, i o ile wcześniej przypominał byka, to teraz bliżej mu było do rannego wilka. Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, już walił pięściami gdzie popadnie, wyjąc jak potępieniec. Nie miałem siły na nic więcej niż niezgrabne chronienie głowy przed kolejnymi razami; któryś uderzenie i tak przedarło się przez zaslonę i poczułem krew w ustach. Następne trafienie zahaczyło o ucho, przed oczyma rozbłysły mi jasne światła, a ból zamroczył myśli.

Słabłem. Coraz trudniej było mi osłaniać twarz, ręce odmawiały po-sluszeństwa. Lada moment miałem otrzymać cios, który pozbawi mnie

przytomności, a Bendtner zamieniłby wtedy moją czaszkę w krwawą miazgę.

Bolesny skurcz w prawym ramieniu sprawił, że się poddałem, opuściłem gardę. Własne ciało mnie zdradziło, wydając biedną łepetynę na pastwę morderczych ciosów. Już, już spodziewałem się uderzenia, które zmiażdży mi kości i przerobi mózg na papkę.

Cios jednak nie nadszedł. A przynajmniej nie ten wymierzony we mnie.

Drewniana laska uderzyła jak wąż, błyskawicznie, niespodziewanie. Haus dźgnął oberzystę w policzek, za słabo, by wyrządzić krzywdę, ale wystarczająco mocno, żeby odwrócić ode mnie uwagę. Głowa Bendtnera odskoczyła, a płomień w oczach przygasł na moment, ustąpił miejsca zdumieniu, by zaraz rozgorzeć ze zdwojoną siłą.

Oberzysta w jednej chwili dał mi spokój. Poderwał się z miejsca i z rykiem skoczył na Husa. Chciałem coś powiedzieć, krzyknąć, zrobić cokolwiek, ale nie miałem siły – mogłem tylko patrzeć, jak Bendtner rozrywa doktora na strzępy.

Los po raz kolejny okazał się trzymać w zanadrzu niespodziankę. Zanim oberzysta do niego dopadł, Haus zrobił krok w tył, równocześnie chwytając laskę w obie dłonie. Coś kliknęło metalicznie, doktor wykonał jeden szybki ruch przypominający zamach wierzbową witką i moment później wszystko znieruchomiało. A dokładniej znieruchomiał Bendtner, z ostrzem krótkiej szpady, ukrytej dotychczas w lasce Husa opartym o wydatną grdykę. Doktor obserwował go spojrzeniem, jakim można oddarzyć młodego psa, który jeszcze się nie nauczył, że pewnych dloni pod żadnym pozorem nie należy kąsać.

– Niech się pan uspokoi, Bendtner – poradził Haus. Wydawał się spokojny, jakby przerywanie bójek było zwyczajowym elementem każdej terapii. – Proszę powiedzieć, czemu nagle postanowił pan załuci tego człowieka na śmierć.

Spróbowałem się podnieść i nie poszło mi najlepiej. Spróbowałem znaleźć jakiś kawałek ciała, który mnie nie bolał, i poszło mi jeszcze gorzej.

– To jakiś przeklęty czarownik! – krzyknął oberżysta. – Widziałem, jak zaklina moją córkę. Wymamrotał coś pod nosem, a z jej ręki wystrzeliły płomienie! Ten człowiek to czciciel diabła!

Zerknął na dziecko i z zaskoczeniem odkryłem, że Bendtner mówił prawdę: pościel wokół prawej dłoni Trudi była szczeriąła, jakby zajęta się ogniem. Kolorowe iskry, które dostrzegłem dzięki „Objawieniu”, najwyraźniej nie były wyłącznie niegroźną manifestacją mocy. To z kolei oznaczało, że lada moment może się tu zrobić naprawdę gorąco.

Haus popatrzył z powątpiewaniem na dziewczynkę, po czym zwrócił się do mnie:

– To prawda?

Sytuacja była na tyle poważna, że postanowiłem zapomnieć o konsekwencjach i zagrać w otwarte karty.

– Tak, jestem czarownikiem – odparłem. Bendtner wzdrygnął się, jakby w głębi duszy liczył, że istnieje inne wyjaśnienie. Haus uniósł brwi w wyrazie zaciekawienia. – Ale nie, nie zaklinałem Trudi.

150

– Nie wymawiaj jej imienia! – rozkazała Bendtner. – Zabraniam ci!

– Nic jej nie zrobiłem – powtórzyłem na tyle spokojnie, na ile to możliwe, gdy z nosa kapie krew, a usta przypominają rozkwaszoną brzoskwinię. – Rzuciłem zakłecie, to prawda, ale nie na nią. Chciałem się przekonać, czy faktycznie ją opętano. Nie zrobiłbym jej krzywdy.

– A to?! – Bendtner wskazał osmoloną pościel.

– Och, dajże mu mówić – uciszył go Haus. Słowom musiało towarzyszyć drgnienie wycelowanego w szyję ostrza, bo oberżysta zamilkł i pobadł.

– To nie moja sprawka – odparłem.

– A czyja? – zapytała.

Wyjaśniłem pokrótce, czym był rzucony przeze mnie czar i co pozwolił mi zobaczyć. W pewnym momencie Haus opuścił szpadę, a Bendtner wyglądał, jakby zamierzał podejść do córki, ale zaraz zwrócił. Może bał się czarnych kształtów, o których opowiadałem, a może widok Trudi przypominał mu o jego własnej bezsilności. Mężczyzna w końcu stanął w miejscu, opierając głowę i zaciśnięte pięści o ścianę.

– Czy to opętanie? – zapytał cicho, gdy skończyłem mówić. – Czy moja córka jest opętana przez diabła?

Haus przyjrzał mi się uważnie, czekając na odpowiedź.

Chciałem zaprzeczyć, naprawdę. Istniały przecież magiczne przypadłości, które mogły dawać zbliżone efekty: silna klątwa, złożony urok, kontakt z żywiołakiem, jakiś magiczny bakcył przywleczony z uroczyska, efekt nieświadomej podróży astralnej... ale żaden z nich nie tłumaczył przemawiania w nowoaramejskim. Mimo to chciałem zaprzeczyć. Bo wiedziałem doskonale, że na opętanie przez równie potężnego demona ani ja, ani Haus nie mieliśmy szans niczego poradzić.

– Tak – przyznałem cicho, głosem takim, jakbym wydawał wyrok śmierci. – Moim zdaniem tak. – Popatrzyłem na nich i zaraz odwróciłem wzrok. – Mogę spróbować wrócić do Saarbrücken i wysłać wiadomość do gildii w Monachium, ale...

Przerwał nagle, przyglądając się dziewczynce z niedowierzeniem. Haus i Bendtner podążyli za moim spojrzeniem i popatrzyli na Trudi.

Spod pościeli wydostała się wąska wstęga czarnego dymu, a w pokoju mieszczeńiu nagle zaśmierdziało spalenizną.

– Co...? – bąknął Bendtner.

– Patrzcie na jej dłoń! – krzyknąłem.

Trudi wyszeptała coś niezrozumiałego i wzdrygnęła się nagle, jakby przeszył ją ból. Na naszych oczach bladą skórę zaczęły pokrywać szkarłatne plamy. Spod pościeli uciekła kolejna smuga dymu, na rękach dziecka wybrzuszyły się pierwsze pęcherze.

Haus zareagował najpředzej. Zerwał kołdrę z Trudi i rzucił ją w kąt pokoju, gdzie zaraz zajęła się ogniem i buchnęła duszącym dymem. Koszula nocna na ciele dziecka czerniała i skręcała się, jak papier pod wpływem wysokiej temperatury.

– Jezu Chryste... – wyszeptał Bendtner. Jego głos zginął wśród coraz głośniejszego pomruku dobiegającego z ust Trudi.

– Człowieku, zgaśże to czymś! – warknął Haus, wskazując płonącą pościel. Sam chwycił za miednicę z wodą i oblał nią dziewczynkę. Rozległ się dziki syk, buchnęła para, przez moment niewiele było widać.

Bendtner stał jak słup, sparaliżowany obrazami, jakich zwyczajny człowiek nie powinien oglądać. Przepchnąłem się obok niego, doskoczyłem do płonącej pościeli. Nie miałem czym jej ugasić, więc chwyciłem za skrawek, który nie zdążył się jeszcze zająć, i wyciągnąłem ją z pomieszczenia. Ciągnąłem za sobą warkocz płomieni i dymu, który szybko wypełnił piwnicę. Paskudzto gryzło w gardło i wypełniało płuca, powodując bardzo uporczywy kaszel. Oczy mi łaźniły, jakbym natarł je cebulą. W końcu chwyciłem jedną z beczek stojących w pierwszym z pomieszczeń i przeturlałem nią kilkakrotnie po pościeli. Ogień przygasł, w góre poszły ostatnie spirale dymu, aż w końcu niebezpieczeństwo było zażegnane. Otworzyłem klapę, żeby czystsze powietrze miało któreśtrafić do piwnicy i wróciłem do Hausa, Bendtnera oraz Trudi.

Doktor siedział na łóżku, trzymając w ramionach dziewczynkę. Cała się trzęsła, jej powieki trzepotały jak skrzydła kolibra, błyskała twardówka wywróconych oczu. Z gardła uciekały wychrypane słowa tworzące tę samą, powtarzającą się sekwencję:

– Kto da jedno ze swoich dzieci Molochowi, będzie ukarany śmiercią.
Kto da jedno ze swoich dzieci Molochowi, będzie ukarany śmiercią. Kto...

Nie wiem, co mnie bardziej przestraszyło: treść powtarzanego tekstu czy to, że mała mówiła w klasycznej grece. Patrzyłem na pokryte pęcherzami ręce zaciśnięte kurczowo wokół szyi Hausa i poczułem, że cała ta sytuacja ostatecznie mnie przerosła.

– To greka – wyszeptał doktor, widząc moją twarz.
– Wiem. – Pokiwałem głową. – Rozumiem słowa, ale nie wiem, co...
– To fragment Księgi Kapłańskiej.

Wymieniliśmy ponure spojrzenia. Trudi miała wcześniej halucynacje, krwawiła z oczu i uszu, wrzeszczała z bólu i kiedy nie przemawiała w nowoaramejskim, cytowała Biblię w języku znany magom, alchemikom i niektórym uczonym. Wyrok był jeden.

– Ona naprawdę jest opętana – wyszeptał Bendtner. Siedział w kucki oparty plecami o ścianę i tarł łapskami głowę, jakby jego obecne kłopoty były jakimś rodzajem trudno schodzącego brudu. – Litościwy Boże, moja córka jest opętana!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Dziewczynka stopniowo ucichła, dreszcze ustąpiły i w końcu, doszczętnie wycieńczona, osunęła się w ramiona Hausa. Ten ułożył ją na łóżku, ale nie puścił jej dloni.

- Temperatura jej spadła – oświadczył po chwili.
- To chyba dobrze – zauważyłem.
- Byłoby dobrze, gdyby spadła do normalnego poziomu. Ona jest lodowata.

– Mam przynieść jakieś koce? – zaoferował pospiesznie Bendtner. Widać było po nim, że chce coś zrobić, choćby w najmniejszym stopniu przejąć kontrolę nad biegiem wypadków. Trudno odczuwać sympatię wobec kogoś, kto przed kwadransem okładał cię pięściami, ale uświadomiłem sobie, że rozumiem tego człowieka i nawet mu współczuję. Za nic w świecie nie chciałbym być na jego miejscu.

– Obawiam się, że koce tu nie pomogą – odrzekł Haus. – Bendtner, sugeruję, żeby przyprowadził pan żonę, pożegnał się z córką, a następnie opuścił zajazd na kilka najbliższych godzin.

Oberżysta przez kilka sekund kiwał zgodnie głową, po czym znieruchomiał i wstał nieco chwiejnie, jakby zdzielono go przez łeb czymś ciężkim.

– Ja... Ale jak to? Czemu...?

Chciałem coś wtrącić, spróbować jakoś załagodzić straszne wieści. Nie zdążyłem.

– Pańska córka umiera – powiedział Haus. – I tylko Bóg wie, jakie okropieństwa będą towarzyszyły jej ostatnim chwilom. Widział pan dość, żeby móc sobie wyobrazić, co mam na myśli. Lepiej, jeśli pana i pańskiej żony tu wtedy nie będzie.

Przez chwilę Bendtner wodził oczami od Hausa do mnie i z powrotem. Zupełnie jakby czekał, aż któryś z nas się roześmieje i przyzna, że to tylko głupi żart. Niestety, milczeliśmy.

– Ale... przecież pan jest najlepszy! – wykrztusił oberżysta. Krew mu odpłynęła z twarzy, musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

– Jestem lekarzem, nie cudotwórcą – odparł Haus, odwracając wzrok.
– Proszę przyprowadzić tu żonę i pożegnać córkę. Sądzę... że nie zostało jej wiele czasu.

Wraz ze słowami z jego ust uleciały strzępy pary. Nie wiedzieć kiedy w piwnicy zrobiło się nieprzyjemnie chłodno. Podszedłem do piecyka, ale mimo drewna skwierczącego w środku, dawał on niepokojąco mało ciepła.

– Przykro mi, panie Bendtner. – Starałem się, aby zabrzmiało to wriygodnie. – Obawiam się, że doktor ma rację. To dzieje się bardzo szybko.

Oberżysta pokiwał głową, po czym zbliżył się do dziewczynki. Przykłęknął obok łóżka i ujął w dlonie maleńką rączkę Trudi. Przesunąłem się bliżej drzwi, żeby nie słyszeć słów pożegnania, nie musieć patrzeć na czułe gesty kogoś, komu czułość przychodziła z takim trudem.

W końcu podniósł się i ruszył do drzwi krokiem człowieka złamaneego, którego życie utraciło sens. Przystanął obok Hausa i zerknął na niego przelotnie.

– Dziękuję panu, doktorze. Wierzę, że zrobił pan wszystko, co możliwe. – Otarł wierzchem dłoni mokre policzki i dodał, wbijając wzrok w podłogę: – Jeśli się mylę, niech pan na zawsze smaży się w piekle.

154

Później wyszedł, nie poświęcając mi choćby ukradkowego spojrzenia.

Haus westchnął cicho i przysiadł obok Trudi na skraju łóżka, plecami do mnie. Sięgnął po jej dłoń i zaczął sprawdzać puls.

– Ty też się stąd wywoń, Saggo – mruknął.

– Nigdzie się nie wybieram.

– Owszem, wybierasz się. Powiedzmy to sobie wprost: gdybyś był bardziej utalentowany albo doświadczony, nie wpuściłbym cię. Ale jesteś zwyczajnym nieudacznikiem, a nikogo takiego tutaj mi nie potrzeba. Będziesz tylko przeszkaďał.

– A ty? Co niby zamierzasz zrobić?

Haus pogładził skórzanaą okładkę podróžnego wydania Pisma Świętego.

– Chcesz spróbować egzorcyzmów? – zapytałem z niedowierzeniem.

– Jakoś nie pasujesz mi do roli religijnego fanatyka, a tylko ktoś podobny mógłby wierzyć, że mu się powiedzie.

Przez chwilę wpatrywałem się w jego plecy, bezskutecznie szukając argumentów, którymi mógłbym go przekonać. Roztarłem zmarznięte

ramiona – Trudi wydawała się pożerać ciepło, przez co niezwykły chłód wypełnił piwnicę i zaczął osadzać się szronem na ścianach. Haus wypuścił z ust kłab pary i powiedział tylko:

- Tracę przez ciebie czas, Saggo.
- Stracisz znacznie więcej, zostając tutaj.
- Może. – Wzruszył ramionami. – A może nie. Teraz idź już i pozwól mi się o tym przekonać.

Spojrzałem ostatni raz na niego i na Trudi. Dziewczynka przypominała pozbawioną życia lalkę; tylko nieznacznie poruszająca się klatka piersiowa świadczyła o tym, że w tym wymizerowanym, kruchym stworzeniu wciąż tliło się życie. Haus puścił jej dłoń, po czym wstał i zaczął wertować Pismo Święte.

- Popełniasz błąd, Haus – powiedziałem.

Zignorował mnie. Zrozumiałem, że należy do tego rodzaju ludzi, którzy – nawet rzuceni na łopatki i z lufą przystawioną do skroni – nie są w stanie uznać swojej porażki.

Wyszedłem z piwnicy, próbując sobie wmówić, że przecież gdybym nie trafił do Bocianiego Zagonu, niczego by to nie zmieniło. Trudi dalej byłaby umierająca. Haus dalej robiłby co w jego mocy, żeby wyrwać ją ze szponów śmierci. Bendtner dalej musiałby pogodzić się z tym, że lada moment straci jedyne dziecko. Nie odpowiadałem za to, co przydarzyło się tej biednej dziewczynce. Nie byłem też nic winien ani jej, ani Hausowi, ani nikomu innemu.

Czemu w takim razie, wychodząc z zajazdu, czułem się jak tchórz i zdrajca?



W ciągu nocy ulewa przeszła w śpiący deszcz, a wiatr rozpedził nieco chmury. Gdy znalazłem się na zewnątrz, po niebie rozlewały się pierwsze kolory, a czerń zaczęła ustępować miejsca szarości. Wokół panowała cisza.

W pierwszej chwili nie zauważylem Bendtnera i jego żony. Stali we wrotach stajni, chowając się przed mżawką. Zgodnie z polecением Hausa opuścili budynek zajazdu, ale nieustannie wpatrywali się w drzwi

wejściowe. Może wciąż ludzili się, że doktor pojawi się w progu z tryumfalnym okrzykiem na ustach?

Nie miałem pojęcia, co ze sobą począć. Nie mogłem się zdobyć na to, żeby po prostu pójść w swoją stronę, coś ciągle trzymało mnie blisko za jazdu jak na smyczy. Bendtnerów też postanowiłem zostawić w spokoju. Gdybym był na ich miejscu, wolałbym cierpieć w samotności.

Zrobiłem parę kroków przez wypełnione kałużami podwórze. Gdzieś tam mignęło mi odbicie mojej twarzy i przestraszyło mnie to, co w niej zobaczyłem. Nie chodziło o sińce, krwiaki czy otarcia, ale o oczy, o widoczną w nich świadomość porażki, o gnieżdżącej się gdzieś pod czaszką niejasną myśl, że nie zrobiłem wszystkiego, że mogłem działać więcej, że za łatwo, za szybko się poddałem. Stanąłem w miejscu, zamknąłem oczy, ale było jeszcze gorzej. Wyobraźnia podsuwała mi obraz udręczonej Trudi rzucającej się na łóżko, jej bezlitośnie wyginanego ciała, jej małej twarzyczki, twarzyczki dziecka, które cierpi okrutne męki, a niczym przecież nie zawiñoło.

156 Popatrzyłem na zachód. Powinienem był odejść, nikomu tutaj nie byłem potrzebny.

Lecz nie potrafiłem. Zrobiłem kilka kroków w stronę mokradeł, jednak coś kazało mi się zatrzymać. Powietrze było czyste, wilgotne, chłodne, ale dusiłem się, nie mogłem porządnie zaczerpnąć tchu. Oparłem się o dom i skupiłem na oddychaniu. Wydawało mi się, że czuję lekkie wibracje wędrujące po ścianach i pomyślałem, że gdybym przyłożył do nich ucho, może usłyszałbym kolejne opętańce wrzaski.

– Niech to wszystko diabli – wyszeptałem.

Jakiś głos podpowiadał, że jeśli teraz po prostu odejdę, nigdy nie zaznam spokoju. Nie mogłem ich tak zostawić, Hausa i Trudi, nawet jeśli rozum przekonywał, że w środku w żaden sposób nie pomogę, niczego nie zmienię, będę tylko przeszkadzał.

W końcu zdecydowałem, że zaczekam. Skoro nie potrafiłem ofiarować im niczego innego, postanowiłem dać im chociaż mój czas. Może za kilka godzin, gdy będzie po wszystkim, Haus jednak przeżyje i będzie potrzebował mojej pomocy. A może przyda się ktoś do grzebania zwłok.

Nie mogłem usiedzieć w miejscu, więc zdecydowałem się obejść budynek dookoła i zerknąć na Bociani Zagon. Kilkanaście kroków za zajazdem teren opadał i trawa przechodziła w mokradła pozarastane sitowiem, turzycą i rzęsą wodną. Drugi brzeg ginął jeszcze w mroku i widoczna była tylko srebrzysta wstęga oczyszczonego pasa, który biegł mniej więcej środkiem rozlewiska, a którym flisacy spławiali towary na swoich płaskodennych łodziach. Tu i ówdzie widać było bociany, biało-czarne kreski na burym tle, poszukujące na trzęsawisku pożywienia.

Wydawało mi się, że usłyszałem krzyk dochodzący z wnętrza zajazdu, i zerknąłem w stronę budynku. Dopiero wtedy dostrzegłem grób – ozdobiony prostym kamieniem, porośnięty gęsto barwinkiem. Podszedłem bliżej, przykucnąłem, by lepiej dostrzec wyryte słowa.

Leyla Bendtner

1852-1880

Vita Aeterna

157

Przez jakiś czas wpatrywałem się w kamień. Nazwisko, które ujrzałem, zaskoczyło mnie, ale potem uruchomiło ciąg skojarzeń i pomysłów, jakie musiałem rozpatrzyć. Nagle cała ta sprawa zaczęła przypominać dziwną, szaleńczą układankę, do której może jednak istniał klucz.

Leyla...

Słyszałem już kiedyś to imię. Było na pewnym etapie dość popularne wśród kobiet Imperium Osmańskiego, ale... co Turczynka miałaby robić w Cesarstwie? A konkretniej w zaściankowej, przygranicznej oberży, u boku człowieka, który tak się nadawał na oberżystę, jak ja na mistrza krawieckiego? Chyba że...

Wytężyłem pamięć, odtwarzając w rwanych sekwencjach kolejne wydarzenia minionej nocy. Przypomniałem sobie wszystkie rozmowy z Bendtnerem i z jego żoną; wspomniałem jej widok z różańcem w dłoni, to, jak modliła się za Trudi... Nagle dotarło do mnie, że przecież nie przyszła pożegnać się z córką. Raz po raz przypominałem sobie jej

zachowanie, ale im bardziej się starałem, tym trudniej było mi dostrzec jakieś ślady autentycznej troski, czułości, miłości...

Zamknąłem oczy, oparłem dlonie i czoło na nagrobku. Wilgotny kamień chłodził rozpaloną skórę. Miałem nieodparte wrażenie, że już mam wszystko, czego potrzebuję, ale poszczególne elementy wciąż wypadały mi z rąk, wyślizgiwały się z palców, nie chciały pasować do całości. Leyla, Trudi, choroba, magia, opętanie, nowoaramejski, greka, Księga Kapłańska, żona Bendtnera... W jaki sposób to wszystko się ze sobą łączyło?

Kolejny krzyk, przytłumiony do cichego szmeru, przyszedł wraz z drżeniem ziemi. Wstrząs był bardzo słaby i trwał ledwie kilka sekund, ale wystarczył, żeby medalion na mojej szyi zadrżały ostrzegawczo. Jeśli z takiej odległości reagował na przepływ magicznej energii, wolałem nie wiedzieć, co się dzieje w piwnicy.

I to było to, ta myśl, której potrzebowałem, która skierowała mnie na właściwy tor. W jednej chwili błądziłem w ciemności, w drugiej wszystko ułożyło się w logiczną, spójną całość. Mało prawdopodobną, ale jednak. Uśmiechnąłem się powoli, ale zaraz potem twarz mi zastygła w maskę przerżenia.

Właśnie dotarło do mnie, że od samego początku mogłem uratować Trudi, tylko o tym nie wiedziałem.

Poderwałem się z miejsca i zacząłem biec przez blocko, błagając w duchu, żeby nie było za późno.



Na Bendtnera trafiłem w drzwiach zajazdu. Oczy mu się zapadły w głąb czaszki, zbielała dłoń zaciśkała na framudze drzwi. Chciał wejść do środka, ale bał się tego, co może tam zastać.

– Niech pan mi powie, Bendtner – wysapałem, stojąc obok niego. – Pańska żona nie jest matką Trudi, prawda?

Popatrzył na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Później skinął głową.

– Leyla – kontynuowałem. – Pańska pierwsza żona nazywała się Leyla Bendtner i to ona była matką Trudi, prawda? Ale ona nie była stąd, prawda?

Bendtner wahał się, zapatrzył w ciemne wnętrze zajazdu. Nie miałem czasu na jego słabość; chwyciłem go za ramię i potrząsnąłem mocno.

– Kim ona była, człowiekowi?

Domyślałem się odpowiedzi, ale musiałem usłyszeć ją od niego.

– Kurdyjką – odparł w końcu. – Wywodziła się z osmańskich Kurdów.

– Niech cię diabli, Bendtner – warknąłem ze złością i przepchnąłem się obok mężczyzny. Popędziłem w stronę kuchni i zejścia do piwnicy, przeklinając głośno głupotę swoją oraz Hausa.



Kolejny wstrząs nadszedł, kiedy schodziłem do piwnicy. Rozległ się jęk wyginanych belek, zatrzaskały cegły, ze ścian synęło pokruszonym spoiwem. Poślizgnąłem się na schodach, ale na szczęście utrzymałem równowagę i bezpiecznie dotarłem na dół.

W twarz uderzyło mnie zimno, nozdrza wypełnił zapach zbliżony do fosforu. Słyszałem głos Hausa wypowiadający kolejne łacińskie formuły i dławiące się krzyki Trudi. W połowie pierwszego z piwnicznych pomieszczeń znowu się poślizgnąłem – tym razem na tafli lodu. Światła docierały tu niewiele, więc po omacku dotarłem do drzwi i wszedłem do ostatniej części piwnicy.

Ściany pokrywał szron, na podłodze osiadał śnieg. Olbrzymie płatki wirowały w centrum pokoju na podobieństwo białej trąby powietrznej, podczas gdy rolę oka cyklonu pełniła Trudi. Dziewczynka lewitowała kilkanaście centymetrów nad łóżkiem, wygięta w łuk, a z otwartych ust kaała jej krewiana piana. Warstwa szronu na lampie przytuliła i tak słabe światło, nadała mu bladą, zimną barwę.

Kolejny bolesny wrzask przyniósł ze sobą jeszcze jeden wstrząs, z sufitu posypał się kurz, ściany zadrżały w posadach. Haus urwał w połowie długiej formuły, dłoń oparł na murze, żeby nie stracić równowagi. Rozejrzał się wokół, jakby chciał ocenić, jak wiele czasu upłynie, nim

budynek się zawali, grzebiąc ich oboje pod zwałami gruzu. Później zgrabiąłymi dłońmi spróbował przewrócić stronę w Biblii.

Wzdrygnął się, gdy szarpnął go za ramię. Zamierzał już sięgnąć po laskę, gdy rozpoznał moją twarz.

– Saggo? Co ty tutaj...

– Mogę ją uratować – powiedziałem. Miałem wrażenie, że powietrze w moich płucach lada moment zamieni się w bryłki lodu. – Zrób mi miejsce.

– To nie czas na wygłupy!

– To nie ja się tu wygłupiam. Z drogi. I daj tę swoją kredę.

Zająłem miejsce Hausa, doktor usunął się pod ścianę. Chwyciłem podaną kredę i przypadłem do ziemi. Odgarniałem śnieg, gdzieniegdzie rozbijałem cienką skorupę lodu, a gdy już oczyściłem podłogę, zacząłem kreślić wokół Trudi krąg mocy. Wyszedł mi trochę krzywo, a ze zdenerwowania ciągle się myliłem i niektóre magiczne symbole musiałem powtarzać po dwa, trzy razy. Starałem się nie zwracać uwagi na przeszywający chłód, na krzyki dziewczyny, na igły lodu tnące odkrytą skórę. Miałem nadzieję, że zdążę, zanim wszyscy zginiemy.

– Saggo! – krzyknął Haus po kolejnym wstrząsie. – Zaraz się zawali!

W jednej ze ścian powstało pęknięcie szerokie na palec. Ciągnęło się od podłogi do trzech czwartych wysokości pomieszczenia i wyglądało, jakby tylko czekało na rozwój wypadków. Rozejrzałem się i znalazłem dwie nieco węższe rysy w przeciwniejszej ścianie.

Wytrzyma – powiedziałem sobie w duchu. *Musi wytrzymać.*

Ściągnąłem amulet. Srebrny krążek przez ułamek sekundy zwisał nieruchomo na rzemieniu, po czym sam z siebie zaczął się kołysać.

– Mam nadzieję, że to dobry znak – burknął Haus.

Jakby w odpowiedzi rozległ się niespodziewany trzask, a najszerze pęknięcie przedłużyło się aż do sufitu. Doktor przeklął siarczyście i zamilkł.

Ująłem w obie dłonie rzemień, na którym wisiał medalion, i zbliżyłem się do Trudi. Zimno przeszło mi palce do kości, przypominający szklane odłamki lód siekał twarz. Dziewczynka szarpnęła się, medalionem rzuciła w bok z taką siłą, że wiśniorek niemal wypadł mi z dłoni. Z gardła

dziecka wyrwał się bolesny ryk, dom zadrżała, coś zachrzeszczoło, gdzieś słychać było trzask pękającego drewna i tarcie przesuwających się kamieni. Słyszałem głos Hausa, ale w uszach wył mi magiczny wiatr i nie mogłem zrozumieć słów. Grudka śniegu uderzyła mnie tuż pod okiem, więc zamknąłem powieki.

Musi się udać! – pomyślałem. Musi się udać, bo inaczej zginiemy.

Założyłem medalion na szyję Trudi i chwyciłem ją za ręce. Robiłem to już nie raz, chociaż zazwyczaj z dzieciakami o połowę młodszymi i w znacznie mniej spektakularnych okolicznościach. Byłem przygotowany na uderzenie magii, ale kiedy nadeszło, zwaliło mnie z nóg. Pamiętałem nauki otrzymane w Krakowie i zgodnie z nimi próbowałem rozdzielać przesyłaną mi energię, nie kumulując jej w żadnym punkcie. Moc płynęła wartkim strumieniem, a ja robiłem, co mogłem, żeby mnie nie wypełniła i nie wypaliła. Krew siknęła mi z nosa, zawroty głowy rzucały na kolana. Miałem wrażenie jakbym oddychał czadem, a w żyłach miał wrzącą smołę. Trzymałem kurczowo dlonie Trudi, bo wiedziałem, że jeśli je pusczę, dziewczyna może sobie sama nie poradzić, a wtedy całą naszą trójkę czekał bardzo widowiskowy i bardzo nieprzyjemny koniec.

Strumień magii zaczął słabnąć w tym samym momencie, w którym poczułem, że dłużej już nie dam rady. Byłem słaby jak nowonarodzone szczenię, kwękałem z bólu i zmęczenia. Obejrzałem się przez ramię w poszukiwaniu Hausa, ale odkryłem, że pomieszczenie jest puste.

Dobrze, przynajmniej on się uratuje.

Wessałem w siebie resztkę energii i puściłem dlonie Trudi. Nawet nie zauważałem, kiedy przestała lewitować i opadła z powrotem na łóżko. Nie dbałem o to. Osunąłem się bez sił. Poczułem, że moja głowa ląduje na skraju posłania i oparłem ręce o ziemię. Musiałem pozbyć się tej ostatniej odrobiny mocy, a bez kontaktu z Trudi, która miała mój medalion, było to zadanie niemal ponad siły. Znalazłem pierwszy możliwy punkt ujścia i pozwoliłem, żeby magia wypłynęła ze mnie jak ropa z rany.

Efektem było tąpnienie. Tylko jedno. Potem nadszedł ogłuszający trzask pękających ścian i sufitu, huk łamiących się belek, rumor walążego się domu.

Ból i zmęczenie pozbawiły mnie przytomności na krótką chwilę przed tym, jak piwnicę wypełniły tony gruzu.



Obudziłem się z twarzą w wilgotnym sianie. Oczywiście można sobie wyobrazić znacznie przyjemniejsze okoliczności powrócenia do świata żywych, ale, jak już zauważyłem nieco wcześniej, zdarzają się takie sytuacje, kiedy naprawdę nie wypada narzekać.

Po bólu pozostało odległe wspomnienie, chciało mi się natomiast okropnie pić. Otworzyłem oczy. Znajdowałem się w stodole. Przez uchylone wrótka wpadało rześkie, wilgotne powietrze, natężenie światła sugerowało późne popołudnie albo wczesny wieczór. Obok mnie, na stercie siana, leżała Trudi. W pomieszczeniu było zbyt ciemno, żebym mógł się jej dokładnie przyjrzeć, ale wystarczyło, że usłyszałem równy, spokojny oddech. Dziewczynka żyła.

162

– Moja mama zawsze powtarzała, że nie należy oceniać ludzi po pożorach – usłyszałem głos za plecami. Obróciłem się i ujrzałem Hausa siedzącego na niskim zydlu i bawiącego się laską. – Wygląda na to, że tej jednej lekcji nigdy nie przyswoję. Uratowałaś jej życie, Saggo. A ja nazwałem cię nieudacznikiem.

– Miałeś rację – odpowiedziałem. – Powinienem był znacznie wcześniej się domyślić, co ją zabija.

– A co ją zabijało?

– Magia.

Opowiedziałem mu pokrótce o tym, jak magowie podobni do mnie krążą po wioskach i miasteczkach w poszukiwaniu dzieci, wokół których zdarzają się rzeczy niecodzienne. Jak rozpoznajemy tę utalentowaną garstkę i pomagamy im zrozumieć, co się z nimi dzieje. Jak tłumaczymy rodzicom, że bez nauki w gildii ich potomstwo czeka potworna, bolesna śmierć spowodowana tym, że gromadząca się magia nie może znaleźć ujścia.

– Sęk w tym, że dzieci, które przeważnie znajdujemy, mają trzy albo cztery lata. Starsze zdarzają się sporadycznie. Trudi była pierwszym

dzieckiem, o jakim słyszałem, które dożyło dziesięciu lat z nieodkrytym talentem magicznym. Powinna już dawno nie żyć. Ale najbardziej zmyliło mnie co innego. Choć przepływ mocy może się objawiać na wiele sposobów, nigdy nie słyszałem, by dziecko przemawiało w obcym języku.

– Nigdy nie słyszałeś powiedzenia, że kiedyś musi być ten pierwszy raz? – mruknął Haus.

– To nie był pierwszy raz. Mała musiała wcześniej słyszeć zarówno grekę, jak i aramejski. To wystarczyło, by w odpowiedniej chwili magia wydobyła słowa z jej pamięci.

Wspomniałem mu o odkrytym nagrobku i o pierwszej żonie Bendtnera. Jako osmańska Kurdyjka należała najpewniej do żydowskiej albo chrześcijańskiej mniejszości żyjącej w jakimś parszywym getcie. To tłumaczyło znajomość języków: wielu Kurdów posługiwało się na co dzień aramejskim, podczas gdy na tamtych terenach najpopularniejszą wersję Pisma Świętego wciąż stanowiła grecka. Pozostawała kwestią tego, w jaki sposób osmańska Kurdyjka skończyła jako żona oberzysty znad Saary.

– To akurat jestem chyba w stanie wytłumaczyć – odparł Haus. – Nasz drogi Bendtner jest człowiekiem o bogatej przeszłości. Był między innymi marynarzem na dość podejrzany statku żeglującym po Morzu Śródziemnym.

– Znaczy się: piratem?

– Piratem, korsarzem, przemytnikiem, handlarzem niewolnikami. – Haus pokiwał głową. – Robił wszystko, co zapewniało godziwe pieniądze. Wracając do naszej Kurdyjki: gdybym był kobietą próbującą wydostać się z Imperium Osmańskiego, przekradłbym się potajemnie na wybrzeże i przekupił pierwszego lepszego przemytnika, żeby wpuścił mnie na pokład swojej łajby. A potem – dodał po namyśle – zawróciłbym w głowie najsielniejszemu członkowi załogi.

– Czyli Bendtnerowi – zgodziłem się. – Najwyraźniej zwróciła mu w głowie na tyle skutecznie, że postanowił porzucić dla niej stare życie. Choć nie zdołała wykorzenić złych nawyków... – mruknąłem, dotykając obolałej twarzy. Oddychałem przez usta, bo nos miałem zatkany zakrzepią.

– Gdyby nie on, już byś nie żył – sprostował Haus. – To Bendtner wyciągnął cię z piwnicy, kiedy budynek zaczął się walić. Na moją prośbę, to fakt, ale zawsze. Podejrzewam, że jest mu teraz przykro, że cię tak stłukł. Było nie było, uratowałeś mu córkę.

Pomyślałem o tym wszystkim, co wydarzyło się minionej nocy, o przerażeniu, które jeżyło włosy na głowie, o potwornych wrzaskach Trudi, o tym, z jaką determinacją Haus szukał lekarstwa na nieistniejącą chorobę. Przypominałem sobie ból na twardej twarzy Bendtnera i elektryzujące uczucie towarzyszące magii przepływającej przez moje ciało. Omal nie zginąłem – brakowało przecież tak niewiele... ale gdy spojrzałem na dziewczynę śpiącą spokojnie, z palcami zaciśniętymi na medalionie magicznej gildii jak na ukochanej lalce, poczułem, że było warto.

– Musisz ją zabrać, prawda? – zapytał Haus. – Do gildii, na nauki.

– Bez szkolenia umrze – odparłem.

Skinął głową. Przyjrzał się najpierw mnie, później Trudi i wreszcie wstał, podpierając się laską. Pozbawiony chorych, których mógłby uleczyć, i zagadki, którą mógłby rozwiązać, wydawał się ospały, przygaszony, może nawet nieco przygnębiony.

– Porozmawiam z Bendtnerem. Chyba lepiej, jeśli usłyszy to ode mnie, a nie od ciebie – powiedział.

– Chyba tak.

Ruszył do wyjścia ze stodoły, ale zatrzymał się, splunął na ziemię i mruknął na wpół do siebie, na wpół do mnie:

– A przecież pytałem tego durnia, czy jego żona jest matką Trudi...

– Skłamał – skwitowałem. – Wszyscy kłamią.

Odwrócił się w moją stronę i popatrzył mi w twarz. Uśmiechnął się.

– Wszyscy kłamią – powtórzył. – To brzmi jak niezłe motto. Podoba mi się. Wszyscy kłamią...

Zostawił mnie oraz Trudi samych. Opadłem na siano i przymknąłem oczy. Wiedziałem, że niedługo będzie trzeba ruszyć w drogę, z powrotem do Saarbrücken, gdzie zamierzałem oddać Trudi w ręce gildii. Czekalo ją życie trudne i niebezpieczne, ale jednak – życie.

Zasypiając, myślałem o wyzwaniach, którym Trudi miała stawić czoła; o Bendtnerze, który koniec końców utraci córkę; o tym, jak niezwykłą kobietą musiała być Leyla Bendtner. Myślałem o Hausie, uśmiechałem się mimo woli i marzyłem, że jeśli kiedyś dopadnie mnie ciężka choroba, w decydującej chwili usłyszę stukot jego laski na szpitalnej posadzce.

OPOWIEŚĆ, KTÓRĄ ZNAM TYLKO JA

– To długa i skomplikowana historia – nucę. Słowa mi się mylą, drętwiejący język nie panuje nad rytmem. – Opowieść, którą znam tylko ja...

167

Daję sobie spokój ze śpiewaniem, sięgam po odtwarzacz. Wciskam PLAY i ten sam utwór leci dzisiaj już chyba po raz setny. Głos młodej kobiety wchodzi w przeciwfazie do leniwie wybrzmiewających nut wurlitzena, a ja wpatruję się w szklankę z resztką szkockiej na dnie i bardzo, ale to bardzo staram się nie płakać.

To długa, pogmatwana historia...

Z Kaśką poznaliśmy się jako dzieci. Dorastaliśmy na jednym podwórku, razem bawiliśmy się w berka i chowanego, wisieliszczyliśmy do góry nogami na trzepaku, wspinaliśmy na drzewa w parku. Ona była śliczną dziewczyną o kasztanowych włosach i zaraźliwym śmiechu, ja – okularnikiem z twarzą nakrapianą piegami. Ona szefowała naszej paczce, ja służyłem za popychadło.

To były piękne czasy.

Do podstawówki trafiliśmy jednej, ale do różnych klas. Przestaliśmy się widywać, bo koleżanki Kasi wyśmiewały się ze mnie bez litości, za każdym razem, gdy widzieliśmy się na korytarzu. Nie, żebym im się dziwił. Kaśka była ode mnie sympatyczniejsza, ładniejsza i inteligentniejsza. Musiałem przy niej wyglądać jak skrzyżowanie Pinokia z Plastusem. Dałem sobie spokój, szczególnie że od chwili, kiedy Kaśka skończyła trzynaście lat, wokół niej wiecznie kręciła się grupka przystojnych, wysportowanych chłopców. Sądząc po tym, jak się do nich uśmiechała, odpowiadało jej to.

Później nasze drogi się rozeszły, a ja spotkałem diabła i zacząłem zgłębiać tajniki czarnej magii.

Wszystko po to, by stać się kimś wyjątkowym.

Wszystko po to, by wreszcie mnie zauważała.



168 Nigdy nie przestałem się nią interesować. W przerwach między studio-waniem sztuk tajemnych śledziłem jej losy. Kiedy poznawałem uroki i kłaty, ona uczyła się na ASP. Nagrała bluesową płytę w dniu, w którym w moje dlonie trafił pierwszy tom poświęcony białej nekromancji. Ja zgłębiałem możliwości telekinetyzji, a Kasia ruszyła w podróż dookoła świata u boku swojego amerykańskiego narzeczonego. W chwili, gdy zdołałem przetransfigurować bryłkę ołowiu w złoty okruch, zagrała w swoim pierwszym filmie.

Zawsze byłem o krok za nią. Nigdy nie dość wspaniały i wyjątkowy, żeby wrócić do jej życia i zająć wymarzone miejsce.

W końcu ruszyłem w podróż, która miała dać mi wiedzę i moc, o jaka nie śniło się innym ludziom. Odwiedziłem Peru, Madagaskar, Birmę. Mieszałem z Beduinami, uczyłem się magii od afrykańskich szamanów, pod okiem fakirów doskonaliłem sztukę iluzji. Przeczytałem każdy poświęcony magii tom istniejący na Ziemi.

Kiedy wróciłem, dowiedziałem się, że Kasia umiera. Zaskoczony spojrzałem w lustro i odkryłem, że stoi przed nim starzec. Minęło wiele, wiele lat.

Długo się wahałem, nim zdecydowałem się odwiedzić ją w szpitalu. Znalazłem Kaśkę słabą i wycieńczoną chorobą. Siwe włosy otaczały pomarszczoną twarz. A jednak, kiedy mnie ujrzała, uśmiechnęła się i westchnęła z ulgą.

– Jesteś – powiedziała. – Tak bardzo chciałam cię jeszcze zobaczyć. Wreszcie mogę odejść.



Teraz siedzę sam, starzec z głową pełną bezużytecznej magii, piję szkoczkę bez lodu i słucham płyty, której nigdy wcześniej tak naprawdę nie słuchałem. Głos Kasi miesza się z dźwiękami elektrycznego pianina, a ja spijam słowa z jej ust i zastanawiam się, jak mogłem zmarnować swoje życie.

*To długa, pogmatwana historia
Opowieść, którą znam tylko ja
O dziewczynie w sukience barwy róż
I o chłopcu, co odjechał w siną dal*

169

Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że w tej piosenecie mogła śpiewać właśnie o mnie.

Opowieść, którą znam tylko ja

FARID TKACZ

I LATAJĄCY DYWAN

Dedykuję Marcie, która kiedyś opowiedziała mi
kawałek tej historii

171

– Mam cudowne życie – wykrztusił Farid, stękaając boleśnie. Po raz wtóry splunął krwią i spróbował się podnieść. Związane ręce i nogi skutecznie mu to utrudniały. – Mam cudowne życie. Mam cudowne...

Jego ubranie przesiąkło zepsutą zwierzęcą krwią, która utworzyła na podłodze cuchnącą kałużę. Chłopak z trudem opanował odruch wymiotny.

– Mam cudowne życie – powtórzył i spróbował przypomnieć sobie twarz ślicznej Khandan, jej długie, lśniące włosy oraz woń mirtu i pigwy, które tak często jej towarzyszyły. Próbował uchwycić się jakiegoś wspomnienia – jej uśmiechu, dotyku drobnych dloni, barwy głosu w chwili, gdy po raz pierwszy wyznała mu miłość – uchwycić się i nie puszczać, póki nie będzie po wszystkim.

– Miałem cudowne życie. – Westchnął, myśląc o dniu, w którym kochali się w strugach wiosennego deszczu, w pistacjowym gaju. – Ale wszystko zepsułem.

Myślał o Khandan i udawał, że nie słyszy powolnych, ociężały kroków, szelestu zetlałych tkanin i niewyraźnych, gardłowych głosów.

Udawał, że nie słyszy upiorów zbliżających się ku niemu wszystkimi korytarzami nekropolii Hasan Abad.



Upłynęło wiele lat, ale wciąż pamiętam tę noc, jakby miała miejsce wczo-raj. Leżałem na baranim runie, raczyłem się wodą z domieszką wina oraz miodu i patrzyłem w płomienie buzujące na palenisku. W domu panowała cisza, trzeszczał tylko ogień i raz po raz sześcieliły strony księgi, którą mistrz Kahemini czytał w blasku świec. Pani Salomea, jego żona, siedziała po dru-giej stronie ławy, a druciane szpile śmiały w jej dloniach.

Nagle mistrz podniósł głowę.

– Będziemy mieli gości – oznajmił.

172

Chwilę później usłyszeliśmy tętent kopyt. Zesztywniałem cały – po tym, co wydarzyło się w Persepolis, mieszkańcy wioski żyli w ciągłym strachu przed bandami maruderów krążącymi po całym kraju.

Kahemini wstał, poprawił na ramionach szal otoczony złotymi frędzlami i ruszył w stronę drzwi. Zaraz poderwał się z miejsca i poszedł za nim, przerząny i podekscytowany równocześnie.

Mój mistrz otworzył drzwi na chłodny mrok. Stojąc za nim, widziałem niewiele: sylwetki mężczyzn i koni, tańczące płomienie pochodni. Słyszałem rżenie znużonych wierzchowców, poszczekивание zbroi, skrzypienie skórzanych pasów.

– Mistrz Kahemini? – zapytał jeden z przybyszów. Mówił dziwacznie, sztywno; wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ludzie z innych krajów i obyczaje, i mówią odmienną.

– To ja.

– Wieść niesie, że wśród tkaczy dywanów nie macie sobie równych.

– Doprawdy? – zdziwił się uprzejmie Kahemini. – Czyżby wszyscy moi koledzy po fachu nagle pomyśli?

Mężczyzna podszedł bliżej. Nie widziałem jego twarzy, ale spostrzegłem wiszący u pasa miecz: ciężki, jednosieczny, lśniący w blasku pochodni zły-wrogą czerwienią. Nagle zaschło mi w gardle, po plecach przeszedł dreszcz.

– Mój pan przesyła mnie z pozdrowieniami – powiedział żołnierz i pokazał mojemu mistrzowi złoty sygnet z jakimś symbolem. Widziałem go po raz pierwszy, ale Kahemini najwyraźniej go rozpoznał, bo skinął głowę i odparł:

– To dla mnie zaszczęty. W czym mogę służyć twemu panu?

– Mój pan pragnie, abyś utkał dla niego najwspanialszy dywan, jaki kiedykolwiek powstał w całej szerokiej Persji. Niech będzie on świadectwem tak potęgi, jak i miłości, albowiem mój pan ukochał sobie lud perski i chce w ten sposób wyrazić swój względem niego szacunek i uznanie dla jego osiągnięć.

Zapadła cisza. Nawet wierzchowce stały karnie, w bezruchu, a para klębiła się wokół ich pysków i zroszonych potem boków. Lato już minęło i teraz noc w noc Mitra przechadzał się równinami pośród oparów mgły, zostawiając za sobą ziemię pokrytą cienką warstwą szronu.

– Nie mogę obiecać najwspanialszego dywanu w całej Persji – odrzekł mój mistrz.

Móglbym przysiąc, że słyszałem, jak żołnierze wstrzymali oddechy, a ich dlonie sięgnęły w stronę mieczy. Kolana się pode mną ugięły.

– Ale mogę obiecać najwspanialszy dywan, jaki kiedykolwiek stworzyły moje dlonie – dodał Kahemini.

Żołnierz stał przez moment w bezruchu, po czym skinął głowę i wrócił do swojego oddziału.

– Masz pół roku, mistrzu – oznajmił na pożegnanie.

Moment później już ich nie było.



– Moja siostra się w tobie kocha.

Głos Khandan wyrwał chłopaka z drzemki. Leżał na posłaniu, z głową na kolanach dziewczyny, ze wzrokiem skierowanym na jej płaski brzuch i nieduże, sterczące piersi o ciemnych sutkach.

– Naprawdę tak myślisz? – Farid uniósł głowę.

- Nie może oderwać od ciebie oczu, kiedy pojawią się w pałacu.
– Chciałaś powiedzieć: kiedy oficjalnie pojawię się w pałacu.

Khandan wplotła swoje smukłe palce w jego włosy i pocałowała go w czoło. W powietrzu unosił się zapach kadzidła, świece subtelnie rozpraszały mrok.

- Myślisz, że o nas wie? – spytał.
– Gdyby wiedziała, wygadałaby wszystko ojcu.

Przez okno zaczął się sączyć cichy głos fletni. Tkliwy i rozedrgany, trwał krótką chwilę, po czym równie nagle zamilkł. W pałacu na powrót zapadła cisza.

- Mam cudowne życie – mrucnął Farid, uśmiechając się szelmowsko.
– Królewskie córki nie mogą mi się oprzeć...
– Nie pochlebiaj sobie. – Khandan pacnęła go dlonią w czoło, ale w jej oczach błyskały iskierki rozbawienia.
– Mam ci to udowodnić? – spytał, muskając wargami gładką skórę jej nóg.

– Proszę.

Pierwsze pocałunki były delikatne jak dotyk motyla, jak liźnięcie małego wiatru. Później przyszła pora na te dłuższe, bardziej namiętne. Dziewczyna powoli, z pozoru niechętnie, rozchyliła nogi, przesunęła dlonią po karku Farida, wpiła się palcami w jego plecy. Chłopak pomyślał, że mógłby bez końca całować jej uda, lśniące od olejku, przesuwając się wyżej i wyżej, wsłuchując się w jej przyspieszający oddech i rozkoszne pojękiwanie...

Pukanie do drzwi podziałało na nich jak wiadro lodowej wody. Farid natychmiast nakrył się szata i stanął przy wyjściu na taras. Gdyby na korytarzu czekał ktoś inny niż stara, sprzyjająca im służka imieniem Jezza, mógłby ulotnić się, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Khandan otworzyła drzwi.

- Pani. – Jezza pochyliła nisko głowę. – Twój ojciec pragnie cię widzieć.
– O tej porze? – zdziwiła się dziewczyna. Północ już minęła i młodzi kochankowie byli pewni, że cały pałac dawno pograżył się we śnie.

– Tak, moja pani. – Uniosła wzrok i z zakłopotaniem spojrzała na chłopaka. – Ciebie i pana Farida. Natychmiast.

Młodzi popatrzyli na siebie, po czym chłopak wzruszył ramionami.

– Nie każmy satrapie czekać – zdecydował.

Zachował beztroski ton i ruszył przed siebie raźnym krokiem, ale jego myśli krążyły wokół Mniejszego Placu, wyspanego jasnym piaskiem miejsca, gdzie przestępcy w sposób krwawy i bardzo bolesny odkupywali swoje winy.



Nigdy nie poznałem moich rodziców i nie mam pojęcia, kim byli. Mistrz Kahemini przyjął mnie pod swój dach, kiedy miałem trzy lata. On i pani Salomea roztoczyli nadę mną opiekę, której desperacko potrzebowałem – z opowieści krążących po wiosce wynikało, że byłem zabiedzony i słaby, drobnej budowy, o chorobliwie bladej skórze. Nie umiałem mówić i noc w noc moczyłem siennik. Jak wyglądało moje wcześniejsze życie i jak trafilem do wioski – na te pytania nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi.

175

Wystarczyły cztery lata u moich nowych opiekunów, żebym nadrobił zaległości. Rosłem szybko i zdrowo, uczyłem się chętnie. Może i późno zacząłem mówić, ale za to już mając siedem lat, posiadłem umiejętności czytania i rachowania. Mistrz Kahemini był człowiekiem wielu talentów i cierpliwym nauczycielem. Zarażał pasją i entuzjazmem, chętnie dzielił się wiedzą. Przebywając w jego towarzystwie, czuło się nieustający głód nowych doświadczeń, wiadomości i wyzwań.

Chwilę, w której trafiłem do jego domu, zawsze będę uważał za najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Może oprócz spotkania z Khandan.

Miałem bodajże osiem lat, kiedy mistrz Kahemini po raz pierwszy zabrał mnie do swojego warsztatu. Wciąż pamiętam, jak słuchałem go wtedy z ustami rozdziawionymi w wyrazie bezgranicznego zdumienia, kiedy opisywał swoją pracę i sprzętę, z których korzysta. Różnej wielkości krosna, szpule kolorowej przędzy, noże i nożyce, słoje farb i mieszki z pigmentami

- wszystko to wydawało mi się magiczne. Jakbym wkroczył do obcego, fascynującego świata.

Zacząłem mu regularnie pomagać, mając lat dziewięć. O ile wiedziałem, mój nauczyciel przez długi czas wzbraniał się przed przyjęciem ucznia, ale tamtej wiosny wziął aż trzech terminatorów: mnie oraz nieco starszych bliźniaków zwanych Iraj i Hormoz. Dobrze nam się razem pracowało, ale nigdy nie połączyła nas silniejsza więź – może po prostu nie mogli ścierpieć tego, że lepiej od nich radzi sobie ktoś młodszy... jakiś przybłeda, sierota bez przeszłości. A może nie mam racji? Może specyficzna więź łącząca bliźnięta jest tak mocna, że inna osoba próbująca się do nich zbliżyć natychmiast zdaje się intruzem? Może mając siebie, nie potrzebują już nikogo więcej?

Nigdy się tego nie dowiem.

Miałem trzydziestu lat, kiedy w wiosce pojawiły się zbrojni, a mistrz Kahemini otrzymał tamto tajemnicze zlecenie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że za sześć miesięcy mój raj na ziemi się skończy, a ja zostanę sam, bez dachu nad głową i grosza przy duszy, okryty hańią.



Satrapa Teymour Talhin budził szacunek w sposób zupełnie naturalny i niewymuszony. Był potężnie zbudowany, skórę miał ogorzałą od słońca, a włosy oraz brodę barwy czystego srebra. Rzadko wpadał w gniew, decyzje zawsze podejmował po namyśle. Tylko w jego głęboko osadzonych oczach było coś niepokojącego, jakiś tłący się węglelek kontrolowanej drapieżności, który upodabniał satrapę do lwa wylegającego się w południowym słońcu.

Władca przyjął ich w niedużej komnacie oświetlonej stonowanym blaskiem oliwnych lamp. Podłogę pokrywały kolorowe kobierce, na materace rzucono bogato wyszywane kapy. Przez okno wpadało ciepłe nocne powietrze, szmer sztucznego strumienia w pałacowym ogrodzie i zapach macierzanki.

– Zostawcie nas i wezwijcie Mahtab – rozkazał służbie Talhin. Głęboki głos nie zdradzał złości, ale Farid wolał nie robić sobie złudnych nadziei.

Czego mógł spodziewać się ktoś przyłapany na schadzce z najstarszą córką satrapy, jego oczkiem w głowie? Chłopakowi przychodziły do głowy różne opcje, ale żadna nie przypadła mu do gustu.

Spojrzenie rzucone w kierunku Khandan nie przyniosło pocieszenia. Dziewczyna zawsze czuła się w towarzystwie ojca swobodnie, teraz jednak była poważna i skupiona, a dlonie niemal wbrew jej woli raz po raz wygładzały szatę.

Boi się – zrozumiał nagle Farid.

– Siadajcie – powiedział Teymour Talhin, wskazując im materace. Sam zbliżył się do niewysokiego stoliczka z paroma szufladami. Z jednej wyciągnął pałeczkę kadzidła i odpalił ją od kaganka. Żywiczy zapach zaczął wypełniać pomieszczenie, kiedy otworzyły się drzwi, a młodsza siostra Khandan, czarnowłosa Mahtab, stanęła w progu.

– Wzywałeś mnie, ojce?

Miała ładny, śpiewny głos, choć brakowało mu jeszcze ciepłej barwy, którą Farid tak lubił u jej starszej siostry. Z wyglądu przypominała Khandan, tyle że drobniejszą, bardziej skrytą, nieśmiałą. Mahtab była jeszcze dziewczynką, Khandan już kobietą.

– Nalej nam wina – poprosił satrapa, siadając na swoim materacu.

Przynajmniej nie będę umierał o suchym pysku – zauważył ponuro Farid.

– Czy jesteście w stanie mi powiedzieć, od jak dawna się potajemnie spotykacie? – zapytał Teymour Talhin.

Mahtab nagle się wyprostowała i upuściła zdobiony akwamarynami dzban, ten zaś z hukiem uderzył o posadzkę. Cudem zdążyła chwycić za rączkę, zanim całe wino wylądowało na posadzce.

– Wybacz – bąknęła przepraszająco w stronę ojca.

Chwilę później podała im pełne kielichy.

– Więc? – powtórzył satrapa.

– Od około trzech miesięcy, ojce – odpowiedziała Khandan.

– Zgadza się. Trzy miesiące – przytaknął pospiesznie Farid.

Satrapa upił łyk wina i podziękował uśmiechem młodszej córce. Poprosił ją gestem, żeby usiadła obok niego.

– Widujecie się od pięciu miesięcy i dziewiętnastu dni – rzekł Teymour Talhin.

Farid miał uczucie, jakby na szyi zacisnęła mu się pętla.

Wiedział! – jęknął w duchu. Wiedział od samego początku. A my, głupi...

– Fakt, że cały pałac jeszcze nie huczy od plotek, niewątpliwie zawdzięczam Jezzie, prawda? – Satrapa spojrzał na Khandan, a ta odpowiedziała niechętnym skinieniem. – No dobrze. Co macie mi do powiedzenia?

Zapanowała cisza. Minęło pół obrotu małej klepsydry nim Farid zrozumiał, że pytanie skierowano także do niego. I że milczeć, gdy pyta satrapa, jest równie mądrze, co smagać lamparta wierzbową witką.

– Panie – wykrztusił z siebie. – Wiem, że sromotnie nadużyłem twojego zaufania. Wpuściłeś mnie do swojego domu, powierzyłeś mi pracę godną mistrza, do którego mi daleko. Ja tymczasem oszukałem cię w sposób szkaradny i niewybaczalny. Nie jestem w stanie wyrazić...

Satrapa uniósł dłoń i głos uwiązał Faridowi w gardle jak za dotknięciem magicznej róźdżki. Teymour Talhin zwrócił oczy ku Khandan.

178
– Czy on zawsze tyle gada? – spytał, marszcząc brwi. – Jakbym słuchał twojej matki.

– Na szczęście wie, kiedy zamilknąć – odparła dziewczyna, pozwalaając sobie na słaby uśmiech. – W przeciwnieństwie do mojej matki.

– I całe szczęście – mruknął z aprobatą satrapa. – Teraz posłuchaj mnie uważnie, Faridzie zwany Tkaczem.

Chłopak drgnął niespokojnie. Ton głosu władców nie wróżył niczego dobrego i Faridowi przemknęło przez myśl, że te parę chwil słodkiej rozusty z Khandan nie było warte oglądania, jak ludzie satrapy rozwlekają jego wnętrzości po spalonym słońcem placu.

– Zbałamuciłeś mi córkę – rzekł Teymour Talhin. – Nie pierwszy to raz, kiedy arystokratka pada ofiarą uroku człowieka z gminu. Szczególnie, jeśli ów człowiek jest piekielnie utalentowany, przystojny i na domiar złego całkiem niegłupi.

Farid nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. Nie podobało mu się słowo „ofiara”, ale z drugiej strony ciąg dalszy brzmiał, jakby satrapa prawił mu komplementy. Chłopak postanowił milczeć.

– Lubię cię – kontynuował satrapa. – Ciężko pracujesz, dobrze ci z oczu patrzy i równie życzliwie traktujesz bogaczy i służbę. Kiedy widzę twoje dywany, dostrzegam boski dotyk Ahura Mazdy w najczystszej, możliwe nieskażonej ludzką ułomnością postaci. Dlatego teraz pytam się ciebie: co proponujesz?

Chłopak dokonał szybkiej kalkulacji.

– Jeśli łaskawy satrapa poprzestanie na obcięciu mi stóp i wyłupieniu jednego oka, z radością spędzę resztę moich dni, tkając dywaną ku jego chwale i na świadectwo jego miłosierdzia! – zaryzykował.

Teymour Talhin wytrzeszczył oczy. Przez parę uderzeń serca siedział w bezruchu, po czym ryknął śmiechem tak głośno, że musiał obudzić pół pałacu. Minęła dłuższa chwila, nim uspokoił się na tyle, by przemówić:

– Pokora to przydatna cecha – zauważył, ocierając załawione oczy.

– Ale nie wśród arystokracji. Mam inną propozycję. Co powiesz na rękę księżniczki i pół królestwa?



Mistrz Kahemini zawsze mówił, że prawdziwego tkacza można sto razy zaknąć w warsztacie z tym samym krosnem, tą samą przedzą i tymi samymi narzędziami, a otrzymamy sto różnych dywanów. A to dlatego, że wygląd kobierca kształtuje nie tylko jego twórca, ale i ten, komu jest przeznaczony.

Parokrotnie pytałem o to mojego mistrza, ale nie był w stanie wytłumaczyć specyficznej natury tej więzi. Wzruszał ramionami i mówił po prostu, że tak już jest. Można nie znać człowieka, nie widzieć go na oczy, nie wiedzieć o jego istnieniu, ale jakaś część jego jaźni, jakiś odłamek duszy i tak sprawi, że dywan będzie jedyny w swoim rodzaju.

Pamiętam, że kiedyś w to nie wierzyłem – sądziłem, że to element tkackiej legendy, mitu, który otaczał naszą profesję. Zdanie zmieniłem którejś wiosny, gdy pewna szlachetnie urodzona dama zleciła mojemu mistrzowi utkanie dywanu. Przybyła do nas w oliwkowej szacie, na szyi nosiła ametyst zatopiony w srebrze. Mistrz mój przygotował dla niej dywan czerwony, wyszywany złotą nicią, choć wydawało się, że barwy te kompletnie do niej

nie pasuję i że kobieta za nimi nie przepada. Dopiero gdy przybyła odebrać kobierzec, zdradziła nam, iż od początku chciała ofiarować go w ślubnym prezencie lubiącej się w czerwieniach i złocie siostrze.

Człowiek, który przysiął zbrojnych ze zleceniem dla mojego mistrza, musiał być kimś niezwykłym. Widać to było już po przygotowaniach – Kahemini z niecodzienną dbałością odmierzał dawki pigmentu, dobierał najlepszą przedzę, całymi godzinami śleczętał przy lampach i sprawdzał połysk złotych nici. Kiedy wraz z Irajem i Hormozem przywiązywaliśmy osnowy na krośnie, nie odstępował nas na krok i co rusz poprawiał układ, który mnie wydawał się bez zarzutu.

Przygotowania do tkania trwają zazwyczaj trzy dni. W najgorszych przypadkach pięć. Tym razem zajęły ponad tydzień. Próbowałem dowiedzieć się, kim jest nasz niezwykły zleceniodawca, ale nie byłem w stanie wydobyć odpowiedzi ani od mistrza, ani od pani Salomei. Pogodziłem się z tym. Kochałem ich, ufałem im i wiedziałem, że jeśli trzymają to przed nami w tajemnicy, mają ku temu dobry powód.

180

Później mistrz przystąpił do pracy, a ja już po kilku dniach wiedziałem, że po stworzeniu tego dywanu nic nie będzie takie jak dawniej.



– Starzeję się, chłopcze – powiedział satrapa Teymour Talhin, po czym umoczył usta w kielichu z pigwowym winem. – Nie mam syna, który przejmie po mnie sprawowany urząd i obroni mój lud przed zakusami innych władców. Nasza satrapia jest najpotężniejszą i najbogatszą ze wszystkich perskich ziem... Wielu chciałoby położyć na niej swoje brudne łapska. Na mojej satrapii i na moich kochanych córkach.

Farid nie miał pojęcia, co innego miałby zrobić, więc pokiwał głową, starając się mądrze wyglądać.

– Mamy silne i liczne wojsko, a w skarbcu dość kruszcu, by opłacić całe zastępy trackich najemników. Do tego dowódców, którzy są mi oddani i kochają moje córki jak swoje własne, bo większość z nich towarzyszyła im od chwili narodzin. Dlatego też nie boję się właściwie zakusów innych

satrapów. Boję się, mój chłopcze, tego, co czai się tu, w naszym mieście. Słyszałeś o Shabazie Talumenim?

– Nie sposób było nie słyszeć.

– Co o nim wiesz?

– To kupiec. Bardzo bogaty i, sądząc po tym, co się mówi, nielicho przebiegły.

– Bardzo bogaty to mało powiedziane. Ten człowiek żyje jak król i gdyby tylko nie chciał mnie urazić, postawiłby sobie pałac jeszcze większy i wystawniejszy niż mój.

– Nie wierzę w to, panie. Z pewnością nie może równać się z tobą bogactwem i władzą.

– Cóż, może i faktycznie nie. Ale ja muszę troszczyć się o poddanych, nieprawdaż? On troszczy się tylko o siebie. Zresztą to nieważne. Talumeni ma już teraz wielkie wpływy. Często odwiedza Seleukosa i obsypuje diadocha licznymi podarunkami. Nie wiem, jak długo potrwa, zanim przekona do siebie naszego władcę, ale kiedy ta chwila nastąpi, weźmie sobie moją piękną Khandan i nikt go nie powstrzyma. A ja przedzej zdechnę, niż wydam córkę za tę dwulicową żmiję! – Satrapa zaciągnął lewą dłoń w pięść i potrząsnął nią. Wyraz jego twarzy zdradzał, że wolałby chwycić w te zbielałe palce nie powietrze, a szyję Shabaza Talumeniego. Khandan poderwała się z miejsca i ze łzami w oczach rzuciła ojcu na szyję. Ucałowała go w oba policzki i choć satrapa odprawił ją pozornie gniewnym gestem, nie zdołał ukryć uśmiechu cisnącego mu się na usta.

– Czyli zgodzisz się, żebybym była z Faridem? – zapytała Khandan.

– To nie jest takie proste. Jesteś, chłopcze, człowiekiem bez znaczącej pozycji i większego majątku. Jeśli ot tak oddam ci córkę, ludzie zaczyną wytykać mnie palcami i śmiać się za moimi plecami. Shabaz Talumeni przekona Seleukosa do interwencji, a wtedy ja zostanę ośmieszony, ty będziesz martwy, a moja córka zhańbiona.

– To wygląda na sytuację bez wyjścia – zauważył Farid.

– Zawsze jest wyjście – odparł satrapa. – Trzeba go tylko starannie poszukać. Takim wyjściem byłoby przykładowo, gdybyś mógł ofiarować

mi coś, czego Talumeni ze wszystkimi swoimi skarbami nie zaoferuje nigdy. Pytanie brzmi: czy istnieje coś takiego?

Teymour Talhin pociągnął solidny łyk wina, ale nie spuszczał oczu z Farida. Chłopak tymczasem miał wrażenie, że oczekują od niego niemożliwego. Co on, biedny tkacz, mógłby ofiarować satrapie? Potrafił tylko tkać dywany – piękne, to prawda, ale wcale nie piękniejsze niż te tworzone przez paru starych rzemieślników, których z łatwością wynająłby Shabaz Talumeni. Popatrzył Khandan w oczy, w jej olbrzymie oczy, wpatrzone w niego z miłością i ufnością. Przypomniał sobie, jak cudownie czuł się jeszcze parę chwil wcześniej, nim cała ta wiedza spadła na niego, przygniatając go do ziemi, pozbawiając nadzieję... Teraz był jak ptak ze złamanym skrzydłem; ptak, który nigdy więcej miał się nie wzbić w niebo...

Wzbić się w niebo.

Naraz Farid uśmiechnął się szeroko i popatrzył na satrapę.

– Co byś, panie, powiedział na latający dywan?

182

Teymour Talhin znieruchomiał z kielichem przy ustach i uniósł wysoko brwi.

– Jesteś w stanie utkać latający dywan?

– Nie – odparł Farid. – Ale wiem, gdzie takowy znaleźć.



Dywany, który wspólnie tworzyliśmy, był inny niż wszystkie wcześniejsze. Ogólna zasada tkania pozostała oczywiście ta sama, w warsztacie czuło się jednak odmienną atmosferę. Zazwyczaj mistrz Kahemini robił wszystko na oko, niezmiennie wprawiając nas w zdumienie, gdy z pozorną niedbałością tworzył kolejne arcydzieła. Tym razem jednak wszystko sumiennie odmierzał, dbał o każdy szczegół, doglądał każdego drobiazgu – od tych oczywistych, jak jakość przedzys, po mniej zrozumiałe i właściwie niewidoczne gołym okiem. O ile dawniej nikomu nie przeszkaǳało, czy nić będzie moczyć się w rozrobionym pigmencie godzinę czy dwie dłużej, o tyle teraz Kahemini sprawdzał ją co parę minut.

Imponował mi tą starannością, ale było w niej też coś przerażającego. Jakby w poczynania człowieka na ogół twardo stąpającego po ziemi wkradła się niepostrzeżenie niezrozumiałą dla mnie obsesja.

Kahemini nigdy nie był gadatliwy, ale nie minęły dwa miesiące od rozpoczęcia prac nad dywanem, a odzywał się już praktycznie tylko do pani Salomei i czasami mruczał coś do siebie. Nie tłumaczył nam właściwie nic, a tylko wskazywał niedociągnięcia. Obrywało nam się częściej niż zazwyczaj, bo mistrz tym razem nie tolerował najmniejszych oznak zniecierpliwienia i wywołanej pośpiechem niedokładności. Ulotniła się gdzieś radość, która na ogół towarzyszyła procesowi tworzenia, na koniec dnia nie zasiadaliśmy już do wspólnego, spędzanego w ciepłej atmosferze posiłku. Jadałem sam z panią Salomeą, mistrz natomiast przesiadywał całymi godzinami w swoim warsztacie, badając przy wątłym blasku kaganek dzieło minionego dnia.

Wiedziałem, że dzieje się coś złego, ale nie miałem pojęcia, co mógłbym na to poradzić.

Od przyjęcia przez mojego mistrza tajemniczego zlecenia minęły mniej więcej cztery miesiące, kiedy przypadkiem stałem się świadkiem intymnej rozmowy Kaheminiego i pani Salomei. Wymknąłem się z domu za potrzebą, a kiedy wróciłem, zrozumiałem, że słyszę ich głosy. Podszedłem bliżej, dbając, by nie zdradził mnie żaden dźwięk.

– Nie mogę – usłyszałem mistrza. Najwyraźniej odpowiadał na jakieś pytanie. – Wiesz, że nie mogę.

– Z każdym dniem jest gorzej – mówiła pani Salomea. Nieoczekiwanie stwierdziłem, że brzmi, jakby polylała łzy. – Chłopcy się o ciebie martwią. Ja też się martwię.

– To praca. Zwykła praca.

Nie musiałem widzieć twarzy Kaheminiego, żeby wiedzieć, że kłamie.

– To nie jest zwykła praca! – sprzeciwiła się kobieta. – Ta praca cię wyniszcza. Jak robak, który pożera od środka. Jak choroba duszy. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz się uśmiechałeś.

Cisza. Ktoś pociągnął nosem, chyba ona.

– Odmów mu. Co ci może zrobić?!

Kahemini milczał, ważył słowa.

– Boję się, co może zrobić wam – odrzekł wreszcie.

– W takim razie przestań! Nie dbam o to, co się stanie, jeśli cię zabraknie.

A to... to, co dzieje się w tej chwili, nie może się dobrze skończyć. Ach, ci przeklęci obcy z ich przeklętymi bogami... – urwała.

Wyobraźnia podsunęła mi obraz Kaheminiego zasłaniającego dłonią jej usta. Mistrz zawsze powtarzał, żeby odnosić się z szacunkiem do cudzych bogów, bo nigdy nie wiadomo, kiedy będziemy od nich potrzebować przysługi.

– Jutro zabiorę chłopców do Hasan Abad – zdecydował mistrz po chwili milczenia. – Porozmawiam z Raminem. Może on mi coś doradzi. Dobrze?

Później ich szepc przycichł i kompletnie zlał się z głosami nocy. Wróciłem na posłanie, ale długo nie mogłem zasnąć. Nigdy wcześniej nie słyszałem o Hasan Abad ani o żadnym Raminie, ale nie traciłem nadziei, że kimkolwiek ten enigmatyczny mężczyzna jest, zdoła pomóc mojemu mistrzowi.



– Czemuż to moja piękna pani płacze? Co ją trapi?

Arman, pierwszy pośród pałacowych kucharzy, przykucnął obok Mahtab i położył masywną dłoń na jej ramieniu.

– Cóż się stało mojej pięknej pani? – zapytał z troską.

Do świtu została godzina, w kuchennych paleniskach tliły się dogasające węgle. Powietrze nasycone było wonią gorczycy, kolendry i suszonego majeranku.

Dziewczyna wciąż kryła twarz w dłoniach.

– Jestem taka nieszczęśliwa – wybąknęła. Nie miała z kim porozmawiać, a Arman zawsze był dla niej dobry: traktował ją z szacunkiem należnym córce satrapy, ale w przeciwieństwie do wielu innych służących wydawał się darzyć ją szczerą i bezinteresowną sympatią.

– Dlaczego moja pani jest nieszczęśliwa?

Arman posadził swoje potężne cielesko na ławie obok Mahtab. Drewno zatrzeszczało jękiem pod ciężarem kucharza, ale wytrzymało. Dlonie o palcach przypominających kiełbaski poklepały Mahtab po plecach.

– Och, Arman... gdybym tylko mogła ci powiedzieć... ale mój ojciec byłby na mnie zły. Bardzo zły. Gdyby ktoś w pałacu się dowiedział... – urwała, pociągnęła parę razy nosem.

– Czy chodzi o tego przystojnego tkacza? O Farida? – zapytał Arman. Służba od tygodni plotkowała o tym, że młodsza córka satrapy nie może oderwać oczu od zdolnego rzemieślnika.

Mahtab nagle poderwała głowę.

– Ty wiesz...?

– Wiem tylko tyle, ile mówią mi oczy, ile podpowiada serce, ile pojmuje mój rozum – ostrożnie odparł Arman. – Miłość jest jak oddech Sorusza, moja piękna pani. Nie sposób jej dostrzec, ale gdy się wie, czego szukać, trudno ją przeoczyć. A dla miłości, moja pani, nie ma rzeczy niemożliwych.

Długo patrzyła mu w oczy. Później wbiła wzrok w stół i poczęła wodzić palcem w garści rozsypanej mąki.

– Może jednak są – mruknęła.

Arman nie poprzestał na tym. Urabiał młodą Mahtab długo i starranie, ze zmysłem i wyczuciem, jak ciasto, z którego piecze się chleb przeznaczony na królewski stół. Wreszcie dziewczyna pęknęła i, płacząc rzewnie, wyjawiła mu wszystko: związek Khandan i Farida, plan ojca, obietnicę zdobycia latającego dywanu.

Po wysłuchaniu jej opowieści Arman długo milczał. Kiedy wreszcie się odezwał, mówił powoli, wyważonym głosem:

– Twój ojciec jest człowiekiem wielkiej mądrości, moja śliczna pani – odezwał się. – Ale nawet tacy ludzie mogą paść ofiarami sprawnie rozprzestrzenianych kłamstw i oszczerstw. Brat mój pracuje dla Shabaza Talumeniego i chwali go jako człowieka licznych cnót, męża o przymiotach godnych władcy. Wspominał też wiele razy o uwielbieniu, jakim Talumeni darzy waszą siostrę, o pani. On ją kocha do szaleństwa, moja śliczna pani. I niczego bardziej nie pragnie niż jej dobra.

– To bez znaczenia – odparła Mahtab. – Ojciec już zdecydował. Jutro wszem i wobec ogłoszi, że ten, kto za trzy dni o zachodzie słońca ofiaruje mu latający dywan, będzie mógł wziąć sobie Khandan za żonę. Nic nie rozdzieli jej i Farida...

– Jest jednak z tej sytuacji wyjście – zauważył kucharz. – Gdyby pan Talumeni uprzedził Farida i pierwszy odnalazł latający dywan, to jemu Khandan przypadłaby w udziale. A ojciec mojej pięknej pani, który tak wysoko ceni sobie młodego tkacza, z pewnością nie miałby nic przeciwko jego związkowi z moją śliczną panią Mahtab.

Błysk w oku dziewczyny powiedział kucharzowi, że dobrze to ro-zegrał.

Pół godziny później wiedział już, że Farid zmierza do nekropolii Hasan Abad i zastanawiał się, czego zażądać od Shabaza Talumeniego w za-mian za tę informację.



Podróżowaliśmy całymi godzinami przez spiekotę i kurz. Gorący wiatr pę-dził stepem, niosąc ze sobą zapach żółknących traw. Złociste jeszcze ty-dzień wcześniej kwiaty wrotyczy teraz zbrązowały, a ich łodygi skrzywiły się ku ziemi, zgarbiły, jak człowiek szukający się na śmierć.

Jeszcze przed południem trafiliśmy na kamienny słup. Mistrz przyglądał mu się przez chwilę, po czym poprowadził nas dalej. Nie było czasu, żebym się lepiej przyjrzał wyrytym na słupie znakom, ale wystarczył jeden, który rozpoznałem bez trudu.

Brodaty człowiek ze skrzydłami. Faravahar.

Symbol Śmierci.

Mimo gorąca przeszedł mnie nagle lodowaty dreszcz. Postrzępiona chmura, która na krótki moment zakryła słońce, zamiast ulgi przyniosła niepokój.

Blade twarze bliźniaków sugerowały, że i oni spostrzegli faravahar wy-ryty w piaskowcu.

– Mistrzu – odezwał się Iraj. – Czy zdradzisz nam, dokąd zmierzamy?

– Mówiłem wam już. Jedziemy do Hasan Abad.

– To prawda – zgodził się Hormoz. – Lecz co jest w Hasan Abad?

Kahemini popatrzył na niego zaskoczony. Później zmarszczył czoło, otarł spoconą twarz.

– Hasan Abad to nekropolia, chłopcy. Miejsce spoczynku królów i kapłanów. Wielkich ludzi.

– Czy ten, do kogo jedziemy, też jest królem? – zapytałem.

Kahemini przyjrzał mi się uważnie i pokręcił głową.

– Nie. Jest tkaczem. Jak my. Dość gadania, w drogę.

Dotarliśmy do nekropolii dopiero późnym popołudniem, kiedy wiatr ucichł, a chmury przybrały barwę szafrału. Musieliśmy podjechać bardzo blisko, żeby w lysym pagórkiku rozpoznać wznieśiony ludzkimi rękami kopiec. Wejścia do środka strzegł portal z piaskowca pokryty wygładzonymi przez wiatr symbolami, wśród których rozpoznałem sylwetkę pierwotnego byka, Geusza, oraz święty krzak rababararu.

– Wygląda, jakby nikogo tu nie było – zauważył Hormoz.

– Bractwo Mitry troszczy się o grobowce. Pojawiają się tutaj co kilka dni, żeby upewnić się, że wszystko jest w należytym porządku.

Zrozumienie spadło na mnie jak kula gradu wielkości kurzego jaja.

Kahemini zamarł na krótki moment, ale nie odpowiedział. Uwiązał wierzchowca do kamiennego konowiązu, kazał nam uczynić to samo z naszymi osłami. Później patrzył nam kolejno głęboko w oczy.

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby był równie poważny.

– To bardzo ważne – powiedział. – Kiedy znajdziemy się w środku, musicie być cicho. Ani jednego zbędnego słowa. Idźcie za mną krok w krok i nie zbaczajcie z trasy. Nekropolia pełna jest pułapek, które zabiją was w mgnieniu oka, jeśli nie pohamujecie ciekawości.

Skwarne stepowe powietrze naraz wydało mi się zbyt cudowne, żeby z niego rezygnować.

– Musimy tam wchodzić, mistrzu? – zapytał Hormoz. – Może lepiej będzie, jeśli popilnujemy wierzchowców...

– Pójdzcie ze mną – zdecydował Kahemini. – Jeśli będziecie mnie słuchać, nic wam nie grozi. To, co znajduje się tam, w środku, to część waszego dziedzictwa, chłopcy.

Chwilę później weszliśmy w mrok i stęchły chłód grobowca, a upiory Hasan Abad powitały nas echem słów wypowiadanych przed wiekami.



Pułapka była dobrze ukryta i diabelnie niebezpieczna. Gdyby Farid nie spostrzegł jej w porę, któryś z trzech ostrzy niechybnie skróciłoby go o głowę.

Chłopak przez parę chwil obserwował otoczenie, po czym ominął zdradziecką płytę. Pozostał na klęczkach i ostrzem noża sprawdzał, czy kolejne fragmenty posadzki nie kryją podobnej niespodzianki. Posuwał się do przodu w ślamazarnym tempie, ale wołał spędzić w krypcie choćby i cały dzień, byle opuścić ją w jednym kawałku.

Od wiekowych murów biło chłodem, kurz oraz pył drapały w gardle i kleiły się do spoconeego ciała. W podziemiach panowała cisza, choć Faridowi czasem zdawało się, że z płataniny korytarzy dobiegały jakieś ciche odgłosy: szelest tkaniny, głucho stęknięcie, zgrzyt metalu o kamień.

Nieco dalej ścieżka rozdzielała się na dwa identyczne tunele. Chłopak uniósł pochodnię, cienie urosły, a ich taniec na żółtawych płaskorzeźbach stał się szybszy i jakby skoczniejszy. Światło rozlało się po ścianach z piaskowca i Farid przez moment studiował kliny, równie ostre i wyraźne, co w dniu ich wyrycia.

Cóż – pomyślał – zdaje się, że pomijając członków Bractwa Mitry, tajemniczych opiekunów krypt i cmentarzy, jestem jednym z niewielu ludzi, którzy z własnej woli przekroczyli próg nekropolii w Hasan Abad.

Skręcił w prawo, bo tam skierowały go klinowe inskrypcje. Przystał, gdy za jego plecami po raz kolejny rozległ się dźwięk przypominający świszący oddech człowieka stojącego jedną nogą w grobie. Obejrzał się przez ramię, ale dostrzegł tylko ciemność, w której czaiły się wszelkie strachy, demony i upiory, jakie tylko przychodziły na myśl. Na ramionach pojawiła mu się gęsia skórką, a cienie kotłowały się i przelewały, to wyciągając ku niemu dlonie, to cofając je raz po raz przed pełgającym blaskiem pochodni.

– Jestem strachliwym głupcem – mrucnął Farid. Miał nadzieję, że dźwięk własnego głosu doda mu otuchy, ale mylił się. Wśród ponurej ciemny grobowca Hasan Abad każde słowo brzmiało niczym szept umarłych.

Przeszedł tylko parę kroków, po czym znowu przystanął. Jednak tym razem na jego twarzy zagościł uśmiech. Przesunął dlonią po napisie wyrytym w kamiennej płycie, pochylił głowę przed umiejętnie wykonanym faravaharem.

– Dobre myśli, dobre słowa, dobre czyny – wyszeptał Farid, po czym odnalazł wśród symboli kształt księżyca. Przez chwilę przypominał sobie awestyjskie słowa, które kiedyś wpajał mu mistrz Kahemini. – Wohu Manah, wybacz moje najście. Mitro, powstrzymaj swój gniew. Jestem śmiertelnym pośród umarłych, pyłkiem prochu na wietrze, kropią krwi na pustyni. Z pokorą uznaję swoją słabość i proszę was o pomoc.

Skaleczył się nożem w dłoń i dotknął kamiennej płyty. Gdzieś w płatninie tuneli tworzących nekropolię rozległo się trzeszczenie ciężkich bloków piaskowca. Chrapliwy oddech poniósł się po korytarzach złożewszczym echem i zaraz umilkł.

Faridowi włosy zjeżyły się na karku.

Teraz już nie mogę się wycofać.

Spojrzał raz jeszcze na napis. Znaki układały się w dwa słowa: Ramin, Tkacz. Słynny Ramin, jeden z trzynastu rzemieślników, którzy dostąpili zaszczytu pochówku w towarzystwie władców Persji i najwyższych kapłanów.

Farid wsadził ostrze noża w wąską szczerlinę i naparł na rękojeść. Płyta zaszurała głośno, ale ustąpiła. Kiedy szpara była wystarczająco szeroka, żeby zmieścić w niej palce, poszło mu już łatwo.

Moment później Farid stał w bezruchu, posapując cicho i wpatrując się w kupkę pożółkłych kości, która kiedyś była największym w historii tkaczem dywanów. Obok nich, zrolowane ciasno i związane rzemieniem, leżało ostatnie dzieło Ramina – najdoskonalszy twór człowieka, który połączył w jedno przedzę i boski oddech Sorusza, syna samego Ahura Mazdy.

Ostatni latający dywan.

W chwili, kiedy Farid wyciągnął po niego dłoń, poczuł na karku lodo-waty dotyk stali i zrozumiał, że wszystko przepadło.

– Dziękuję ci, chłopcze – powiedział za jego plecami Shabaz Talumeni.
– Gdyby nie ty, nigdy nie znalazłbym tego miejsca.



Mistrz Kahemini szedł mrocznymi tunelami nekropolii ze spokojem i pewnością siebie, które sugerowały, że był tu nie raz. Myślałem, że będzie się spieszył, chcąc jak najprędzej opuścić to niegościnne miejsce, ale nawet w Hasan Abad dawała o sobie znać jego natura nauczyciela. Zatrzymywał się przy tabliczkach pokrytych klinowym pismem i wyjaśniał znaczenie poszczególnych znaków. Zwracał uwagę na rzeźby i reliefy, które mogły służyć jako punkty orientacyjne, ostrzegał przed niewidocznymi dla naszych oczu pułapkami.

Naraz przyszło mi do głowy, że Kahemini w młodości mógł być kimś zupełnie innym niż teraz. Czy wiódł życie pełne przygód i niebezpieczeństw? Podróżował, poznawał świat i ludzi? Nagle zyskałem pewność, że tak właśnie było – mądrość, którą dzielił się tak ochoczo nie mogła pochodzić wyłącznie z uczonych pism i historii podawanych z ust do ust.

190 Człowiek, którego sądziłem, że znam bardzo dobrze, nagle okazał się skarbnicą tajemnic.

– Jesteśmy – odezwała się mistrz, gdy stanęliśmy przed kamienną płytą ozdobioną wizerunkiem brodatego mężczyzny ze skrzydłami.

– Kto tu spoczywa? – spytałem, przysuwając się bliżej. Czułem na karku oddechy Iraj i Hormoza; mistrz miał jedyną lampkę oliwną i wszyscy chcieliśmy zmieścić się w kręgu lichego, dającego pozory bezpieczeństwa światła.

– Mój nauczyciel. Niezwykły człowiek nazwiskiem Ramin.

– Czy on też był tkaczem? – zapytał Iraj. – Był również dobry jak ty, mistrzu?

Kahemini parskanął śmiechem. Wśród ponurych, przesyconych śmiercią murów zabrzmięło to jak kaszlnięcie konającego.

– Był stokroć zdolniejszy – odparł mistrz. – Ramin był jednym z ostatnich ludzi dotknietych przez Mantra Spenta, Boską Myśl. Tworzył cuda, o jakich mnie się nawet nie śniło. Tkaniny, od których było ciepło buzującego paleniska. Ścienne kilimy, które zmieniały barwę zależnie od pory dnia. Latające dywany.

– Latające dywany?! – pisnął Hormoz.

– Całe mnóstwo. Niestety, większość została zniszczona, część wykradli lub wykupili cudzoziemcy. O ile się nie mylę, w całej szerokiej Persji ocalał tylko jeden latający dywan.

– Wiesz, gdzie się znajduje mistrzu?

– Wiem. Tutaj. – Kahemini wskazał na kamienną płytę.

– W grobie? W tym grobie?! I nikt go nie ukradł? Przecież... Przecież każdy może tu wejść!

– Zwyczajny człowiek nie dotrze tutaj, nie znając drogi i nie wiedząc, jak unikać pułapek – odparł mistrz. – Wielu odstrasza też zła sława upiorów z Hasan Abad. Nie, moi chłopcy, myślę, że dywan jest tutaj zupełnie bezpieczny.

– Ale my już znamy drogę. Gdybyśmy chcieli... – zacząłem i urwałem, gdy dotarło do mnie, jak to brzmi.

– Tak – odparł Kahemini, bacznie mi się przyglądając. – Prawdopodobnie gdybyście chcieli, moglibyście wykraść stąd ostatni latający dywan Ramina. Ale pamiętajcie, że to dzieło człowieka natchnionego przez samego Ahura Mazdę. Gdybyście się zdecydowali na podobny krok, lepiej żebyście mieli ku temu dobry powód.

– Nigdy byśmy czegoś takiego nie uczynili – zapewnił Iraj.

Kahemini uśmiechnął się po raz kolejny. Przez cały poprzedni miesiąc nie uśmiechał się tyle, co w ciągu ostatniej godziny.

– Jeśli jest coś, czego bogowie nie znoszą bardziej od łamania ich praw, to tym czymś jest słowo „nigdy”, mój chłopcze.

Nie wiem czemu, mimo iż odpowiadał Irajowi, to mnie patrzył w oczy.

Później nauczył nas awestyjskich słów pozdrowienia umarłych i duchów sprawujących nad nimi pieczę. Kiedy każdy z nas potrafił już wygłosić właściwą formułę bez zajęknięcia i kiedy złożyliśmy w ofierze po kropli właściwej krwi, Kahemini podał nam lampkę i poprosił, żebyśmy na parę chwil zostawili go samego.

Wróciliśmy do miejsca, gdzie tunel zakręcał. Oddaliliśmy się tylko na tyle, by szepot mistrza stał się niezrozumiałym szmerem, po czym zbliliśmy się ciasno wokół źródła światła. Milczeliśmy, zasłuchani w oddech prastarych murów, w bezgłośne świadectwo nagrobnych płyt.

Mistrz Kahemini dołączył do nas po jakiejś godzinie. Pomyślałem właśnie, że musi już zmierzchać i trzeba będzie zaraz opuścić grobowiec, jeśli nie chcemy spotkać się z potwornymi dewami, przeklętymi duchami, obejmującymi nekropolię w niepodzielne władanie na czas nocy.

– *Możemy wracać, chłopcy* – powiedział mistrz i kąciki jego ust powędrowały do góry.

To był smutny uśmiech, uśmiech straceńca, grymas człowieka na wpół pogodzonego z perfidnym losem.

Kiedy tej nocy zatrzymaliśmy się w leżącej nieopodal Hasan Abad wiosce, długo nie mogłem zasnąć. Płakałem całymi godzinami, zaciskając mocno zęby i chowając twarz w dłoniach, żeby nie zdradzić się przed innymi.



192 Bili go krócej, niż się spodziewał. Nawałnica trwała kilkanaście uderzeń serca, ale Farid stracił rachubę zebranych ciosów zaraz po kopnięciu, które trafiło go w głowę. Czuł w ustach smak krwi, eksplozje bólu odzywały się w coraz to innych częściach ciała. Kiedy spróbował wstać, trafienie w kręgosłup przygwoździło go do chłodnej posadzki.

– Dość – odezwał się Shabaz Talumeni. Jego cierpki głos ledwo się przebiała przez dzwonienie obecne w głowie chłopaka. – Krew, szybko. I dajcie mi ten przeklęty dywan.

Farid ostrożnie otarł oczy i przechylił głowę, by móc przyjrzeć się swoim oprawcom. Talumeni stał nieco z tyłu, jego eskortę stanowiło dwóch wygolonych na łyso eunuchów o szerokich barkach i pięściach jak kafary oraz czarnoskóry niewolnik podobnej postury. Ten ostatni ściągnął przewieszony przez plecy bukłak i zaczął wylewać zawartość na posadzkę. Smród był potworny, ale Shahbaz Talumeni tylko zmarszczył nos i uśmiechnął się złośliwie do chłopaka.

– Zepsuta krew – wychrypiał Farid. Jakimś cudem wszystkie zęby miał na miejscu, ale przy każdym oddechu czuł ból w piersi. Musieli mu złamać żebro lub dwa.

– Tak. Ponoć znakomicie się sprawdza jako wabik na upiory. Prawdziwa szkoda, że tylko ty się o tym przekonasz.

Później związał Faridowi nogi i ręce powrozem, jeden z eunuchów podał Talumeniemu dywan i cała czwórka odeszła w głęb tunelu.

Zostawili mu pochodnię, żeby mógł lepiej widzieć demony nadchodzące, by pożywić się jego ciałem.



Kiedy wróciliśmy do wioski, pani Salomei wystarczyło jedno spojrzenie na twarz mistrza. Zbladła natychmiast, nakryła usta dłonią, zachłysnęła się słowami powitania. Trwało to ledwie chwilę i myślałem, że Hormoz i Iraj niczego nie dostrzegli. Później Kahemini wziął ją w ramiona i szeptał jej dług do ucha, a pani Salomea bardzo się starała, żebyśmy nie słyszeli, jak płacze.

Kolacja była odświętna. Jedliśmy na najlepszej zastawie, a w naczyniach czekały same smakołyki: na początek taftan ze szpinakiem, później gęś nadziewana słodką marchwią, na deser zaś placek z rabarbarem oraz kruche ciastka z ciecierzycy. Do tego wino z miodem, od którego szybko zaczęło mi przyjemnie szumieć w głowie. Siedzieliśmy przy stole dług, ale mówiliśmy niewiele.

Może żadne z nas nie chciało psuć tak starannie utkanych pozorów szczęścia i spokoju?

Następnego ranka wróciliśmy do przerwanej pracy. Dwa spędzone w drodze dni pozwoliły nam nieco odetchnąć i teraz mogliśmy spojrzeć na nasze dzieło z nieco innej perspektywy.

Dywany nie był jeszcze ukończony – od daty wyznaczonej przez żołnierza dzieliły nas blisko dwa miesiące i wiedziałem, że, jeśli tempo pracy pozostanie bez zmian, liczył się będzie każdy dzień. Jednak już teraz widać było ogólny zamysł, a fragmenty bliskie ukończenia zatyczały dech w piersiach. Przedstawione kształty czarowały, hipnotyzowały, mamiły zmysły. Wykorzystane barwy wydawały się niezwykle żywe: czerwień bardziej soczysta niż płatki róż, biel czystsza od śniegu, złoto mieniło się jaśniej niż tarcza słońca na bezchmurnym niebie. Tkanina była w dotyku miękka jak

puch, gładka jak tygrysia sierść, ale sploty trzymały mocno niczym włókna konopi.

To było prawdziwe arcydzieło i nie mogłem się doczekać, kiedy ujrzę efekt końcowy.

Pracowaliśmy ciężko przez kolejny tydzień, a podniecenie wynikające z tworzenia przedmiotu równie niezwykłego mieszało się z jakimś dziwnym, z każdym kolejnym dniem coraz bardziej namacalnym wrażeniem, że dzieją się rzeczy złe. Ile razy przekraczałem próg warsztatu, sztywniałem nagle, jakby intuicja mi podpowiadała, że zaraz znajdę tam coś przerażającego. Iraj i Hormoz częściej niż zazwyczaj wdawali się w kłótnie i narzekali na wszystko wokół: brak dobrego światła, słabej jakości nici, tępę nożyce, kruszący się pigment... Czasami wychwytywałem wzrok mistrza, kiedy patrzył na nich ze złością, choć wcześniej zawsze miał dla nas mnóstwo cierpliwości.

Po paru dniach zdałem sobie sprawę z tego, że unikam patrzenia na tworzony przez nas dywan. Wyszukiwałem sobie takie zajęcia, które pozwalały mi oderwać od niego myśli – najlepiej było, gdy mogłem robić swoje poza warsztatem. Wewnątrz ogarniał mnie dziwny chłód, a po plecach chodziły ciarki podobne do tych, które wywoływała we mnie wizyta w nekropolii Hasan Abad.

Bałem się. A że nie miałem pojęcia, czego tak właściwie się boję, wydawało się to jeszcze straszniejsze.

Później, na dwa tygodnie przed zakończeniem pracy nad dywanem, okazało się, że Iraj i Hormoz zachorowali i musieli zostać w domu. Spodziewałem się, że będą imusielni zdwoić wysiłki, ale mistrz nieoczekiwane stwierdził, że nie będę mu potrzebny.

– To wyjątkowy dywan, Faridzie – powiedział. Ostatnimi czasy odzywał się tak rzadko, że zdziwiłem się, słysząc, jak chrąpliwy ma głos. – Muszę mieć spokój, gdy będę go kończył. Chciałbym, żebyś przez ten czas pomagał mojej żonie i zadbał o dom.

Gdzie się podział ten mistrz Kahemini, z którym parę lat wcześniej potrafiliśmy odśpiewać przy pracy wszystkie czterdzieści trzy zwrotniki „Cnotliwej damy z Persepolis”?

Przez kolejne dni coraz rządziej widywałem mojego nauczyciela. Z początku zaglądał jeszcze do domu, żeby coś zjeść albo ugasić pragnienie, ale później to pani Salomea zachodziła do niego z zawiniętym w chustę jedzeniem i dzbanem wody. Czasami, już późno w nocy, słyszałem skrypiecie drzwi i wiedziałem, że mistrz wrócił, by zażyć snu. Jednak o której bym nie wstał, jego już nie było.

W ostatnim tygodniu w ogóle przestał przychodzić do domu, a pani Salomea zostawała mu jedzenie przed drzwiami warsztatu, nawet nie zglądając do środka.

Któregoś dnia zaskoczyłem ją w kuchni, z twarzą w dłoniach. Ramiona jej drżały w rytm bezgłośnego płaczu. Palenisko było wygaszone, Iniana ścierka kurzyła się na podłodze, pod sufitem krążyło parę much.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie miałem pojęcia co, więc tylko stałem i patrzyłem na nią. Po jakimś czasie uniosła twarz i spojrzała na mnie, a ból i smutek obecne w jej oczach sprawiły, że pękło mi serce.

Nie powiedziałem nic, wyszedłem na zewnątrz. Wiedziałem, że potrzebowała pocieszenia, ale nie potrafiłem jej go ofiarować. Szczerze mówiąc, byłem na nią zły, bo czułem, że wkrótce stanie się coś bardzo niedobrego, a ona najwyraźniej nie zamierzała nic z tym zrobić. Poddala się, pogodziła z losem.

Byłem wściekły na samego siebie, bo zrobiłem dokładnie to samo, co ona.

Poddalem się.

Czas niszczy nie tylko ciała, ale i umysły, dlatego prawie nie pamiętam snów, które nawiedziły mnie tamtej nocy. Z dziesiątek szalonych wizji i przerażających mar mogę teraz przywołać pojedyncze obrazy, ale to wystarczy, by na moich ramionach pojawiła się gęsia skórka.

Pamiętam cudownie miękką tkaninę sunącą po policzku mojego mistrza, zatykającą jego usta, duszącą rodzący się w gardle wrzask strachu, tłamszącą życie.

Pamiętam mojego nauczyciela unieruchomionego w splotach uwięzonych do krosna jak w gigantycznej pajęczynie i jego cichy, chrąpliwy głos, którym błagał, żeby go zabić.

Pamiętam Iraja i Hormoza wbijających szydła w oczy Kaheminiego i mnie samego krążącego wokół na latującym dywanie i śmiejącego się do rozpuku, kiedy spod powiek człowieka, którego kochałem jak ojca, tryskały strumienie czarnej krwi.

Obudziłem się rozdygotany, zlany zimnym potem, z czołem rozpalonym jak w gorączce. Zawartość żołądka natychmiast podeszła mi do gardła, przechyliłem się tylko na bok i zwymiotowałem tuż obok swojego siennika. Kwaśny, gryzący smak wypełnił mi usta i nozdrza, a gdy tylko zamknąłem oczy, pod powiekami pojawiły się przebłyski z koszmarów minionej nocy.

Wyszedłem na zewnątrz, słaby, roztrzęsiony, zataczałem się przy każdym kroku jak ktoś, kto nadużył wina. Potrzebowałem powietrza i wody.

Świat wstawał szary, ponury. Zaciągnięte chmurami niebo przypominało brudną szmatę, chłodny wiatr niósł ze sobą delikatny zapach tamaryszku. W wiosce panowała cisza.

Stanąłem przed studnią, ale nie zdążyłem sięgnąć po stojące na cembrowinie wiadro. Powstrzymał mnie odgłos, który ostatni raz słyszałem pół roku wcześniejszej.

Tętent koni.

Zbrojni.

Stałem z szeroko otwartymi ustami, podpierając się na kamiennej cembrowinie i patrzyłem, jak kawałkada zbliża się do wioski. Jechali w ciszy, w doskonałym szyku. Gdyby nie kopyta tłukące o drogę, trzeszczenie skórzanych popręgów i okazjonalny szczęk sprzączek przy lśniących napierśnikach, byliby bezszelestni.

Bardzo chciałem, żeby ktoś wyszedł i ich powitał. Żebym nie musiał stać jak wioskowy głupek, z twarzą wykrzywioną posmakiem wymiocin i nogami ledwo trzymającymi mnie w pionie.

Zbrojni zatrzymali się na placu koło studni. Nie zsiadali z koni, rozmawiali się wokół, jakby w każdej chwili spodziewali się ataku. Ten, który im przewodził, podjechał wolno i popatrzył na mnie z góry.

Poznałem go – to on pół roku wcześniejszej zlecił mojemu mistrzowi to przeklęte zadanie.

– Chłopcze, znasz mistrza Kaheminiego?

Przez chwilę myślałem, że nie zdołam z siebie wykrztusić ani słowa. Gdzieś w głębi mnie obudził się małeńki chłopiec, którymś kiedyś byłem, drobny i zagłodzony, przerążony okrucieństwem losu i świata.

– Jestem jego uczniem, panie – odparłem w końcu, kłańiąc się nisko.

– W takim razie pójdz po niego. Powiedz, że przyjechałem odebrać dywan, który miał wykonać dla mego władcy.

Zerknąłłem w stronę zamkniętych drzwi od warsztatu i zadrżałem na myśl o tym, że miałbym tam wejść. Jednak w spojrzeniu żołnierza było coś takiego, że przełamałem strach i uczyniłem pierwszy krok. Później poszło już łatwiej – wystarczyło iść, ciągle iść i się nie zatrzymywać.

Zapukałem do drzwi warsztatu i wezwałem imię mojego mistrza, ale nikt mi nie odpowiedział. Wahałem się dłuższą chwilę, ale w końcu uchyliłem jedno skrzydło i zajrzałem do środka.

Wyszedłem na zewnątrz parę minut później, niosąc ciężki pakunek – dywan owinięty był w skórę przewiązaną rzemieniem. Żołnierzowi na jego widok rozbłysły oczy.

– Rozpakuj go.

Pokręciłem głową.

– Mój nauczyciel prosił, by dopiero twój pan obejrzał go w całej okazałości.

Mężczyzna spojrzał na mnie, ale chyba bez większego zainteresowania – tajemnicze zawiniątko przyciągało jego wzrok jak śliczna niewiasta.

– A gdzie twój mistrz? – zainteresował się. – Gdzie Kahemini?

– Jest chory. Ciężko chory. Prosił cię, panie, byś mu wybaczył i przekazał swemu władcy...

Nie słuchał mnie. Wyciągnął dłoń po pakunek, po czym zza pasa dołu był nóż i, nim zdążyłem zareagować, rozciął skórę. W szparze pojawił się fragment materiału – plama misterne splecionych czerwonozłotych nici, które nawet w pochmurny dzień wyglądały, jakby zaklęto w nich promyk słońca.

Zbrojny przesunął palcem po powierzchni dywanu, a na jego ustach pojawił się uśmiech zadowolenia.

– Twój nauczyciel doskonale się spisał – powiedział, z westchnieniem żalu odrywając spojrzenie i dłoń od cudownego dzieła Kaheminiego. – Przekaż mu zapłatę i moje podziękowania.

Rzucił mi mieszek tak ciężki, że z trudem go złapałem. Dźwięcznie brzęknęły przesypujące się złote talenty.

Mężczyzna dał sygnał do odjazdu. Żołnierze, którzy korzystali z chwili wytchnienia, by napoić konie, karnie wrócili na siodła.

– Panie? – zatrzymałem go, czując, że to ostatnia okazja, by choć częściowo zaspokoić ciekawość. – Panie, kim jest twój władca? Sądząc po pięknie tego dywanu musi być kimś niezwykłym, niemal równym bogom.

Żołnierz skrzywił się na wzmiankę o bogach. Potem ujął lejce w dłonie i oznajmił:

– Mój, a także i twój władca, chłopcze, nosi miano Aleksandra III, króla Macedonii, Grecji, Persji, Górnego i Dolnego Egiptu oraz Baktrii, Fenicji i Lidii.

Później krzyknął jakiś rozkaz i odjechali. Zostałem sam na placu, z niesłychanym bogactwem w dłoniach i głową oraz sercem wypełnionymi czernią.

Po raz kolejny wspomniałem słowa mistrza, który mówił, że wygląd kobiertka kształtuje nie tylko jego twórcę, ale i ten, komu jest przeznaczony. Kim był ten Aleksander? Królem? Bogiem? Szaleńcem? Czy to możliwe, że swoim szaleństwem zaraził mojego nauczyciela?

Nie powiedziałem żołnierzowi, że w warsztacie mojego mistrza, oprócz starannie zawiniętego w skórę dywanu, znalazłem i samego Kaheminiego, dyndającego na zawiązanym wokół szyi konopnym sznurze.

Jego twarz po raz pierwszy od tygodni wyrażała autentyczny, niczym nie zmącony spokój.



Nie mogę zginąć! – pomyślał nagle Farid. Nie po to latami żyłem jak nędzarz, terminując u starych tkaczy nieudaczników, robiąc, co popadnie, byle odłożyć parę drachm i założyć własny warsztat. Nie po to wspiniałem się po stromych pałacowych ścianach albo skradałem korytarzami, unikając

strażników, stęskniony za Khandan, za spojrzeniem jej orzechowych oczu, za dotykiem jej ust... Nie po to pokonałem całą usłaną pułapkami drogę do tej krypty i zbezczeszcilem grób samego Raminiego, żeby teraz tu zdechnąć.

Nic z tego.

Więzy trzymały mocno, a chłopak nie miał niczego ostrego, żeby je przeciąć. Przez chwilę łudził się, że zwinne palce tkacza pozwołają mu rozplątać węzeł, ale ludzie Talumeniego dobrze się znali na swojej robocie. Mógłby spróbować rozedrzeć skórę o rzemień i liczyć na to, że krew pomoże mu wyślizgnąć się z pęt, ale zbyt długo by to trwało – szeleszczące głosy upiorów były coraz bliżej. Gdyby tylko miał trochę oliwy... Czemu, do wszystkich dewów, zarówno on, jak i Talumeni przyszli tu z pochodniami, a nie z kagankami?!

Nagła myśl sprawiła, że znieruchomiał.

Pochodnie.

To była jedyna szansa.

Podsunął się do rzuconego na posadzkę łuczywa. Nasączony smołą Iniany gałgan na końcu drzewca wciąż mocno płonął, pomarańczowe języki ognia chciwie lizały powietrze.

– Wielcy przodkowie – wyszeptał Farid. – Błagam, dodajcie mi sił.

Wciągnął głęboko powietrze, zaciągnął oczy z całych sił i wsunął krępujący mu dlonie węzeł w ogień. Na parę sekund zapadła cisza, słyszać było tylko skwierczenie rzemienia pieszczonego czerwonym dotykiem płomieni.

Później, kiedy w powietrzu rozniósł się swąd palonej skóry, Farid zaczął wrzeszczeć.



Mistrza Kaheminiego pochowaliśmy następnego dnia. Zgodnie ze zwyczajem panującym w naszej satrapii ciało spaliliśmy na pogrzebowym stosie, a następnie zebraliśmy prochy do glinianej urny. Zakopaliśmy ją na tyłach domu, a miejsce oznaczylismy kamieniem, na którym przez kolejne dwa dni rylem możliwie wyraźny (pierwszy raz miałem w rękach dłuto) wizerunek faravaharu.

Do końca życia zapamiętam zabarwiony mirrą zapach dymu i to, jak nierzeczywiste wydawało się, że ten cudowny, mądry, pełen życia człowiek skończył jako kilka garści popiołu w naczyniu. Zapamiętam ręce pokaleczone od dłuta i młotka oraz ciche łzy pani Salomei, kiedy kładła na urnie grudkę ziemi, żegnając w ten sposób ukochanego męża i sens swojego życia.

Istnieje wśród perskich rzemieślników pewien zwyczaj: gdy jego termin dobiegnie końca, uczeń otrzymuje od swego mistrza podarunek mający w przyszłości przynosić mu szczęście. Uczniowie kowalscy otrzymują zdobioną podkowę, garncarze garnuszek z najlepszej gliny, lutnicy niedużą, ale starannie wykonaną harfę. Taki dar ma symbolizować szacunek mistrza wobec ucznia, który staje się z tą chwilą pełnoprawnym rzemieślnikiem. Ma też stanowić przykazanie, które pozostanie w mocy nawet po śmierci nauczyciela. „Jestem dziełem sztuki” – zdaje się mówić taki przedmiot. „Jeśli tworzysz, czyń to tak, jak i mnie stworzono: z dbałością i miłością, z potu i łez, i krwi”.

200 *Zazwyczaj im cieplejsze relacje łączyły ucznia i nauczyciela, tym cenniejszy okazywał się ofiarowany przedmiot. Im misterniejsze było jego wykonanie, tym lepszą reputację zyskiwał uczeń u progu swej rzemieślniczej kariery.*

Kiedy w kilka dni po pogrzebie porządkowaliśmy z Irajem i Hormozem warsztat, znaleźliśmy w skrzyni list oraz trzy pakunki. Natychmiast pobiegliśmy do pani Salomei.

Nie wiem, czy Kahemini przewidywał swoją śmierć czy może już dawno przygotował dla nas podarki i później po prostu dołączył do nich list. Skreślił w nim tylko kilka słów: że dziękuje nam za cierpliwość, wytrwałość i serce włożone w nasze rzemiosło. Że praca z nami dawała mu radość i każdego dnia przypominała, jak cudowną rzeczą jest zwykły, szczery śmiech. Że ma nadzieję, że odnajdziemy w życiu swoją drogę i będziemy szczęśliwi.

Łzy napłynęły mi do oczu, słyszałem, że Iraj też pociągnął nosem.

Bogowie, jak mi brakowało mojego mistrza.

– Mój mąż nie żyje – oznał mi po chwili milczenia pani Salomea. Nie patrzyła na nas, ale na słowa na pergaminie, gładziła go palcami, jak dłoń ukochanego. – Nie ma sensu, żeby jego warsztat stał pusty i niszczał. Ten

z was, który otrzymał najpiękniejszy podarunek, będzie mógł go zająć i pracować w nim tak długo, jak zechce.

Zerknęła na mnie i poczułem, jak przesywa mnie dreszcz, który nie miał w sobie nic ze strachu czy podniecenia. To było coś zupełnie innego – jakbym czuł, że właśnie tej chwili linie losu splatają się w nowy wzór, jakby opiekuńczy duch złożył pocałunek na moim policzku.

Ani ja, ani pani Salomea nie mieliśmy wątpliwości, kogo mistrz cenił sobie najbardziej.

Iraj i Hormoz, jak przystało na bliźniaków, rozpakowali swoje podarunki równocześnie. Okazało się, że Kahemini przygotował dla nich dwa identyczne dywany: szerokie na łokieć i długie na dwa, ślicznie utkane, grube, miękkie, z doskonałych, drogich nici. Jedyną różnicą były kolory: szachownica na dywanie Iraja składała się z pól czerwonych i złotych, natomiast na kobiercu Hormoza – złotych i niebieskich. Widziałem po ich minach, że w życiu nie spodziewali się równie hojnych darów.

Zacząłem rozwijać swój pakunek powoli, z namaszczeniem, jak kapłan odprawiający rytuał. Skoro bliźniacy otrzymali tak wspaniałe prezenty, po swoim spodziewałem się prawdziwego cudu.

A jednak, kiedy rozwinałem mój dywan, poczułem się, jakby duch mojego mistrza mnie spoliczkował i zaśmiał mi się w twarz.

Kobierzec był idealnie biały, wykonany starannie, z przyzwoitych nici, ale jednak pozbawiony najdrobniejszego chociażby wzoru. Gdyby nie jego grubość i gęstość splotów, można by pomyśleć, że to podkład pod prawdziwe dzieło sztuki. Ale nie. Dywan był skończony.

Nikt nic nie powiedział, ale i nie trzeba było nic mówić. Otrzymać taki dywan, to jak zostać wykopanym za próg, skazanym na banicję, wymazanym z pamięci.

Cały mój świat zawalił się w ułamku sekundy, kiedy zrozumiałem, że człowiek, którego kochałem jak ojca, tak naprawdę mnie nienawidził.



Mahtab nie mogła spać. Wierciła się na posłaniu, przewracała z boku na bok i z rosącym niepokojem obserwowała przez okno, jak księżyc przesuwa się po nocnym niebie. Farid opuścił miasto dwa dni wcześniej. Gdyby wszystko poszło dobrze, powinien wrócić minionego wieczora. Nie wrócił ani on, ani Shabaz Talumeni, który – jak głosiła plotka – wyjechał również nagle, ze skromną świętą parą zaufanych ludzi.

Dziewczyna kochała się w Faridzie od pierwszej chwili, kiedy chłopak pojawił się w pałacu. To uczucie było od niej znacznie silniejsze – zasłoniło ją, zdominowało jej myśli, zniewoliło duszę, opanowało gesty. Jakby jakaś magiczna siła wzięła Mahtab we władanie. Przerażało ją to, ale i się jej podobało.

Teraz jednak odzywały się wyrzuty sumienia. Plan przedstawiony przez kucharza Armana nagle zaczął się jej wydawać niedorzeczny. Za dużo było w nim niewiadomych, za dużo wiary w sprzyjający los i dobrą wolę bogów. Co, jeśli Talumeni nie zdołał ubiec chłopaka i zaczęli walczyć o latający dywan? Wolała nawet nie brać takiej możliwości pod uwagę.

– Co ja najlepszego zrobiłam? – wyszeptała, siadając na posłaniu. Podsydana wszechobecną ciemnością wyobraźnia podpowiadała jej kolejne, coraz to bardziej mrożące krew w żyłach warianty tego, co mogło się stać.

Niespodziewanie dotarł do niej odgłos kroków: klaszczący dźwięk boszych stóp na kamiennej posadzce. Wzdrygnęła się, kiedy ciemna sylwetka pojawiła się w drzwiach jej pokoju.

Miała już zacząć krzyczeć, ale gdy postać się zbliżyła, Mahtab rozpoznała w niej swoją siostrę. Khandan weszła w kałużę księżycowego światła, przysiadła na posłaniu i przytuliła się do Mahtab, tak jak kiedyś obie tuliły się do matki.

Khandan płakała, ciepłe łzy ciekły jej po policzkach i brodzie.

Bogowie, bądźcie łaskawi – pomyślała z przerażeniem Mahtab. Minęły całe lata, od kiedy widziała swoją siostrę w takim stanie.

– Co się stało? – spytała łagodnie, gładząc ją po włosach. – Co się stało, siostrzyczko?

– Shabaz Talumeni – wykrztusiła po chwili Khandan. – Jezza właśnie mi powiedziała, że widziała się z jednym służącym Talumeniego. Wrócił dziś wieczorem. Przybył od strony Hasan Abad, a jego niewolnicy wspominali o latającym kobiercu, który przywiózł ze sobą.

– A Farid?

– Ani śladu. Powinien już dawno wrócić... Och, Mahtab, tak się boję. Myślę, że ten potwór, Talumeni, coś mu zrobił. Jestem tego pewna!

Bogowie, co ja zrobiłam? – powtórzyła w myślach młodsza córka satrapy. Ledwo sama zapanowała nad ogarniającym ją poczuciem beznadziei.

– Wszyscy słyszeli obwieszczenie ojca – dodała Khandan. – Jeśli Shabaz Talumeni naprawdę ma ten dywan, będę musiała za niego wyjść. Za człowieka, który nienawidzi mojego ojca; który ma w sobie więcej jadu niż żmija i mniej litości niż kot dręczący mysz. Zabiję się. Przysięgam, że odbiorę sobie życie, jeśli będę musiała go poślubić!

Przerażenie zmroziło Mahtab jak nagły powiew lodowatego wiatru pędzącego przez step w księżycową noc. Jak mogła być tak głupia i sądzić, że wyniknie z tego coś dobrego? Jak mogła być tak ślepa? Chciała Farida dla siebie – czy w ten sposób podpisała wyrok nie tylko na niego, ale i na swoją ukochaną siostrę?

– Już dobrze – powiedziała, naśladując głos matki ze swoich wspomnień. – Wszystko będzie dobrze, siostrzyczko. Wszystko się dobrze skończy. Zobaczysz, obiecuję ci. Wszystko będzie dobrze.

Długo siedziały w mroku, czerpiąc pociechę z czułych objęć i wspólnie wylewanych łez. W końcu rozpacz zmęczyła Khandan i dziewczyna ucichła, uspokoiła się, oparła głowę na ramieniu młodszej siostry. Chwilę później już spała.

Mahtab ostrożnie okryła ją lekką narztą i zaczęła się ubierać. Działała szybko, metodycznie, czując, że z wolna wypełnia ją zwierzęca wściekłość.

Popełniła błąd, potrafiła się do tego przed sobą przyznać. Ale jej ojciec, Teymour Talhin, satrapa największej prowincji Persji, zawsze powtarzał, że mało którego błędu nie można naprawić.

Tej nocy Mahtab postanowiła udowodnić, że jest córką swego ojca.

Chwilę później obudziła kucharza Armana i kazała mu zaprowadzić się potajemnie do domu Shabaza Talumeniego. Wzięła ze sobą lampę, duży zapas oliwy i skórzany mieszek pełen złotych monet.

Wierzyła święcie, że niewiele jest problemów, których nie rozwiążą pieniądze albo ogień.



Resztę dnia przesiedziałem na posłaniu, z oczyma wlepionymi w trzymany w dłoniach biały dywanik, ostatni podarunek od mojego mistrza. Nie bardzo dostrzegałem, co się wokół mnie dzieje – wiem, że pani Salomea coś mówiła, ale nie pamiętam słów. We wspomnieniach utkwił mi tylko przejmujący żal i poczucie winy tym dotkliwsze, że nie miałem pojęcia, co zrobiłem nie tak. Pilnie uczyłem się fachu, traktowałem mistrza i panią Salomeę z wdzięcznością i szacunkiem, pracowałem ciężko w warsztacie i wokół domu. Robilem wszystko, co do mnie należało, sprawniej, częściej i z większym wdziękiem niż Iraj i Hormoz. Wszyscy wiedzieliśmy, że jestem od nich lepszym tkaczem, dlatego dar od mistrza zaskoczył ich nie mniej niż mnie. Jestem pewien, że cieszyli się z odziedziczenia tak doskonale wyposażonego warsztatu, ale nie świętowali tego przesadnie. Szybko zresztą zniknęli, żeby powiadomić o wszystkim rodzinę.

Wyrwałem się z odrętwienia dopiero po zmroku. Przypominało to łagodne wybudzenie z głębokiego snu, tyle że oczy cały czas miały otwarte i wciąż siedziałem w tej samej pozycji, co parę godzin wcześniej. Zesztywniałem cały, nogi mi ścierpły. Kiedy dotarło do mnie więcej szczećgów, zauważylem, że stoi przede mną zapalona świeca, a obok niej talerz z kawałkiem sera i jabłkiem. Czułem głód, ale miałem wrażenie, że zwymiotuję, gdy tylko wezmę coś do ust. W efekcie zacząłem skubać ser, ale bardzo ostrożnie, bardziej jak szczur niż człowiek.

– On cię bardzo kochał – od progu odezwała się pani Salomea. Nie wiem, jak długo stała w mroku i mnie obserwowała.

– Trudno mi w to uwierzyć – mruknąłem. Odłożyłem resztkę sera na talerz. Jabłka nawet nie tknąłem.

Milczała przez moment, później podeszła bliżej. Zerknęła na nią i przeszło mi przez myśl, że mam przed sobą staruszkę, która w niczym nie przypomina tej zażywnej kobiety, która całymi latami zastępowała mi matkę. Pani Salomea szła lekko zgarbiona, do tego jakby powłoczyła nogami. Nawet w lichym świetle świecy widać było, jak wiele ma siwych włosów. Przysiągłybym, że jeszcze miesiąc wcześniej było ich znacznie mniej.

– Możesz zostać – powiedziała. – Iraj i Hormoz na pewno nie będą mieli nic przeciwko...

– Na pewno? – Parsknąłem złośliwym śmiechem. – Myślę, że doskonale sobie bez mnie poradzą.

– Jesteś zły i zawiedziony. Masz prawo tak się czuć. Mnie też zaskoczyło to... to, co się stało. Ale zastanów się, czy mój mąż kiedykolwiek wcześniej zawiódł twoje zaufanie? Może... może nie bez powodu przekazał ci taki dar... może to rodzaj wiadomości.

– Wiadomości?! – warknąłem, ściskając ten okropny dywanik w pobiegłych dloniach. – Jakiej wiadomości? Jeśli chciał mi coś powiedzieć, byłem tutaj! Zaraz obok! Wystarczyło... Wystarczyło powiedzieć, a zrobiłbym... zrobiłbym wszystko.

Głos mi się załamał, z oczu popłynęły łzy. Nie chciałem płakać przed panią Salomeą, ale to było silniejsze ode mnie. Upokorzenie, które czułem, wstrząsało mną jak gorączka, targało całym moim ciałem jak choroba prowadząca wprost do agonii.

– Dla niego zrobiłbym wszystko – wyszeptałem.

Chciałem umrzeć.

Coś musiało pęknąć nie tylko we mnie, ale też w pani Salomei. A może to wina podarunków, które otrzymaliśmy – świadectwa, że z dzieciństwa przestoczyliśmy się w mężczyzn. W każdym razie kobieta nie objęła mnie i nie pogładziła po włosach, choć w tej chwili potrzebowałem tego bardziej niż czegokolwiek innego.

– To zawsze będzie twój dom, Faridzie – powiedziała. – Tak długo, jak żyję. Później odeszła, a ja zostałem sam.

Tej nocy zabrałem biały dywan utkany przez mistrza Kaheminiego oraz cały swój śmieszny dobytek – parę sztuk wysłużonych ubrań, nożyk z rączką z cedrowego drewna, łyżkę i miskę, które kiedyś własnoręcznie wystrugałem – i opuściłem dom pani Salomei.

Szedłem szybko, jakbym się bał, że mogę zmienić zdanie, i nie oglądałem się za siebie.



– Naprawdę wierzysz w te bajki, mój drogi Teymourze?

Diadoch Seleukos, macedoński zwierzchnik nad perskimi satrapiami i jeden z następców Aleksandra Macedońskiego, półleżała na eleganckiej klinie o greckim kształcie i raczył się suszonymi daktylami zapijanymi winem z wąwozu Tang-e Bulaghi. Miał przymknięte oczy i rozleniwiony wyraz twarzy. Słońce nie grzało już tak mocno jak w południe i na złanym wodą pałacowym tarasie siedziało się wyjątkowo przyjemnie.

206

– Bajki, panie? – spytał satrapa.

Nie miał ochoty na rozmowę. Farid już dawno powinien był wrócić, ale nikt go nie widział. Dyskretnie wysłane patrole wróciły z pustymi rękami. Co gorsza, jeśli wierzyć plotkom, Shabaz Talumeni poprzedniego wieczora przybył do miasta, mając w posiadaniu legendarny latający dywan Ramina Tkacza. Gdyby te wieści okazały się prawdziwe, Teymour Talhin nie miałby wyboru – musiałby oddać Khandan w ręce tej żmii, Talumieniego.

Nic dziwnego, że się martwił.

– Mój drogi satrapo, zjechałem cały świat z armią mojego dawnego wodza i widziałem rzeczy, o jakich nie śniło się szaleńcom – odrzekł Seleukos. – Stawałem twarzą w twarz z cudami Egiptu, Babilonii czy Syrii... Słuchałem głosów wyroczni i widziałem, jak wielotysięczne armie rzucały się do ucieczki na sam dźwięk rogów, którymi oficerowie Aleksandra dawali sygnał do natarcia. Ale latający dywan... kawałek materiału, który jest w stanie unieść człowieka w powietrze... w to, za twoim pozwoleniem, satrapo, uwierzę dopiero, gdy ujrzę na własne oczy.

Diadoch był przed czterdziestką, miał muskularne, ogorzałe od słońca ciało żołnierza i irytującą manierę traktowania wszystkich z góry.

To jeszcze szczeniak, który nie ma pojęcia o sprawowaniu władzy – pomyślał satrapa. Nie minie pięć lat, a w jakimś starciu potknie mu się nogi i po tej jego przeklętej protekcyjonalności zostanie tylko krwawy ślad.

– Twoje prawo, panie – odparł Teymour Talhin. – Wierz mi jednak, że Persja kryje w sobie wiele tajemnic, których nie miałeś jeszcze okazji poznać.

– Może. A może wymyśliłeś taki fortel, aby twoja piękna córka została z tobą na zawsze i nie uciekła w objęcia jakiegoś kawalera? – Diadoch łyknął wina i uśmiechnął się szeroko. – Nie mam racji, przyjacielu?

Teymour Talhin nie zdążył odpowiedzieć. W drzwiach prowadzących na taras pojawiła się Khandan. Była blada, drobne dłonie zacisnęłały w piąstki. Oddała diadochowi należny mu poklon, po czym usiadła obok ojca.

– Boję się – wyszeptała mu do ucha.

Satrapa chciał jej powiedzieć, aby się nie martwiła, i zapewnić ją, że wszystko będzie dobrze, ale poprzestał na skinieniu głową.

Nigdy nie okłamywał ludzi, których kochał.

– Gdzie twoja siostra?

– Nie widziałam jej – odpowiedziała Khandan. – Mam po nią pójść?

– Zostań. Słońce wkrótce zacznie zachodzić. Jeśli Mahtab się nie zjawi, poślę po nią kogoś innego.

Sabejski służący zapowiedział Shabaza Talumeniego wraz z eskortą. Moment później bogacz pojawił się w drzwiach. Miał na sobie bogate szaty, wyszywane setkami klejnotów, które w promieniach czerwonego słońca przypominały rozjarzone węgle. O krok za nim trzymał się czterech potężnie zbudowanych niewolników, każdy z kuferkiem z kości słoniowej.

Ale ani śladu latającego dywanu – zauważył z ulgą satrapa.

– Cieszę się, widząc cię w dobrym zdrowiu, mój panie. – Talumeni powitał diadocha niskim ukłonem. Przez moment ignorował satrapę, po czym, jakby dopiero zdał sobie sprawę z jego obecności, pochylił głowę w geście powitania. – Witam i ciebie, szanowny gospodarzu.

Teymour Talhin nienawidził tego słodkiego, przymilnego tonu. „Twoje słowo jest dla mnie rozkazem” – mówił ten ton. Prawdę zdradzały tylko

zimne, gadzie oczy. „Gardzę tobą” – mówiły. „Gdybym mógł, zniszczyłbym cię, a wcześniej zdeptałbym wszystko, co jest ci bliskie i miłe”.

– Uczyniłeś mi zaszczyt, że postanowiłeś do nas dołączyć, przyjacielu – powiedział satrapa. Nazwanie Talumeniego przyjacielem sporo go kosztowało, ale w obecności diadocha musieli dbać o pozory. – Choć słyszałem plotki, że zamierzasz przybyć tu w nieco innej roli. Szczerze powiedziawszy, spodziewałem się, że lada moment wylądujesz na moim tarasie swoim latającym dywanem.

Twarz Shabaza Talumeniego na krótki moment wykrzywił wściekły grymas, w oczach błysnęły gniewne iskierki.

– Wierz lub nie, czcigodny satrapo, ale dywan, o którym mowa, faktycznie znajdował się w moim posiadaniu. Niefortunne zrządzenie losu sprawiło jednak, że w skrzydle mojego domu, w którym trzymałem ten cud, minionej nocy wybuchł pożar.

– To straszne! – wykrzyknął diadoch. – Mam nadzieję, że bogowie zachowali wszystkich twoich bliskich w dobrym zdrowiu? Nikomu nic się nie stało?

Jakich bliskich?! – zapytał w duchu satrapa. Przecież ten gad własną matkę by sprzedał za parę tanich świecidełek...

– Nikt nie ucierpiał – odparł kupiec. – Ale dywan... legendarny dywan Ramina Tkacza... przepadł. Na zawsze. Ostatni, jeśli się nie mylę, latający dywan...

Niewolnicy Talumeniego złożyli kuferki pod ścianą i stanęli w cieniu przy wejściu, obok służących diadocha i satrapy. Mężczyzna zajął przyńesioną mu leżankę i łyknął wina nalanego do oszronionego pucharu. W pałacowej piwnicy przez cały rok stał lód ze skrytych w wiecznym cieniu kotlin w głębi gór Zagros.

– Co z kolei sprawia, że inne pytanie ciśnie mi się na usta – podjął Talumeni. – Skoro nie ma więcej latających dywanów, mój drogi satrapo, jak zamierzasz wybrać kandydata na męża dla swojej ślicznej córki?

– Nie wątpię, że masz jakiś pomysł, jak ten problem rozwiązać, nieprawdaż, przyjacielu? – Jad w głosie Teymoura Talhina mógłby zawstydzić kobrę.

– Myślę, że skoro diadoch raczył nas zaszczycić swoją obecnością, wielkim błędem byłoby nie skorzystać z jego mądrości i dobrej rady w tak istotnej materii. O ile oczywiście nie prosilibyśmy o zbyt wiele...

Przeklęty, szczwany szaka!! – zawył w duchu satrapa. *Niech mnie wszystkie dewy, jeśli w tych kufrach nie przyniosły darów dla Seleukosa... Jest dość cwany, by manipulować diadochem jak szmacianą lalką... Ale co ja mogę zrobić?*

– Nie uprzedzajmy biegu wydarzeń – odparł Seleukos. Uśmiechał się szeroko, najwyraźniej mile połechtany pochlebstwami. – Słońce jeszcze nie zaszło. Może zjawi się jakiś śmiałek z zapomnianym przez bajarzy latającym kobiercem pod pachą?

Zapadło milczenie. Mężczyźni raczyli się winem i daktylami, regularnie donoszonymi przez służkę o zgrabnym ciele i twarzy okrytej purpurową chustą. Khandan nerwowo zerkała to ku wejściu na taras, to znów ku słońcu, wiszącemu coraz niżej nad horyzontem. Splotła drżące z przejęcia dłonie i wbiła wzrok w zroszone wodą kamienne płyty.

Bogowie – prosiła w duchu – *nie pozwólcie, by Faridowi stało się coś złego. Proszę was, błagam, zaklinam na wszelkie świętości. Jeśli taka wasza wola, zostanę żoną Shabaza Talumeniego. Tylko nie krzywdźcie mojego kochanego Farida...*

Czekała.

– Sądziłem, że twoja córka przyciągnie więcej śmiałków, satrapo – mrucnął Talumeni. – Chyba zresztą nie ja jeden. Idąc tutaj, musiałem przedrzeć się przez ciżbę ciekawskich... Po twoim oświadczeniu musieli spodziewać się niezłego widowiska.

– Sądziłeś, że jacyś biedacy rzucą się z mego tarasu na przyniesionym z domu kobiercu, łudząc się, że Mitra okaże się łaskawy?

– Przynajmniej coś by się działo. – Talumeni wzruszył ramionami.

Na powrót zapanowała cisza. Khandan słyszała głos tłumu, o którym mówił kupiec – tłuszczna zebrana na oddalonym o jakieś dwieście kroków placu szemrała i brzęczała na podobieństwo gniazda os. Czego się spodziewali? Odrobiny magii? Czy raczej szaleństwa pchającego desperatów w objęcia śmierci?

Słońce zniknęło do połowy za budynkami i Khandan pomyślała, że zaraz zwymiotuje albo się rozpłacze. Brakowało jej powietrza, czuła, że się dusi.

Nie każcie mi spędzać reszty życia z Shabazem Talumenim – prosiła. Ścisnęła dlonie tak mocno, że kostki jej pobielały. Czoło, mimo upału, pokrył jej lodowaty pot strachu.

Czemu nie ma tu Mahtab? Czemu nie ma Farida? Co mogło mu się stać? Czy zginął? A może uciekł? Nie, nie on, to niemożliwe. A może... Czy Talumeni go przekupił? Czy byłby w stanie to zrobić?

Ostatni skrawek słońca ukrył się za budynkiem, a z gardła Khandan wydostał się cichy jęk.

– Obawiam się, satrapo... – zaczął Talumeni, ale nie dane mu było skończyć.

– Farid zwany Tkaczem! – obwieścił gromkim głosem niewolnik, a Khandan poczuła, jak coś odbiera jej dech.

Chłopak pojawił się w drzwiach. Szedł wolno, nierównym krokiem, jakby każdy ruch sprawiał mu ból. Kiedy znalazł się na tarasie, zebrani mogli przyjrzeć się pokrytej purpurowymi sińcami twarzy oraz rozległym oparzeniom przedramion, nadgarstków i dloni.

Khandan chciała pobiec w jego kierunku, ale spojrzenie ojca zatrzymało ją na miejscu. Siedziała więc dalej u jego boku, trzęsła się cała i cicho popłakała.

Dziękowała miłośnemu Ahura Mazdzie, że oddał jej ukochanego.

Farid stanął na środku tarasu i bardzo powoli, sycząc z bólu, poklonił się diadochowi, satrapie, a na końcu i Talumeniemu.

Później, składając na ziemi przewieszone przez ramię zawiniątko, oznał:

– Teymourze Talhin, mój najdroższy panie, przychodzę prosić cię, byś zechciał dać mi swą cudowną córkę Khandan za żonę.

Rozwiązał rzemień trzymający pakunek i rozwinał przed gospodarem niewielki kobierzec, idealnie biały, pozbawiony jakichkolwiek wzorów. Następnie dodał:

– W zamian ofiaruję ci ten oto latający dywan.



Przez lata tułaczki, które nastąpiły po opuszczeniu przeze mnie wioski, zawsze miałem dywan od Kaheminiego przy sobie. Przyznam, że po cichu liczyłem na to, że pomyliłem się w ocenie mojego mistrza. Ile razy wspominałem dobre chwile, które spędziłem z Kaheminim, godziny wytężonej wspólnej pracy, zaczynałem wierzyć, że dywan, który otrzymałem, jest czymś więcej, niż na to wygląda. Byłem gotów przyjąć, że drzemie w nim magia.

Niejedną bezsenną noc spędziłem, oglądając go uważnie ze wszystkich stron. Przez wiele dni dumałem nad naturą zawartą w nim mocy i tym, w jaki sposób mógłbym ją wykorzystać.

Ile jednak bym nad nim nie siedział, nie byłem w stanie odkryć niczego nadzwyczajnego.

Pierwszy talent, jaki udało mi się zaoszczędzić po pół roku pracy u starego tkacza w Ekbatanie, wydałem na wizytę u rytownika. Sędziwy starzec przez blisko godzinę ściskał biały dywan w powykręcanych chorobą palcach, wąchał go i oglądał przez szkło okadzone w dymie ze świętego ognia.

Później orzekł, że biały dywan jest zupełnie zwyczajnym kawałkiem zupełnie zwyczajnej tkaniny, a mi pozostało bolesne rozgoryczenie i świadomość, że liczyć mogę tylko na siebie samego.



– To... ta szmata?! – krzyknął Talumeni. Wybuchnął śmiechem, ale nikt inny do niego nie dołączył, więc ucichł nagle. W wąskich szparach jego oczu rozbłysły wściekłe iskry. – No dalej, chłopcze, pokaż nam, jak ta szmatka wzbija się w powietrzu i frunie ku gwiazdom.

Farid nie patrzył na niego. Skierował swój wzrok na diadocha Seleukosa, uklonił się nisko po raz wtóry i spytał satrapę:

– Czy mam zaczynać, panie?

Teymour Talhin skinal głową, a Farid poprosił służbę o pomoc. Zgodnie z jego poleceniem, na środku tarasu stanął wysoki trójdzielny zwieńczony

płytką misą z łatwopalną oliwą. Korzystano z niego, gdy ktoś miał kaprys spędzić wyjątkowo chłodną noc na pałacowym tarasie.

Jeden ze służących podpalił oliwę w misie, a płomień urósł szybko. Ogień skwierczał, a pomarańczowe języki migotały na wzmagającym się wietrze jak kolorowe jedwabne szarfy. Farid tymczasem okrążył kilku-krotnie trójnog, powtarzając prośby o pomoc i łaskę kierowane do Ahura Mazdy, do Mitry, do Sorusza, boskiego syna.

– Toż to jakiś żart! – warknął Talumeni, odpędzając służebnicę w chacie, która chciała uzupełnić jego kielich. – Dość już modłów, leć, chłopce, leć!

Farid nic sobie nie robił ze słów bogacza. Włączał do swoich słów podziękowania za okazaną mu łaskę, przeprosiny za własną słabość. Modlił się i krążył wokół trójnogu, uważnie obserwując stan oliwy w misie i wzmagający się wiatr ciągnący znał pustego stepu.

Oczywiście, Talumeni miał rację, to był żart. To była teatralna sztuczka, bowiem Farid wcale nie wierzył, że bogowie go wysłuchają. Po prostu potrzebował zyskać na czasie.

Aż wypali się większość oliwy.

Aż wiatr zacznie naprawdę mocno wiać.

W końcu chwycił biały dywan, które całe lata wcześniej, wydawać by się mogło, że w innym życiu, otrzymał od swojego mistrza, tkacza Kaheminiego. Ujął go mocno i cisnął prosto w ogień buchający znał misy. Ktoś na tarasie krzyknął, ktoś inny głośno zaczerpnął powietrza. W granatowe niebo uniósł się słup gęstego dymu, a ognista paszcza zamknęła się wokół tkaniny, rozrosła na parę krótkich chwil, po czym osłabła, zmalała, przygasła.

Moment później zabrakło oliwy, płomień zniknął, a silny wiatr porwał resztki popiołu na wschód.

Farid chwycił za trójnog i przechylił go tak, by diadoch, satrapa oraz kupiec mogli obejrzeć pustą misę.

– Zgodnie z twoją prośbą, panie – chłopak zwrócił się do Teymoura Talhina – chciałeś, by dywan poleciął, i on pofrunął na skrzydłach wiatru.

Na tarasie zapadła cisza. Satrapa zerknął na twarz Seleukosa, ale dostrzegł w niej tylko uprzejme zdziwienie i niedowierzanie. Talumeni wydawał się równie zaskoczony. Teymour Talhin wiedział, że musi działać szybko, jeśli chce obrócić zuchwałość i spryt chłopaka w ich wspólne zwycięstwo.

Zaczął więc bić brawo, a Khandan natychmiast poszła w jego ślady. Po krótkim wahaniu dołączył do nich Seleukos, a Teymour Talhin pozwolił sobie na oddech ulgi.

– Należą ci się baty, mój chłopcze – oznajmił satrapa. – Wszak karą za podobne zuchwałstwo jest chłosta. Jednak pokazałeś nie tylko hart ducha, ale i mądrość, a te dwa przymioty czynią cię w moich oczach godnym mej...

– Szlachetny diadochu! – ryknął Talumeni. Mimo gęstniejącej ciemności widać było, że cały poczerwieniał od z trudem tłumionego gniewu. – Nie widzisz, co tu się wyprawia? Pozwolisz na to, by kobieta wspaniałego perskiego rodu związała się z pierwszym lepszym cwanym przybłędą?! Toż to człowiek bez nazwiska i godności, bez bogactwa i pozycji, bez obycia i... Idź precz, do wszystkich dewów! – wrzasnął, gdy służka, chcąc nalać mu wina, przypadkiem wylała zawartość dzbana na drogą szatę. Natychmiast spoliczkowała ją z całej siły, dziewczyna upadła na posadzkę tarasu. Krew z rozciętej wargi skapnęła na nagrzane kamienie, a jęk, który wydostał się z jej ust, nagle wydał się satrapie dziwnie znajomy.

Kochana, bystra Mahtab – pomyślał.

– I ty mówisz o obyciu i godności, Shabazie Talumeni?! – warknął, wstając gwałtownie. Kupiec od razu cofnął się o krok i niemal wywrócił o leżankę. – Ty, który masz czelność uderzyć córkę swojego gospodarza? Kobietę, która usługuje ci, choć to raczej ty powinieneś usługiwać jej?!

Gniew zniknął z twarzy Talumeniego, zastąpiło go czyste przerażenie. Wydawało się, że cała krew odpłynęła z jego oblicza, gdy uderzona służka wstała i zdjęła zbroczoną chustę.

– Pani Mahtab... – wymamrotał kupiec. – Ja nie wiedziałem... ja bym nigdy...

Popatrzył na diadocha, najpewniej szukając ratunku, ale Seleukos nawet nie zaszczycił go spojrzeniem. Władca łyknął wina i wcisnął do ust suszonego daktyla, wyraźnie zadowolony z obfitującego w niespodzianki wieczoru.

– Nieładnie się zachowałeś, przyjacielu – zauważył. – Wypada mieć nadzieję, że podarki, które przyniosłeś dla Khandan i jej wybranka – skiniął głową w stronę kufrów przytarganych przez służbę Talumeniego – ułagodzą naszego drogiego druha satrapę i sprawią, że znów połączy was prawdziwie braterska miłość.

Kupiec zaniemówił. Przez parę uderzeń serca jego usta drżały, jakby bogowie odebrali Talumieniemu dar mowy. Jego dłonie zacisnęły się w pięści, na czole pokazały się nabrzmiałe żyły, oczy rozjarzyły się... po czym zgasły.

Później Shabaz Talumeni ukłonił się krótko diadochowi i bez słowa opuścił taras, a jego niewolnicy pospieszyli za nim.

Pod ciemniejącym niebem zapadła cisza. Nawet niesiony wiatrem szmer zebranego nieopodal tłumu wydawał się słabszy, odleglejszy. Khandan odważyła się podejść do Farida i wzepiła się w niego czule, jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że tu jest.

– Ludzie będą niepocieszeni – zauważył Seleukos. – Spodziewali się latającego dywanu, a otrzymali parę kłębów dymu. Żadnego widowiska.

– Jakoś temu zaradzę, panie – odrzekł satrapa.

– Nieco wina powinno poprawić im humory. I oczywiście widok twojej pięknej Khandan wraz z ukochanym. Myślę, że doskonale by się prezentowali na moim rydwanie, nie uważasz, przyjacielu?

Satrapa nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– To wspaniały pomysł, panie, i niezwykle hojna propozycja – rzekł, pochyłając się w ukłonie.

Seleukos zbył to machnięciem dłoni i wstał z leżanki.

– Jestem już zmęczony, przyjacielu, a jutro o świcie muszę cię opuścić – oświadczył. – Udam się więc na spoczynek. Natomiast wam, moi mili – zwrócił się do Farida i Khandan – życzę wiele pomyślności. Niech bogowie otoczą was swoimi łaskami.

– Panie! – Chłopak zatrzymał diadocha. – Panie. Okazałeś nam łaskę, której nie oczekiwaliśmy. Na zawsze będziemy twoimi dłużnikami.

Potem chciał się ukłonić, ale mocne ręce władcy go powstrzymały.

– Nie jesteś moim dłużnikiem, Faridzie Tkaczu. Jesteś dłużnikiem satrapy, który przyjął cię pod swój dach, oraz jego pięknej córki, która obdarzyła cię miłością. Przede wszystkim jednak jesteś dłużnikiem tego, kto uczynił cię tym, kim jesteś, i dał ci wszystko, czego potrzebowałeś na tej krętej drodze. Chyba oboje wiemy, o kim mówię, prawda?

Farid drgnął nagle, a w jego oczach pojawiło się zrozumienie.

– To ty, panie – wyszeptał. – Ty byłeś tym żołnierzem, który przybył do mistrza Kaheminiego...

Seleukos nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko i na krótki moment położył dłoń na ramieniu chłopaka. Potem zniknął w pałacowych drzwiach.

Kiedy diadoch obudził się o świcie, gotów ruszyć w drogę powrotną do swej siedziby, w kącie komnaty czekał na niego zrolowany, legendarny dywan Ramina Tkacza. W powietrzu unosiła się słaba woń pigwy, która do końca życia miała Seleukosowi przypominać śliczne córki Teymoura Talhina.



Od śmierci mojego mistrza minęło wiele lat i wydaje mi się, że w końcu zaczynam rozumieć, co takiego chciał osiągnąć, dając mi ten biały dywan. Myślę, że życzył sobie, bym nie oglądał się na niego i na przeszłość. Chciał, żebyem przeszedł przez życie własną drogą. Krętą, wyboistą i pełną trudności, ale moją, tylko moją.

Odbierając mi wszystko, dał mi wolność wyboru. Wiarę w to, że nie ma rzeczy niemożliwych, ofiarował mi już znacznie wcześniej.

Dopiero teraz, kiedy jestem już dojrzałym mężczyzną, widzę, że tak naprawdę bardzo mnie kochał. Bardziej niż mogą to wyrazić słowa. Dlatego ja też już milknę i daję spokój słowom. Pochylam głowę i zamkniętam oczy.

Przypominam sobie Kaheminiego w jego warsztacie pośród różnokolorowych nici, nożyce, woreczków z pigmentem. Przypominam sobie wyraz

jego twarzy, gdy przesuwał dłonią po włóknach osnowy rozpiętych na krośnie. Przypominam sobie ton jego głosu, gdy wypowiadał moje imię.

Mój mistrz nie żyje od wielu lat, ale mam nadzieję, że Sorusz zabierze moje słowa i zaniesie je do Kaheminiego, tchnie mu je prosto do ucha swoim boskim szeptem. Nie proszę o wiele. Tylko trzy słowa, których nie zdążyłem wypowiedzieć, kiedy żył.

Dziękuję ci, ojcie.

ZABIJAJĄC PTAKI

Mieszkanie Oluchiego Okochy. Godzina 21:37.

217

Wlewam do ust kolejny kieliszek. Wódka powoli robi się letnia, wykrzywia mi twarz i pozostawia niesmak w ustach. Zaciągam się papierosem, jakby to mogło pomóc.

Nie pomaga.

Jest gorąco i duszno. Co jakiś czas ocieram wierzchem dłoni spocone czoło. W lustrze widzę twarz człowieka, któremu duchota przykleiła krótkie, smoliście czarne włosy do czaszki obciążniętej niewiele jaśniejszą skórą.

Próbuje zachować spokój, ale głos radiowego spikera nie pozwala zebrać myśli.

...kvityńska organizacja Gamera zapowiada, że nowe rozporządzenie rządu zaowocuje nasileniem ataków. Jak w liście do władz Koalicji napisał przedstawiciel Gamery Tore Gunnarsson, samobójcze ataki będą trwać tak długo, jak długo postulaty kvityńskiej mniejszości pozostaną bez odpowiedzi. Przypomnijmy, że do głównych żądań Gamery należą: ograniczenie produkcji energii elektrycznej o siedemdziesiąt procent, zmniejszenie

dotacji na rozwój nowych technologii oraz wydzielenie obszernych stref, w których zabronione byłoby korzystanie z technologii znajdujących się na kvityńskim indeksie. W ostatnim wystąpieniu Minister Spraw Wewnętrznych Koalicji Nkwado Osoni, określił postulaty Gamery jako niedorzeczne...

Rzygać się chce.

Wstaję, wyłączam radio. Przechadzam się po pokoju. Chciałbym znaleźć coś, czym mógłbym zająć myśli – coś obcego, intrygującego, niezwykłego – ale niczego takiego tu nie ma. Wszystko stare, znajome, nieciekawe. W szafkach ubrania, te same, co zawsze. Na stole wytarta legitymacja wydziału śledczego Armasecu. W lodówce mrożonki i piwo. Pistolet w kaburze przewieszonej przez oparcie krzesła równie znajomy, co własna parszywa gęba.

Ubrania, żarcie, spluwa. Wszystko. A mieszkam tu od trzech pieprzonych lat. Gdybym wtedy nie spuścił obrączki w hotelowej ubikacji, miałbym jeszcze ją: złotą pamiątkę jednej z wielu złych decyzji.

I to ma być życie?

218

Siadam, zapalam kolejnego papierosa, drżącą ręką napełniam kieliszek.

Myśli, które przez całe popołudnie i wieczór starałem się trzymać na uwiezi, nagle zaczynają ujadać jak zgraja wściekłych psów. Nie mam siły dłużej udawać.

– Dobrze – decyduję. Jest ze mną źle, gadam z gębą w lustrze. – Opowiem ci o niej. Opowiem o jedynej kobiecie, którą kiedykolwiek pokochałem.

O tej, która rzuciła mnie na kolana dwadzieścia trzy lata temu i której wspomnienie od tamtej pory nie pozwala mi się podnieść – dodaje w myślach.

– Opowiem ci o kobiecie, która jutro umrze.



Budynek Armasec. Tego samego dnia, godzina 10:16.

Korytarz, który pokonywałem wcześniej setki razy, teraz wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Pod nogami migły identyczne szare kafle, po bokach bliźniacze metalowe drzwi. Wszystko wokół wygłuszone do tego stopnia, że słychać tylko moje kroki i sapanie.

Abidemi Nwoso już na mnie czekał. Był w moim wieku, lecz pracował w Armasecu krócej, dopiero trzy lata. Do tego w innej komórce – był analitykiem, ja śledczym.

– Witaj, Oluchi. – Wyszedł mi na spotkanie, uścisnął dłoń. Jego oliwkowa skóra skontrastowana z grafitowym garniturem wydawała się ciemniejsza niż normalnie.

– Cześć, Abi. Dzięki za cynk. – Przesunąłem wzrokiem po drzwiach, próbując się domyśleć, gdzie ją znajdę. Cały drżałem, ale wcale nie byłem pewien, czy to objaw choroby. – Gdzie ona jest?

– Spokojnie, najpierw mnie posłuchaj. Słyszałem od chłopaków z oddziału, że prosiłeś o informacje o tej kobiecie. Dlaczego?

Ciekawski się znalazł. Ale miał rację. Gra, w której byliśmy pionkami, nie toczyła się o byle co. Chodziło o życie tysięcy niewinnych ludzi i należało zachować ostrożność.

– Znałem ją – odparłem. – Dawno temu, jeszcze jako dziecko. Chciałem... miałem nadzieję, że jakimś cudem dotrę do niej, zanim ją przekabacę.

– W takim razie daj sobie spokój. – Abidemi cofnął się o krok, splótł ręce na piersiach, popatrzył w bok. – Zatrzymano ją w sprawie próby przeniesienia mocy w miejscu publicznym. Chodziło o te wczorajsze anomalie na stacji Jazair. Przyznała się.

Zdrętwiałem, w ułamku sekundy zaschło mi w gardle. Nawet zamknięcie debilnie rozwartych ust kosztowało mnie sporo wysiłku.

– Muszę z nią porozmawiać – wydusiłem w końcu.

– Oluchi, gdyby się jej udało, mielibyśmy stację metra usłaną trupami.

– Wiem.

– A wiesz, że wczoraj na specjalnym posiedzeniu rządu przeszło rozporządzenie o przyspieszeniu postępowania i zastrzeleniu kar w sprawach o terroryzm magiczny? Parę godzin temu pismo spłynęło do dyrekcji.

O ile wcześniej czułem się kiepsko, o tyle teraz musiałem oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

– To rozporządzenie? – spytałem.

– Tak. Już po niej, Oluchi. Jutro rano zostanie wydany wyrok, a po południu ta kobieta umrze.

Zwymiotowałbym, gdybym miał czym. Sam nie wiem, jakim cudem ustałem na nogach.

– Muszę z nią porozmawiać, Abi.

Nie protestował dłużej. Podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Zamknął je, kiedy tylko przestąpiłem próg.

Siedziała przy stole. Ubrali ją w szary, drelichowy strój, ręce miały skrępowane – jak wszyscy przesłuchiwani Kvityni – bransoletami z uniemożliwiającego przepływ mocy niweretu. Była wysoka i szczupła; białe włosy, długie i proste, spływały po twarzy jasnej jak pergamin. Spojrzenie szarych oczu zatrzymało się na szerokim lustrze zajmującym większą część jednej ze ścian i to w nim musiała zobaczyć moje odbicie.

– Oluchi Okocha – wypowiedziała moje imię i jakaś idiotyczna część mnie fiknęła koziołka z radości. Pamiętała mnie. Nie wiem, jak to możliwe, ale pamiętała. – Nie spodziewałam się ciebie tutaj.



Osiedle Gunjon. Dwadzieścia trzy lata wcześniej.

To był potworny kiks. Gdybym chciał, nie udałoby mi się kopnąć piłki akurat na ten balkon.

Wszyscy znaliśmy to mieszkanie. Żyła tam jedyna w okolicy rodzina Kredziarzy, ludzi o białej skórze i srebrnych włosach. Moi rodzice

nazywali ich Kvitynami, ale my mówiliśmy Kredziarze – po pierwsze z powodu wyglądu, a po drugie, bo słyszeliśmy, że ich dzieci nie korzystają w swoich szkołach ze ścieralnych flamastrów, ale właśnie z kredy.

– Co teraz? – spytał Mkabi.

– Trzeba iść po piłkę – zauważył Nuadi. – Okocha ją kopnął, niech on pójdzie.

Sam się zdziwiłem, kiedy kiwnąłem głową i ruszyłem w stronę bramy czynszówki. Chidike zdążył zleźć z drzewa i przeciągnął mi drogę.

– Idziesz do czarowników? – spytał.

Znowu przytaknąłem, choć tym razem poszło mi trudniej.

– Mam iść z tobą?

Każda część jego ciała prosiła, żeby zaprzeczył, ale i tak byłem wdzięczny za propozycję. Szczył z tego Chidike i głupek, ale w gruncie rzeczy dobry kumpel.

– Nie ma potrzeby. Zaraz wrócę.

– Pamiętaj, żeby nie patrzyć im w oczy. Bo ukradną ci duszę i odtąd zawsze będziesz śnił tylko koszmary.

– Zaraz wrócę – powtórzyłem.

Naprawdę chciałem w to wierzyć.

Brama była otwarta, na klatce schodowej powitał mnie zapach gotowanej fasoli i pochrzynu smażonego na głębokim tłuszczu. Żwawo pokonałem drogę na półpiętro, resztę schodów już nieco wolniej. Pod właściwe drzwi zaszedłem powoli, z drżącymi nogami i strachem ściąskającym gardło.

W życiu się tak nie bałem.

Zgrzyt zamka sprawił, że niemal podskoczyłem. Przeszło mi przez myśl, żeby wziąć nogi za pas i zmykać, gdzie pieprz rośnie, ale zawsze miałem kiepski refleks. Zanim zdecydowałem się wprowadzić plan w życie, ona stała już w drzwiach i badała mnie swoimi szarymi oczyma.

Była mojego wzrostu. Skórę miała jasną jak mleko, ostre rysy, usta drobne i bladoróżowe. Białe włosy sięgały ramion. Była dziwnie ubrana – jej pozabawiona rękawów koszulka nie została wykonana z elastobawełny, tylko z jakiegoś sztywnego materiału, a na nogach miała skórzane

spodnie, podobne do tych, w jakich chodzili motocykliści, ale brązowe, poprzecierane, sznurowane po bokach.

– Tak? – spytała. Miała miękki głos, trochę inny niż nasze dziewczyny. Ładny.

Przełknąłem głośno ślinę. Powtarzałem sobie w myślach: poprosić o piłkę, podziękować, odejść. Poprosić o piłkę, podziękować, odejść. Poprosić...

– Nie ukradniesz mi duszy? – W moim pustym łbie zaskoczył jakiś tryb i pytanie wyleciało przez usta, zanim zdążyłem je powstrzymać.

Wyraźnie ją to rozbawiło.

– Oczywiście, że nie – zapewniła, chichocząc. – Nie wolno mi robić takich rzeczy.

Mimowolnie zarejestrowałem, że „nie wolno mi” to nie to samo, co „nie potrafię”.

– Pewnie przyszedłeś po piłkę. – Byłem równie skory do działania, co muł w trakcie drzemki, więc przejęła inicjatywę. – Widziałam was przez okno. Proszę, wejdź.

Wyglądała na osiem lat, ale, jeśli wierzyć opowieściom krążącym między chłopakami, mogła mieć i ze sto. Z Kredziarzami nigdy nic nie wiadomo. Stwierdziłem, że coś w tym musi być, bo nawet Nuadi nie używała słowa „proszę”, a był z nas najstarszy.

W mieszkaniu panowała przyjemny chłód. Pachniało orzeźwiająco – miętą, cytrusami i czymś jeszcze – a rolety z patyczków przypominających grube słomki chroniły przed oślepiającym słońcem. Jednak dopiero w salonie poczułem się, jakbym wkroczył do innego świata.

Wszystko wydawało się tam niezwykłe: regały pełne książek, adapter i stos winylowych płyt, różnokolorowe świece, zawieszony na ścianie patchwork zrobiony ze strzępów bodaj setki różnych tkanin. Intrygowały szklanki z grubego, mętnego szkła i naczynia z dziwnej połyskliwej glinki; fascynowały nieznane rośliny w dziesiątkach doniczek. Tysiące detali przyciągały wzrok i mimo że pokój był niewiele większy od mojej sypialni, miałem wrażenie, że mógłbym w nim spędzić całe miesiące, a i tak nie odkryłbym wszystkiego.

– Proszę – powiedziała dziewczyna, podając mi szklankę. – Nazywam się Rosamund, ale wszyscy mówią mi Rosa. Wszyscy to znaczy tato i wuj Fiore.

– Ja jestem Oluchi Okocha – odpowiedziałem. Poczekałem aż odwróci wzrok i powąchałem zawartość naczynia. Pachniało jak woda z syropem miętowym, ale, jak już mówiłem, z Kredziarzami niczego nie można być pewnym. Na wszelki wypadek upiłem mały łyk i czekałem na efekt. – A twoja mama? Jak ona na ciebie mówi?

– Nie mówi. – Rosa wzruszyła ramionami. – Nie żyje.

Łyknąłem porządnie, niemal błagając, żeby napój był zatruty. Wtedy nie musiałbym się czuć jak skończony dureń.

– To było dawno temu – dodała niespodziewanie. – Tak dawno, że już prawie nie pamiętam, jak wyglądała. To znaczy, mamy jej obrazki i w ogóle, ale to nie to samo, prawda?

– Obrazki?

– No wiesz. Takie na papierze. Żeby móc zawsze popatrzeć na kogoś, kogo się kocha.

– Aha. Zdjęcia.

Teraz to ona wyglądała na zagubioną. Ścisnęła drobne usteczka i położyła na nich palec w geście, który miał oznaczać zamyslenie. Wyglądała odrobinę głupio, ale też dziwnie uroczo. Mimika, gesty, głos... Wszystko w niej było niecodzienne i w pewien sposób piękne.

– Poczekaj chwilę – powiedziała i zniknęła z pokoju. Po krótkim wahaniu podszedłem do stosu płyt leżących obok adaptera. Nie był to może laserowy czytnik dysków, ale w tym pozbawionym techniki domu wydawał mi się czymś bliskim, zrozumiałym, jakimś wspólnym mianownikiem pomiędzy ludźmi takimi jak ja a tymi białośkórymi Kvitynami.

Wróciła, kiedy przeglądałem płyty. Przysiadała na podłodze obok mnie i pokazała mi dwa rysunki wykonane ołówkiem na pożółkłym papierze. Oprawione w proste drewniane ramki, z niezwykłą dbałością o detale ukazywały tę samą kobietę, najwyraźniej matkę Rosy.

– Lubię na nie patrzeć – powiedziała. – Czasami mam wrażenie, że ona też mi się z nich przygląda, ale tato mówi, że to niemożliwe.

– Są bardzo ładne – zapewniłem. – Znaleźliście dobrego rysownika.
– To mojego taty. Ale w Iringradzie wiele osób zrobiłoby to lepiej.
Mamy to we krwi.

Tym razem zniknęła bez słowa, ale i wróciła szybciej. Przyniosła ze sobą cały plik papierów, prawie wszystkie pokryte rysunkami wykonanymi ołówkiem, węglem czy atramentem. Przedstawiały najróżniejsze rzeczy: dłonie, kolce kaktusa, zachód słońca odbijający się w szybie samochodu.

Były świetne.

– To moje – wyjaśniła, leciutko się rumieniąc. – Dopiero się uczę.
– Są niesamowite. – W miarę jak przerzucałem kartki, mój podziw rósł. – Ja kompletnie nie umiem rysować. Jak sięgam po ołówek, papier sam mi ucieka spod ręki. Ostatnie jabłko, które narysowałem na lekcji plastiki, przypominało coś pomiędzy grzybem a tyłkiem hipopotama.

Parsknęła śmiechem. Ładnym, ładniejszym niż jakikolwiek inny, który znałem.

224

– To proste. Mogę cię nauczyć – zdecydowała.

Chyba zapomniałem o całym świecie, bo już byłem gotów skinąć głowę. Przerwał mi szczek klucza w zamku.

– Tato – rzuciła wyjaśniająco Rosa.

Nagle obleciał mnie strach. Co innego dziecko Kredziarzy, szczególnie dziewczyna, a co innego stary, krwiożerczy czarownik gotów ciaskać klatwami we wszystkie strony. Kto wie, jak zareaguje, widząc mnie w swoim domu?

– Ja już pójdę – bąknąłem do Rosy i rzuciłem się w stronę drzwi. Tak jakbym miał szansę jakimś cudem przecisnąć się niezauważenie.

Nie miałem. Zamiast tego prawie wpadłem na ojca Rosy.

– Och – powiedział na mój widok. Był tak samo blady jak ona i miał identyczne włosy: długie, proste, niemal idealnie białe.

Znieruchomiałem. Nie przychodziło mi do głowy nic, co pomogłoby mi pozostać przy życiu.

Tymczasem on wyciągnął do mnie dłoń.

– Witam. Nazywam się Andreas Rasmussen.

Z mojego gardła wydobył się tylko dziwny bulgot, tak przestraszony byłem. Spojrzałem błagalnie na klamkę i ojciec Rosy odpowiedział uśmiechem, po czym odsunął się na bok.

Bąknąłem coś jeszcze i wystrzeliłem z mieszkania, nie oglądając się za siebie. Gdyby goniła mnie zgraja szaleńców z siekierami, nie biegłbym szybciej.

Wyhamowałem dopiero na zewnątrz, kiedy z powrotem znalazłem się na pałacym słońcu. Chłopacy czekali na mnie pod drzewem, a sądząc po minach, mieli już za sobą pierwsze szkice planu odbicia mnie z niewoli. Wtedy też przypomniałem sobie o piłce.

Zamiast iść prosto do nich, skręciłem pod balkon Rasmussenów. W świetle dnia, pośród kurzu i spiekoty, czułem się o niebo pewniej. A kiedy tylko znalazłem się pod balkonem, otworzyły się drzwi i zobaczyłem Rose.

Stanęła przy barierce i wymieniliśmy spojrzenia. Jej było trudne do odczytania.

– Zapomniałem o piłce – krzyknąłem. – Podaj mi ją, dobrze?

Schyliła się po futbolówkę i obróciła ją w dłoniach. Później jeszcze raz popatrzyła mi w twarz i, z piłką pod pachą, skryła się w mieszkaniu.

225



Budynek Armasec. Godzina 10:24.

– Też się ciebie nie spodziewałem – odrzekłem, siadając naprzeciwko. Bardzo chciałem zapalić papierosa, ręce mi drżały. W końcu splótłem je pod blatem.

– Wyglądasz na zdenerwowanego – zauważyła.

– Ty jesteś spokojna za nas dwoje, co dość zaskakujące, wzującyszy pod uwagę okoliczności.

Odwróciła wzrok, wzruszyła ramionami.

– Nic nie poradzimy na to, kim się urodziliśmy – mruknęła. – Możemy tylko przeżyć nasze życie najlepiej, jak potrafimy.

Miałem wątpliwości, czy zabijanie niewinnych ludzi w niekontrolowanych eksplozjach magicznej energii można podciągnąć pod dobre przeżycie oferowanego nam czasu, ale nie wspomniałem o tym. W Rosie Rasmussen ciągle było coś, co sprawiało, że czułem się jak uczeń przed doświadczoną belferką.

– Kiedy? – spytała. Bezpośrednia jak dawniej. Pod tym względem się nie zmieniła.

– Jutro – odparłem cicho.

Nie histeryzowała, no ale przecież musiała znać stawkę. Wiedziała, że magiczny terroryzm nie kończy się laniem i wymuszoną obietnicą poprawy.

Westchnęła przeciągle i chyba tylko to zdradziło, że cokolwiek czuje.

– Czy tylko dla mnie wszystko nagle stało się bez znaczenia? – spytała, siląc się na uśmiech.

Milczałem. Długo. Nie istnieją słowa, które pasowałyby do takiej sytuacji. Poza tym myślałem o przeszłości.

226

Tak samo zresztą jak przez ostatnie dwadzieścia trzy lata.

– Wiesz, czemu wtedy nie oddałem was piłki? – odezwała się nagle i popatrzyła mi prosto w oczy.

Poczułem dreszcze na plecach. Czy dla niej te wspomnienia były równie ważne jak dla mnie? Czy to może kolejne szaleństwo Kvitynów? Jakaś koszmarna gra?

– Czemu? – zaryzykowałem pytanie.

Nie spodziewałem się, że odpowiedź złamie mi serce.

– Bo bardzo, ale to bardzo chciałem, żebyś wrócił.



Osiedle Gunjon. Dwadzieścia trzy lata wcześniej.

Wróciłem, choć kosztowało mnie to sporo nerwów. Jednak Rosa zapadała mi w pamięć do tego stopnia, że nie mogłem spać tej nocy – drzemiałem tylko niespokojnie, a wyobraźnia podsuwała mi coraz bardziej

surrealistyczne wizje. Koło siódmej z autentyczną ulgą odkryłem, że już świta.

Poszedłem do niej zaraz po śniadaniu. Zdecydowałem, że nie poddam się, choćby Andreas Rasmussen zamierzał napełnić mi płuca rozpalonym ołówkiem, choćby miał skraść mi duszę i zatruć umysł. Nie mogłem myśleć o niczym innym i wiedziałem, że i tak oszaleję, jeśli jej nie zobaczę.

Jej ojca nie było, a Rosa ucieszyła się na mój widok, choć starała się tego nazbyt nie okazywać. Początkowe onieśmielenie szybko zniknęło i już po chwili pograłyśmy się bez pamięci w rozmowie. Ona opowiadała o Iringradzie i innych miastach dalekiej północy, o życiu pośród Kvityńów, o wspomnieniach z dzieciństwa. Mówiła o matce i o ojcu, który, jak się okazało, pracował w naszym mieście jako tłumacz przy kvityńskiej ambasadzie. Ja rewanożowałem się opowieściami o tym, co dla niej było obce – o mojej szkole, o kolegach z sąsiedztwa, o lokalnej lidze kraftbalowej. Rosa puszczała mi swoje ulubione płyty, kazała wąchać egzotycznie woniejące kadzidła, pokazywała kolejne rośliny i nazywała je w dwóch językach: swoim i naszym. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że ja o jej mowie nie mam pojęcia. W efekcie popołudnie spędziliśmy, śmiejąc się do rozpuku – głównie z moich nieudolnych prób naśladowania kvityńskich słów. Uśmiech na jej twarz podobał mi się do tego stopnia, że czasami specjalnie przekręcałem wyrazy, żeby tylko ją rozbawić.

Nie zauważałem nawet, kiedy wrócił jej ojciec. Zaskoczył nas oboje, wslizgając się do pokoju z dwiema szklankami soku agrestowego i talerzem kanapek. Uśmiechnął się i kiwnął głową na powitanie, po czym wyszedł bez słowa. Widząc, jak ochoczo Rosa rzuciła się na jedzenie, też dałem się skusić. Wystarczył jeden łyk soku, żebym stwierdził, że ci Kredziarze nie są wcale tacy straszni, jak uważano.

To podczas jedzenia po raz pierwszy zwróciłem uwagę na bransoletki Rosy. Na obu nadgarstkach miała zawiązane rzemienie, a na nich zawieszone małeńkie ptasie czaszki.

- Fajne – oceniłem. – Z czego one są zrobione?
- To czaszki. – Zdziwiła się. – Z czego miałyby być zrobione?
- Chcesz powiedzieć, że to prawdziwe czaszki? Ptaków?

Skinęła głową.

– Ohyda – powiedziałem, ale nachyliłem głowę, żeby się im lepiej przyjrzeć. – Czemu ktoś miałby robić coś takiego ptakom?

– U nas się je zabija – odparła Rosa obojętnie, jakby stwierdzała coś oczywistego.

– Jak to: zabija? Zabijacie ptaki?! Wszystkie?

– Czasami, Oluchi, twoja niewiedza jest tak rażąca, że to aż przykre – powiedziała tonem podchwyconym od kogoś dorosłego. Z trudem powstrzymałem rechot cisnący się na usta. – Posłuchaj, co się zdarzyło dawno temu.



Ludzie byli kiedyś aniołami, panami świata. Wybrańcami Boga, którym służyły wszelkie inne stworzenia. Posiadali skrzydła i moc czynienia cudów. Nie mogła ich pokonać choroba, trucizna czy starość, wystarczyło bowiem, że wzbili się w powietrze i znaleźli bliżej Stwórcy, a uzdrawiała ich moc Najwyższego. Nie znali trosk, smutku, bólu i złości.

Ale pewnego dnia zawitał do nich kruk. I przemówił tymi słowami:

– Przybywam, żeby was ostrzec, albowiem latałem na wysokościach i przypadkiem słyszałem głos Boga. Pan jest niezadowolony, bo uczynił was swoimi wybrańcami, ofiarował wam ziemię, a wy zamiast z niej korzystać, zamiast uprawiać ją i pielęgnować, latacie z miejsca w miejsce, na podozenieństwo nas, poślednich istot, ptaków.

– Coż mamy czynić, kruku? – spytał jeden z ludzi.

– Pokażcie Panu, że nie jesteście jak inne stworzenia. Że zamiast tylko czerpać, potraficie także dawać, hodować, uprawiać, tworzyć. Zróbcie pożytek z daru Boga.

Uczynili, jak radził. Zaprzestali ciągłych podróży, osiedli na ziemi i sprawiли, że zaczęła rodzić im pożywienie. Tymczasem Bóg, opuszczony przez swoje dzieci, z dnia na dzień dotkliwiej cierpiał samotność na wysokościach. I nie minął tydzień, a i do niego zawędrował wysłannik ptasiego rodu. Był to ten sam czarny kruk.

– Cudowny stworzyłeś lud, o najwspanialszy Boże – oświadczył. – Zaprawdę, nie ma na świecie istoty, która mogłaby się równać z człowiekiem. Jego słowa mają czarodziejską moc, dlonie siłę godną niedźwiedzi, a nogi pozwalają ścigać się z wiatrem.

– Masz rację, kruku – odparł Stwórca. – Szkoda tylko, że te moje dzieci tak rzadko mnie odwiedzają.

– Musisz wiedzieć Panie, że mają do ciebie żal – skłamał wtedy kruk.

– Narzekają na skrzydła, które im dałeś, bo ciążą im potwornie i przeszkadzają w codziennych czynnościach. Gdybyś ujął im brzemienia, z pewnością pokochaliby cię bardziej.

– Ale jeśli odbiorę im skrzydła, jak zdolażą do mnie trafić? – zapytał Bóg.

– Jeśli odbierzesz im skrzydła, będą jedli tylko owoce ziemi, a każdy, kto je spożywa, przedzej czy później musi umrzeć. Po śmierci natomiast podążą do twojego królestwa i już zawsze będą z tobą. Nigdy więcej nie zagrozi ci samotność, a ich czeka wytchnienie i radość u boku Stwórcy.

I Bóg uczynił tak, jak radził kruk.

Tak oto ludzie stracili skrzydła i stali się poddanymi śmierci, a ptaki zostały panami przestworzy.



– Od tamtej pory raz w miesiącu odprawiamy rytuał zabijania ptaków – powiedziała Rosa. – Bierze w nim udział każdy, kto skończył siódmy rok życia. Zabijamy ptaki w akcie sprawiedliwej zemsty, bo podstępem odebrały nam wszystko, co kochaliśmy. Nie możemy już latać i, tak długo jak żyjemy, nie możemy oglądać oblicza Boga. Zabijamy je i będziemy zabijać dotąd, aż poczują nasz ból i zrozumieją nasz smutek.

Podniósł oczy i popatrzyła, ale nie na mnie. Zauważyłem, że jej ojciec stał w drzwiach i przysłuchiwał się uważnie, po czym skinął głowę z aprobatą.

– Póki nie poproszą Boga, by zwrócił nam skrzydła – dodał Andreas Rasmussen, a ja poczułem na karku dotknięcie chłodu.



Budynek Armasec. Godzina 10:35.

– Więc jak to jest z tobą? Ułożyłeś sobie wspaniałe życie? Kim ty właściwie jesteś, Oluchi?

– Śledczym. Pracuję dla Armasecu.

– Czyli jesteś jednym z tych, którzy nas zabijają – powiedziała. W jej głosie nie było ani śladu przygany i chyba dlatego poczułem się, jakbym dostał w twarz.

– To część prania mózgu, które wam serwują? – odparowałem ostrzej, niż zamierzałem. – Spójrz do gazet. To wy nas mordujecie. Wybuch magiczny na placu Świętego Szczepana? Trzysta ofiar. Kolejny, na dworcu w Ivergail? Dwieńście pięćdziesiąt trupów. I jeszcze jeden w kopalni w Al' Somet. Dwadzieścia ofiar plus sześćdziesiąt osób uwięzionych pod ziemią przez dziewięć dni. To my was zabijamy... czy raczej wy nas?

Milczała, patrząc mi w oczy. Drżenie jej ust uświadomiło mi potworną prawdę.

Nie było żadnego prania mózgu. Nie w jej przypadku.

– Są różne sposoby zabijania – odpowiedziała i odwróciła wzrok.



Osiedle Gunjon. Dwadzieścia trzy lata wcześniej.

Przez kolejny tydzień byłem w domu Rasmussenów stałym bywalcem. Spędzałem z Rosą znacznie więcej czasu niż z moimi dotychczasowymi kompanami, ale nie miałem z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Tego, jak się czułem w jej towarzystwie, nie sposób zwięzle opisać. Przy niej miałem wrażenie, jakbym nareszcie odnalazł swoje miejsce na ziemi. Godziny upływały błyskawicznie, a my karmiliśmy się swoją

obecnością – towarzystwem kompletnie odmiennego człowieka, ale i bliźniaczej duszy.

Zdarzały się chwile, że zapominałem, gdzie jestem, tak mi było dobrze.

Później nadszedł wieczór, kiedy Andreas Rasmussen wyszedł z domu, niezdarny taniec przy wesołych dźwiękach lutni i grzechotek, szum analogowej płyty, dlonie Rosy na moich ramionach, moje na jej biodrach, dwoje dzieci naśladowujących swoje wyobrażenia o dorosłości.

I ten jeden jedyny pocałunek. Wydaje mi się, jakbym wciąż pamiętała jego smak.

Tamtego wieczora przysiąglbym, że oddałem Rosie Rasmussen serce i duszę.

Kiedy jej ojciec wrócił do domu i powiedział, że następnego dnia wypada rytuał zabijania ptaków, odpowiedziałem, że tak, oczywiście, z przyjemnością pójdę razem z nimi.

Kolejnego wieczora Andreas Rasmussen zaprowadził mnie i Rosę do jednego z magazynów na wschodnim skraju miasta. Na miejsce do-tarliśmy nieco przed zachodem słońca, rytuał miał się rozpocząć tuż po zmroku. Rosa i jej ojciec przez cały czas zachowywali milczenie i powagę, więc uczyniłem to samo.

Wpuszczono nas do środka po tym, jak zapukaliśmy w charakterystyczny sposób. Drzwi zamknęły się zaraz za nami i otuliła nas ciemność pachnąca stęchlizną, kurzem i ptasimi odchodami. Wtedy też po raz pierwszy przekonałem się, że Kvityni są nazywani czarownikami nie bez powodu. Andreas Rasmussen wyszeptał parę niewyraźnych słów i z jego kciuka wyrósł płomień wysoki na kilka centymetrów. Z trudem powstrzymałem krzyk. Nie mogłem uwierzyć, że widzę prawdziwą magicę, ale Rosa nie pozwoliła mi się długo dziwić: chwyciła mnie pod ramię i pociągnęła w ślad za ojcem. Nie musiała, bo i tak za nic nie zostałem sam w mroku.

Z czegoś na kształt sieni czy przedsionka weszliśmy do głównej sali. Czekało tu na nas już całkiem sporo ludzi – byli to wyłącznie Kredziarze i na moment obleciał mnie strach. Bądź co bądź, byłem obcy. Zdałem sobie sprawę z tego, że gdyby zechcieli zrobić mi krzywdę, nikt by mi

nie pomógł. Nawet moi rodzice myśleli, że spędzam wieczór na grach planszowych u M kabiego.

Jednak większość Kvitynów zdawała się nie zauważać obcego i tylko kilku obdarzyło mnie przelotnym spojrzeniem. Znacznie większym zainteresowaniem cieszyły się ptaki.

Były różnych gatunków, poupychane po dwa, po trzy w około dwudziestu klatkach. Tylko kilka odzywało się i obijało o pręty; większość zachowywała ospały spokój i podejrzewała, że Kredziarze musieli im coś wcześniej podać. Pewnie w innym przypadku panowałby tu hałas niemożliwy do wytrymania.

Ojciec Rosy przez parę minut rozmawiał z różnymi ludźmi, po czym wszyscy dorośli, jak na rozkaz, zaczęli śpiewać. Nie rozumiałem słów; zdawało się zresztą, że było ich niewiele, pojawiały się głównie porozciągane do granic możliwości sylaby przechodzące bardzo wolno z jednego tonu na inny. Kojarzyło mi się to z puszczenym na zwolnionych obrotach śpiewem chóru, jednego z tych, co przyjeżdżały do miasta na świąteczne występy.

Stanęliśmy pod ścianą, gdzie czekało jeszcze kilka kvityńskich dzieci, ale Rosa do żadnego się nie odezwała. Zamiast tego przysunęła się bliżej mnie, tak że czułem zapach jej rumiankowego mydła.

– Uważaj teraz – powiedziała w pewnym momencie.

W sposobie śpiewania nic nie uległo zmianie, ale wokół mężczyzn pojawiło się coś na kształt srebrzystej poświaty. W pierwszej chwili uznałem to za przywidzenie, ale blask przybierał na sile, by moment później zacząć mienić się wszystkimi kolorami tęczy. W życiu nie widziałem niczego piękniejszego; stałem z otwartymi ustami jak sparaliżowany i nie odważyłem się nawet mrugnąć. Kiedy kilka minut później śpiew umilkł, a wraz z nim zniknęło magiczne światło, poczułem się, jakby na moich oczach ktoś właśnie umarł.

– Cudowne – wyszeptałem Rosie do ucha.

– Dawniej potrafiłyśmy znacznie więcej – odpowiedziała równie cicho.

– Ale tato mówił, że elektryczność i nowe technologie zastępują starą magię. Ludzie dokonują cudów za pomocą nauki, nie potrzebują naszej

mocy. Wierzą w liczby, a nie w ducha ziemi i tym samym go zabijają.
A kiedy on słabnie, my słabniemy wraz z nim.

„Oni i my” – mówiła. Nie miałem wątpliwości, że należę do tej pierwszej grupy.

A jednak przyprowadzili mnie tutaj.

Przyszła kolej na właściwą część rytuału. Rodzice zaprowadzili dzieci przed klatki, podobnie uczynił z nami ojciec Rosy. W naszej znalazły się trzy pospolite gołębie.

Andreas Rasmussen otworzył drzwiczki i wyciągnął z klatki pierwszego ptaka. Trzymał go pewnie, bez tkliwości, ale i z czymś na kształt szacunku. Nagle wykonał jeden błyskawiczny ruch, rozległ się dźwięk mający w sobie trochę z trzaśnięcia i trochę z mlaśnięcia, a gołąb spadł na ziemię. Już się nie poruszył.

Spokój i cisza, jakie temu towarzyszyły, sprawiły, że włosy mi się zjeżyły na karku.

Rosa sięgnęła do klatki bez oporów. Szybko wybrała ptaka, ale brakowało jej opanowania i doświadczenia ojca. Zanim skręciła gołębiowi łeb, zaciśnięła oczy z całych sił. Dopiero kiedy pierzaste ciało zwiotczało, odetchnęła z wyraźną ulgą.

Popatrzyli na mnie i poczułem, jak coś mi staje w gardle. Ostatni ptak dreptał wewnątrz klatki w tą i z powrotem, zbyt ogłupiali, żeby zrozumieć, co się dzieje. Był żywą istotą i nie miałem ochoty go zabijać, ale coś mi mówiło, że jeśli tego nie zrobię, drogi moja i Rosy rozejdą się na zawsze. A tego nie chciałem.

Włożyłem dłoń do klatki i chwyciłem ptaka. Byłem tak nieporadny i przestraszony, że zaraz mi się wyrwał i dziobnął mnie w kciuk. Złapałem go po raz drugi i już nie wpuściłem. Gruchał bez opamiętania, kiedy wyciągałem go na zewnątrz.

– Poradzisz sobie, Oluchi – powiedziała Rosa, kładąc mi dłoń na ramieniu. Podobał mi się jej dotyk. Podobało mi się to, że jej ojciec nie miał nic przeciwko.

Byłem gotowy. Ująłem gołębia tak, żeby zrobić to jednym sprawnym ruchem. Nie chciałem, by cierpiał.

Ptak przekrzywił główkę. Trudno było uwierzyć, że w jego szklistych oczkach czai się prawdziwe życie, takie samo jak we mnie czy w Rosie. Pod palcami czułem bicie maleńkiego serca.

– Poradzisz sobie, Oluchi – powiedziała.

Chciała, żebyem był taki jak ona.

Tyle że nie byłem. Nazywałem się Oluchi Okocha i byłem czarnoskórym chłopcem z Al-Khadar. Wychowali mnie ludzie, którzy kochali życie i nauczyli je szanować. Nie potrafiłem inaczej.

Kiedy tylko go wypuściłem, instynkt kazał gołębiowi wzbić się do lotu. Patrzyłem, jak rusza skrzydłami, unosi się w powietrzu i ginie w mroku zalegającym pod sufitem magazynu.

Rosa przywarła do mnie całym ciałem i oparła mi głowę na ramieniu. Jej ojciec przestał się uśmiechać i odwrócił wzrok. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, co to oznacza.

Nie wiedziałem, że czasami można się żegnać bez słów.



Budynek Armasec. Godzina 10:49.

– Jakiś czas temu dowiedziałem się, skąd wywodzi się ten wasz rytuał zabijania ptaków – odezwałem się po chwili milczenia.

– Tak?

– Tak. Każda legenda ma w sobie ziarno prawdy, ale przeważnie niewiele więcej. Wasza narodziła się na terenach dawnego Raleif, czyli obecnego Irengradu. Gleba była tam mało urodzajna i zboże siano płytko, więc ptaki z łatwością je wydziobywały. W efekcie powstał zwyczaj rytualnego zabijania ptaków, aby zmniejszyć ich populację i zapewnić większe szanse przeżycia ludziom. Później kapłani dorobili do tego odpowiednią otoczkię.

Sędziłem, że zrobię na niej wrażenie. Przeliczyłem się. Kiedy tylko skończyłem mówić, zwiesiła głowę i zapatrzyła się w ścianę.

– Teraz to i tak bez znaczenia – mrucnęła. – Nie zabijamy już ptaków.

– Nie?

– Nie. One zabrały nam skrzydła i nieśmiertelność. Wy i ten wasz postęp technologiczny... Odbieracie nam magię, nasz sens istnienia. Jesteśmy wilkami, a każecie nam żyć w domach. Jesteśmy rybami, a zmuszacie byśmy leżeli na piaszczystym brzegu i ginęli w promieniach słońca. Jesteśmy gwiazdami, a wypełniacie nocne niebo dymem z kominów.

Potrąsnęła głową.

– Teraz wy jesteście ptakami – powiedziała.



Osiedle Gujon. Dwadzieścia trzy lata wcześniej.

Rosa i jej ojciec opuścili nasze miasto następnego dnia. Wyjechali bez słowa pożegnania i, sądząc po zachowaniu ludzi z okolicy, nikt za nimi nie tesknił.

Tylko ja czułem się, jakby zabrali ze sobą kawałek mojej duszy.



Budynek Armasec. Godzina 10:59.

– Jak to będzie wyglądało? – zagadnęła, z trudem zachowując spokój.

– Przed południem stanieś przed trybunałem. Orzekną twoją winę. To pierwszy proces w zmienionym toku postępowania, na pewno będzie tam sporo różnych oficjeli i formalności trochę potrwają. Później zaprowadzą cię prosto do sali egzekucji. Tam podepną cię pod aparaturę, która wstrzyknie do żył truciznę. Nie poczujesz bólu. Po prostu zaśniesz.

Nie mogłem się zmusić, żeby spojrzeć jej w twarz. Nie chciałem pamiętać tej Rosy Rasmussen – anioła ze złamany skrzydłem, w kajdach i z policzkami mokrymi od łez. Podszedłem do drzwi, oparłem dłoń na klamce.

– Chciałabym, żebyś przy tym był. Żebym nie była sama. Wtedy nie będę się bać.

Moja eks nie miała racji, kiedy mówiła, że nie mam serca. Coś, czego się nie ma, nie może tak potwornie boleć.

– Będę – odparłem i wyszedłem.



Bar Timbuktu, Godzina 13:55.

Jak zwykle w porze lunchu w barze naprzeciwko wieżowca Armasec było dość tłoczno. Łopaty wiatraków zamiatały leniwie powietrze wypełnione zapachem humusu, syntetycznej guadalkali oraz smażonych na głębokim oleju pierożków z farszem z mielonej baraniny. Przede mną stała niemal nietknięta miseczka z lśniącymi od tłuszczu, wciąż gorącymi bananowymi chipsami i sosem chili. Nie miałem apetytu, popijałem za to słabe, jasne piwo i gapiłem się w ekran telewizora, na którym leciały skróty z weekendowych meczów ligi kraftballowej. Nie bardzo docierało do mnie, na co patrzę. Czułem się przeraźliwie zmęczony. Miałem ochotę po prostu siedzieć tutaj, pośród tych zapachów i gwaru ludzi, o krok od żaru słońca i zaduchu ulicy, i powoli upijać się tymi szczeniami z importu.

Wciąż miałem przed oczami jej twarz.

Nagle ktoś przecisnął się do baru, trącił mnie przypadkowo w ramię, podniósł głos, żeby zwrócić uwagę barmana:

– Hej, Ime! Dawaj czwórkę, człowiek.

– Po co?

– Po prostu zmień kanał, okej? No, dawaj.

Barman wzruszył ramionami, sięgnął po pilota. Ekran mrugnął i zamiast biegających po trójkątnym boisku młodzieńców w koszulkach polo, wyświetlił jakiś budynek, kłęby ciemnego dymu, migające światła karetek pogotowia, strugi wody sikające z armatek, jakieś kształty na noszach.

Pomyślałem, że to po prostu kolejny atak, jeszcze jeden akt terroryzmu ze strony pobratymców Rosy. Dopiłem duszkiem piwo, chciałem wstać i wyjść, ale wtedy coś zwróciło moją uwagę. Wokół widocznej na ekranie płonącej kamienicy zgromadziło się trochę ludzi, strażacy i policja starali się trzymać ich na dystans. Zmarszczyłem brwi, wpatrując się w ich powykrzywiane bólem blade twarze, w rwane z głów białe włosy, w łzy ciekające z szarych oczu.

To byli Kvityni. Kredziarze. Tym razem to oni byli ofiarami.

– Dopiekli skurwysynom! – Mężczyzna, który prosił o przełączenie kanału, zacisnął tryumfalnie pięść, jakby jego ulubiona drużyna właśnie zaliczyła rzut za pięć punktów. – Nareszcie odrobina pierdolonej sprawiedliwości!

W ciągu kolejnej minuty udało mi się wyłuskać dość szczegółów, żeby zrozumieć, co zaszło. Okazało się, że w kamienicy mieściła się kvityńska szkoła. Nieznani sprawcy ukradli dwa starebusy, po czym zatarasowali nimi oba wyjścia z budynku, a następnie zaczęli ciskać przez okna podpalone butelki z benzyną. Trzy pierwsze osoby, które próbowały wydostać się na zewnątrz, zostały zastrzelone, potem napastnicy uciekli. Na razie nieznana była ostateczna liczba ofiar, ale szkołę zdołało w końcu opuścić zaledwie sześć osób, podejrzewano więc, że cała reszta, dwieście więcej dzieci i troje nauczycieli, zginęło. Dziennikarz zauważył, niby mimochodem, że w trwającej od przeszło godziny akcji wziął udział tylko jeden wóz strażacki.

– O jeden za dużo – skomentował mężczyzna stojący koło mnie. Odpowiedział mu zgodny pomruk, a ktoś w głębi lokalu, kto najwyraźniej wlał w siebie o parę kolejek za dużo, krzyknął:

– Won z naszego miasta, białe ścierwa! Bo inaczej to dopiero początek.

Z zaskoczeniem stwierdziłem, że zamiast go uciszyć, co niektórzy zaczęli bić mu brawo i klepać go po plecach. Ktoś inny zawałał:

– Chcieliście wojny, blade mordy, to macie! Macie waszą pieprzoną wojnę!

Obejrzałem się na niego. Zwyczajny facet, z brzuchem, w tanich okularach. Jeszcze przed momentem siedział pewnie cicho i pałaszował swoje sorgo z gulaszem warzywnym. Przyszło mi do głowy, żeby mu przypomnieć, że na każdego terrorystę przypada pewnie z tysiąc pokojowo nastawionych, sprzeciwiających się przemocy Kvitynów, ale wszyscy już gadali jeden przez drugiego i w barze panował taki szum, że pewnie i tak by mnie nie usłyszał.

Wróciłem spojrzeniem do telewizora. Kamera pokazała kilkuletnią dziewczynkę, zapłakaną i przerażoną, z bielutką twarzycką umazaną sadzą, ściskaną przez ludzi, którzy zapewne byli jej rodzicami.

Zatrzasnęło mną na jej widok, tak bardzo przypominała małą Rosę.

– Nie bój się, nie bój – oznajmił głośno jakiś facet po mojej lewej, z kufllem w garści i oczyma utkwionymi w ekranie. – Co się odwlecze, to nie uciecze, ty mała glisto.

Popatrzyłem na niego z odrażą.

– To tylko dziecko.

– Ta – odburknął. – Dziecko Kredziarzy. Gorzej niż zadżumiony szczur. Takie jak ona powinni zaraz po urodzeniu zamykać w...

Zareagoowałem bez namysłu: najpierw grzmotnąłłem go w brzuch, potem chwyciłem za włosy i wyrżnąłłem jego twarzą o kontuar. Chrupnęło obrzydliwie i facet zjechał bez czucia na podłogę, zostawiając na gładkim blacie krwawy ślad. Kilka osób najbliżej mnie natychmiast się odsunęło.

– Co ty robisz, facet?!

– Miłośnik pieprzonych Kredziarzy się znalazł!

Dwóch najbardziej krewkich bywalców lokalu rzuciło się na mnie. Pierwszego posłałem na ziemię dwoma szybkimi ciosami: kopniak pod kolano, później uderzenie w twarz. Drugi dopadł do mnie, jakby zamierał się bawić w zapasy. Oberwał w nerki, potem zarobił z czoła prosto w nos, wycofał się z jękiem, zażawionymi oczyma i krwawymi glutami spływającymi po brodzie. Zanim znaleźli się kolejni chętni, wyszarpnąłem z kieszeni legitymację Armasecu i sięgnąłem po broń.

Wszyscy znieruchomili, w barze zapadła cisza. Patrzyłem na nich, oni spoglądali na mnie. W telewizji wciąż pokazywano materiał dotyczący

zamachu na szkołę i śmierci blisko dwudziestu dzieci, ale w otaczających mnie twarzach nie dostrzegałem ani śladu współczucia, żalu czy niedowierzania.

– Powinieneś nas bronić – powiedział ktoś, celując we mnie palcem.
– Za to ci płacą. My ci za to płacimy!

– To jest wojna, człowiekowi – rzucił ktoś inny.

Staliśmy i patrzyliśmy na siebie nawzajem. Nie rozumiałem tego, co się dzieje w ich głowach. Oni zapewne nie rozumieli, co dzieje się w mojej, skoro stoję tu bezczynnie, podczas gdy do spalenia jest jeszcze tyle kvityńskich szkół, szpitali i świątyń.

– Kurwa mać – wychrypiałem, po czym zacząłem przeciskać się przez tłum w kierunku wyjścia.

Moment później byłem już w łazience na parterze budynku Armasec. Stałem przed umywalką i raz po raz obmywał twarz. Skóra mi płonęła, czułem się, jakbym próbował zgasić ognisko za pomocą szklanki wody. W końcu zakręciłem kran i uniosłem wzrok, popatrzyłem w lustro.

Zobaczyłem twarz ludząco podobną do tych w barze, należących do ludzi cieszących się z przelanej kvityńskiej krwi, nawet jeśli była to krew dzieci. Brzydziłem się jej, odpychało mnie na myśl o tym, co się kryło za tymi oczami. A jednak patrzyłem w swoje odbicie, patrzyłem i szukałem, z uporem maniaka wyłapywałem pojedyncze, trudne do uchwycenia detale. Te drobiazgi, które nie zmieniły się przez te wszystkie lata i wciąż pozwalały rozpoznać we mnie chłopca, który niefortunnie kopnął piłkę na balkon Kredziarzy, a potem oddał swoje serce Rosie Rasmussen.

Kusiło mnie, żeby odwrócić wzrok, żeby uciec w bok spojrzeniem i myślami, ale nie zrobiłem tego. Celowo gapiłem się w swoją twarz, na to, co zrobiły ze mną lata szkół, małżeństwa, pracy w Armasecu. Z każdą upływającą sekundą coraz bardziej docierał do mnie bezsens mojego życia. Przegrane małżeństwo, które i tak od pierwszego do ostatniego dnia było fikcją i ułudą. Zjadająca nerwy praca, której nienawidziłem. Brak rodziny i prawdziwych przyjaciół. Brak perspektyw. Brak marzeń, za to całe mnóstwo strachów i demonów przypominających o sobie

w najmniej pożądany momencie. I świadomość, że jedyna osoba, na której mi kiedykolwiek naprawdę zależało, za kilkanaście godzin miała przestać żyć.

Pomyślałem, że mogę jeszcze wyjechać, zniknąć. Zacząć gdzieś inziej, wmówić samemu siebie, że jeszcze czeka mnie w życiu coś dobrego. Uciec. Sęk w tym, że już raz uciekłem, dwadzieścia trzy lata temu, uciekłem przed nieznanym. I wszystko spieprzyłem.

Patrzyłem na tę na wpół obłą twarz w lustrze i powoli dochodziłem do wniosku, że należy ona do kogoś, kto nie ma już ochoty uciekać.



Mieszkanie Oluchiego Okochy. Godzina 4:13.

240

Budzę się zdrętwiały, wciąż siedzę na krześle. W głowie mi szumi od alkoholu, w ustach tkwi niedopałek. Flaszka na stole jest opróżniona do połowy, jej pusta siostra bliźniaczka leży pod nocną szafką.

Wstaję, z trudem trzymam pion. Włączam radio. Czwarta w nocy to ziemia niczyja pomiędzy wieczorem a porankiem i nie zapuszczają się na nią żadne audycje. W efekcie wita mnie szum odbiornika, ale nawet on jest lepszy od tej paskudnej ciszy.

Wlewam w siebie kolejny kieliszek ciepłej już wódki i siadam na łóżku. Nie bez trudu wyciągam spod niego zamykaną na szyfr stalową skrzyneczkę i rozprawiam się z zamkiem. W pojemniku czekają dwa granaty – element standardowego wyposażenia agentów polowych walczących z magicznym terroryzmem. Ostrożnie odkładam je na stół, za to do ust pakuję kolejny kieliszek alkoholu.

Dwa granaty. W rękach kogoś, kto wie, jak się z nimi obchodzić, to potężna broń. Z pewnością wystarczy na salę pełną ludzi w garniturach. Ludzi takich jak ja, którzy uczynili Rosę Rasmussen tym, kim jest.

Zakręcam butelkę i kieruję się w stronę łazienki. Muszę się umyć, odpowiednio ubrać. Przygotować.

Tym razem wszystko będzie tak, jak trzeba, Rosa. Tym razem cię nie zawiodę. Nigdy więcej cię nie zawiodę. Nareszcie będziemy razem. Ty i ja. Nareszcie naprawdę razem...

Zabijając ptaki.



KSIEGA STRACHU

KOSZMAR Z YELLAND

*Yelland, hrabstwo Devon, Anglia
Październik 1929*

Stary oliwkowy daimler wspiął się na wzniесienie i stanął u wrót klasztoru. Spod maski dobiegły zgrzyt, silnik zgasł, ale drzwiczki pozostały zamknięte. Krople deszczu raz po raz rozbijały się o przednią szybę samochodu.

Evelyn Carmichael pochyliła się nad kierownicą i przesunęła wzrokiem po ciemnoszarych ścianach budowli. Zazwyczaj widok surowych murów i okien o ostrzych zwieńczeniach ją uspokajał. Tym razem było inaczej. Krzywiące się gargulce, mrok zalegający pod podcieniami, huk wody zza klasztoru, gdzie morze ścierało się z rzeką – to wszystko budziło w niej niepokój.

To wina biskupa – pomyślała, sięgając po parasol. W głowie wciąż słyszała jego głos, stary i chropowaty jak średniowieczny mur.

– Dyskrecja, panno Carmichael – mówił mężczyzna przez telefon takim tonem, jakby zwracał się do uczennicy szkoły podstawowej, a nie wykwalifikowanej policjantki. – Niepotrzebne nam skandale i plotki. Nie skorzystamy na tym ani my, ani Stolica Apostolska. Takie rzeczy się zdarzają i tak trzeba to potraktować. Wierzę, że mnie pani rozumie.

Nie rozumiała go. Nie miała pojęcia, czemu biskup tak bardzo chce zatuszować całą sprawę.

Wysiadła z samochodu, rozkładając nad sobą parasol. Szybko dała za wygraną – wiatr szarpał jej ręką, smagał chłodem i wilgocią. Parasol wyładował z powrotem w aucie, a Evelyn zapięła płaszcz po szyję i ruszyła wzdłuż zachodniej ściany klasztoru.

Nieznajomego dostrzegła z daleka. Siedział na kamieniu, jednym z wielu otoczonych wrzosami i janowcem. Nosił się na czarno, przez co w pierwszej chwili wzięła go za lekarza. Był wysoki i szczupły, a nad postawionego kołnierza wyglądała twarz o ostrych rysach. Krucze włosy kleiły mu się do czoła.

Nie zwrócił na nią uwagi, gdy podeszła bliżej. Krople deszczu spływały mu po policzkach i nosie, a płaszcz lśnił od wilgoci – nieznajomy musiał tu siedzieć już od dłuższego czasu. Spojrzenie miał nieruchome, wyprane z emocji; wydawało się, że nie zwraca uwagi na deszcz, że nie czuje przeszywającego chłodu.

– Dzień dobry – oznajmiła Evelyn, podchodząc bliżej.

Przekrącił głowę w jej stronę. Jego wzrok na moment skoncentrował się na kobiecie, ale wyraz twarzy się nie zmienił. Ledwo dostrzegalnie skinął jej głową, po czym wrócił do gapienia się w mur.

Dziwak – pomyślała.

Wyciągnęła z torby notes i kuląc się nad papierem, żeby osłonić go przed deszczem, zaczęła zapisywać informacje, których potrzebowała do raportu. Starannie obejrzała miejsce upadku, zmierzyła wzrokiem okna na wyższej z dwóch kondygnacji klasztoru, pociągnęła miarkę od miejsca oznaczonego paroma wetknietymi w ziemię patykami aż do ściany budynku. Co parę chwil zerkała na nieznajomego, ale ten ani drgnął.

W końcu nie wytrzymała.

– Proszę pana – odezwała się. Przeniósł na nią spojrzenie powoli, jakby odrywała go od czegoś ważnego. – Czy mogę panu jakoś pomóc?

Przyjrzał się jej uważnie, ale też z pewnym zdziwieniem, jakby była pierwszą kobietą, która w jego obecności pokazała, że potrafi mówić. Później odparł:

– Nie.

Nie dziwak, tylko zwyczajny cham – stwierdziła. Ewentualnie wariat.

Nagle była zła na niego, na deszcz i wiatr, na komendanta, który kazał jej zająć się sprawą z Yelland i biskupa, który dawał jej do zrozumienia, że w sprawie z Yelland nie ma się czym zajmować. Prychnęła pod nosem, otarła twarz, mimo kapelusza, mokrą od deszczu. Zajęła się ponownie opisywaniem miejsca wypadku. W końcu po to tu przyjechała. Mimo wszystko obcy nie dawał jej spokoju, przyciągał wzrok i myśli. Kim był i co robił, siedząc w taką pogodę przed klasztorem kartuzów?

– Policja sądzi, że on spadł? – odezwała się niespodziewanie mężczyzna. Mówił z amerykańskim akcentem.

– Ja jestem z policji – odparła.

– Wiem. Dlatego panią pytam.

Jego swobodny, impertynencki ton sprawił, że Evelyn naraz poczuła w środku liźnięcie gorąca. Złość.

– Kim pan jest? – zapytała stanowczo, chowając notes do kieszeni.

– Salomon Gunn – odrzekł nieznajomy, po czym wskazał na miejsce, gdzie poprzedniego dnia znaleziono martwego zakonnika. – Gabriel Bennet był moim kuzynem.

Złość zgasła. Evelyn poczuła, że mimo deszczu i chłodnego powietrza zaczyna się rumienić.

– Przykro mi. Jestem konstabl Evelyn Carmichael.

Skinął głową, wciąż patrząc jej w oczy. Po chwili zrozumiała, że dalej czeka na odpowiedź.

– Tak, sądzimy, że spadł – potwierdziła.

– I zabił się, spadając z... – uniósł wzrok ku linii okien, zmrużył oczy – ...sześciu metrów?

– Skręcił kark – odpowiedziała. Nie podobała jej się ta rozmowa. Nie tak powinien zachowywać się kuzyn w żałobie.

– A krew? – dopytywał się Gunn. – Zanim zaczęło padać, było tutaj sporo krwi.

– Żebra pękły przy upadku. Jedno przebiło płuco, dwa inne skórę – odpowiedziała. Normalnie podarowałaby sobie drastyczne szczegóły, ale ten człowiek budził w niej dziwne instynkty.

– Wie pani, że w przypadku skręcenia karku serce przestaje pracować w ciągu kilku sekund?

Zawahała się, poświęciła mu długie, badawcze spojrzenie. Może pierwsze skojarzenie z lekarzem nie było wcale takie nietrafione jak sądziła.

– Mówił pan, że kim jest z zawodu, panie Gunn?

– Nie mówiłem.

Stwierdziła, że ma go serdecznie dość. Tej jego typowo amerykańskiej impertynencji i obcesowości.

Ale to nie to cię najbardziej irytuje, droga Evelyn. Najbardziej drażni cię fakt, że on zadaje właściwe pytania. Pytania, które to ty powinnaś zadawać. Pytania, które być może zadawałabyś, gdyby nie telefon od jego eminencji Andrew Tarta.

Z rozmyślań wyrwał ją dźwięk dzwonu. Parę ptaków poderwało się z dachu, jakby starały się zagłuszyć bicie krakaniem i skrzekiem.

– Jeśli się nie mylę, to koniec modłów – mruknął Salomon. Wstał i wygładził płaszcz. – Jestem umówiony na rozmowę z przeorem. Może pójdzie pani ze mną? Przeor na pewno się ucieczy, widząc, że policja traktuje tę sprawę poważnie.

Evelyn przemilczała odpowiedź. Szyderstwo w słowach obcego było tymboleśniejsze, że przerażająco trafne.

Ruszyli w stronę bramy. Towarzyszyło im ostatnie wybrzmiewające uderzenie klasztornego dzwonu oraz chrzest żwiru pod butami.

– Pan nie jest stąd, prawda?

– Nie. Mieszkam w Bostonie. Po tej mniej cywilizowanej stronie Atlantyku.

– Jeśli wolno spytać, co pan tu w takim razie robi?

– Przyjechałem z wizytą. Wygląda na to, że spóźnioną.

Wrota otworzył im tęgi zakonnik w szarym habicie. Przez moment gapił się na nich oczami pozbawionymi wyrazu. Evelyn poczuła się nieswojo, patrząc w jego oczy, w ciemne punkciki żrenic otoczone tarczami zażółconych białek. Mężczyzna nie mrugał, nie poruszał się i kobiecie nagle przyszła do głowy absurdalna myśl, że stoi twarzą w twarz z trupem.

Wtedy zakonnik odsunął się na bok, pozwalając im przejść. Jego towarzysz, znacznie chudszy, ale równie milczący, skinął im powoli głową i nakazał gestem, by szli za nim.

Znaleźli się na dziedzińcu, w większej części zagospodarowanym pod uprawę ziół i warzyw. Deszcz sprawiał, że ziemia wydawała się czarna i tłusta. Tu i ówdzie stali pojedynczy zakonnicy, ale jeśli czymś się wcześniej zajmowali, to teraz zaprzestali pracy, by przyjrzeć się przybyszom. Wszyscy wyglądały podobnie: nieruchomi, w habitach ociekających wodą, o twarzach obojętnych i dziwnie miękkich, jak dotkniętych porażeniem nerwów. Tylko ich oczy poruszały się, śledziły każdy krok pary intruzów.

Dopiero kiedy skryli się w budynku i zniknęły im z oczu, Evelyn zdała sobie sprawę z tego, że przez cały ten czas wstrzymywała oddech.

Co się ze mną dzieje? – zdziwiła się.

Minęły jeźście do piwnic i wspięły się po kamiennych schodkach do skrzydła mieszkalnego, stanowiącego zachodnią część całego kompleksu. Przeciwną, wschodnią, była wyraźnie nadgryziona zębem czasu kaplica – pęknięcia pieły się po ścianach budowli niczym dziki bluszcz, a dach przypominał płaszcz włóczęgi: łatany czym się dało i jak się dało.

Wnętrze skrzydła mieszkalnego prezentowało się nieco lepiej, choć również ascetycznie. Na kamiennych posadzkach brakowało dywanów, wiatr wdzierał się przez pojedyncze pozbawione szyb okna i nieszczelne drzwi. Ściany gdzieniegdzie przyozdobiono wytartymi gobelinami lub miernej jakości płaskorzeźbami. Dwa malowidła, które rzuciły się kobiecie w oczy, mogły przedstawać jakąkolwiek wartość wyłącznie dla kogoś głęboko wierzącego – koślawe, niezdarnie namalowane sylwetki świętych na nią działały odpychająco, budziły podświadomy niepokój.

Zakonnik zaprowadził ich przed proste drewniane drzwi o żelaznych okuciach, podobne do wielu innych, które mijali. Skinął głową w geście pożegnania i odszedł w swoją stronę.

Na pukanie odpowiedziało im szczęknięcie klamki oraz ciche skrzypnięcie zawiasów.

W środku czekał chudy mężczyzna, na oko pięćdziesięcioletni, o wysokim czole i krzaczastych brwiach. Grdyka skakała mu przy przełykaniu

śliny, a na dloniach wystajacych z ciemnoszarych rękawów možna było policzyć wszystkie żyły. Długie palce zaciskały się raz po raz na sznurze, którym habit przewiązany był w pasie, i przesuwały węzeł to w prawo, to w lewo.

Arthur Godwill, bo tak się przedstawił, powitał ich cichym głosem i wskazał dwa krzesła ustawione przed sosnowym biurkiem. Sam zajął miejsce po drugiej stronie.

– To prawdziwa tragedia – rzekł, zwracając się do Salomona. – Gabriel był wspaniałym człowiekiem. Bardzo wrażliwym. Bardzo oddanym Bogu. Proszę przyjąć moje najszczersze kondolencje.

– Dziękuję – odparł mężczyzna. Rozglądał się po pomieszczeniu i wyraźnie nie kwapił się do rozmowy. Zupełnie jakby przyszedł tu w towarzystwie Evelyn, a nie na odwrot.

– Jakieś postępy, panno Carmichael? – spytał przeor Godwill, przenosząc na nią spojrzenie piwnych oczu. Jeśli nawet mężczyzna próbował udawać, że niczego nie jest świadomy, zdradził go ślad dobrotliwego uśmiechu, zdradził go ton człowieka znajacego odpowiedź.

Wie – pomyślała Evelyn. Wie o telefonie od biskupa.

– Sprawa wydaje się dość jasna – odparła po chwili wahania. – Jedyną niewiadomą pozostaje: dlaczego? Co sprawia, że zakonnik nagle decyduje się skończyć ze sobą, skacząc z okna?

– Kto zna ścieżki, którymi podąża ludzki umysł? – Przeor wzruszył ramionami. – Jak pani sama wczoraj widziała, brat Bennet nie zostawił w celi żadnego listu... niczego, co mogłoby nam pomóc. Pozostaje nam modlić się za niego i prosić Boga o zbawienie jego duszy. Bardzo przepraszam, ale czy mogę państwu jeszcze w jakiś sposób pomóc?

Evelyn spojrzała na Gunna, ale ten pokręcił głową. Wstali z miejsc, uścisnęli kolejno dłoń przeora i ruszyli do wyjścia. Dopiero w progu Salomon obrócił się w stronę Godwilla i spytał:

– Co się z nim stanie? Gabriel nie miał w Anglii rodziny, wszyscy żyją w Stanach. Czy będzie można go... – Urwał, jakby sam nie wiedział, co chce powiedzieć. Wzruszył ramionami i Evelyn pomyślała, że może pomyliła się w jego ocenie. Tutaj, w gabinecie przeora, wydawał się po

prostu młodym człowiekiem oszołomionym przez niespodziewane, tragiczne zdarzenia. W końcu każdy na swój własny sposób radzi sobie ze stratą, a on dopiero co dowiedział się, że kuzyn, do którego przybył w odwiedziny, popełnił samobójstwo. Do tego wychował się w dalekim kraju... Nic dziwnego, że zachowywał się dziwnie.

– Brat Bennet zostanie pochowany na cmentarzu klasztornym. Taka tradycja panuje w naszym zakonie – oznał uroczyście przeor, kładąc Gunnowi dłoń na ramieniu. Salomon wymruczał podziękowania, kiwnął głową i wraz z Evelyn opuścili gabinet. Ruszyli w stronę wyjścia.

Przeszli zaledwie kilkanaście kroków, gdy z jednej z cel wypadł młody zakonnik o ciemnej cerze i południowej urodzie. Potrącił Salomona, ale też podtrzymał, nim mężczyzna zdążył się przewrócić. Poklepał go po ramieniu w przepraszającym geście i już wolniejszym krokiem ruszył korytarzem. Gunn spoglądał za nim aż do momentu, gdy ten zniknął mu z oczu.

Chwilę później wydostali się na chłodny wiatr i deszcz. Zakonnicy ponownie przerwali swoje zajęcia, znieruchomili, zapatrzyli się na nich oczyma wypranymi z emocji. Evelyn zawsze wyobrażała sobie, że miejsca takie jak to pełne są pogodnych, dobroliwych staruszków, jednak trudno było jej sobie wyobrazić, żeby ktoreś z tych ściągniętych, bladych ust ułożyły się w uśmiech.

Nie miała pojęcia, dlaczego to miejsce tak na nią działa, ale odetchnęła z ulgą, gdy znaleźli się na zewnątrz, a klasztorne wrota zatrzasnęły się za nimi.

– Gdzie się pan zatrzymał, panie Gunn? – zapytała.

– W Yelland. W pensjonacie Yelland Terrace.

– Wiem, gdzie to jest. Podwiozę pana.

Gunn kiwnął głową. Choć nie poprosiła go o to, uniósł klapę nad silnika i zakręcił kilka razy korbą. Widać było, że nie pierwszy raz ma do czynienia z samochodem. Daimler zakrzucił się dwa razy, później ryknął przeciągle i wreszcie ożył. Salomon usadowił się na miejscu pasażera obok Evelyn i patrzył przez okno, kiedy odjeżdżali spod klasztoru. Zsunęli się ze wznesienia i ruszyli kamienistą dróżką do Yelland.

Pod żółtym budynekczkiem Yelland Terrace zatrzymali się parę minut później. Na całą wioskę składało się kilkadziesiąt podobnych domków, nierzadko do pary ze stajnią, oborą lub szopą. Salomon wysiadł i stanął przy okienku po stronie kierowcy.

– Długo zamierza pan u nas zabawić, panie Gunn?

– Tak długo, aż dowiem się, co tu się naprawdę wydarzyło – odparł.

Poczuła, jak włoski jeżą jej się na karku. W jego twarzy znowu dostrzegła ten sam nieustępeliwy chłód, co wcześniej. Po uległym, zagubionym młodzieńcu z gabinetu przeora nie pozostał żaden ślad.

– Takie rzeczy się zdarzają – odparła ostrożnie Evelyn. – Po prostu trzeba się z tym pogodzić.

Gunn parskanął niewesołym śmiechem.

– Ja w to nie wierzę i pani też nie – rzekł. – Nawet przeor w to nie wierzy.

– Godwill? Czemu pan tak sądzi?

– A od kiedy katolicy grzebią samobójców wraz z innymi? – Odsunął się od drzwiczek i pozdrowił ją skinieniem głowy. – Dziękuję za powitzenie, panno Carmichael.

Później zniknął w drzwiach Yelland Terrace, a ona ruszyła na wschód w kierunku posterunku w Barnstaple. Jechała powoli, z trudem skupiając rozbiegane myśli na prowadzeniu samochodu.



Salomon wszedł do pokoju, który zajmował w Yelland Terrace – małej klitki o wytapetowanych ścianach i wszędobylskim zapachu stęchlizny. Rzucił płaszcz na skraj łóżka i usiadł na krześle. Pod płaszcem miał marynarkę z czarnego tweedu, z jej wewnętrznej kieszeni wyciągnął portfel. Trzymał w nim telegram, który otrzymał prawie miesiąc wcześniej, w Bostonie. W rubryce poświęconej nadawcy widniało nazwisko Gabriela Bennett. Treść, którą teraz obejrzał po raz bodaj setny, zawierała się w jednej linijce:

***W kartuzji dzieje się coś złego STOP Boję się o życie STOP Pomóż,
jeśli możesz STOP***

Gunn złożył starannie telegram i wsunął z powrotem do portfela. Oparł łokcie na kolanach, twarz schował w dłoniach.

– Przepraszam, Gabe – wyszeptał. – Jeden dzień. Jeden cholerny dzień.

Po jakimś czasie podniósł się, chwycił płaszcz i powiesił go na wbitym w drzwi gwoździu. Przeciągnął dlonią po mokrym materiale i nieoczekiwanie natrafił na coś dziwnego. Sięgnął do kieszeni i znalazł złożoną we czworo kartkę papieru. Był pewien, że nie widział jej wcześniej i nie miał pojęcia kiedy...

To ten młody zakonnik – pomyślał. Celowo na mnie wpadł, żeby wsunąć mi to do kieszeni.

Salomon stanął przy oknie, żeby mieć więcej światła.

Panie Gunn,

brat Gabriel prosił, bym Pana oczekivał. Jeśli chce się Pan dowiedzieć, co go spotkało, proszę przyjść do klasztoru na godzinę przed świtem – pozostali będą wtedy na modlach. Na tyłach, od strony rzeki, jest furtka. Zostawię ją otwartą, tamtedy dostanie się Pan do środka. Nikt nie może Pana zobaczyć. Drzwi mojej celi pozna Pan po zapachu kamfy.

Proszę spalić tę wiadomość.

Przeczytał liścik kilka razy, jakby chciał zapamiętać każde słowo. Później sięgnął po zapałki i pozwolił, by ogień pożarł papier. Sczerniałe płatki lądowały jeden za drugim w popielniczce. Moment później z wiadomości została tylko kupka popiołu.

Gunn przesiedział prawie godzinę zapatrzony w okno. Z dużym trudem mógł zebrać myśli, z jeszcze większym powstrzymywał się przed ponownymi odwiedzinami w klasztorze. Wiedział, że nic by nie dały.

Wyszedł na obiad. Gdy pół godziny później wrócił do pokoju, nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie jadł. Pamiętał tylko, że zapłacił ćwierć funta.

Wciąż padało. Salomon zdjął buty, położył się na łóżku i nakrył pościelą. Nie przeszło mu nawet przez myśl, żeby się rozebrać.



Budził się co godzinę, półtorej, za każdym razem spoglądając z niepokojem na zegarek. Sen miał pełen niewyraźnych wizji i czas spędzony w łóżku nie oferował wytchnienia. Wstał przed piątą, kiedy do świtu pozostały ponad dwie godziny.

Nie chciał budzić mieszkańców Yelland Terrace, rozpalając piec, umył się więc w misie pełnej lodowatej wody. Chłód oderwał go od ponurych rozważań i przywrócił trzeźwość myślenia. Gunn zszedł do kuchni i napił się kawy. W końcu zdecydował, że stracił już dość czasu. Zarzucił płaszcz na ramiona i ruszył do drzwi. Za progiem przywitał go śpiący deszcz, chłodny wiatr i ciemność przeradzająca się w wolna w szarówkę.

Szedł drogą, którą poprzedniego dnia pokonał z Evelyn. Po obu stronach mijał pola pozbawione drzew, gdzieniegdzie tylko naznaczone kępami samosiewnych krzewów. Zwalista bryła klasztoru majaczyła w oddali, doskonale widoczna z każdego miejsca we wsi. Minął kwadrans i Gunn znalazł się pod murami.

Wydawało mu się, że ze środka dobiera przytłumiony szum głosów. Do świtu została jeszcze ponad godzina, więc mogli to być równie dobrze zakonnicy witający modłami nadchodzący dzień, jak i jego własna wyobraźnia. Ruszył wzdłuż ściany ku rzece i wspomnianej przez zakonnika furtce.

Od północy tylko jakieś pięćdziesiąt kroków dzieliło klasztorne mury od skarpy. Urwisko było skaliste, ale niewysokie, nie więcej niż dziesięć metrów, a o tej porze dnia rzeka w dole sunęła spokojnie. Gunn wiedział, że za parę godzin przypływ zacznie w tym miejscu ścierać się z jej nurtem, by na kilka krótkich chwil zatamować bieg i wypełnić koryto szumem ścierających się wodnych mas i hukiem fal bijących o skarpę. Rzeka miała w tym miejscu prawie pół kilometra szerokości i Salomon nie był w stanie dojrzeć drugiego brzegu: pół pełnych kałuż i mułu.

Furtkę odnalazł bez większych trudności. Dostał się do środka, a potem zasunął za sobą skobel i pospieszył do skrzydła mieszkalnego. W obrębie murów wiatr i deszcz nie hałasowały tak mocno jak na zewnątrz, Gunn mógł się więc upewnić, że z kaplicy faktycznie dobiegają głosy kartuzów. O ile jednak spodziewał się usłyszeć nastrojowy, bogaty w wyższe tony chorał gregoriański, śpiew, który do niego dotarł, zdawał się raczej powtarzalnym, posępnym pomrukiem. Mężczyźnie przyszło do głowy, że może słyszy pieśni o charakterze żałobnym, że akurat trafił na obrzędy pogrzebowe swojego kuzyna.

W części mieszkalnej panowała ciemność i choć Salomon znalażł zaraz przy wejściu świece, bał się, że mogłyby zdradzić jego obecność. Kierował się więc wspomnieniami, na wszelki wypadek sunął dlonią po ścianie. Szedł powoli, ale wreszcie dotarł do schodów, po czym wspiął się na piętro. Tu już było łatwiej: przez nieszczelne okna wpadał do środka nie tylko deszcz i chód, ale i nieco słabego światła. Gunn odnalazł korytarz, na którym poprzedniego dnia potrącił go młody zakonnik, i ruszył wzduż szeregu identycznych drzwi. Zatrzymał się, gdy tylko dotarł do niego zapach kamfory, a potem upewnił się, przy której celi jest on najsilniejszy.

Zapukał i w tej samej chwili mu otworzono. Widziany poprzedniego dnia smagły zakonnik wciągnął go do pokoju i natychmiast przekręcił klucz w drzwiach. Później usiadł na łóżku i przyjrzał się Gunnowi. Raz po raz oblizywał wargi, a w dłoniach ściskał różaniec o paciorekach z jasnego drewna.

– Jestem Salomon – powiedział Gunn, instynktownie zniżając głos do szeptu. – Gabriel był moim kuzynem.

Zakonnik skinął głową, posłał spojrzenie w kierunku wejścia, po czym podszedł do stolika. Miał na nim parę kartek papieru oraz pióro i atrament.

Gdy pisał, Salomon rozejrzał się po celi. Ta była urządiona bardzo skromnie. Na wyposażenie składały się łóżko, stoliczek, krzesło oraz szafa. W kącie pokoju, na taborecie, stała misa z wodą; obok, na podłodze, ceramiczny dzban. Wejścia strzegły zawieszony nad drzwiami drewniany krucyfiks.

Zakonnik podał Gunnowi kartkę papieru drżącą ręką. Salomon poatrzył mu w twarz, w miękkie rysy i oczy o długich, dziewczęcych rzęsach. Chłopak nie miał więcej niż dwadzieścia lat i bez wątpienia był wystraszony, ale w jego spojrzeniu obecny był jakiś upór, zdradzający siłę charakteru. Gunn spojrzał na kartkę, na której widniało kilka słów:

Przysiągłem milczenie Bogu i nie złamię dla Ciebie mojej obietnicy.

Salomon skinał głową. Zakonnik raz jeszcze pochylił się nad papierem i napisał:

Jestem brat Frederico. Przyjaźniłem się z bratem Gabrielem. Przykro mi z powodu Twojej straty.

– Dziękuję – odparł Gunn. – Powiedz mi, co tu się dzieje.

Zakonnik pisał dłużej, kilka razy zatrzymywał się, jakby szukał właściwego słowa. Salomon przypomniał sobie, że ma do czynienia nie z Anglikiem, ale z kimś z południa. Oceniał, że Frederico musiał w dzieciństwie odebrać bardzo dobre wykształcenie, bo po angielsku pisał bezbłędnie. Potem przyjął od niego kartkę i zaczął czytać:

Nie wiem. Gabriel coś odkrył, ale nie chciał zdradzić, co takiego. Od pewnego czasu był zdenerwowany, później chyba przestraszony. Nie pojawiał się na modlach, chociaż wiem, że nie chorował. Ja dzisiaj uczyniłem to samo.

Gdy Salomon przeczytał ostatnie zdanie, Frederico dotknął palcem nosa. Zapach kamfory wypełniał cały pokój.

– Kto zabił Gabriela? – spytał Gunn.

Zakonnik nie musiał nic pisać, wzruszył tylko ramionami i pokręcił głową. Jednak nie zaprzeczał, nie wydawał się też zaskoczony sugestią, że śmierć Gabriela nie była samobójstwem. Gunn poczuł znajome ciążenie w brzuchu – coś, do czego zdążył się przyzwyczaić w ciągu kilku ostatnich lat. Mieszanka podniecenia i strachu. Świadomość, że trafił na trop.

– Czy Gabriel kazał ci przekazać mi jakąś informację?

Znowu przeczący gest.

– Po co w takim razie mnie tu ściągnąłeś? – spytał Gunn. Frederico pochylił się raz jeszcze nad papierem. Salomon widział, że chłopak cały drży.

Myślałam, że Gabriel sam mógł zostawić ci jakąś wskazówkę. Był pewien, że się zjawisz.

– Gdzie?

W swojej celi.

– To bez sensu – odparł Salomon. – Policja zbadała jego celę i nic tam nie znaleźli. Inaczej... – urwał i raz jeszcze powiodł wzrokiem po komnatce Frederika. Nagle zrozumiał. – Nie pokazali policji jego pokoju, prawda? – domyślił się. – Zaprowadzili tę całą Evelyn do jakiegoś innego pomieszczenia. Do izby innego zakonnika.

Frederico pokwał głową. Jego oczy były lekko zaszkalone, jakby lada moment miał zacząć płakać.

– To oznacza, że przeor i pozostali coś ukrywają.

Zakonnik raz jeszcze skinął głową. Tym razem z ociąganiem.

– Która cela należała do Gabriela?

Drugie drzwi na prawo od moich. Błagam, pospiesz się. Nie mogę cię tutaj znaleźć.

– Dziękuję – odrzekł Gunn i ruszył do wyjścia. Gdy ostatni raz spojrzał na Frederika, ujrzał, jak zakonnik rwie na kawałczki kartkę papieru, na której jeszcze przed chwilą pisał, po czym łyka je jeden po drugim i popija wodą z glinianego kubka.

Salomon otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Skrzydło mieszkalone wypełniała cisza, a najbliższe okna znajdowały się zbyt daleko, by śpiew zakonników zdołał tu dotrzeć. Gunn zamknął za sobą drzwi do celi Frederica, a potem odnalazł te, które rzekomo prowadziły do pokoju Gabriela. Nacisnął klamkę, prosząc w duchu, by nie okazało się, że ktoś wcześniej wpadł na pomysł zamknięcia ich na klucz. Rozległ się cichy pisk zawiasów i Salomon znalazł się w środku.

Cela była urządzona identycznie jak ta, którą opuścił przed momentem. Pod ścianami stały takie same skromne sprzęty, brakowało tylko misy i dzbania.

Gunn otworzył okno, wpuszczając do środka powietrze i wilgoć, ale przede wszystkim słaby poblask świtu. Frederico miał rację, zostało mu niewiele czasu. Musiał się spieszyć.

Zaczął metodycznie sprawdzać całe pomieszczenie. Szafa była pusta, nic też nie wyryto na jej spodzie ani ścianach, żadna wiadomość nie czekała na jej zakurzonym wierzchu. Zaglądał pod spód taboretu, krzesła, stoliczka, obmacał parapet. Sprawdził, czy nie da się wyjąć nogi żadnego z mebli, upewnił się też, że nigdzie między kamieniami nie kruszy się zaprawa. Przez chwilę łudził się, że znajdzie coś pod materacem łóżka albo i w samym sienniku. Wszystko na próżno.

– Czuję, że zostawiłeś mi wiadomość, Gabe – mruknął Salomon. – Tylko gdzie? Czy była tak oczywista, że znaleźli ją i zniszczyli? Czy to ja jestem głupcem, a ty przechytrzyłeś nas wszystkich?

Przez moment rozważył przesunięcie szafy, ale wiedział, że narobi w ten sposób za dużo hałasu. Gabriel też z całą pewnością starał się nie zwracać na siebie uwagi. To musiało być coś prostego. Coś oczywistego. Gunn krążył wzrokiem po całym pokoju, licząc na nagły impuls.

– Mógłbyś mi pomóc – mruknął, gdy jego spojrzenie padło na figurkę Ukrzyżowanego Jezusa zawieszoną, podobnie jak w pokoju Frederika, nad drzwiami.

A potem przyszedł mu do głowy pomysł, który sprawił, że włoski zjeżyły mu się na karku:

Zaraz... Jeśli Gabe chciał, żeby to coś zostało w pokoju aż do mojego przyjazdu i nie wzbudzało podejrzeń...

Chwycił taboret, wspiął się na niego i zdjął krucyfiks z wbitego w ścianę haczyka. Obrócił go w dłoni i uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. Nie miał wątpliwości, że znalazł to, czego szukał.

Tył krzyża pokryty był atramentem. W centralnym punkcie znajdował się rysuneczek słońca, od którego było dwanaście promieni, z tych zaś dwa zaznaczone były grubszą linią niż pozostałe. Na prawym ramieniu krzyża widniał napis „Łk. 24,16”, na lewym – „modlę się za 22 braci karuzów i naszego przeora”. Pod rysunkiem słońca ciągnęły się w pionie trzy szeregi liter:

***SPCFSU ESBLF XJF
UV CZMZ EAJFDJ***

Gunn poczuł paskudne ukłucie gdzieś w środku. Najwyraźniej Gabriel nie zapomniał tego spędzonego wspólnie lata, gdy jako dzieciaki trwoniли długie godziny na wysyłaniu do siebie zakodowanych wiadomości. Przed oczyma stanęła mu rozlatująca się książeczka „Szyfry stare i nowe”, znaleziona na wyprzedaży w Providence. Poznali wtedy kilkanaście różnych sposobów szyfrowania informacji, ale w pamięci Salomona ostały się tylko dwa. Miał nadzieję, że Gabriel skorzystał z najprostszego, podstawieniowego.

Wyciągnął z portfela telegram i ogryzek ołówka. Na odwrocie wiadomości od kuzyna zaczął rozpisywać różne możliwości, by po kilku chwilach trafić na tę właściwą. Tak jak podejrzewał, Gabriel zastosował kod zwany szyfrem Cezara, polegający na przeniesieniu liter wiadomości o kilka miejsc w alfabetie. W tym przypadku o jedno, A stawało się B, B zmieniało się w C i tak dalej. Nie minęła minuta, a na papierze widniały trzy rozkodowane zdania:

259

**ROBERT DRAKE WIE
TU BYŁY DZIECI
KOMU W DROGE TEMU CZAS**

– Do diabła, Gabe – wyszeptał Gunn. – Czego się tak cholernie bałeś, że nie mogłeś napisać ani słowa wprost?

Przez chwilę zastanawiał się, czy przerażenie nie spowodowało u jego kuzyna pomieszania zmysłów.

Nawet jeśli to szaleństwo – pomyślał – to w tym szaleństwie jest metoda. Odebrałem twoją wiadomość, Gabe. Teraz miejmy nadzieję, że zdołam ją zrozumieć.

Był pewien, że nigdy nie słyszał o Robercie Drake'u. Druga linijka też nic mu nie mówiła. Tu były dzieci... Tu, czyli gdzie? W celi? W klasztorze? Kiedy? Jakie to miało znaczenie? Wszystkie te pytania na razie musiały pozostać bez odpowiedzi. Trzecia linijka natomiast budziła u niego

niepokój. Mogła oznaczać, że Gabriel zdecydował się zbiec z kartuzji. Możliwe, że właśnie w czasie próby ucieczki został złapany i zamordowany. Jednak mogła też oznaczać, że nie był w stanie dłużej wytrzymać i postanowił ze sobą skończyć.

Telegram z zapisaną na odwrocie rozszyfrowaną wiadomością powędrował do portfela, wzrok Gunna zaś wrócił do krucyfiku. „Łk. 24,16” musiał oczywiście oznaczać fragment z Ewangelii według świętego Łukasza. Salomon na żadnym etapie swojego życia nie mógł popisać się wyrywkową znajomością biblijnych cytatów, musiał więc zaczekać, aż będzie miał pod ręką Pismo Święte. Słowa o modlitwie za dwudziestu dwóch braci kartuzów i przeora również pozostawały zagadką.

Czy Gabriel chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że oni wszyscy są zamieszani w to, co się tu dzieje? – zastanawiał się Gunn. Wtedy jednak Frederico...

Na zewnątrz rozległo się skrzypnięcie drzwi, po nim kolejne i jeszcze jedno. Salomon poderwał się jak oparzony. Zerknął za okno i z przerażeniem odkrył, że na zewnątrz jest już zupełnie jasno. Ślecząc nad krucyfiksem, zupełnie zapomniał o upływie czasu i wciąż znajdował się w celi, kiedy zakonnicy zaczęli wracać do swoich pokoi. Wytężył słuch i mógł z łatwością rozróżnić kroki na korytarzu, pisk nienaołiwionych zawiasów, szczek ciężkich klamek. Każdy głośniejszy dźwięk sprawiał, że po jego plecach przebiegały dreszcze – Salomon był niemal pewien, że któryś z kartuzów zaglądnie do komnaty Gabriela i znajdzie go tutaj. Wcisnął krucyfiks za pasek od spodni i czekał, przyklejony do ściany tuż za drzwiami. Pokój urządzono tak spartańsko, że nie było gdzie się schować.

Sekundy, a potem minuty mijały mu na pełnym napięcia oczekiwaniu. Poruszenie na korytarzu powoli cichło i w końcu kroki tylko dwóch osób rozbrzmiewały jeszcze na posadzce. Skrzypnęły kolejne drzwi i na zewnątrz pozostała już tylko jedna osoba. Gunn wytężył słuch, z trudem wychwytywał szmer podeszw na kamieniu. Ktoś wędrował przez korytarz równym, niespiesznym krokiem i wyglądało na to, że jest coraz bliżej. Salomon wstrzymał oddech, zamknął oczy. Skupił się tylko na dźwiękach,

na miękkim szeptaniu skóry trącej o posadzkę. Ktokolwiek to był, znajdował się już bardzo blisko drzwi do celi Gabriela.

A potem zatrzymał się tuż przed nimi.

Niech to szlag, pomyślał Gunn. Niech to jasny szlag!

Ujrzał, jak klamka porusza się nieznacznie pod dotykiem czyjejszej dłoni. Wiedział, że za moment wypadki potoczą się tak szybko, że wszystko będzie kwestią ułamka sekundy. Jeśli Gabriel faktycznie został zabity, Salomon nie mógł ryzykować, że zostanie przyłapany w jego celi. Musiał zaatakować nagle, ogłuszyć osobę, która chciała wejść do środka, i jak najszybciej uciec z klasztoru.

Klamka szczęknęła cicho i drzwi rozwarły się na szerokość palca. Gunn czuł pot spływający mu po plecach. Był gotowy postawić wszystko na jedną kartę.

Gotowy do ataku.

W tym momencie gdzieś w głębi korytarza pisnęły zawiasy, coś zwaliło się głucho na posadzkę, a wszystko zwieńczyły trzask tłuczonego dzbanka. Drzwi do celi Gabriela pozostały niedomkniete; ten, kto chciał wejść do środka, pospieszył w kierunku hałasu. Gunn zaraz znalazł się przy szparze. Ujrzał Godwillę pochyłającego się nad zakonnikiem, który wychodząc z celi, przewrócił się i rozbił dzban pełen wody. Gdy przeor odsunął się na bok, Salomon rozpoznał w niezdarnym mnichu Frederika.

To moja szansa – pomyślał. Teraz albo nigdy.

Ostrożnie otworzył szerzej drzwi i prześlizgnął się na drugą stronę. Frederico celowo chrześcił w dloniach odłamkami dzbana, upuszczał je i zbierał na nowo, próbował habitem zbierać rozlaną wodę. Zachowywał się, jakby rozbil nie zwyczajne naczynie, ale co najmniej cenny relikwiarz. Teatralna przesada zdała egzamin: przeor pochylił się nad nim i próbował go uspokoić, Gunn tymczasem zaczął przekradać się wzduż korytarza, byle dalej od Godwilli i celi Gabriela.

Odetchnął z ulgą, kiedy skręcił za róg i zniknął z pola widzenia przeora. Wcześniej dotarł na piętro schodami znajdującymi się po drugiej stronie skrzydła, ale teraz oczywiście nie mógł z nich skorzystać.

Pozostało mu spróbować znaleźć inną drogę prowadzącą na dół, na dziedziniec, ku furcie kuszącej obietnicą wolności i bezpieczeństwa.

Miał ruszyć dalej, gdy kawałek przed nim skrzypnęły otwierane drzwi. Gunn zdrętwiał, ujrzał pas bladego światła. Usłyszał jakiś cichy zgrzyt, potem pisk i metaliczny brzęk. Dojrzał niewielkie kółko i krawędź załadowanego wózka, mocującą się z nim dłoń w habicie.

Śniadanie – pomyślał. Pamiętał z listów Gabriela, że kartuzi jadają przeważnie w odosobnieniu, domyślił się więc, że jeden z nich właśnie zabiera się za rozwożenie porannego posiłku. *Szlag by to*.

Po przeciwnej stronie korytarza znajdowała się niewielka nisza, niezbyt głęboka, ale mogąca zaoferować jako taką kryjówkę, pod warunkiem, że nikt nie będzie się szczególnie rozglądał. Gunn zerknął w stronę popychanego załadowanego wózka. Odczekał, aż zakonnik przejdzie przez próg i obróci się, żeby zamknąć za sobą drzwi, najprawdopodobniej prowadzące do kuchni albo czegoś podobnego. Wtedy przeskoczył na drugą stronę, do płytowej wnęki i tam przylgnął plecami do chłodnego muru.

262

Szczęknięta klamka i wózek ruszył powoli korytarzem, poskrzypując i brzęcząc talerzami oraz sztućcami. Gunn czekał. Nic innego mu nie zostało.

Wózek przejechał jeszcze kawałek, po czym przystał. Coś zaklekoło głucho, coś innego brzęknęło, a potem zakonnik stęknął i ruszył dalej. Po kilku metrach cała procedura się powtórzyła.

Zostawia tace z jedzeniem pod drzwiami cel – pomyślał Gunn.

Zakonnik z wózkiem był coraz bliżej. Położył na podłodze jeszcze dwie porcje, nim znalazł się na wysokości kryjącego się przed nim Salomona. Wózek podsłuchiwał na nierównościach posadzki, talerze obijały się o siebie ze szczękiem, dzwoniły sztućce, w drewnianym cebrzyku chlupotał jakiś płyn.

Gunn wstrzymał oddech, zacisnął pięści. Widział profil zakonnika, jajowatą głowę z kilkoma kępками rzadkich włosów, podwójny podbródek, mięsiste powieki i wąskie szparki oczu. Kartuz patrzył przed siebie, wydawał się pogranżony w myślach.

Minął Gunna i skręcił za róg. Salomon trwał nieruchomo w swojej wnęce, nie odważył się nawet odetchnąć. Dopiero po chwili odkleił się od muru, pozwolił sobie nabrać powietrza. Zaraz też się skrzywił i zakrył usta dlonią – w korytarzu unosił się mdlący zapach, jakby czegoś zgnilego.

Zamierzał ruszyć dalej, na poszukiwanie drogi wyjścia, ale intuicja kazała mu czekać. Zamiast wydostać się z klasztoru, pozostał w swojej lichej kryjówce i liczył, ile razy kartuz z wózkiem się zatrzyma, ile porcji postawi przed drzwiami cel. Nie był pewien, dlaczego to robi, aż do chwili, gdy wózek zatrzymał się na dobre gdzieś na drugim końcu skrzydła. Jeśli się nie pomylił – a był przekonany, że się nie pomylił – rozdano dwadzieścia cztery tace. Potem skrzypnęły pojedyncze drzwi i na korytarzu zapanowała cisza.

Gunn uzmysłowił sobie, że niepotrzebnie traci czas i że zakonnicy mogą lada moment zacząć wychodzić na zewnątrz po dostarczone im śniadanie. Podążył w stronę pomieszczenia, które wziął za kuchnię, zerając po drodze na tacki leżące na posadzce. Pajda chleba, miska owsianki, kubek czegoś do picia. Nie miał pojęcia, skąd wziął się ten smród, który przed momentem wykręcił mu wnętrznosci.

Po swojej lewej odnalazł klatkę schodową, ale nie skorzystał z niej. Drzwi do kuchni miał teraz na wyciągnięcie ręki i mógłby przysiąć, że otacza je jakiś dziwny zapach. Obejrzał się przez ramię, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie widzi. Potem chwycił za klamkę i otworzył drzwi.

W pierwszej chwili nie ujrzał nic niepokojącego. Długi masywny stół, drewniane wiadra i miednica, jakieś garnki i rondle, noże, chochle i inne proste utensylia. Kaflowy piec z metalową płytą kuchenną i kilkoma żeliwnymi drzwiczkami. Potem znów uderzył go ten smród: odór, który momentalnie skojarzył mu się z bostońskimi dokami w upalne letnie dni. Gęsty, ciężki zaduch rozkładających się ryb. Wreszcie je zobaczył: unosiły się w jednej z dużych miednic, świecąc trupiobladymi brzuchami. Ryby – duże, tłuste i z całą pewnością śnięte.

Gdzieś za jego plecami rozległ się jakiś hałas i Gunn dał spokój kuchni. Skręcił na schody i pomknął nimi w dół. Moment później wypadł na pusty dziedziniec, by zaraz potem znaleźć się przy furcie.

Zanim opuścił teren klasztoru, obejrzał się za siebie. Mógłby przysiąć, że dostrzegł ruch – ktoś zniknął z jednego z podcieni krużganka, skrył się w półmroku. Zupełnie jakby obserwował Gunna, ale sam nie chciał zostać dostrzeżony. Kto to mógł być, skoro wszyscy zakonnicy pochowali się po swoich celach? I czemu się ukrywał, skoro to Salomon był tutaj nieproszonym gościem?

Gunn poczuł krople deszczu cieknące mu po karku i spływające na plecy. Zadrżały. Moment później opuścił klasztor, zamknął za sobą furtę i ruszył w drogę powrotną do Yelland Terrace z głową pełną ponurych myśli i dręczących go pytań.

Co takiego odkrył Gabriel? Co ukrywał Godwill? Czy faktycznie ktoś go tam obserwował? Jeśli tak, to kto? Po co te śmierdzące, martwe ryby w kuchni? I wreszcie pytanie, które wydawało mu się szczególnie istotne: skoro Gabriel na odwrocie krucyfiksu wspominał o dwudziestu dwóch braciach i preorze, to dlaczego zakonnik roznoszący śniadanie miał ze sobą dwadzieścia cztery tace?



Wspomnienie naszło ją zupełnie nieoczekiwanie, tak jak wiele razy wcześniej. Jedyny ślad po jej objętych amnezją, dziecięcych latach często przypominał o sobie w najmniej spodziewanym momencie i kompletnie opanowywał jej umysł.

Evelyn znajdowała się w budynku – była tego pewna, choć we wspomnieniu zaciskała powieki z całych sił, więc nic nie widziała. Pamiętała dotyk sztywnej, wykrochmalonej pościeli i oddechy śpiących dzieci. Pamiętała też słony zapach morza i bardzo słabe, odległe bicie zegara. Po trzech uderzeniach nastąpił zgrzyt, na tyle jednak cichy, że żadne z nich nawet nie poruszyło się przez sen. Tylko ona go słyszała. Tylko ona nie spała.

Pamiętała myśli, które wtedy rodziły się w jej głowie. Czy powinna kogoś obudzić? Może wszystkich?

Wiedziała, że tego nie zrobi. Najlepiej było udawać, że się śpi. Dlatego z całych sił zaciskała powieki i błagała, aby sen wreszcie nadszedł.

Usłyszała kroki i choć nie miała więcej wspomnień z tego okresu, wiedziała, że zna ten dźwięk, że słyszała go wiele razy. Człapanie jakby olbrzymich, mokrych stóp na gładkich kamieniach posadzki. A później skrzypnięcie drzwi wiodących do ich pokoju.

Nie mogła opanować drżenia. Wiedziała, że ono ją zdradzi, ale nie była w stanie nic na to poradzić. Czuła cudzą obecność, mimo iż ten ktoś wciąż stał w progu. Obok morskiej soli rozniosła się przykra woń, która kojarzyła się z rybami wyrzuconymi przez fale na brzeg. Evelyn bardzo nie chciała, by ten ktoś wszedł do środka. Nie chciała, by się do niej zbliżył.

Naga stopa klasnęła o posadzkę, później druga i kiedy Evelyn poczuła na twarzy oddech...

Wspomnienie nagle się urwało.

Siedziała na posterunku w Barnstaple, a w dłoniach stygła jej poranna kawa. Dyżurny potrząsał nią delikatnie, ale odsunął się, gdy spojrzała na niego.

– Wszystko w porządku, panno Carmichael?

– Tak – odparła. Łyknęła kawy, starając się ukryć zakłopotanie. – Myślałam o czymś, to wszystko. O co chodzi?

– Dzwonił przeor Godwill z klasztoru w Yelland. Prosił, żeby się pani do niego pofatygowała. Podobno ma nowe informacje związane ze sprawą tego samobójcy, Benneta.



Po śniadaniu wyszedł na krótki spacer: klaustrofobiczne małe brytyjskie wnętrza wydawały mu się duszne i przesycone wilgocią, nie mógł w nich poukładać sobie myśli. Zapalił papierosa i przechadzał się niespiesznie jedyną ulicą Yelland, raz po raz zerkając na widoczny w oddali zarys klasztoru. Deszcz kapał mu na głowę, mokry papieros ledwo się tlił, wiatr

niósł z północy słaby zapach morza, które w tej chwili mieszało się w najlepsze z mętną wodą rzeki Taw.

Skończył palić w tym samym momencie, w którym dostrzegł zbliżającego się zielonego daimlera. Stał w miejscu i czekał, a samochód podrygiwał na drodze, rozpryskując na boki wodę z kałuży. W końcu Evelyn zatrzymała się obok niego, przywitała go uprzejmie.

– Pan, zdaje się, lubi naszą pogodę. Co pana widzę, to spaceruje pan w deszczu – zauważyła. Nie zareagował, więc dodała: – Przeor Godwill mnie wezwał, bo ma ponoć coś do powiedzenia na temat Gabriela. Chce pan pójść ze mną?

Zaskoczyła go. Salomon nie miał pojęcia, czemu się tym z nim podzieliła; z jego doświadczeń wynikało, że policja przeważnie zazdrośnie strzeże swoich sekretów. Przytaknął, podziękował jej i obszedł samochód dookoła, żeby usiąść na miejscu pasażera. Zerknął szybko na kobietę: wyglądała, jakby właśnie zaczynała mieć wątpliwości, czy nie popełniła błędu.

– Dowiedział się pan czegoś? – spytała.

– Może tak, może nie – odparł. – Ma pani może pojęcie, ilu zakonników tu mieszka?

– W Yelland? W tej chwili... dwudziestu trzech – z wahaniem się, wydawało się, że się nad czymś zastanawia. – Tak, dwudziestu trzech. Przedtem, licząc przeora i brata Benneta, było dwudziestu czterech. Skąd ta ciekawość?

Salomon w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. Kobieta popatrzyła na niego, po czym sapnęła z irytacją, ale nic nie powiedziała.

Chwilę później zaparkowali przed bramą klasztoru. Brama była zamknięta i musieli kilkakrotnie w nią uderzyć, zanim ktoś po drugiej stronie pofatygował się, żeby ją otworzyć. Odźwierny nie powiedział ani słowa, popatrzył tylko na nich. Gunnowi nie spodobało się to, co zobaczył w jego oczach: w jakiś sposób skojarzyło mu się ze wzrokiem psa, który jeszcze nie zdecydował, czy powinien rzucić się do ataku czy podkulić ogon i zwiać.

– Coś się stało? – warknął Salomon, rewanżując się zakonnikowi twarzom spojrzeniem.

Tamten nie przerwał milczenia, nie odwrócił wzroku, nie zmienił nawet wyrazu twarzy. Uniósł tylko dłoń i pokazał im, gdzie mają iść. Nie skierował ich do części mieszkalnej, ale wycelował palec wskazujący w wejście do kaplicy.

Tam też się udali, kluczając między kałużami wypełniającymi dziedziniec, odprowadzani chłodnym wzrokiem zakonników. Gunn próbował wypatrywać wśród nich Frederika, ale na próżno. Widział tylko anonimowych duchownych, sztywne sylwetki w habitach ciężkich od wilgoci. Przyszło mu do głowy, że przypominają strachy na wróble, z woskowo bladą skórą naciągniętą na kijki i słomę. Albo raczej sępy: na nieruchomych korpusach tylko głowy obracały się, by śledzić Salomona i Evelyn zmierzających ku kaplicy.

Od kamiennych ścian kościoła ciągnęło zimnem i wilgocią. Na budynek składała się jedna duża nawa wypełniona ciężkimi ławami z ciemnego drewna. Przechodziła w prezbiterium, gdzie, zamiast zwyczajowych ustawionych naprzeciw siebie stalli, Gunn dostrzegł szereg sięgających pasa pulpitów. Mógł tylko się domyślać, że przy nich siedzieli bądź kleczeli zakonnicy, gdy wielbili Boga, czytając i śpiewając łacińskie teksty. Na kilku blatach leżały oprawione w skórę egzemplarze Biblii, na innych wybrzuszone od wilgoci psałterze. Dalej, za prezbiterium, był już tylko ołtarz: kamienny stół nakryty białym płótnem, monstrancja i trzymetrowy drewniany krzyż z figurą Chrystusa. Przez całą długość murów biegły rozległe pęknięcia, w oknach zdarzały się stłuczone szybki. Tu i ówdzie dach przeciekiał, woda ciurkała do drewnianych cebrów. Gunn zaczął się zastanawiać, czy kartuzi faktycznie nie mają pieniędzy na naprawy, czy może po prostu traktują panujące tu warunki jako jeszcze jedno wyrzeczenie, sposób na umartwianie ciała i przypodobanie się Bogu.

Niespodziewanie spostrzegł, że wyprzedził Evelyn o kilka kroków. Kiedy obejrzał się przez ramię, kobieta wciąż stała w progu i wpatrywała się z niedowierzeniem w siermiążne wnętrze.

– Byłam tu – wyszeptała. – Przysięgam, że tu byłam.

Salomon nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć, więc po prostu wzruszył ramionami.

Arthur Godwill zastali przed ołtarzem, z dłońmi splecionymi do modlitwy. Usłyszawszy kroki na posadzce, przeor przeżegnał się, wstał z klęczek i ruszył im na spotkanie.

– Panno Carmichael. Panie Gunn. Proszę spocząć.

Usiedli, każde za jednym z pulpitów. Salomon rozejrzał się dookoła. Wydawało się, że są w kaplicy tylko we trójkę, ale mężczyzna nie mógł pozbyć się wrażenia, że dzieje się tutaj coś jeszcze, coś o czym ani on, ani Evelyn nie mają pojęcia. Kiedy popatrzył na Godwillą, to przeczucie stało się jeszcze silniejsze. Jego wyraz twarzy, spojrzenie... było w nich coś... głodnego. Zachłanego. Zerknął kątem oka na Evelyn, chcąc się przekonać, czy ona też to zauważała, ale kobieta była pochłonięta wnętrzem kaplicy: wodziła wzrokiem po prezbiterium, obserwowała olbrzymi krzyż, wpatrywała się w ołtarz.

– Panno Carmichael – odezwał się przeor z uśmiechem. – Wydaje się pani czymś zaaferowana...

– Nie wiem, jak to wyjaśnić, ojcze – odparła Evelyn. – Mogłabym przyjąć, że już tu kiedyś byłam. W tej kaplicy. Czy to możliwe?

Godwill wydawał się autentycznie zdziwiony.

– Obawiam się, że nie, panno Carmichael. Zazwyczaj tylko bracia zakonni mają tu wstęp. Może się pani mylić, w końcu katolickie kościoły są do siebie takie podobne...

Gunn postanowił się nie wtrącać. Zamiast tego sięgnął po leżącą przed nim Biblię i odszukał Ewangelię według świętego Łukasza.

– Jestem pewna. – Kobieta pokręciła głową i utkwiła wzrok w ołtarzu. – Ten krzyż... wydaje mi się, że z tyłu znajdują się inicjały twórcy i rok... bodajże tysiąc osiemset siedemdziesiąty... szósty? Może dziewiąty...

Przeor nagle drgnął, uważniej przyjrzał się policjantce. Podrapał się po policzku i nachylił nieco w jej stronę.

– Czy pani wychowała się w okolicy, panno Carmichael?

Gunn przysłuchiwał się rozmowie tylko połowicznie. Odnalazł w Piśmie Świętym ustęp wskazany przez Gabriela. W dłoniach trzymał wydanie łacińskie, a ostatni raz miał z tym językiem do czynienia kilka

ładnych lat wcześniej, gdy studiował psychologię w Bostonie. Jako taka jego znajomość wystarczyła jednak, by odnalazł w pamięci odpowiadający mu fragment po angielsku. Zaznaczony na krucyfiksie cytat brzmiał: „Lecz oczy ich były niejako na uwiezi, tak że Go nie poznali”. Dotyczył fragmentu mówiącego o tym, jak uczniowie nie rozpoznali zmartwychwstałego Chrystusa na drodze do Emaus.

– Niestety – odpowiedziała na pytanie Godwilla. – Nie pamiętam prawie nic sprzed czasu, gdy znalazłam się w sierocińcu w Barnstaple.

– To może sporo wyjaśniać. – Przeor pokwał głową. – Widzi pani, nieco ponad dwadzieścia lat temu, jeszcze przed moim przybyciem, zakonicy żyjący w tym klasztorze zajmowali się sierotami. Dosłownie garstką dzieci z okolicznych wiosek: Yelland, Instow, Fremington. Jednak w dnie wieczesiątym trzecim ze Stolicy Apostolskiej wyszło rozporządzenie mówiące, iż członkowie zakonów kontemplacyjnych, a więc między innymi kartuzi, nie mogą prowadzić tego typu działalności. No i dzieci zostały przeniesione: część do Barnstaple, część do Bideford.

Evelyn z przejęcia niemal podskoczyła w miejscu.

– Myśli ojciec, że byłam jednym z nich? Że wychowałam się tutaj?

Gunna ta jej gwałtowna reakcja zaskoczyła do tego stopnia, że obrócił głowę, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Wtedy kątem oka dostrzegł coś jeszcze: ruch. Drgnięcie w ciemności. Przekrącił się na siedzeniu, popatrzył za plecy. W niemal całej kaplicy panowała szarówka, przez strzeliste okna wpadało mdłe światło pochmurnego, dżdżystego dnia, tylko wiszący nad wyjściem z kaplicy chór krył się w ciemności. Cała empora przypominała niemal doskonale jednolitą plamę czerni. I Salomon był przekonany, że właśnie tam coś się poruszyło.

Móże zbłąkany kruk czy gołąb szukający schronienia przed deszczem.

A może coś innego.

– Wszystko na to wskazuje – odparł przeor. Wydawał się również podskytowany jak Evelyn, niemal zachwycony jej odkryciem. – Proszę mi powiedzieć, czy coś jeszcze sobie pani przypomina. Może jakichś ludzi, miejsca, zdarzenia...

– Duszno tu – wtrącił Gunn przepraszającym tonem. Kłamał, ale niezupełnie, w kaplicy faktycznie zaskakując mocno czuć było kadzidłem.
– Wybaczcie, ale muszę się przewietrzyć.

Evelyn skinęła tylko głową, natomiast Godwill zdawał się Salomona w ogóle nie dostrzegać.

Gunn ruszył do wyjścia, ale nie opuścił kaplicy. W progu obrócił się ku Evelyn i przeorowi, upewnił się, że są pogräżeni w rozmowie. Potem doskoczył do jednych z dwojga drzwi prowadzących na chór. Otworzył je bardzo powoli, mając nadzieję, że nie zdradzi go żadne trzeszczenie czy pisk nieoliwionych zawiasów. Na schodach było ciemno, więc oparł dłoń na poręczy i postawił stopę na pierwszy stopniu. Zaczął się wspinać: ślazarnie piął się do góry, możliwe bezszelestnie, oddychając jak najciszej. Żelazna poręcz była tak zimna, że mroziła dłoń, a schody, nierówne i chropowate, wiodły ku górze stromą spiralą i każdy krok wymagał skupienia.

Wreszcie Gunn stanął przed uchylonymi drzwiami wychodzącymi na chór. Wokół pachniało kadzidłem i butwiejącym drewnem, ale była tam obecna jeszcze jakaś inna woń, jakby rzecznego mułu. Salomon słyszał przez szparę nieco stłumioną, zniekształconą pogłosem rozmowę Godwilli i Evelyn. Nagle do jego uszu dotarł wyraźny, bo znacznie bliższy głos:

– Doskonała. Wspaniała. Idealna – mruczał ktoś. Gunn podsunął się do drzwi, ale nic nie widział. Nie dość, że światło praktycznie nie docierało na podium, to jeszcze szpara pomiędzy drzwiami a framugą była zbyt wąska.

– Jest boska. Nada się doskonale – kontynuowała postać na chórze. Głos miała męski, ale dziwny, trochę świszący, trochę bulgocący.

Salomon delikatnie popchnął drzwi, próbując poszerzyć sobie pole widzenia, te jednak zdradziły go donośnym skrzypnięciem. Przez sekundę czy dwie panowała cisza, tylko serce Gunna waliło ogłuszająco. Zaraz potem rozległy się kroki, które mogły oznaczać tylko tyle, że postać z chóru uciekała w stronę drugiego biegu schodów. Gunn przeklął własne wahanie, zakręcił się na pięcie i sam pospieszył w dół. Sunął dlonią po poręczy i schodził stopień za stopniem, sarkając na brak światła. Był

mniej więcej w połowie drogi, gdy usłyszał przeciągły jęk drzwiczek na dole – uciekinier go wyprzedził. Gunn przyspieszył, ale po kilku krokach nogą omsknęła mu się na krawędzi stopnia, poręcz wyślizgnęła spomiędzy palców i Salomon runął w dół. Grzmotnął barkiem o ścianę, przejechał żebrami po schodach, przygniotł sobie lewy nadgarstek własnym ciężarem, by wreszcie wylądować plecami na posadzce, zahaczając potylicą o ostatni stopień. Kiedy udało mu się podnieść, cały był obolały i z trudem utrzymywał równowagę. Po tajemniczym uciekinierze pozostało tylko wspomnienie.

– Nic mi nie jest – wystąpił w stronę Evelyn i Godwilli, którzy przybiegli zwabieni hałasem. – Potknąłem się w ciemności.

Oddychanie wciąż sprawiało mu ból, kiedy wyszedł z kaplicy. Przejechał dłonią po miejscu, gdzie za paskiem schował krucyfiks z pokoju Gabriela; krzyż okazał się nietknięty. Gunn westchnął i wystawił oblicze na krople deszczu. Mimo iż wokół panowała cisza, czuł się źle, jakby ktoś śmiał mu się prosto w twarz.

Przynajmniej jedno jest jasne – pomyślał Salomon, mając w pamięci liczbę rozdawanych posiłków, cytat z Ewangelii oraz słowa Gabriela o modlitwie za pozostałych mnichów.

W klasztorze był ktoś jeszcze.

To między innymi odkrył Gabe i to chciał mi powiedzieć. To ta dwudziesta czwarta osoba, której inni zakonnicy nie dostrzegają, tak jak uczniowie nie poznali zmartwychwstałego Chrystusa.

Gunn był pewien, że to właśnie tę dwudziestą czwartą osobę miał przed chwilą niemal na wyciągnięcie ręki.



Evelyn chciała podrzuścić go do szpitala w Barnstaple, ale Gunnowi udało się ją przekonać, że nic mu nie jest. Natomiast nie protestował, gdy zaproponowała wspólny lunch. I tak zamierzał zajrzeć do Barnstaple, żeby pogrzebać w bibliotece. Liczył na to, że przynajmniej dowie się, czy niejaki Robert Drake ma kartę biblioteczną i, ewentualnie, czy mieszka

w okolicy. Gdyby w bibliotece nic nie znalazła, ostatnim wyjściem byłaby policja.

– Na pana miejscu nie nastawiałabym się na wiele. To nie Boston – powiedziała kobieta. W czasie jazdy zaczęła referować Salomonowi, co Godwill miał do powiedzenia na temat Gabriela. Ponoć jeden z zakonników wyjawił przeorowi podczas spowiedzi, że Gabriel przyznał się przed nim do samobójczych myśli. Kartuzi raz w tygodniu mogli udać się na godzinny spacer, w trakcie którego surowa zakonna reguła przestawała obowiązywać i mężczyźni mogli zamienić ze sobą kilka słów. Całe zajście miało ponoć miejsce właśnie w trakcie takiego spaceru.

– Oczywiście pozostaje kwestia tajemnicy spowiedzi – dodała Evelyn – więc w śledztwie nie możemy z tego skorzystać. Przeor jednak uznał, że powinniśmy o tym wiedzieć.

Gunn parsknął śmiechem, po czym odpowiedział:

– Godwill przyznałby się do noszenia damskiej bielizny, gdybyśmy dzięki temu uwierzyli, że Gabe popełnił samobójstwo.

272 Kobieta umilkła i skupiła się na jeździe. Chwilę później zatrzymali się przed restauracją U Jima w centrum Barnstable. Lokal był schlundny, w powietrzu unosił się słaby zapach politury, a od strony kuchni tchnęło prażoną cebulą i duszoną wołowiną. Usiedli przy stole, złożyli zamówienia i czekali.

– Czy nazwisko Drake coś pani mówi? – spytał w pewnym momencie Gunn. – Robert Drake?

– Obawiam się, że nie. Czemu pan pyta?

Salomon wzruszył ramionami. Umoczył usta w przyniesionej przez kelnerkę szklance z wodą.

– Dziwny z pana człowiek, panie Gunn – zauważyła Evelyn.

– Móglbym to samo powiedzieć o pani, panno Carmichael – odparł Salomon. – Wygląda na to, że skrywa pani o wiele więcej tajemnic niż ja. Mam na myśli dzisiejszą rozmowę z przeorem.

Zaczerwieniła się, odwróciła wzrok.

– Pan nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie to uczucie nie znać swojego dzieciństwa.

– Nie. – Skinął głową. – Mogę się tylko domyślać. Proszę powiedzieć coś więcej.

Kobieta podniosła na niego spojrzenie z takim wyrazem twarzy, jak-by spodziewała się, że stroi sobie z niej żarty. Nie stroił. Oblizała wargi, szukała właściwych słów.

– Nie pamiętam nic z czasów sprzed mojego pobytu w tutejszym sie-rocińcu. Lekarz ocenił, że trafiłam do Barnstaple, mając jakieś dziesięć lat. Co oznacza, że całą dekadę spowija mgła. Całą długą dekadę. Wiem, że coś tam jest, ale nie mogę sobie przypomnieć, co takiego. To znaczy... nie mogłam sobie przypomnieć. Gdy dzisiaj ujrzałam wnętrze tej kaplicy, a wcześniej klasztorne korytarze... coś we mnie... jakby pękło. Dalej nie widzę nic konkretnego, ale... to takie uczucie, jakbym mogła wyciągnąć dłoń i wyczuć jakieś kształty...

Urwała, gdy kelnerka przyniosła im posiłek. Odezwała się znowu, gdy ponownie zostali sami:

– Muszę brzmieć jak wariatka – mruknęła, biorąc do ręki sztućce, nagle zawstydzona i zła na samą siebie, że tyle powiedziała.

– W żadnym razie – odparł Gunn. Zauważyl, że gdy kobieta mówiła, jej prawa dłoń powędrowała na moment do brzucha. Wydawało się, że Evelyn nie zdawała sobie sprawy z tego odruchu. – Na studiach słyszeliśmy o wielu takich przypadkach.

– Na studiach? – zainteresowała się kobieta.

– Psychologia – wyjaśnił. – W Bostonie. W każdym razie teraz, gdy zaczęła pani sobie coś przypominać, może się okazać, że cały proces pojedzie w błyskawicznym tempie. Pytanie tylko – dodał po krótkim wahaniu – czy to dobrze. To znaczy, dobrze dla pani.

– Ma pan wątpliwości?

Salomon wzruszył ramionami.

– Amnezja na podłożu innym niż uraz mechaniczny ma konkretny cel. Czasami wypieramy z pamięci to, co jest dla nas zbyt trudne; to, z czym nie możemy sobie poradzić. Tak jakby umysł bronił nas przed naszą przeszłością. Może być tak, że pewnych rzeczy lepiej sobie nie przypominać.

Jedzenie było w smaku raczej nijakie, ale przynajmniej gorące i syjące; wtłoczyło nieco ciepła i sił w ciało osłabione chłodnym deszczem. Gunn zapłacił, po czym Evelyn wskazała mu drogę do biblioteki, sama zaś wsiadła do samochodu.

Dopiero kiedy patrzył, jak kobieta odjeżdża, Salomona coś tknęło i skojarzył fakty. „Tu były dzieci” – napisał na krzyżu Gabriel. A Gunn właśnie pozwolił odjechać kobiecie, która, jeśli jej podejrzenia były słuszne, jako dziecko wychowywała się w klasztorze.



Bibliotekarz okazał się niewysokim chudzielcem po trzydziestce w okularach o prostokątnych oprawkach. Przytaszczył z osobnej sali dwa pudła i postawił je przed Gunnem. Wyprostował się z trudem, masując sobie krzyż.

274 – Proszę. Tutaj powinny być wszystkie wydania „North Devon Journal” z tego okresu.

Salomon przeniósł pudła na biurko, usiadł na krześle i zaczął przeglądać kolejne gazety. Pochodziły z dziewięćdziesiątego trzeciego – ze słów Godwilla wynikało, że właśnie wtedy klasztor przestał prowadzić sierociniec.

Przejrzał numery od stycznia do lipca i nie znalazł nawet najmniejszej wzmianki o kartuzji. Spędził nad tym blisko dwie godziny, a jedynym efektem był bolący kark. Uznał, że może zrobić sobie krótką przerwę. Wstał z miejsca i podszedł do bibliotekarza.

– Czy zna pan może człowieka o nazwisku Robert Drake? Wydaje mi się, że mieszka w okolicy – zagadnął.

Bibliotekarz uniósł wzrok nad pochlanianej książki i potarł brodę.

– Nie – odparł z namysłem. – Obawiam się, że... chwila, chwila, chyba że ma pan na myśli tego pisarza. Robert Drake, tak?

– Możliwe – stwierdził Salomon. – Czy on mieszka gdzieś w pobliżu?

Okularnik uśmiechnął się. Było w wyrazie jego twarzy coś złośliwego, jakby właśnie zobaczył, jak jego znienawidzony sąsiad wywraca się i łamie nogę na tafli lodu.

– Mieszkał – odparł. – Prawie dwieście lat temu.

Gunnowi zrzedła mina, ale nie ruszył się sprzed biurka.

– Jest coś, co może mi pan o nim powiedzieć?

Bibliotekarz przestał się uśmiechać, przyglądał dlonią przylizane włosy i poprawił okulary na nosie.

– Cóż, mamy jego jedną książkę. Zresztą tylko z niej jest znany. Rok wydania tysiąc siedemset siedemdziesiąty drugi, jeśli mnie pamiętać nie myli. Zaraz poszukam.

Zniknął pomiędzy regałami, a Gunn wrócił do gazet. Nie doszedł dalej niż do początku września, kiedy bibliotekarz wrócił. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Niestety, wygląda na to, że jedyny egzemplarz... gdzieś... zginął. Nie mam nic w rejestrze i książka powinna być na stanie, ale... nie ma jej. Przykro mi.

Gunn skinął głową, nawet niespecjalnie roczarowany. To byłoby zbyt proste.

– Pamięta pan chociaż, jak ta książka się nazywała?

– Oczywiście – odparł bibliotekarz. – To „Xięga opowieści o ludzie morza i potworach z głębin”.

– Jakieś legendy? – zapytał Gunn, nie kryjąc zawodu. Spodziewał się, że książka będzie w jakiś sposób powiązana z klasztorem i kartuzami, że rzuci jakieś światło na tajemnicę odkrytą przez Gabriela.

– Zbiór lokalnych podań. Drake był jedną z pierwszych osób autentycznie zainteresowanych badaniem i utrwalaniem regionalnego folkloru. Kto wie, gdyby wszystko potoczyło się inaczej, może to jego nazwisko byłoby dziś znane na całym świecie, a nie braci Grimm.

– Co się z nim stało?

– Wyparował w niecały rok po wydaniu książki. Podejrzewa się, że zadłużył się, by sfinansować druk, a gdy nie osiągnął spodziewanych zysków, był zmuszony uciekać przed wierzycielami. Choć – bibliotekarz

zawiesił głos, popatrzył Salomonowi w oczy – istnieją też inne teorie na temat jego zniknięcia.

– Teorie? – zainteresował się Gunn.

Okularnik podrapał się po głowie i zaraz przygładził naruszoną fryzurę. Uśmiechnął się nerwowo.

– Byli i tacy, co twierdzili, że Drake dowiedział się w trakcie swoich badań czegoś, czego dowiedzieć się nie powinien. Że poznął jakąś straszna prawdę. Krążyły nawet pogłoski, że w swojej książce ukrył między wierszami klucz do tej tajemnicy.

– A ukrył?

– Nie mam pojęcia. – Bibliotekarz wzruszył ramionami. – Mało kto chyba w to wierzył. Przynajmniej na początku, przed tym, co wydarzyło się u Dodgesa i Mastersa.

Salomon zmarszczył brwi. Miał wrażenie, że zaczyna się gubić.

– U kogo?

– Dodgesa i Mastersa. Prowadzili oni wówczas w Londynie cenioną księgarnię. Przyjęli na stan pięćset egzemplarzy książki Drake'a, czyli sporą część całego nakładu. A niecały tydzień później jeden z ich magazynów strawił ogień.

– Niech zgadnę – mruknął Gunn. – Ten magazyn, w którym trzymano książki Drake'a?

Bibliotekarz zrobił markotną minę, jakby odebrano mu całą frajdę z zagrania asa trzymanego do tej pory w rękawie.

– Owszem – wymamrotał, po czym odchrząknął, przestąpił z nogi na nogę. – Po tym incydencie pogłoski dotyczące „Xsięgi...” przez jakiś czas zataczały szersze kręgi. Do tego stopnia, zdaje się, że w kilka lat po premierze dzieło Drake'a stało się przedmiotem poszukiwanym przez różnej maści kolekcjonerów. Oczywiście samego autora nikt już wtedy od dawna nie widział...

– Zniknął bez śladu, co? – domyślił się Gunn.

– Nie – przyznał bibliotekarz. – To znaczy... tak i nie. Natrafiono na jego ślad przypadkiem, kiedy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym zmieniał się zarząd Bedlam. Przypadkiem złożyło się, że człowiek,

który sprawdzał tamtejszą dokumentację, należał do Towarzystwa Folklorystycznego i nazwisko Drake'a obiło mu się już wcześniej o uszy. Z papierów wynikało, że Drake był rezydentem Bedlam od tysiąc siedemset osiemdziesiątego aż do swojej śmierci trzynaście lat później.

Gunn słuchał go, marszcząc brwi. Chciał się zapytać, czym było wspomniane Bedlam, kiedy trybiki w jego głowie wskoczyły na właściwe miejsca, wydobywając z mentalnej szufladki nabycie niegdyś informacje.

Bedlam – pomyślał. Oficjalnie znany jako Królewski Szpital Bethlem. Działający od pół wieku, najstarszy w Europie szpital dla obłąkanych.

Przeniósł spojrzenie na bibliotekarza.

– Zaskakującą dużo pan wie na temat tego całego Drake'a – zauważył.

Okularnik przewrócił oczyma, po czym wymownym gestem rozejrzał się dookoła.

– To jest Barnstaple, proszę pana. Pisarzy, którzy się tutaj urodzili, można policzyć na palcach jednej ręki. I to tylko nie tych sławnych. Wszystkich pisarzy.

Salomon pokręcił głową, zamyślił się. Zanim bibliotekarz zdecydował się wrócić do swojego biurka, zapytał go:

– A ta jego książka? Czytał ją pan?

– Czytałem – przyznał. – Niewiele z niej pamiętam. Nieco toporny język, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Drake był niewątpliwie sumiennym badaczem, ale pisarzem dość miernym. Niemniej jednak dla antropologa to z pewnością fascynująca lektura. Sądzę, że...

Mówił coś jeszcze, ale Gunn nagle przestał go słuchać. Cała jego uwaga skupiła się na gazecie, którą trzymała przed sobą, a dokładniej na trzeciej stronie „North Devon Journal” z dziewiątego września. Tym, co go zaabsorbowało, nie był jednak nagłówek „Koniec sierocińca w kartuzji – mówią mnisi. Musimy poświęcić się Bogu”. Uczyniła to fotografia przedstawiająca trzech zakonników stojących przed żelazną bramą.

Tym stojącym pośrodku był – choć młodszy, z gęstą czupryną ciemnych włosów bez śladu siwizny – z całą pewnością obecny przeor, Arthur Godwill. Ten sam, który twierdził, że dwadzieścia lat temu jeszcze nie było go w Yelland.

Artykuł dotyczył rozwiązania prowadzonego przez kartuzów sierowicą – nie było tam jednak mowy o postanowieniu Watykanu. Znalazła się natomiast wzmianka o skandalu, do którego doszło dwa tygodnie wcześniej. Nie podano szczegółów, a gdy Salomon wrócił do poprzednich numerów, spostrzegł, że dwóch z nich brakuje – z dwudziestego piątego i szóstego sierpnia.

Trafiłem na coś – pomyślał. Nie mam pojęcia na co, ale z całą pewnością na coś wystarczająco ważnego, żeby zabić.

Prędko przerzucił pozostałe gazety, ale nie znalazł w nich nic godnego uwagi. Wsadził je z powrotem do pudeł i odniósł bibliotekarzowi.

– Nie wiem – rzekł nieoczekiwanie mężczyzna – czy to się panu do czegokolwiek przyda, ale... jest pewna kobieta. Mary Ann Stanson. Mieszkła niedaleko, pod numerem siedemnastym. Na przestrzeni lat wielokrotnie pożyczała „Xsięgę...” Drake'a. Sęk w tym, że... no cóż, może wydawać się nieco... zbzikowana – wyjaśnił, czerwieniąc na twarzy.

Gunn podziękował i wyszedł na zewnątrz. Dochodziła czwarta po południu i spieszyło mu się, żeby znaleźć Evelyn i powiedzieć jej, czego zdołał się dowiedzieć. Gdyby udało mu się podać w wątpliwość słowa Godwill, zyskałby ważnego sprzymierzeńca. Z drugiej strony wiedział, że Gabriel nie bez powodu wymienił nazwisko Drake'a.

Przez parę sekund stał na deszczu, po czym ruszył wzdłuż linii mniej lub bardziej zadanych domów, wypatrując tabliczki z numerem siedemnaście.



Dom Mary Ann Stanson był ponurą ruderą, żałosną karykaturą sąsiednich budynków, do których musiał być łudząco podobny kilkadziesiąt lat wcześniej. Trawnik przed nim zarósł po kolana chwastami; z płotu i furty schodziła farba. Ganek składał się z wypaczonych desek, wystających gwoździ, rdzy i grzyba.

Gunn stanął przed drzwiami i po krótkim wahaniu zapukał. Zapatrzył się na przymocowaną poniżej judasza zaśnidziała tabliczkę. Pod wygrawerowanym numerem siedemnastym z trudem można było rozróżnić słowa:

Jeremy M. Stanson, Lekarz
Mary A. Stanson, Akuszerka

Po chwili Salomon zapukał ponownie, tym razem mocniej. Przysunął się bliżej, licząc na to, że może usłyszy coś z głębi domu. Nic, równie dobrze mógłby stukać w wieko trumny.

– Ona panu nie otworzy – zaskrzeczał jakiś głos za plecami Gunna.

Mężczyzna obrócił się, ujrzał kobiecinę w grubym palcie. Podpierała się na lasce i stała na chodniku zwrócona do Salomona bokiem, jakby zatrzymała się w pół kroku w trakcie przechadzki.

– Ona już nikomu nie otwiera – powiedziała, zerkając to na Gunna, to na drzwi za jego plecami. W jej twarzy mężczyzna dostrzegł odrażę, w oczach łakomą ciekawość.

– Mówi pani o Mary Ann Stanson? – upewnił się.

– A o kim innym, kochanieńki? – Przystąpiła z nogi na nogę, na ułamek sekundy na jej twarzy pojawił się grymas bólu. Gunn znał ten typ. Kobieta mogła marzyć o tym, żeby schować się w cieple domu i usiąść wygodnie, ale nie zamierzała przepuścić koło nosa porcji świeżutkich ploteczek. – A ciebie co sprowadza do tej starej wiedźmy?

– Wiedźmy? – zdziwił się Gunn z uprzejmym uśmiechem. – Tutaj jest napisane, że to akuszerka.

– Może kiedyś – prychnęła. – Tylko szaleniec woałby ją do porodu. Chyba nie po to tu jesteś? – Zmierzyła go bacznym spojrzeniem.

– Nie, proszę pani – odparł Gunn.

– Całe szczęście. Lepiej daj jej spokój, młodzieżce. To stara wariatka, która budzi się i zasypia z butelką w dłoni. Rozumiesz, co mówię?

Puściła do niego oko. Gunn z trudem przywołał na twarz wystudiowany uśmiech dobrego chłopca, odwzajemnił mrugnięcie. Potem obejrzał się na tabliczkę na drzwiach.

– Szanowny pan doktor nie ma nic przeciwko...? – Nie dokończył, gestem pokazał, że chodzi mu o nałóg pani Stanson. Kobieta o lasce cmoknęła wymownie.

– Doktor? Będzie z piętnaście lat, jak wyjechał. Nic dziwnego, jakby mnie ktoś pytał. I tak cud, że tyle czasu wytrzymała z tą czarownicą. Człowiek o anielskiej cierpliwości, słowo daję, ale nawet taki w końcu powie dość. – Rozejrzała się, jakby chciała się upewnić, że nikt jej nie słyszy, po czym nachyliła się w stronę furtki, jakby te dodatkowe dziesięć czy piętnaście centymetrów robiło jakąkolwiek różnicę. Później dodała, niby szeptem, ale na tyle głośno, że Salomon słyszał wyraźnie każde słowo: – Co tu się nie działa, kochanieńki! Krzyki po nocy, płacze, awantury. Ja to jeszcze wszystko pamiętam, jakby to było wczoraj. Ta jedzła całymi tygodniami z domu nie wychodziła, firany pozaciągała i siedziała przy świetle dzień i noc, dzień i noc, słowo daję, co i rusz tylko jak doktora nie było w domu, służącą posyłała po butelkę ginu. Teraz służącej dawno już nie ma, doktora też, dom niszczyje, tylko ta wariatka została.

– Powtarza pani, że to wariatka – odparł Salomon, podchodząc bliżej i również zniżając głos. – Ale co właściwie...

– Tak, kochanieńki, wariatka! Albo i może opętana, kto wie? Gada do siebie. Jakieś zielska i wisiorki wiesza po oknach i drzwiach. Kościół szerokim łukiem omija. Wzdryga się na widok świętych symboli. Raz, jak pastor przyszedł się z nią rozmówić, odpędziła go z wrzaskiem, groziła, że zastrzeli jak psa. Pastora!

Salomon potakiwał, dając do zrozumienia, że słucha i że się zgadza. Później zamienił z kobietą jeszcze kilka słów, ale nie dowiedział się niczego ważnego. W końcu pożegnał ją, podziękował serdecznie za ostrzeżenie i odszedł spod numeru siedemnastego. Kiedy znalazł się na końcu uliczki i obejrzał przez ramię, kobieta właśnie znikała w drzwiach domu oznaczonego numerem dwudziestym pierwszym.

Dzięki Bogu za wścibskie sąsiadki – pomyślał.

W najbliższym sklepie kupił butelkę ginu i wrócił z nią pod numer siedemnasty. Raz jeszcze zakołatał do drzwi, a gdy i tym razem nikt mu

nie otworzył, dyskretnie rozejrzał się za zapasowym kluczem. Znalazł go pod starą, popękaną donicą. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Trafił w objęcia mroku i stęchlizny. Grube, brudne firany odcinały dom od światła dnia i świeżego powietrza, zatrzymywały w środku wilgoć.

– Pani Stanson? – odezwał się. Jeśli kobieta groziła pastorowi, że go postrzeli, prawdopodobnie posiadała coś, z czego można strzelać. Gunn wolał nie ryzykować, że ją wystraszy i zarobi kulkę w brzuch. – Halo?

Nie uzyskał żadnej odpowiedzi, więc powędrował w głąb domu. To była wąska szeregowka, typowa dla angielskiej klasy średniej, choć obecnie w opłakany stanie. Tapeta odłaziła od ścian, wykładzina marszczyła się na schodach, na ścianie straszyło nadkruszone lustro. Gdzieś zwisały pęki jakichś zasuszonych roślin, tu i tam zawieszono też rzemienie i sznurki z jakimiś drewnianymi koralikami, dziurawymi kamyczkami, odłamkami kości. Wszystko wydawało się lepić od tłustego brudu, a smród z każdym krokiem stawał się wyraźniejszy. Jak zdechły szczur macerowany w na wpół przetrawionym alkoholu.

Na parterze znajdowały się tylko kuchnia oraz pokój dzienny i to w tym drugim Gunn znalazł Mary Ann Stanson. Kobieta siedziała w fotelu bujanym, przykryta brudnym kocem. Na stoliku stały talerze z psującymi się reszkami jedzenia, tu i ówdzie przyczaiły się puste butelki po różnych tanich alkoholach. W zasięgu ręki niegdysiejszej akuszerki spozywała też strzelba, w której Gunn zaraz rozpoznał wiatrówkę Lincoln Jeffries, przynajmniej dwudziestoletnią.

Kobieta drgnęła, wydała z siebie odgłos przypominający chrząknięcie. Salomon powoli podszedł bliżej, podniósł wiatrówkę i odstawił nieco dalej. Potem przyjrzał się Mary Ann Stanson. Rzadkie, płowe włosy układaly się na jej głowie w strąki; bladą twarz, podobnie jak skórę dloni, znaczyły sine plamy. Cuchnęło od niej stęchlizną, moczem, alkoholem, skwaśniąłym potem. Kobieta wyglądała, jakby od dłuższego czasu nie żyła, tylko jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Pani Stanson – powiedział. – Pani Stanson, proszę się obudzić.

Ocknęła się dopiero, kiedy potrąsnął nią za ramię. Szarpnęła się, wybełkotała coś niewyraźnie, z kącika ust popłynęła jej ślina. Z trudem

otworzyła oczy: powieki miała sklejone żółtawą ropą jak noworodek, a białka obrzydliwie zaczerwienione.

– Co... – wychrypiąła. – Kto pan... Czego pan chce ode mnie?!

– Pani Stanson, nazywam się Salomon Gunn. Chciałbym z panią porozmawiać.

– Jak pan tu wszedł? To mój dom! Nie ma pan...

– Pani Stanson, proszę się uspokoić, naprawdę...

Wzrok kobiety padł na strzelbę. Poderwała się z miejsca i rzuciła w jej kierunku, ale ścierpiące nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zwaliła się z jękiem na ziemię, zaczęła płakać i zawodzić:

– Niech mnie pan zostawi! Niech się pan wynosi! Won!

– Na litość boską, niech się pani opanuje!

Spróbował jej pomóc wstać, ale oddepchnęła jego ręce, odsunęła się od niego na czworaka. Dopadła wreszcie do strzelby, chwyciła za kolbę, ale wiatrówka wyślizgnęła się jej, spadła z hukiem na podłogę.

– Nie chcę zrobić pani krzywdy! – oznajmił Gunn, machając przed sobą flaszką ginu. – Chcę porozmawiać! Tylko porozmawiać!

Kobieta wyglądała żałosnie: łzy spływały jej po zaczerwienionych policzkach, wodnistre smarki ciekły z nosa, a patykowate ręce szalały, jakby nie wiedziały, co począć: ocierać twarz, próbować wstać, sięgać ku broni czy osłaniać jej kruche ciało przed tym nieznajomym człowiekiem w czerni.

– Proszę mnie zostawić! – powtarzała gorączkowo. – Nic panu nie powiem. Nic nie mam do powiedzenia. Ja nic nie wiem. Proszę!

Próbował tłumaczyć, że chodzi o Drake'a, o jego książkę, ale nie słuchała go, kręciła głową, zamknęła zapłakane oczy i powtarzała coraz głośniej:

– Jeśli pan nie wyjdzie, będę krzyczeć! Zjawi się policja, nie może pan, to mój dom, mój, nie wolno panu...

Sądził już, że to wszystko na marne, że ona lada moment faktycznie zacznie wrzeszczeć w niebogłosy, jakby ją obdzierał ze skóry. Ostatnie, czego teraz potrzebował, to problemy z policją.

Wtedy chwycił się jedynie deski ratunku, jaka mu została. To mogło być okrutne, beznadziejne pudło. Ale musiał zaryzykować.

– Wiem o Godwillu i dzieciach! – krzyknął. – Wiem o klasztorze! Mary Ann Stanson nieoczekiwanie umilkła. Znieruchomiała, popatrzyła na niego spomiędzy rozcapierzonych palców.

– Co pan powiedział? – zapytała.

– Wiem, że w klasztorze coś się wydarzyło. Wiem, że przeor Godwill jest w to zamieszany i że wszystko zaczęło się, gdy w klasztorze mieścił się sierociniec. Wiem, że ma to jakiś związek z książką Roberta Drake'a. Proszę. Tylko pani może mi pomóc.

Nieco później Mary Ann Stanson siedziała z powrotem w swoim fotelu bujnym, starannie okryta zatęchłym pledem. W dłoni trzymała szklankę pełną ginu. To była już jej druga szklanka; pierwszą wypiła na raz, jakby to była ostudzona herbata. Żeby wypłoszyć posępny półmrok, Gunn zapalił lampkę naftową – prądu nie było, zapewne z powodu nieplaconych rachunków – ale w jej słabym blasku bezładnie ustawione sprzęty, porozrzucane szmaty i sterty śmieci nabraly jeszcze bardziej złowrogiego, niepokojącego charakteru.

Kobieta upiła gina, przełknęła trunek z krzywym grymasem na twarzy, a potem odetchnęła z ulgą.

– Jak się nie napiję, nie mogę zasnąć – powiedziała. – Czasami przez ból, czasami przez wspomnienia. A to – obróciła w dłoni szklaneczkę – najtańszy środek przeciwbolesny. Jedyny, na jaki mnie stać.

Gunn milczał. Miał przeczucie, że pozwalając jej mówić, może dowieść się więcej, niż gdyby zadawał pytania.

Prędko okazało się, że miał rację.

– Tylko pani może mi pomóc – powtórzyła słowa Gunna, kręcząc głową. – Słyszałam to już kiedyś. Dawno temu. Pewien młody zakonnik przeszedł do mnie w nocy i wypowiedział te same słowa. Mojego męża wtedy nie było, przebywał z wizytą u swojego przyjaciela w Londynie. Nie ma dnia, kiedy nie zastanawiam się, co by było, gdyby to jego tu wtedy zaślali, gdyby to on pojechał do Yelland, a nie ja...

– Ten zakonnik – przypomniał Salomon. – To był Godwill?

– Tak. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak się nazywa. Prosił, żebym z nim poszła. Niech będę przeklęta, że go posłuchałam. – Zamilkła.

Wyglądała, jakby walczyła ze wspomnieniami, przeżywała po raz wtóry poszczególne sceny. Nagle otrząsnęła się, pociągnęła ze szklanki i popatrzyła na Salomona. – Pamiętam ludzi, którym opowiadałam o tym później. Nie byli wcale inni niż ty. Byli dumni i mądrzy. Sądzili, że wiedzą wszystko. Nazwali mnie wariatką. – Prychnęła ze złością. Gunn mógł tylko się domyślać, jak szalała wtedy, gdy była młoda i pełna życia. – Mojego męża to wykończyło. Nie od razu. Był dobrym człowiekiem, ale nawet on mi nie wierzył... choć nie miałam przecież po co kłamać, prawda?

Salomon nie odpowiedział.

– A ja nie miałam wątpliwości, co widziałam tamtej nocy. Boże wszechmogący, przeklinam chwilę, kiedy moja stopa przekroczyła klasztorną bramę...

Znowu zamysliła się na parę chwil. Gunn stał w milczeniu, aż sobie o nim przypomniała.

– Pan chciał mówić o Drake'u. Co pan wie?

– Znam tylko tytuł. Właściwie nic więcej.

Mary Ann Stanson pokиwała głową. Nagle zadrżała, wolną dlonią podciągnęła pled wyżej, pod samą brodę. Włała w siebie kolejny łyk ginu i wyciągnęła rękę po więcej. Gunn z ociąganiem uzupełnił szkło. Miał nadzieję, że kobieta coś mu powie, zanim upije się do nieprzytomności. Wydawało się jednak, że potrzebuje trunku, potrzebuje go jak głębokiego oddechu, zanim znowu da nura w przeszłość.

– Drake zebrał podania krążące po mniejszych wioskach w całym hrabstwie Devon. O istotach, które żyły w morzu: ludziach z łuskami zamiast skóry i błoną pławną między palcami. Głupstwa, którymi matki w okolicy dawniej straszły dzieci.

– To nie głupstwa – mruknął Gunn.

Mary Ann Stanson pokiwała głową.

– Nie – przyznała. – Przekonałam się o tym tej nocy, kiedy przeszedł po mnie ten zakonnik. Zawiódł mnie powozem do klasztoru. Zabrał do pustego skrzydła, z dala od sierocińca, z dala od refektarza i cel. – Kobieta uniosła szkło do ust, zamarła z nim przy wargach. Jej wzrok się

rozmył, stracił ostrość, jakby spoglądała nie na Gunna, ale w głąb siebie, w mętną toń wspomnień. Potem nagle zacisnęła mocno powieki i wychyliła duszkiem pół szklanki. Była w tym geście desperacja, która zmroziła Salomonowi krew w żyłach. Potem kobieta otarła usta wierzchem dłoni i mówiła dalej: – Trzymali tam dziecko. Dziewczynkę. Miała osiem lat... może dziewięć. W zaawansowanej ciąży.

Gunn nachylił się bliżej. Nie chciał uronić ani słowa.

– Co się tam stało? – ponaglił kobietę.

Przez kilka sekund Mary Ann Stanson siedziała w bezruchu, z otwartymi ustami i drżącymi wargami. Popatrzyła na Gunnę, ale zaraz odwróciła wzrok. Samotna łza uciekła jej z kącika oka i popłynęła w dół po policzku.

– Dziewczynka była zbyt młoda, żeby urodzić. Cud, że tak długo nosiła dziecko. Mówiąłem, że trzeba wezwać lekarza, że ja sobie nie poradzę. Nie chcieli o tym słyszeć. Powtarzali, że muszę spróbować, że jestem jej jedyną szansą. Że jeśli nie pomogę, ona przeze mnie umrze. Zrobiłem cesarskie cięcie, wcześniej już asystowałam, gdy mój mąż to robił. Sądziłem, że mi się nie uda, że ona i tak umrze. Pomyliłem się. Nie tylko w tej kwestii: byłam pewna, że płód już nie żyje.

– Żył – domyślił się Salomon.

Kobieta zamknęła znowu oczy, dotknęła palcami powiek, jakby próbowała wycisnąć spod nich łzy albo złe wspomnienia. Wciągnęła powietrze gwałtownie, ze świdrem. Gdy znowu przemówiła, słowa synęły się nagle, jak paciorki z zerwanego naszyjnika:

– Nigdy nie zapomnę tego widoku. Maleńkie dłonie pośród krwi, jakby szukały wyjścia. Palce u stóp łączyła błona jak u żab. Wzięłam dziecko na ręce i prawie je upuściłam. – Mary Ann jęknęła, nakryła usta dłonią. – Było zimne i oślimo. Jak ryba.

Gunn poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Nawet nie kazali mi milczeć – mruknęła kobieta chwilę potem już innym głosem, spokojniejszym, zrezygnowanym, smutnym. – Wiedzieli, że nikt mi nie uwierzy. Ale ja to dobrze pamiętam. Pamiętam wzrok tego, który teraz jest przeorem. Jeśli widziałam kiedyś szaleńca, to

właśnie wtedy, tamtej nocy. – Znowu ucichła, przejechała językiem po wargach. Spojrzała tesknie na flaszkę w dłoniach Gunna. Ten wyciągnął butelkę w jej stronę, ale kobieta pokręciła głową, odstawiła szklankę na stół i okryła się szczelniej pledem. Przymknęła oczy. Wyglądała, jakby szykowała się do snu. – Mogłam zabić to coś. Miałam nóż pod ręką. Nie miałam tylko odwagi.

– Co to było? – nie ustępował Gunn.

– Dziecko – odparła Stanson. – Dziecko człowieka i jednego z potwów z głębin. Jednego z tych, o których pisał Drake. – Otworzyła jedno oko i spojrzała na Gunna. – I co pan myśli o historyjce starej wariatki?

Salomon nie odpowiedział. Coś sprawiało, że nie wątpił w ani jedno słowo wypowiedziane przez kobietę. Czuł wiele różnych rzeczy – wstyd, odrazę, żal – ale przede wszystkim wściekłość. Przeraźliwie lodowaty, trawiący go od środka płomień gniewu.

Do połowy opróżnioną flaszkę postawił na stoliku. Wstał i zerknął w kierunku wyjścia z pokoju. Potem raz jeszcze obrzucił spojrzeniem dawną akuszerkę.

– A dziewczynka? – zapytał. – Kim była?

Wydawało się, że kobieta nie odpowie. Stopa w rozlatującym się kapciu wysunęła się spod koca, oparła na podłodze. Łagodny ruch fotela w tył i w przód kołysał panią Stanson do snu, pomagał się uspokoić, na nowo zapomnieć.

– Nie wiem – odpowiedziała nagle. Mówiła cichutko, jakby bała się, że zbudzi przysypiające demony.

Salomon odczekał jeszcze chwilę, po czym ruszył do wyjścia. Głos kobiety zatrzymał go w korytarzu, słaby, ale jednak wyraźny.

– Pamiętam, że Godwill mówił jej: Evelyn – powiedziała.



Nie minęło dziesięć minut, a zdyszany Gunn wpadł na posterunek w Barnstaple. Rozejrzał się po wyłożonym starą boazerią korytarzu i podbiegł do kraty, za którą siedział dyżurny.

– Tak? – spytał policjant, nie podnosząc głowy znad wypełnianego formularza.

– Szukam Evelyn Carmichael.

– Nie ma jej.

– Jak to? – Salomon chwycił za kraty dzielące go od dyżurnego. Po wizycie u Mary Ann Stanson wiedział za dużo; musiał się z kimś podzielić tą wiedzą, bo czuł, że inaczej eksploduje.

– Została wezwana w teren.

– Co takiego?! Dokąd? – krzyknął Gunn. Dyżurny obdarzył Salomona ostrzegawczym spojrzeniem.

– Kim pan jest? Czemu pan pyta o konstabl Carmichael?

Gunn się zawahał. Co miał powiedzieć? Bo przecież nie prawdę. Jedynym efektem, jaki mogłoby to przynieść, byłby stosunkowo dlugi czas w odosobnieniu, z żołądkiem pełnym leków i rękoma zawiniętymi w mało wygodny kaftan.

Dał się ponieść fantazji:

– Jest w ciąży z moim dzieckiem, a za tydzień się pobieramy! Mam chyba prawo wiedzieć, gdzie jest moja przyszła żona – wycedził. Nie dbał o to, co będą później mówić lub myśleć o Evelyn. Liczyło się tu i teraz. Miał przeczucie, że Godwill zastawił na nią pułapkę. Wciąż nazbyt wyraźnie pamiętała ten bulgocący głos na chórze klasztornej kaplicy.

– Ja... o niczym nie wiedziałem – bąknął dyżurny. – Pojechała do Yelland, do klasztoru, bo wezwał ją przeor. Ponoć jeszcze jeden zakonnik popełnił samobójstwo. Jakiś Portugalczyk albo Hiszpan, sądząc z imienia. Fernando albo...

Frederico! – jęknął w duchu Gunn. Nie słuchał dłużej. Pomknął korytarzem i wypadł na ulicę.



Gdy Evelyn wysiadła z wozu, wrota już były otwarte. Stojący przy nich zakonnik z morową miną pokazał dłonią na skrzydło mieszkalne. Pospieszyła w tamtą stronę targana wątpliwościami. Dwa samobójstwa w tak krótkim

czasie nie mogły być dziełem przypadku. Nakaz biskupa, aby sprawę załatwić po cichu, niewiele w tym momencie zmieniał.

W progu budynku mieszkalnego powitał ją Godwill. Twarz miał bladą, a jego spojrzenie zdradzało... sama nie mogła zdecydować, co dokładnie. Jakby przez jego głowę pędziły tysiące myśli na minutę.

– Cieszę się, że pani tak szybko przyjechała, panno Carmichael. Nie wiem, jak mamy sobie z tym poradzić... Taka tragedia! Najlepiej niech pani sama na to spojrzy. Proszę, proszę za mną!

Poprowadził ją korytarzem. Szedł szybko, jakby mu się spieszyło, jakby marzył o chwili, gdy przekaże przerastającą go sprawę w ręce kogoś innego, pozbędzie się brzemienia. Próbowała dotrzymać mu kroku i nie poddać się nastrojowi grozy. W mrocznych murach, przy hulającym wietrze i siąpiącym deszczu, nie było to łatwe. Szczególnie że wyglądało na to, że w klasztornych ścianach zdominowała się śmierć.

Dotarli do refektarza. Przed drzwiami do pomieszczenia stał rosły zakonnik, który powitał ich skinieniem głowy.

– To tutaj – oznajmił przeor, po czym otworzył drzwi.

Stojący przed wejściem mężczyzna znienacka chwycił ją od tyłu za ręce. Obezwładnił ją z łatwością, uniemożliwił sięgnięcie po policyjną pałkę. Evelyn zaczęła się szarpać, ale równie dobrze mogłaby próbować wyrwać się z uścisku niedźwiedzia.

Potem spojrzała do środka refektarza i siły momentalnie ją opuściły. Nie przeraził jej widok kilku zebranych tam zakonników, mimo iż w ich oczach szaleństwo było równe widoczne, co księżyc na nocnym niebie. Nie zrobił tego również widok nagiego mężczyznę powieszonego na sznurze przerzuconym przez jedną z krokwi.

Całą jej uwagę pochłonęła stojąca na środku pomieszczenia istota o ciele pokrytym łuskami i twarzy będącej obrzydliwą krzyżówką człowieka, żaby i ryby.

– Witaj, matko – przemówił potwór, a Evelyn zaczęła krzyczeć.



Zanim wioząca go dorożka dotoczyła się do Yelland, było już ciemno. Woźnica nie zgodził się na dalszą jazdę w kierunku klasztoru, toteż Gunn wysiadł w centrum wioski, zapłacił i dalej ruszył pieszo.

Droga, która do tej pory wydawała mu się w miarę krótka, teraz ciągnęła się w nieskończoność. Buty uwierały go od wilgoci i wielu godzin chodzenia; chłodny wiatr wysysał resztki sił. Mokre ubranie sporo ważyło, a kolejne krople biły po twarzy i wdzielały się do oczu.

Wkrótce stanął obok daimlera zaparkowanego przed wrotami. Ze środka kompleksu nie dobiegał żaden dźwięk, choć w jednym miejscu za oknami jaśniąły płomienie lamp. Brama była zamknięta, więc Gunn pospieszył ku tylnej furcie. Po drodze nadstawał uszu. Nic. Deszcz i szum morskich fal bijących o głazy u podnóża skarpy. Poza tym cisza – doskonała pożywka dla wyobraźni.

Wejście zastał otwarte i chwilę później badał wzrokiem dziedziniec, kryjąc się w cieniu drewnianej szopy na narzędzia. Ani śladu ruchu. Równie dobrze klasztor mógłby od lat stać pusty.

Ruszył w stronę kaplicy. Przez uchylone drzwi dostrzegł niewiele, ale to mu wystarczyło. Gęsty mrok z paroma pomarańczowymi łatami – kilka dogasających świec na ołtarzu; dwie kolejne na końcu prezbiterium, u stóp masywnego krzyża; jedna między konfesjonałem i amboną. Świątynia była pusta, więc Salomon skierował się do skrzydła mieszkalnego.

Na pierwszego zakonnika trafił tuż za progiem. W środku było ciemno, więc nie zauważył go i potknął się o jego nogi. Podpełzł do nieruchomej postaci z zamiarem sprawdzenia pulsu. Nie musiał: ciało było zimne, zaczynało sztywnieć. Mężczyzna musiał nie żyć już jakiś czas. Salomon wyczuł pod palcami napięte mięśnie twarzy, jakby oblicze zakonnika zastygło w grymasie przerażenia. Potem jego uwagę zwróciło dziwne przekrzywienie głowy zakonnika.

Ktoś mu skręcił kark – domyślił się Gunn. Co tu się dzieje, do jasnej cholery?

Podniósł się, spróbował uspokoić oddech. Sam sobie wydawał się ociężał i powolny, jakby poruszał się w smole, a coś mówiło mu, że

powinien się spieszyć. Oparł dłoń na ścianie i ostrożnie ruszył przed siebie.

W połowie następnego korytarza, na parapetie okna, znalazła lampę naftową i zapałki. Gdy tylko ją rozpalili, w kącie ujrzał kolejnego zakonnika. Mężczyzna leżał na posadzce z dłonią wczeplioną w fałdy habitu, jakby próbował palcami rozszarpać własny brzuch. Cuchnęło od niego treścią żołądkową, wokół ust widać było zaschniętą skorupę krwi i wymiotów.

Na kolejnego trupa trafił tuż przed drzwiami do refektarza. Zakonnik leżał na boku, z policzkiem w kałuży śmierdzącej brei. Koło niego leżała policyjna pałka. Gunn przykucnął obok niego, poświecił sobie lampą.

Trucizna. Ktoś ich otruł.

W refektarzu paliło się parę lamp, pod ścianami zaś migotały płomienie dwóch szeregów świec. Gunn mógł dobrze obejrzeć sobie pomieszczenie i prawdopodobnie dlatego zgiął się wpół, po czym zwymiotował. Dopiero po chwili uniósł wzrok, choć sporo go to kosztowało.

W podłużnym pomieszczeniu znajdowały się dwie długie ławy, a naprzeciw wejścia, nad skromną komodą, wisiał krzyż. Ściany zdobiły obrazy i ikony ze scenami z dziejów apostolskich; pod jedną z nich stał wysoki zegar z wahadłem. Niemal dokładnie na środku z jednej z krokiw zwisał sznur, na sznurze natomiast kołysał się nagi Frederico. Krew z rozpłatanego brzucha spływała mu po nogach i kapała na posadzkę, z rany powolutku wyślizgiwały się również jego wnętrzności. Twarz miał siną i przeraźliwie wykrzywioną, a w ustach gałgan tłumiący krzyki. Musiał niedawno umrzeć.

Poza nim w refektarzu leżały ciała innych zakonników, łącznie jedenaście. Wszyscy wyglądali, jakby umarli w męczarniach: taplali się w własne odchodach i rzygowniach zmieszanych z krwią. Kiedy Gunn, przechodząc między nimi, przez przypadek potrącił jednego, ten nieoczekiwanie zaczął rzęzić, niezdarnie poruszać rękoma, a jego powieki szaleńczo zatrzeszczały.

– Wody – wychrypiął, gdy Salomon kucnął obok niego i spróbował unieść jego głowę. Najwyraźniej nie dbał już o śluby milczenia.

Gunn rozejrzał się dookoła. Znalazł w końcu cebrzyk z wodą, nabrał jej drewnianą chochlą. Zbliżył się do zakonnika i pomógł mu wypić przy najmniej kilka małych łyków. Tamten krztusił się, syczał z bólu, skręcał się w cierpieniu, jakby mu napchano do brzucha pokruszonego szkła.

– Co tu się stało? – zapytał Salomon.

– Oddaliśmy mu ją – wymruczał zakonnik. – Zwabiliśmy ją tutaj i oddaliśmy mu, tak jak chciał. A on wtedy... – Urwał, kaszlnął, skrzywił się z bólu. – Nie byliśmy mu już potrzebni. Tak powiedział. A potem... – Zerknął w bok, na ciałach swoich konfratrów.

– Kto? – spytał Gunn. – Kto to był?

Mężczyzną targnął kolejny spazm: zgiął nim wpół, naciągnął potwornie skórę na jego twarzy, obnażył zaciśniętezęby.

– Mamił nas – wykrztusił zakonnik chwilę później, głosem znacznie słabszym. – Obiecywał, że będądziemy świadkami... przyjścia Zbawiciela. Początku nowego świata.

Znowu cisza. Gunn nachylił się nisko, mimo odoru zatrutych wymiotów i na koniec złowił jeszcze szept:

– Wszyscy skończymy w piekle. I dobrze.

Zaraz później zakonnik umarł.

Gunn rozejrzał się po pomieszczeniu. Czy to tutaj zakonnicy urządzili zasadzkę na Evelyn? Wydawało się to prawdopodobne. Ale co potem? Gdzie ona, gdzie Godwill i gdzie tajemniczy mieszkaniec klasztoru, co do którego Salomon miał coraz paskudniejsze podejrzenia?

Z lampą w dłoni opuścił refektarz i ruszył wzdłuż korytarza. Zaglądał do mijanych pomieszczeń, wędrował w górę i w dół po schodach. Szedł szybko, jego kroki odbijały się wśród martwej ciszy panującej wewnątrz murów niepokojącym echem.

– Evelyn?! – krzyknął, po czym zatrzymał się, by nasłuchiwać odpowiedzi. Dotarł do niego tylko szum wiatru oraz deszcz bębniący o dach, o okna i parapety, gulgoczący w rynnach. Nic więcej.

Szedł dalej. W kilku miejscach natrafił na kolejnych otrutych zakonników. Wszyscy byli martwi i wszyscy wyglądaли, jakby pukając do bram raju, odkryli nagle, że tak naprawdę łomoczą we wrota piekieł.

– Evelyn? Evelyn?!

Nic. Żadnej odpowiedzi. Żadnej wskazówki, gdzie szukać.

Gunn obszedł obie kondygnacje skrzydła mieszkalnego i znalazł się z powrotem przy drzwiach refektarza. Godwill i Evelyn jakby wyparowali. Mężczyzna zapatrzył się na hojnie oświetlone wnętrze pomieszczenia i pomyślał, że nigdzie indziej w całym klasztorze nie trafił na choćby jedną tłączą się świecę. Coś mu mówiło, że rozwiążanie zagadki tkwi właśnie w refektarzu, nigdzie indziej. Z początku nie wiedział, skąd ta pewność, ale później dotarło do niego, że zakonnicy jadali przecież posiłki przeważnie w odosobnieniu swoich cel. Czemu w takim razie miał służyć refektarz, pomieszczenie będące ni mniej, ni więcej tylko klasztorną jadalnią? Salomon przeklął cicho, marszcząc nos.

Gdyby tylko nie ten paskudny smród... Ledwie mogę się skupić.

Faktycznie, w pomieszczeniu cuchnęły wymiotami, odchodami, moczem, krwią i śmiercią, ale potem zdał sobie sprawę z tego, że to nie wszystko. Minęła chwila nim zrozumiał, że czuć tu również gnijącymi rybami, a także słabiej: morską solą i... rzecznym mułem. Przypominał sobie spotkanie z tajemniczym nieznajomym na chórze kaplicy. Wtedy czuł to samo. Zaczął węszyć jak pies, ale mógłby przysiąc, że w całym pomieszczeniu zapach był równie intensywny.

Gdzie oni mogli się podziać? Myśl, głupcze, myśl! – poganiał samego siebie. Czas mijał, a on czuł, że Evelyn mu się wymyka; że jest gdzieś tam, na łasce Godwilla i potrzebuje pomocy. Jego wzrok padł na tarczę zegara i Salomon zdziwił się, że jest tak wcześnie.

– Trzecia siedemnaście? – mrucnął, po czym sięgnął do kieszeni, w której trzymał zegarek. Brakowało paru minut do siódmej wieczorem. Ta wersja była znacznie bardziej do przyjęcia.

Miał pójść dalej, ale traf chciał, że raz jeszcze spojrzał na zawieszoną nad wahadłem tarczę. Była zrobiona z drewnianej płyty, na której po złacaną farbą wymalowano barokowy wizerunek słońca. Każdej godzinie odpowiadał pojedynczy promień. Niespodziewanie nabrął pewności, że skądś ten widok kojarzy.

Gdzie ja to widziałem, do cholery? – zastanowił się Salomon i w tej samej chwili sobie przypomniał. Wyszarpnął zza paska wciąż tkwiący tam krucyfiks z pokoju Gabriela. Na odwrocie znalazł to, czego szukał – miniaturowe słoneczko z dwunastoma promieniami, z których dwa zaznaczone były grubszą kreską. Jeśli słońce na krzyżyku miało być tarczą zegara, to wskazówki układały się w godzinę trzecią. „Komu w drogę, temu czas” – napisał szyfrem Gabriel. Teraz Salomon zrozumiał, co jego kuzyn miał na myśli.

Podszedł do zegara i ujął wskazówki w dłonie. Stawiały opór, ale w końcu udało mu się je poruszyć. Ustawił dłuższą na dwunastce, krótszą na trójce. Nagle jakiś mechanizm zaszczekał po drugiej stronie drewnianej obudowy, po czym zegar uniósł się na szerokość palca i przesunął w bok, odsłaniając w ścianie wąskie przejście. Zapach morskiej wody i psującego się rybiego mięsa a także wilgoć i chłód uderzyły w twarz Salomona z nieoczekiwana siłą.

Nie wiem, kim jesteś – pomyślał Gunn – ale zaraz cię dorwę, skurwysynu.

293



Korytarz był wąski, o niedbale wymurowanych, ceglanych ścianach zlepionych lichą, kruszącą się zaprawą. Z głębi przejścia ciągnęło wilgocią, powietrze było przesycone solą. Po kilkunastu metrach biegących – o ile Salomon mógł się zorientować – równolegle do któregoś z innych klasztornych korytarzy pojawiły się stopnie wiodące w dół. Gunn nie mógł mieć pewności, ale wydawało mu się, że słyszy przytłumiony odległośćą huk wody przewalającej się między skałami.

Miał już ruszyć w dół, kiedy jego uwagę zwróciła obluzowana cegła po prawej stronie przejścia. Wyciągnął ją bez większych problemów, podobnie jak dwie kolejne – zaprawa ledwie trzymała. Gdy przysunął bliżej lampę, okazało się, że po drugiej stronie znajduje się maleńka komora. Minęła chwila, nim poluzował parę kolejnych cegieł na tyle, by dokładniej obejrzeć jej wnętrze.

Klitka miała kwadratową podstawę o boku długim na krok. Boczne ścianki, podobnie jak rozpadający się front, wykonane były z cegieł, choć połączone znacznie porządniej. Ostatni bok komórki składał się natomiast z solidnych kamiennych bloków, które stanowiły główny budulec całego klasztoru. Gunn zrozumiał, że dawniej korytarz był niemal dwa razy szerszy, ale jakiś czas temu ktoś wstała ceglane ścianki, dzieląc go na dwie połówki, następnie zaś zamurował fronty powstałych pomieszczeń, tworząc szereg zamkniętych komórek.

– I chyba nawet wiem kto, przeorze Godwill – mrucnął pod nosem Salomon. – Coś mi mówi, że wiem też kiedy. Dwadzieścia lat temu. Diabli tylko wiedzą, po co.

Przełożył lampę z ręki do ręki i dopiero wtedy zauważył, że na dnie komórki coś leży. Przysunął twarz do wyrwy utworzonej w ścianie i spojrzał w dół.

Natychmiast tego pożałował.

Posadzkę w miniaturowej celi wypełniała nadgryziona zębem czasu tkanina, która równie dobrze mogła być letnią sukienką, co całunem pogrzebowym. Pomiędzy jej fałdami natomiast widniały kości pokryte potwornie pomarszczoną, cienką jak pergamin, popielatą skórą. Nad całością górowała czaszka otoczona gęstwiną loków, które kiedyś musiały być złociste. Gunn nie miał wątpliwości: ktoś został w tej komorze zamurowany.

Najbardziej przerażające było to, że – zważywszy na rozmiar czaszki i kości – ten ktoś musiał być dzieckiem. Najwyżej dziesięcioletnią dziewczynką.

Co się dzieje, na litość boską? – pomyślał Salomon. Albo raczej: co się dzieło? Czemu Gabriel i Frederico musieli umrzeć?

Drżała z podniecenia zmieszana ze zgrozą. Spróbował zrobić podobną dziurę w jednej z pozostałych komórek. Cegły stawili zacieklejszy opór, ale i one po chwili ustąpiły, choć nie miał do dyspozycji nic ponad własne dłonie, siłę i wypełniającą go złość.

Spodziewał się już, co może znaleźć w komórce, ale i tak zrobiło to na nim wrażenie. Zwłoki dziewczynki były w podobnym stanie co poprzednie, te jednak miały wyraźnie przetrącony kark. Przyszło

mu do głowy, że dziecko zostało przynajmniej zamurowane już po śmierci i momentalnie pożaławał tej myсли. Nie chciał zastanawiać się nad tym, czy dziewczynka, którą znalazł kilka minut wcześniej, nie spędziła przypadkiem w mroku ciasnej zimnej klatki ostatnich dni swojego życia.

Już wcześniej zwymiotował całą zawartość żołądka, ale teraz nudności powróciły. Szarpnęło nim kilka razy, wreszcie splunął pod nogi gorzką żółcią. Otarł usta i podniósł się. Zrobił parę kolejnych kroków, spoglądając na ceglaną ściankę, na to jak długa była i jak wiele identycznych komór mogła jeszcze kryć.

Na miłość boską – pomyślał Gunn. Godwill, skurwysynu, coś ty zrobił?

Dla pewności, rozbił kawałek trzeciej ścianki. Podobnie jak w dwóch poprzednich, także i tutaj znajdowało się dziewczęce ciało. Tym razem jednak było tam coś jeszcze.

Obok zwłok dziewczynki leżały inne, które Salomon w pierwszej chwili wziął za truchło jakiegoś zwierzęcia. Minęła chwila, nim rozpoznał małeńkie rączki i stópki oraz nieproporcjonalnie duży oval główka. Kompletnie zdąbiał, widząc noworodka. Było to jednak niczym w porównaniu z tym, co poczuł, gdy zdał sobie sprawę z tego, że dziecko miało nienaturalne owalne, jakby rybie usta i paskudne zgrubienie ciągnące się od karku aż po pośladki, a przypominające kształtem zalążek płetwy.

Boże wszechmogący! – jęknął w duchu Salomon. Co to jest, do cholery?!

Bał się, że zna odpowiedź. Podobnie jak Robert Drake i Gabriel. Zastanawiał się, czy jeśli Evelyn zginęła, to przynajmniej wiedziała, co ją zabiło.

Evelyn! – przypomniał sobie nagle. Komórki i dziecięce zwłoki nazbyt go pochłonęły. Im przecież nie mógł już pomóc.

Pospieszył w kierunku schodów i ruszył spiralą w dół, ku morskiej wodzie bijącej o brzeg i złu, które się tam czało.

Schody ciągnęły się w dół tak długo i stromo, że Gunnowi zaczęło kręcić się w głowie. Szybko stracił orientację. Miał wrażenie, że musiał zejść na dobre dziesięć, może nawet piętnaście metrów poniżej skarpy, na której wzniесiono klasztor.

Stopnie urwały się, przeszły w długi na cztery kroki korytarz o murowanych ścianach, by doprowadzić do załomu. Dalej rozciągała się naturalnie wyżlobiona jaskinia. Gdy Salomon dotarł do końca schodów, zostawił lampa na jednym ze stopni. Nie chciał, by światło zdradziło jego obecność.

Pokryte naciekami ściany pieczary rozświetlał blask pojedynczej latarni znajdującej się gdzieś poza polem widzenia Salomona. Szum przewałujących się mas wody wciąż brzmiał głucho, jakby jaskinię dzielił od brzegu masywny blok skał. Oprócz tego słyszać było powtarzający się hałas, przerąźliwie głośny bulgot i siorbanie w jednym, jakby woda uciekająca z gigantycznej umywalki. Gunn mógł się tylko domyślać, że jaskinia posiada zbiornik połączony podziemnym tunelem z ujściem rzeki. To tłumaczyłoby zapach morskiej soli oraz rzecznego mułu.

W tym momencie Gunn usłyszał głosy. Dochodziły z części jaskini, której nie mógł zobaczyć, nie wychylając się zza załomu. Przysunął się do ściany i wytężył słuch.

– Co teraz? – zapytał ktoś. Salomonowi wydawało się, że to Godwill, ale nie mógł mieć pewności.

– Teraz odejdziesz i zostawisz mnie w spokoju – odparł ktoś inny. To był ten sam mlaskający, gardłowy tenor, który Gunn słyszał na chórze w kaplicy. Brzmiał jakby ktoś próbował mówić, równocześnie walcząc z flegmą spływającą po ścianach gardła.

– Odejść? Ale... Jak ja wyjaśnię się ze śmierci wszystkich zakonników? Co mam teraz robić, panie? Zaufałem ci! Uwierzyłem w wasze słowa! – gorączkował się ten drugi. Teraz Salomon był już pewny, że głos należy do przeora.

– Jeśli nie umiesz zniknąć – zarechotał ten drugi – mogę ci pomóc. Nigdy więcej nie będziesz się już niczym przejmował. Tego pragniesz?

– Obok rozbawienia pojawiła się groża.

Gunn wybrał akurat ten moment, by wyjrzeć zza załomu, licząc na to, że Godwill oraz jego tajemniczy przyjaciel będą zbyt pochłonięci rozmową i go nie zauważą.

Jaskinia była półokrągła, a na sklepienie padały refleksy rzucane przez samotną lampę i odbite od taflí. W kącie, obok wypełnionej dziurą wody, kuliła się – nie wiedział, czy z bólu, czy z przerażenia – Evelyn. Parę kroków od niej stał Godwill, przed nim zaś wysoki młody człowiek w szacie zakonnika. Był okropnie chudy, a jego długie, smukłe kończyny kojarzyły się Gunnowi z wężami. Na tym zresztą podobieństwa się nie kończyły. Twarz obcego, co Salomon stwierdził dopiero po chwili, pokryta były zielonkawo szarymi łuskami, usta zaś miały mięsiste, okrągłe i wydatne, jak u jakieś wynaturzonej krzyżówki ryby z ropuchą.

Sądził, że go nie zauważą.

Mylił się.

Godwill chyba wiedziony szóstym zmysłem natychmiast zwrócił głowę w jego stronę i jęknął. Jego twarz wykrzywił dziwny grymas, gdy strach zmieszał się ze złością.

– Ty?! Skąd... tutaj?! – krzyknął, po czym zwrócił się do swego rybożabiego towarzysza: – Jeśli on nas znalazł, policja będzie tu lada chwila! Musimy uciekać!

– Ja nie uciekam – zabulgotała istota. Coś w jej mimice sugerowało, że przeor powiedział rzecz niezwykle zabawną.

Godwill wydawał się rozdarty pomiędzy pragnieniem ucieczki i lojalnością wobec stwora w habicie.

– Tyle lat – powiedział, garbiąc się przed tą ohydną hybrydą. – Robiłem wszystko... dbałem o ciebie... troszczyłem się... bez mnie... bezem...

Zabrakło mu słów i wpatrywał się już tylko błagalnie w nieludzki pysk, w oczy, które gdyby nie brak rzęs i brwi oraz łuski na powiekach, byłyby na wskroś ludzkie. Wyglądał jakby miał lada moment się rozpłakać.

– Spełniłeś swoją rolę – oznajmił potwór. – Teraz odejdź. Nużysz mnie.

– Nie! – Godwill zapiszczał rozpaczliwie, niemal dziewczęcym głosem. – Nie, błagam! Nie możesz... nie wolno ci... nie po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem! Nauczyłem cię wszystkiego! Nie możesz...

Stwór zmrużyły ślepia, przekrzywił głowę, wykrzywił tłuste wargi.

– Nie mogę? – powtórzył.

Przeor znieruchomiał. Nagle pojął, że popełnił błąd. Wybałuszył oczy, otworzył usta.

– Ja...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Ruchem tak szybkim, że Salomon niemal go nie zauważył, potwór chwycił Godwillę obiema długimi, chudymi rękoma za szyję. Przeor wierzgnął, wydał z siebie zduszony skrzek, parę razy uderzył czubkami butów w ziemię. Potem rozległo się upiorne, mokre chrupnięcie i mężczyzna zwiotczał, zwiśał bezwładnie. Stwór rozwarł palce dłoni i trup Godwillę zwalił się na ziemię jak kawał sprawionego mięsa.

Evelyn jęczała, modliła się albo przeklinała – Gunn nie był pewien, co takiego kobieta robi. Słyszał ją niewyraźnie, jej słowa zlewały się w bełkotliwy strumień. Nie mógł się poruszyć; stał na drżących nogach i wpatrywał się w tę obca istotę.

Ona natomiast przejechała po wargach długim, niekształtnym językiem i przeniosła swoje spojrzenie na Salomona, złowiła jego wzrok.

298

– On nie wiedział, że policja nie przyjedzie – odezwała się swoim bulgocącym głosem. – Ja wiem. Wiem, że jesteś sam, człowieku. Zdany na moją łaskę.

Gunn nie miał pojęcia, co zrobić. To, co przed chwilą zobaczył, powiedziało mu, że próba ucieczki nie ma sensu, tak samo jak walka. Ten potwór dogoniłby go błyskawicznie i połamał mu wszystkie kości jak cienkie, suche patyczki. W każdej sekundzie mogło z niego zostać tyle, ile z Godwillą – pozbawiony życia worek pełen kości i krwi.

– Kim jesteś? – spytał.

Stwór rozciągnął usta w potwornym grymasie, który Gunn wzяł za uśmiech.

– Mój ojciec nadał mi wasze imię. Nazywam się Adam.

Było w tym oświadczeniu coś podniosłego i przerażającego równocześnie. Bluźnierstwo. Pogarda. Groźba.

– Twój ojciec?

Istota skinęła głową. Później spojrzała za plecy, na tylną ścianę jaskini. W tym słabym świetle Gunn dostrzegł coś na kształt tronu wyżłobionego

w kamieniu, a na nim krępa, niską sylwetkę humanoida o rybio-żabim łbie i nieproporcjonalnie długich, masywnych łapskach.

Lud morza – pomyślał Gunn. Robert Drake opisał prawdę. *Oni na prawdę istnieją.*

– Istnieli, człowiekowi – odparła istota. Salomon zadrżały, gdy dotarło do niego, że ten stwór najwyraźniej potrafił czytać w myślach. – Mój ojciec był jednym z ostatnich. Pozostali już nie żyją.

Dopiero teraz Gunn spostrzegł, że sylwetka na tronie spoczywa w kompletnym bezruchu.

Kolejna zasuszona mumia – pomyślał z odrazą. *Jak te dzieci na górze, zamurowane przez Godwillę.*

Wrócił spojrzeniem do stojącej przed nim hybrydy.

– Więc to ty jesteś dzieckiem, które urodziła Evelyn – rzekł. – Potomkiem ludu morza i rasy ludzi.

– Jest moją matką i będzie matką moich dzieci – przytaknął stwór. – Jestem zapowiedzią nowego stworzenia, człowieku. Nowego gatunku.

– Zapowiedzia?

– Moje dzieci będą posiadały moje zdolności oraz duszę ludu morza, jak nas nazywacie. Pod względem wyglądu będą jednak bardzo podobne do was. Tak bardzo, że staną się jednymi z was, będą żyć obok was.

– Tego chcesz? Przetrwania gatunku? – spytał Salomon.

Obcy pokręcił głową.

– Gdy urośniemy w siłę, zabijemy was. Wymordujemy wszystkich, jak wy mordowaliście nas przez stulecia. Lud morza nie zapomina. Czas zemsty nareszcie się zbliża.

– Dzieci potrzebują czasu, żeby dorosnąć. – Gunn pokręcił głową.

– A teraz, gdy zabiłeś tych zakonników, ktoś odkryje twoją obecność. Zabiją ciebie i twoje potomstwo.

– Braciszkiwie zginęli, bo nie byli mi dłużej potrzebni – zabulgotała istota. – Jestem dostatecznie silny, by zaopiekować się moimi dziećmi. Znam was, ludzi, poznalem was dobrze. Wiem, co się wydarzy. Nie będzie żadnych poszukiwań. Nie będzie grzebania za prawdą. Klasztor zostanie zamknięty. W ten sposób ja i moje dzieci będziemy mieli dom, tylko dla

siebie. Moje potomstwo będzie tu dorastało, w tych murach, w tej jaskini, gdzie zew morza i nienawiść do waszego gatunku wejdzie mu w krew i zakrzepnie w kościach. Zdobędę dla mych dzieci pożywienie i obronię je. Nauczę waszego języka i waszych zwyczajów. A kiedyś wypuszczę na świat i sprowadzę na was zgubę, człowiekowi. Ale teraz dość już słów. Nadszedł twój czas.

Adam dał krok w jego stronę. Gunn wiedziony nagłym impulsem wy ciągnął zza paska krucyfiks i wystawił przed siebie. Istota przekrzywiła głowę, przyjrzała się krzyżowi, po czym rozciągnęła usta w kolejnej obrzydliwej parodii uśmiechu.

- Wasza wiara w zabobony jest imponująca, człowiekowi.
- Twój własny ojciec nadał ci imię od tych zabobonów – odparł Gunn.
- Mój ojciec... mój ojciec dał mi siłę, o jakiej wasz Bóg i wasi święci mogli tylko marzyć.

Wyciągnął dłoń i zacisnął ją na krzyżu, a ten natychmiast rozleciał się z suchym trzaskiem na kawałki. Gunn patrzył z niedowierzeniem, jak potwór odrzuca za plecy drewniane odłamki.

- Tyle warta jest wasza wiara, człowiekowi.

Zabije mnie. Zaraz mnie zabije – zrozumiał Salomon. Wcześniej to do niego nie docierało. Obcość stwora za bardzo go przerżała i fascynowała, żeby myślał o grojącym mu niebezpieczeństwie. Teraz strach spadł na niego jak ciężka, mokra sieć, uniemożliwił ucieczkę, walkę, cokolwiek.

A potem złowił kątem oka ruch. Evelyn.

Jeśli zajmę sobą to coś, może jej uda się uciec – pomyślał.

Istota zwana Adamem wierzgnęła głową w bok, w stronę policjantki i Salomon nagle przypomniał sobie, że stwór potrafi przejrzeć jego myśli.

– Nie! – krzyknął.

Potem, nie bardzo zastanawiając się nad tym, co robi, rzucił się na bestię.

Wpadł na przeciwnika z impetem, chwytając go w pasie i starając się go wywrócić. Adam zachwiał się, ale ustał w pionie, przeniósł tylko nieznacznie ciężar ciała na drugą nogę. Gunn poczuł, jak stwór chwyciła go za płaszcz na grzbiecie i unosi w powietrzu. Bezradnie zamajtał

stopami. Smród gnijących ryb wdzięrał mu się do ust i nosa, dusił go i dławiał do spółki z gwałtownie rosnącym przerażeniem. Gunn próbował przytrzymać się Adama, ale ten szarpnął nim raz, z łatwością zrywając chwyt, a potem rzucił nim przed siebie. Mężczyzna przeleciał kawałek, po czym ciężko i boleśnie wylądował na ziemi. Upadek wydusił mu powietrze z płuc, pozbawił go sił. Salomon spróbował się podnieść, odczołać, zwiększyć dystans, ale poruszał się okropnie wolno, jak ślimak próbujący uciec przed wężem. Nie miał szans.

Adam znalazł się przy nim, podźwignął go do pionu. Potem uderzył go dwukrotnie w brzuch, raz w szczękę. Gunn poczuł eksplozję bólu, momentalnie pogubił się w tym, co się dzieje, stracił jakiekolwiek wyobrażenie na temat tego, gdzie góra, a gdzie dół, gdzie jego wróg, a gdzie droga ucieczki. Czuł krew w ustach, mokre ciepło rozlewające mu się po czole, zimne, ostre krawędzie kamików tnące go po policzku. Nie zauważył nawet, kiedy z powrotem zaledł na ziemi.

– Zdychaj, człowiek – oznajmił Adam.

Instynkt albo szczęście – któryś z nich sprawiło, że Gunn zdołał szarpnąć się w bok, w momencie, gdy miał otrzymać zabójczy cios. Usłyszał obok siebie łupnięcie i bulgotliwe stęknięcie potwora, poderwał się z ziemi. Krew zalała mu jedno oko. Nogi ledwo go słuchały, wprawione w ruch nie chciały się zatrzymać, więc Salomon wpadł na chropowatą skałę. Odsuwał się, próbował biec, ale Adam momentalnie znalazł się przy nim, przygwoździł go do ściany. Tłukł go zapamiętale, zamienił jego plecy w ognisko bólu. Gunn oparł się nogą o kamień, odepchnął z całej siły, wpadł plecami na hybrydę i odepchnął ją od siebie. Obrócił się w chwili, gdy potwór znów przeszedł do ataku. Uskoczył w bok, starając się zejść z linii ciosu. Zimna, pokryta łuskami pięść prześlizgnęła mu się po skroni, zdarła skórę, tak że na policzek Gunna spłynęła strużka krwi. Kolejny unik, zwiększenie dystansu. Salomon otrząsnął się, zaczął zerkać na boki w poszukiwaniu jakieś broni, czegoś, co mogłoby mu pomóc. Z braku lepszych alternatyw, chwycił leżący na ziemi kamień, cisnął nim w przeciwnika. Adam uchylił się, odłamek przeleciał mu nad głową. Dał krok w stronę Gunna, ale ten zdołał sięgnąć po kolejny kawałek skały,

zamachnął się i tym razem trafił potwora w brzuch. Istota wydała z siebie zaskoczony skrzek, na sekundę albo dwie znieruchomiała, przygarbiona, próbując złapać dech.

Gunn miał już w dloniach kolejny kamień, nie rzucił nim jednak. Kątem oka dostrzegł sylwetkę, właściwie cień postaci czołgającej się ku ścianie.

Evelyn – pomyślał Salomon.

W tym momencie Adam wykonał niemożliwy dla normalnego człowieka skok: w ułamku sekundy pokonał jakieś cztery metry i powalił Gunna na ziemię. Salomon zareagował natychmiast: zdzielił go kamieniem, najpierw w ramię, potem w głowę. Za drugim razem usłyszał miękkie klaśnięcie, a żabo-rybi pysk wykrzywił się, pod pokrywającymi policzek łuskami momentalnie rozlała się obrzydliwa plama.

To wtedy Gunn pomyślał, że może jednak ma szansę.

Trzeciego ciosu zadać już nie zdołał. Adam chwycił w nadgarstku uzbrojoną rękę Salomona. Jego długie palce zacisnęły się na niej niby stopniowo dokręcana żelazna obręcz. Gunn miał wrażenie, że skóra na ręce mu zaraz popęka, że jeszcze parę sekund i ta bestia pogruchoce mu kości. Nawet nie zauważył, kiedy wypuścił kamień, zdawał sobie sprawę tylko z paraliżującego bólu i z tego, że zdziera sobie gardło, wrzeszcząc wniebogłosy. Umilkł, gdy Adam chwycił go drugą ręką za szyję. Gunn próbował go z siebie zrzucić, kopał jak szalony, lewą dlonią starał się znaleźć coś, jakiś inny kamień, cokolwiek, a gdy mu się nie udało, próbował bić i drapać, nie dosiągał jednak pokrytego łuskami pyska, nie mógł też osłabić chwytu miażdżącego mu krtań.

W ostatniej rozpaczliwej próbie ratowania życia spróbował kopnąć przeciwnika między nogi. Udało mu się i potwór znieruchomiał, stęknął. Wzrok mu się rozmazał, mięśnie twarzy na chwilę zmiękkły. Potem Adam wydał z siebie odgłos przypominający zasysanie przez słomkę resztki wody z dnia szklanki. Gunn nagle poczuł, że jest w stanie nabrać tchu.

Zaraz potem stwór obnażył obrzydliwe uzębienie, mieszankę ludzkich zębów, spiczastych igieł jak u szczupaka i ostrych trójkątów godnych olbrzymiej piranii. Zasycał wściekle, a następnie chwycił Salomona i uniósł go z taką łatwością, jakby miał do czynienia z kilkuletnim

dzieckiem. Gunn nie zdążył zareagować, a już znowu wylądował na ziemi, łupnięcie plecami o grunt odebrało mu dech. Dech, którego nie miał czasu odzyskać, bo zimne łapska potwora zaraz potem wepchnęły mu głowę pod wodę.

Woda był lodowata, mętna i gęsta jak olej. Znajdowała się wszędzie i nie było od niej ucieczki: wypełniła mu usta, nozdrza, uszy. Zmroziła mu myśli, zacisnęła się wokół głowy jak o rozmiar za mała żelazna maska, naciskała na skronie, miażdżyła w swoim uścisku jego czaszkę. Wypełniła mu mózg czystym przerażeniem, stuprocentową paniką.

Gunn nic już nie mógł zrobić.

Był słaby niczym dziecko. Bezbronny.

To koniec – przemknęło mu przez myśl.

I nagle nacisk palców osłabił, ręce Adama zwiotczały. Salomon przypomniał sobie, że gdzieś tam poza wodą ma jeszcze resztę ciała, gdy poczuł na nim przytaczający ciężar. Ten zaraz zniknął i mężczyzna zrozumiał, że ktoś nim szarpie, ktoś pomaga mu wydostać się z wody. Nagle otoczyły go powietrze, mógł zaczepnąć tchu. Przewrócił się na bok i długo kaszał i krztusił się, wypluwał wodę gdzieś z głębi siebie. Ciagnęło się to bez końca, torsje wstrząsały nim bez końca, jakby nigdy nie zamierzały osłabnąć. Pomyślał, że umrze mimo wszystko, że wraz z tą przeklętą wodą lada moment wyrzyga płuca i żołądek. Nie wyrzygał. Zamiast tego w końcu zdołał odetchnąć. Kaszel wciąż trwał, tak samo jak wrażenie, że wszystkie wnętrzności skąpane ma w mieszance morskiej soli i rzecznego mułu, tak samo jak ten przerażający, obezwładniający nacisk zimna na czaszkę, gotowy w każdej chwili zgnieść mu lub, strzaskać jak pustą skorupkę. Gunn leżał, krztusił się, wpijał palce w kupki ostrzych kamyków. Oddychał. Żył.

W końcu uniósł głowę i zamrugał oczyma, starając się cokolwiek dostrzec.

Zanim zemdlał z bólu i zmęczenia, dostrzegł Evelyn stojącą nad martwym Adamem oraz najdłuższy z odłamków krucyfiksu wbity w oko potwora, wepchnięty głęboko w gąbczastą strukturę jego mózgu.



Port w Plymouth był szary i ponury, a na sąsiadujących z nabrzeżem uliczkach stała woda po porannej ulewie. Chmury barwy grafitu przetaczały się po niebie, jakby objęły je w niepodzielne panowanie. Gunn prawie zdążył już zapomnieć, jak wygląda słońce.

Stali wraz z Evelyn na nabrzeżu i patrzyli w spienione morze bijące o kadłub *Queen Ann*, którą Salomon miał wrócić do Stanów. Zapewniał Evelyn, że pojedzie do Plymouth pociągiem, ale kobieta zawiozła go na miejsce samochodem. Nie wiedział, czy chciała mu w ten sposób podziękować, czy po prostu uciec od wydarzeń z Yelland. Milczeli przez prawie całą drogę, wymieniając tylko zdawkowe uwagi na neutralne tematy.

Samotna mewa zakręciła nad ich głowami, zaskrzeczała i walcząc ze wzmagającym się wiatrem, podleciała do jednego ze słupów cumowniczych. Stanęła na nim, pokręciła się, po czym zaskrzeczała raz jeszcze, w sobie tylko znanym celu. Później poleciała dalej.

– Wrócisz tam? Do Barnstaple? – spytał w końcu. Zbliżała się chwila, kiedy będzie musiał wejść na pokład.

– Nie wiem – odpowiedziała. Nie patrzyła mu w oczy. Wiedział, że od czasu wydarzeń w Yelland Evelyn toczy nieustającą walkę z samą sobą. Żeby nie pograżyć się w rozpacz, żeby wciąż widzieć sens w budzeniu się rano i wstawaniu z łóżka. On stracił kuzyna, miał złamane dwa żebra, wciąż dręczyły go zawroty głowy, a z powodu obitych nerek podejrzewał, że jeszcze przez jakiś czas będzie sikał na czerwono. Niemniej za nic nie chciałby znaleźć się w jej skórze. Urodziła potwora; jako mała dziewczynka stała się matką hybrydy. Jeśli trudno było jej uwierzyć, że jeszcze czeka ją normalne życie, zupełnie go to nie dziwiło.

Ze statku rozległ się przeszywający powietrze gwizd. Ostatni ludzie zaczęli wchodzić na trap.

Gunn niespodziewanie objął Evelyn i przytulił z całych sił. Kobieta w pierwszej chwili cała zesztywniała, ale Salomon jej nie puszczał. Nic nie mówił, po prostu stał w miejscu i przyciskał ją do siebie. Wreszcie poczuł, że policjantka zaczyna drżeć. Trzęsła się z sekundy na sekundę coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie poddała się. Objęła go i złożyła głowę

na jego ramieniu, łaskocząc go włosami w szyję. Trwali tak, w milczeniu i bezruchu, aż do kolejnego gwizdu.

Dopiero wtedy Gunn puścił ją, cofnął się o krok. Popatrzyli sobie w oczy. Evelyn miała twarz mokrą od łez, ale zdołała się uśmiechnąć.

– Jest pani niezwykłą kobietą, panno Carmichael – oznajmił Salomon.

Uścisnęli się raz jeszcze, tym razem krótko, a potem on ruszył w stronę trapu. Przeszedł parę metrów, po czym obrócił się w jej stronę i powiedział:

– Adam się pomylił. To pani jest zapowiedzią nowego gatunku.

– Ja? – zdziwiła się.

– Tak. Kobiet ratujących życie mężczyznom. – Uśmiechnął się, pomachał do niej i puścił oko. – Dziękuję.

Podjął marsz w górę, ku pokładowi, morzu, Ameryce. Czuł, że kobieta śledzi go wzrokiem. Kiedy spojrzał na nabrzeże znad balustrady na burcie statku, wciąż tam była, uniosła nawet rękę, żeby do niego pomachać.

Później jeszcze przez jakiś czas stała na nabrzeżu, stała tam, aż jego liniowiec nie zamienił się w maleńką kropeczkę na horyzoncie; spoglądała na morze i stała w miejscu, prawdopodobnie wmawiając sobie, że teraz trzeba wsiąść do daimlera i wracać do domu.

Wmawiając sobie, że może pewnego dnia zapomni.

BIAŁE PIEKŁO

307

Moje piekło ma kolor brudnej bieli i jest suche jak pieprz. Płaskie jak dysk, ciągnie się w nieskończoność we wszystkich kierunkach, a nieruchome słońce oślepia i parzy moją skórę, na której powstają paskudne pęcherze.

Płakałbym, gdybym mógł.

Buty szurają po piachu białym od soli. Nienawidzę tego świństwa, w ustach ciągle czuję ten sam potworny smak. Zbiera mi się na wymioty, ale nie mam czego zwracać. Do tego sól piecze w każdej rance, a tych mam na skórze całe setki. Ból jest przeraźliwy, podobnie jak głód i pragnienie, które towarzyszą mi, odkąd pamiętam. Dręczą mnie, ale nie dość, żeby postradał do szczętu zmysły. Co to to nie. To moje piekło i jestem tu, żeby cierpieć.

Raz na jakiś czas trafiam na ślady opon. Bieżnik jest wyraźny, bo w moim piekle nie ma wiatru i wzór raz odbity na piasku pozostaje tam na zawsze. Ślady są grubie, najpewniej to opony jeepa. Parę razy próbowałem iść wzduż nich, ale przedzej czy później się urywały, a ja znowu stał pośród białych piasków, pod nieruchomoym, pałacym słońcem, w moim prywatnym piekle.

– Nie oddawaj się – słyszę jej szept. – Proszę.

Nie jestem sam. Jest jeszcze Patti, jest jej czuły głos, który zawsze sprawia, że żelazna obręcz zaciska mi się na sercu. Jest jej cień, tuż obok mojego – czarny zarys smukłej sylwetki. Widzę go, kiedy idzie obok mnie. Ma znacznie więcej gracji, jakby Patti wcale się nie męczyła. Ja szuram buciorami po piachu, wzbijając tumany kurzu i zataczam się co kilkanaście kroków.

Jestem zmęczony. Potwornie zmęczony.

– Nie oddawaj się, kochany – prosi Patti.

Zatrzymuję się i odwracam w stronę, gdzie powinna stać, skąd pada jej cień.

Widzę pustkę. Piach i sól. Spaloną słońcem pustynię, jak okiem sięgnąć.

Padam na kolana. Gardło mam wysuszone na wiór, więc mój krzyk przypomina raczej żałosny skrzek.

Gdybym chociaż mógł cię zobaczyć, myślę. Na jeden krótki moment, na jedną krótką chwilę. Spojrzenie w twoje oczy i...

I przeprosić. Za to, że przeze mnie zginęłaś.

Uspokajam się. Odwracam wzrok i podnoszę się z ziemi. Otrzepuję dlonie o niemożliwie brudne spodnie, a sól, która dostała się do skaleczeń, piecze ze zdwojoną siłą.

Stawiam pierwszy krok, słońce znowu opiera mi się na karku. Ale już jest lepiej, bo obok mojego cienia znów widzę twój.

– Kocham cię, Patti – mówię.

– Ja też cię kocham. Nie oddawaj się. Chodź do mnie. Chodź.

Idę. Przez moje prywatne piekło, przez pustynię pełną soli.



Moje piekło ma cztery gołe, białe ściany. Jest w nim fotel i łóżko, i całe mnóstwo skomplikowanej aparatury, która czasami wydaje jakieś dźwięki.

Na łóżku leżysz ty.

– Kocham cię – powtarzam. – Nie oddawaj się. Proszę.

Ściskam pozbawione czucia palce i wpatruję się w twarz, którą kocham do szaleństwa. Myślę o twoich oczach ukrytych za powiekami, o uśmiechu, który nadawał mojemu życiu sens.

Siedzę w tym białym piekle i przeklinam każdą minutę naszego wyjazdu do Tunezji: twój pomysł z wyprawą na pustynię, awarię jeepsa, cały dzień błędzenia po pełnym solnych wykwitów szocie. Przeklinam pragnienie, które odebrało nam zmysły, i słońce, które omal nas nie zabiło. Przeklinam cię, bo nie zostawiłeś mnie tam i nie ratowałeś siebie.

Ściskam twoją dłoń, a łzy ciekną mi po brodzie. Też nie mogę cię zostawić, choć wszyscy mówią, że już do mnie nie wrócisz. Nie mogę opuścić mojego piekła.

Ale nie to jest najgorsze. Najgorsze jest to, że nie masz pojęcia, że tam na pustyni uratowałeś mi życie.

Najgorsze jest to, że jeśli się nie obudzisz, umrzesz pewien, że przez ciebie zginęłam.

PUDEŁKO PEŁNE CUDÓW

311

Pewne stare porzekadło mówi, że gdy nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Jak to często bywa w przypadku starych porzekadeł, wiele w tym prawdy. To właśnie pieniądze sprawiły, że w rok po wyprowadzeniu się z rodzinnego domu po raz kolejny przekroczyłem jego próg.

Pieniądze i śmierć matki.

Pamiętam wyraźnie jej pogrzeb: był pochmurny listopadowy dzień, cmentarz wypełniała woń butwiejących liści. Lodowate, wilgotne powietrze wdzielało się pod płaszcz, szcypało każdy odsłonięty skrawek skóry. Pamiętam ludzi odzianych w czerń, rozmowy prowadzone szeptem, piskliwy głos tanich organów w przycmentarnej kaplicy. Rozpoznawałem pojedyncze twarze, choć zmienione, pomarszczone, nadszarpięte biegem lat... tylko nazwisk nie mogłem sobie przypomnieć. Ot, widma z dzieciństwa.

Pogrzeb dłużył się niemiłosiernie.

Kiedy po ceremonii ojciec zaproponował, żebym wpadł na herbatę, w pierwszej chwili chciałem wymówić się pracą. Później jednak przypomniałem sobie, że na strychu wciąż tkwi mój zbiór winylów i dwa pudła pełne komiksów, wśród których było parę białych kruków. Pomyślałem,

że gdybym opchnął te rzeczy jakimś kolekcjonerom, mógłbym trochę odetchnąć finansowo, a bardzo mi tego ostatnio brakowało. Przyjęłem zaproszenie.

Herbatę wypiliśmy w milczeniu. Rozmowy nigdy nam się nie kleiły – to matka była tym, co jeszcze jakiś czas temu spajało naszą trójkę w kiepską imitację szczęśliwej rodziny. Gdy jej zabrakło, okazało się, że ani ja, ani ojciec nie mamy siły, by kontynuować tę szopkę.

On usiadł przed telewizorem, ja poszedłem na strych.

Moja matka zawsze bardzo dbała o porządek w domu, ale w ciągu ostatnich miesięcy choroba zupełnie pozbawiła ją sił, więc na poddaszu powitały mnie pajęczyny, kurz i duszna, stęchła ciemność. Deski trzeszczały mi pod stopami, coś – zapewne mysz – czmychnęło w mrok, między kartonowe pudła i sprzęty owinięte w grubą folię. Spłoszony gołąb rozgruchał się nerwowo i poderwał do lotu z wnęki okiennej.

Posiłkując się latarką wbudowaną w komórkę, zacząłem przeszukiwać kolejne pudła. Płyty znalazłem bardzo szybko i z nutką nostalgi zacząłem przeglądać kolejne znajome okładki. Byli tam mistrzowie z Cream, i Beatlesi, i nawet pierwszy album Floydów. Całe mnóstwo czarnych krążków, setki ciepłych wspomnień. Chwilę potem trafiłem na kartony z komiksami. Nawet nie zaglądałem do środka, sprawdziłem tylko czy jakieś gryzonie nie przegryzły się przez sztywną tukturę – wiedziałem, że gdybym otworzył pierwszego lepszego X-Mena albo któryś z angielskich wydań Batmana, wśniąłbym na długie godziny.

Zamierzałem wracać na dół, kiedy jakiś błysk zwrócił moją uwagę. Zawahałem się, zamachałem przed sobą komórką. Coś znowu zaśniło w mroku. Zaintrygowany podszedłem bliżej, odsunąłem na bok pudło ze świętcznymi ozdobami oraz worek z grubą czarnej folii. Wtedy zobaczyłem ją po raz pierwszy.

Skrzyneczka była niewielka, drewniana. Światło latarki odbijało się od delikatnych metalowych symboli – posrebrzanych lub wyglądających na posrebrzane – które pokrywały wieko. Byłem pewien, że nigdy wcześniej go nie widziałem. Czemu rodzice trzymali takie cudeńko na strychu? Zapomnieli o nim?

Przykucnąłem przed pudełkiem, przesunąłem palcami po skomplikowanych wzorach. Na opuszkaach zostały mi szare smugi brudu. Nie mogłem oderwać oczu od tego niezwykłego przedmiotu, nie mogłem przestać go dotykać. Kompletnie nie pasował do moich rodziców, do tego, jakimi byli ludźmi; skrzyneczka przypominała raczej rekwizyt z filmu o Nostradamusie niż bibelot trzymany na strychu na jakimś zadupiu nieopodal Wrocławia.

Ostrożnie uniosłem wieko i zajrzałem do środka. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale widząc, że pudełko jest puste, poczułem równocześnie zawód, jak i ulgę. Potem jeszcze przez chwilę oglądałem znalezisko z każdej strony. Nie znałem się na takich rzeczach, ale mimo wszystko potrafiłem ocenić, że było misternie wykonane i bez wątpienia bardzo stare.

Parę chwil później zszedłem na dół ze skrzyneczką pod pachą. Ojciec wciąż patrzył w telewizor, na stoliku obok stał opróżniony do połowy kufel piwa.

– Znalazłeś te płyty? – zagadnął, słysząc moje kroki. Nawet na mnie nie spojrzał.

– Tak.

– No i dobrze.

W jego głosie było coś takiego, że odechciało mi się dalszej rozmowy. Jakby przygana, że w takiej chwili mogę myśleć o czymś tak banalnym jak stare albumy... ale też politowanie. Jakby nie spodziewał się po mnie niczego innego. Sukinsyn. Sam siedział w fotelu i znieczułał się alkoholem. Ciekawe, kiedy do niego dotrze, że śmierć matki tak naprawdę niczego nie zmieniła. W naszej rodzinie od dawna wszyscy byliśmy samotni.

Przez moment stałem w drzwiach i zastanawiałem się, czy zapytać go o skrzyneczkę, czy po prostu odnieść ją na strych. Na ekranie telewizora ktoś tam do kogoś strzelał, ktoś kogoś gonił, ale my po prostu trwaliśmy w milczeniu i bezruchu: mójojciec wgapiony w migające obrazki, ja wgapiony w niego. Nagle nabräłem dziwacznego przeświadczenia, że rozmowa nie ma sensu, że moje pytania, czegokolwiek by nie dotyczyły,

po prostu odbiją się od jego mięsistego karku, od tych szerokich barków, zrykoszczą i ugrzęzną w miękkim gipsie ścian, nigdy nie trafiając do jego uszu.

Nieoczekiwane dla samego siebie wyszedłem z domu i zapakowałem skrzyneczkę do samochodu. Wróciłem jeszcze po płyty i komiksy, po czym pojechałem do siebie.

Nawet nie pamiętam, czy się pożegnałem.



Szkatułkę wykonano z ciemnego, czerwonawego drewna trochę przypominającego wiśnię, trochę mahoń. Nie była duża – z trudem dałoby się w niej upchnąć parę butów. Nie miała też żadnego zamka czy zatrzasku, wyłącznie wieko chodzące bezszelestnie na dwóch metalowych zawiasach.

Przy lepszym oświetleniu miałem okazję staranniej obejrzeć symbole pokrywające wieko. Niektóre, jak nieco zniekształcony sierp księżyca, kojarzyły się z islamem. Było też coś na kształt celtyckiego triskelionu oraz przepołowionego egipskiego ankha. Parokrotnie pojawiała się jak-by koślawa pięcioramiona gwiazda. Mimo że spędziłem kilka godzin w poszukiwaniu podobnych znaków, nie znalazłem w Internecie niczego. Kombinacja jedyna w swoim rodzaju? Ostatnie dzieło szalonego jubilera czy żart wymierzony w miłośników teorii spiskowych z masonerią i iluminatami w roli głównej?

W samych symbolach było zresztą coś dziwnego. Wykonano je z wielką dbałością i zmysłem, a srebrzysty połysk w jakiś sposób sprawiał, że kojarzyły mi się z gwiazdami: przeraźliwie odległymi i nieruchomoymi. Patrząc na nie, miałem nieodparte wrażenie, że w dotyku będą lodowate, ale tak oczywiście nie było. Poza tym gdy poobserwowałem je dłużej niż kilkanaście sekund, zaczęły mnie piec oczy, a w ich kącikach zebrały się łzy. Mimo ciepła panującego w mieszkaniu, na moich ramionach pojawiła się gęsia skórka, a w uszach zaczął dudnić przyspieszający puls.

Czy sprawiła to świadomość, że szkatułka była pierwszą rzeczą, jaką w życiu ukradłem? Czy może otaczająca ją tajemnica? Jak to możliwe,

że taki przedmiot pojawił się w domu rodziców? Czemu nigdy o nim nie wspominali? Czemu niczego w nim nie trzymali? A jeśli szkatułka nie była im potrzebna, czemu jej po prostu nie sprzedali? Czy stanowiła prezent od jakichś dalekich krewnych, których rodzice nie chcieli urazić? Kto mógłby podarować im coś podobnego?

Te pytania musiały na razie pozostać bez odpowiedzi. Finansowe braki zmusiły mnie do działania – resztę dnia spędziłem na wystawianiu ofert sprzedaży komiksów i płyt.

Położyłem się późno, pijany zmęczeniem, i natychmiast zasnąłem.



Kiedy teraz spoglądam wstecz, wydaje mi się, że to wtedy pojawiły się sny. Nie pamiętam chwili, kiedy przyszedł pierwszy z nich – po prostu do jakiegoś momentu ich nie było, a potem niepostrzeżenie stały się częścią mojego życia. Nie przychodziły każdej nocy, ale nawiedzały mnie dość często. Pamiętam z nich niewiele, szczególnie z tych pierwszych – wizje były mało wyraźne, a po przebudzeniu rozwiewały się jak rzadka mgła. Kojarzę pojedyncze obrazy, urywki nieukładające się w żadną sensowną całość, jak kadry wycięte z kilku różnych filmów. Była gdzieś wśród tych wizji postać czarnego mężczyzny bez twarzy, który bezksiężycową nocą przechadzał się wśród drzew o gałęziach poskręcanych jak kończyny artretyka. Był człowiek, który siedział na tronie z kości słoniowej, albo czegoś podobnego i za każdym razem gdy mrugałem, okazywało się, że ma zupełnie inne oblicze – starca, kobiety, dziecka, Murzyna, Azjaty. Pojawił się też milczący pochód postaci w kapturach, z których każda niosła jakiś przedmiot szczerle okryty płótnem. Szli przed siebie równym, niespiesznym krokiem i choć nie widziałem ich twarzy, było w nich coś dalece nieludzkiego; coś, co sprawiało, że nawet we śnie czułem głęboki, przejmujący niepokój.

Czasami budziłem się w środku nocy i nie byłem już w stanie zmrużyć oka. Kiedy indziej przesypiałem całą noc, ale rano byłem również zmęczony, co kładąc się do łóżka. Parę razy, udręczony i rozstrojony tymi

nocnymi majakami, zasypiałem dopiero nad ranem. Potrafiłem wtedy spać do trzynastej albo czternastej, by obudzić się i przez kilka prze- rażających chwil nie wiedzieć, gdzie się znajduję, a nawet kim jestem.

Raz – choć przyśniła mi się wtedy tylko olbrzymia, otoczona kamien- ną cembrownią studnia, która wyglądała jakby nie miała dna – obudzi- łem się złany zimnym potem, w przemoczonych bokserkach, na ciemnej plamie własnego moczu.



Życie potrafi dopiec nie gorzej niż najbardziej paskudne sny, o czym rychło miałem się przekonać. O ile wcześniej cierpiąłem głównie na nudę i syndrom ujemnego salda na koncie, o tyle w dwa tygodnie po pogrze- bie matki roboty miałem po pachy. Mniej więcej równocześnie odezwały się trzy różne wydawnictwa, które zainteresowały się moimi projektami i chętnie ujrzałyby mnie w szeregach swoich grafików. Oczywiście każde z nich chciało po parę próbek, więc całymi dniami skakałem między szki- cownikiem a komputerem. Pracowałem jak oszalały, nie chcąc wypuścić z rąk żadnej okazji.

Ku mojemu zdziwieniu i wielkiej radości, moje pomysły przypadły wszystkim wydawnictwom do gustu. Dwa mniejsze od razu przesyłyły mi umowę, ale przedstawiciel trzeciego – absolutnego lidera na polskim rynku – poprosił o spotkanie. Złożyło się na tyle niefortunnie, że jego termin musielismy dwukrotnie przesuwać: raz z powodu mojej choroby, raz dlatego, że utknąłem w potwornym korku.

Trzecie spotkanie ustaliliśmy na dwunastą trzydziestki, w środę, a jako miejsce wybraliśmy kawiarnię w jednym z większych pasaży handlo- wych. O tej porze o wzmożony ruch na ulicach nie musiałem się martwić – wystarczyło, że pół godziny przed planowanym spotkaniem wsiądę w samochód.

O wpół do dwunastej okazało się, że nie mogę znaleźć kluczyków do auta. Z początku starałem się zachować spokój, ale z każdą kolejną minutą na usta cisnęło mi się coraz więcej przekleństw. Obejrzałem dwa

razy każdy blat i każdą półkę, sprawdziłem kieszenie spodni, kurtek, bluz i koszul. Trzy razy przeszukałem plecak, na koniec obracając go do góry nogami i wysypując całą jego zawartość na podłogę.

Myślałem, że mnie szlag trafi.

Zrezygnowany sięgnąłem po komórkę i zadzwoniłem po taksówkę. Kiedy usłyszałem krótki, powtarzający się sygnał, wybrałem kolejny numer z listy. Później następny. I jeszcze jeden. I jeszcze.

Z trudem powstrzymałem się przed wyrzuceniem telefonu przez okno. Nie dodzwoniłem się do ani jednej korporacji. Jakby cały pieprzony Wrocław nagle postanowił ruszyć dupę i, ot tak dla zgrywy, powozić się taryfami.

Miejsce frustracji coraz śmieej zajmowała panika.

Na tramwaj nie miałem co liczyć – spóźniłbym się, i to sporo. Zamiast tego wróciłem do desperackich poszukiwań kluczyków. Nie pomijałem żadnego miejsca, choćby nie wiem jak głupie i nieprawdopodobne było. Sprawdziłem lodówkę, mikrofalówkę, szafkę z zaworami ogrzewania oraz pawlacz, w którym trzymałem spodnie narciarskie i puchową kurtkę.

Znalazłem je, kiedy zegar wybił dwunastą. W szkatułce przywiezionej z domu rodziców.

Byłem pewny, że nigdy ich tam nie wkładałem. Więcej – od chwili, gdy skrzyneczka wylądowała na blacie komody, ani razu jej nie dotykałem. A jednak tam właśnie znalazłem moje kluczyki.

Zdążyłem na spotkanie. Bardzo udane zresztą, bo zakończone podpisaniem atrakcyjnej umowy, chociaż ciężko mi się było skupić na rozmowie – gdzieś z tyłu głowy wciąż miałem tę historię z kluczykami i świadomość, że wydarzyło się coś, czego nie jestem w stanie wytłumaczyć. W końcu wmówiłem sobie, że to tylko efekt zmęczenia, pośpiechu albo wypicia któregoś wieczora jednego piwa za dużo. Ludzie przecież nie takie rzeczy potrafią nieświadomie zrobić. W efekcie, kiedy wróciłem do domu, myślałem już wyłącznie o podpisanej umowie i otwierających się przede mną perspektywach, a kluczyki cisnęłem do skrzyneczki przy drzwiach. Byłem tak nabuzowany, że zaraz rzuciłem się w wir pracy.

Rysowałem długo i namiętnie, z krótką tylko przerwą na jedzenie, podekscytowany i nakręcony tym, że w moim życiu coś wreszcie zaczęło dobrze iść.

Skończyłem koło północy. Poczłapałem do łazienki, rozebrałem się, ciuchy cisnąłm do pralki... i zamarłem. Olśniało mnie nagle: w środku leżały dżinsy, które dzień wcześniej poplamilem keczupem. Sięgnąłem do bębna, po omacku odnalazłem spodnie i boczną kieszeń.

Wyciągnąłem z pralki moje kluczyki do samochodu. Te same kluczyki z lekko przetartym breloczkiem przywiezionym z chorwackiej wyspy Hvar, który kilka godzin wcześniej dźwięczał cichutko, obijając się o kierownicę, gdy auto podskakiwało na kolejnych progach spowalniających. Na miękkich nogach wyszedłem na korytarz i zawędrowałem pod drzwi wejściowe. Zajrzałem do koszyka, w którym po przyjściu umieściłem kluczyki, czując jak w gardle i ustach nagle robi mi się okropnie sucho. Cała radość z odniesionego sukcesu wyparowała w jednej chwili, pozostało tylko przeszywające do szpiku kości i wywołujące dreszcze uczucie, że stało się coś, co nie miało prawa się zdarzyć; coś wykraczającego poza moje zdolności pojmowania.

Kluczyków nie było w koszyczku.



Uratowała mnie praca. Następnego ranka rzuciłem się w wir roboty i w rezultacie nie miałem czasu dumać nad zagadką kluczyków do auta. Najpierw parę godzin plastyki w gimnazjum, później dwa półtoragodzinne spotkania z maturzystami, których przygotowywałem do egzaminu z rysunku. Skończyłem pracować wieczorem, kompletnie wypompowany, a w domu czekało na mnie kilka ilustracji, którym powinienem jak najpředzej poświęcić trochę czasu.

Minął jeden dzień, później następny. W weekend zająłem się nadrabianiem towarzyskich zaległości – miałem paru dobrych przyjaciół, z którymi wypadało przecież opić dobrą passę.

O kluczach nie było kiedy myśleć.



Sny powracały, powtarzały się, ewoluowały. Stawały się wyraźniejsze i czytelniejsze. Na dłużej zapadały w pamięć. Kleiły mi się do psychiki, wpijały się w mózg jak pijawki. Coraz częściej po przebudzeniu jeszcze przez chwilę znajdowałem się gdzieś pomiędzy marą a jawą, oszołomiony, zagubiony, przestraszony. Przez długie sekundy miałem jak na wyciągnięcie ręki każdy wyśniony szczegół, każdy przerażający drobiazg. Koszmary rozmywały się powoli, opuszczaly mnie niechętnie. Jak ośmiornice, niezadowolone, że muszą wypuścić zdobycz z ciasnej płataniны macek.

Jednak którejś nocy, może tydzień, może dwa tygodnie po zdarzeniu z kluczykami, wydarzyło się coś, co napędziło mi większego stracha niż najbardziej rzeczywisty sen.

Przebudziłem się zaskakującą czujny, jakby zaalarmowany jakimś hałasem. Myśli miałem trzeźwe i klarowne. Była ciemna, cicha noc, w mieszkaniu królował mrok. Leżałem w bezruchu, na wznak, z otwartymi oczami wlepionymi w sufit. Miałem pełną świadomość, że coś mnie obudziło, wyrwało bez zapowiedzi z głębokiego snu. Nie wiedziałem tylko, co to takiego. Leżałem więc i nasłuchiwałem, a przez uchylone okno napływał odgłos pociągu przetaczającego się gdzieś w oddali. Czy to jego gwizd mnie obudził? Tak mi się wydawało, ale z jakiegoś powodu wciąż leżałem nieruchomo. Jakbym instynktownie na coś czekał.

Moment później dotarło do mnie coś jeszcze. Obcy zapach. Odrobinę ziołowy... a może raczej balsamiczny. Jakby kościoenne kadzidło, ale z jakąś obcą nutą. Nie miałem pojęcia, co to takiego, ale gdy tylko przymknąłem oczy, wyobraźnia natychmiast podsunęła mi obraz łanów cibory pairusowej na brzegach Nilu oraz odgłos skórzanych sandałów na piasku. Wydawało mi się, że czuję pod palcami chropawą fakturę olbrzymich bloków piaskowca.

Stukot dalekiego pociągu nareszcie ucichł, a cisza dyskretnie powróciła do pokoju, jak nastolatka przekradająca się do swojej sypialni po popijawie tak, by nie zbudzić rodziców.

Właśnie wtedy usłyszałem ten oddech. Dobiegał chyba od strony drzwi: był równomierny, odrobinę rżący, odrobinę szeleszczący. Nie zwierzęcy, ale też niezupełnie ludzki. Sprawił, że momentalnie zeszywniałem, serce mi przyspieszyło, wytrzeszczone oczy zaczęły wiercić mrok. Czułem, jak otwierają mi się pory w skórze, jak zaczyna ze mnie wyciekać pot. Oddech zawieruszył mi się gdzieś w pół drogi między ustami a płucami, nie byłem w stanie zaczerpnąć powietrza. Nic nie mogłem zrobić, tylko słuchać tego chrypienia i gorączkowo starać się określić, jak daleko ode mnie znajduje się to coś, co je wydaje.

Nagle ten powtarzalny, miarowy odgłos zniknął, a ja zamiast się uspokoić, poczułem jeszcze większą grozę. Przechyliłem głowę, wlepiłem oczy w czerń otaczającą drzwi do pokoju. Równocześnie powoli wyciągnąłem dłoń w kierunku nocnej szafki, na której stała lampka.

Przed moimi oczyma mrok jakby zaczął się kłębić i kotłować: przy помinał gotującą się smołę, czarne bąble i pęcherze wyrastające tu, to tam, puchnace, a później eksplodujące w rozbryzgu tłustych kropli. Coś tam było, coś przerażającego i niezrozumiałego, coś tak odrażająco innego i strasznego, że naraz poczułem się, jakby pod czaszkę wepchnięto mi szuflę rozpalonego do czerwoności węgla. I to coś zaczęło się przybliżać.

Hamulce puściły, rzuciłem się do światła. Chwyciłem lampkę, ale palce nie chciały mnie słuchać, gdy próbowałem odnaleźć włącznik. Wyślizgnęła mi się i uderzyła o szafkę, by zaraz potem przewrócić się i zlecieć na podłogę. Wyciągnąłem się za nią z dziecięcym piskiem więzującym mi w gardle, przechyliłem przez krawędź łóżka. Wyobraźnia podpowiadała mi, że nie zdążę, że lada moment ostre, zakrzywione szpony rozerwą mi skórę na plecach albo wpiąją się w łydkie na podobieństwo haków do mięsa, że to coś pociągnie mnie w mrok i tam zginę, zginę wrzeszcząc z bólu i sikając krewią na ściany.

Jakimś cudem natrafiłem wreszcie na włącznik, lampka zadziałała, rozgoniła kłębiącą się wokół mnie ciemność. Ześlizgnąłem się z łóżka i usiadłem oparty plecami o ścianę z palącą się żarówką wycelowaną przed siebie, tak jakby to był krucyfiks albo osikowy kołek – niezawodna

broń przeciwko wszelkiemu osobowemu złu. Oddychałem szybko, wręcz dyszałem, a pot ciekł mi po czole, piekł w oczy, osiądał słoną wilgocią na górnej wardze.

Patrzyłem przed siebie, w kąt pokoju oświetlony przez lampkę, i powoli akceptowałem świadectwo oczu, które mówiły, że niczego tam nie ma, że nigdy niczego tam nie było.

Chwilę później zmusiłem się, żeby wstać. Zapaliłem wszystkie światła w mieszkaniu i sprawdziłem każdy kąt, ale nigdzie niczego nie znalazłem.

Resztę nocy przesiedziałem przy świetle, zbyt roztrzęsiony i wystraszony, by choć na chwilę spróbować zamknąć oczy.



Gabryską poznałem jakiś czas później na imieninowej imprezie koleżanki ze studiów. Spotkanie szybko się posypało, bo większość osób musiała następnego ranka zasuwać do roboty. Złożyło się tak, że na koniec zostałem ja, lekko podchmielona solenizantka i właśnie Gabrysia. Nieoczekiwanie we trójkę bawiliśmy się znacznie lepiej niż w większym gronie i siedzieliśmy do późnej nocy. Kiedy o trzeciej nad ranem prowadzałem dziewczynę do mieszkania, które wynajmowały w starej kamienicy niedaleko uniwersytetu, dostałem w nagrodę czułego buziaka i numer telefonu.

Nastecnego dnia umówiliśmy się na wyjście do kina. Wybraliśmy jakś raczej nędzną komedię romantyczną, po której wywiązała się dyskusja o wyższości produkcji brytyjskich nad amerykańskimi. Gabryśka okazała się nie tylko śliczną (po prostu nie mogłem oderwać oczu od jej niesformnych kasztanowych loków, które, jakkolwiek by się nie ułożyły, wciąż wyglądały uroczo), ale i inteligentną dziewczyną. Rozmowa sprawiała nam taką frajdę, że ciągnęliśmy ją dalej u mnie przy butelce wina i pomidorach z mozzarellą.

Kolejne dni spędzałem na pracy albo z Gabryską. Dzieliliśmy mieszkanie z dwiema współlokatorkami, więc spotykaliśmy się głównie u mnie albo

na mieście. Spacerowaliśmy po rynku i Ostrowie Tumskim, szwendaliśmy się po księgarniach, oglądaliśmy stare filmy.

Co tu dużo mówić – zakochałem się.

Któregoś dnia, gdy przeglądałyśmy rozlatujące się książki w antykwariacie na Szewskiej, zapytała mnie jakby mimochodem, czy nie chciałbym spróbować zamieszkać z nią.

– Kiedy mam przyjechać po twoje rzeczy? – odparłem.

Tę noc spędziłyśmy u mnie, w łóżku, a rano byliśmy potwornie niewyspani i nieprzyzwoicie szczęśliwi.



– Skąd ją masz?

Gabryśka stała przed komodą z kubkiem gorącej herbaty w dłoni i przyglądała się szkatułce. Mieszkaliśmy razem od dwóch dni i wciąż jeszcze spędzała dużo czasu, chodząc po domu i zaglądając w różne zakamarki. Wyglądała rozkosznie, jak dziecko, które chce zapamiętać każde zdjęcie, każdą pocztówkę, każdy napis na grzbicie książki.

– Znalazłem w domu rodziców – odparłem. – Na strychu.

Dziewczyna pokiwała głową i jeszcze przez jakiś czas przyglądała się skrzyneczce. W pewnym momencie wyciągnęła w jej stronę dłoń, ale zaraz ją cofnęła. Łyknęła herbaty z kubka i przesunęła się dalej, ku drewnianej podstawce na kadzidełka, którą znajomy przywiózł mi kiedyś z Maroka. Zaraz jednak zaczęła zezować w stronę skrzyneczki.

– Wiesz, co znaczą te symbole? – spytała.

– Jako całość? Nic, o ile się nie mylę. Przynajmniej wujek Google nigdy o czymś podobnym nie słyszał.

– Wygląda na starą. Bardzo starą. Jak myślisz, ile może mieć lat?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyłem ramionami. – Sto? Dwieście? Nie znam się na konserwacji drewna, nie wiem, jak coś takiego się starzeje.

Temat się urwał, a Gabryśka przez jakiś czas spacerowała po pokoju, oglądając inne moje skarby: poukładane alfabetycznie kompakty, plakat Lobo z autografiem Bisleya, zdjęcie z konwentu w Lublinie, na

którym odbierałem nagrodę za zwycięstwo w konkursie plastycznym. Dziewczyna pozornie zajmowała się czym innym, ale szkatułka co parę chwil przyciągała jej wzrok jak magnes.

– Możesz ją wziąć, skoro tak ci się podoba – zażartowałem.

Gabryśkę przeszedł dreszcz tak silny, jakbym ją potraktował para-lizatorem. Uśmiechnęła się słabo, własna reakcja musiała wprawić ją w zakłopotanie.

– Ja... – Nie dokończyła. Potrąsnęła głową i popatrzyła na mnie. – Chcesz jeszcze herbaty?

Wyszła z pokoju, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Nasłuchiwałem odgłosu włączanego czajnika i gotującej się wody, ale nic takiego do mnie nie dotarło. Tylko cisza.

– Gabi...

– Możesz tu przyjść? – odpowiedziała mi z korytarza.

Kiedy do niej dołączyłem, wpatrywała się w ścianę. Na kremowej powierzchni widać było – słabo, ale jednak – jakieś ciemne smugi, zawijasy, niewyraźne kształty. Jakby stara farba wychodziła spod nowej.

– To było tutaj już wcześniej? – zapytała Gabrysia. – Może to głupie, ale wczoraj niczego nie zauważałam.

Zmusiłem się, żeby oderwać spojrzenie od ściany, przenieść je na dziewczynę i odpowiedzieć uśmiechem.

– Było – skłamałem. – Ale dobrze, że zwracasz na to uwagę. Mieszkanie od dawna już prosi się o nową warstwę farby.

– Ale co to jest? – nie ustępowała Gabrysia.

– Nie mam pojęcia. Może w ścianie jest jakaś stara instalacja elektryczna i kurz przez to inaczej osiada na ścianie? Nie wiem, serio – stałałem się zabrzmieć możliwie nonszalancko, wzruszyłem też ramionami. Potem kiwnałem głową w stronę dużego pokoju. – Chcesz wskoczyć na Internet i razem poszukać jakichś fajnych kolorów? Te pastelowe ściany i tak mi się już przejadły.

– Pewnie, czemu nie.

Nie rozmawialiśmy więcej na ten temat, dlatego nie mam pojęcia, czy Gabryśka zauważała, że dziwne znaki pojawiły się na ścianie dokładnie

w tym miejscu, gdzie po jej drugiej stronie stała skrzyneczka; nie wiem też, czy spostrzegła, że niektóre z tych wyblakłych, niewyraźnych esów floresów przypominały symbole obecne na wieku pudełka.

Nowe farby kupiliśmy jeszcze tego samego dnia i przemalowaliśmy cały korytarz.



Ilość zleceń i pracy dydaktycznej, którymi musiałem się zająć, a także Gabryśia sprawiały, że nie miałem czasu rysować czy malować ot tak, dla czystej przyjemności tworzenia. Od chwili, kiedy zamieszkalismy razem, minął tydzień – bardzo pracowity, ale i bardzo przyjemny – i wreszcie stwierdziłem, że należy mi się odrobina czasu dla siebie. Gabryśka siedziała w dużym pokoju z gigantycznym drinkiem pod ręką i czytała kryminał, do którego parę miesięcy wcześniej robiłem okładkę. Ja zamknąłem się w sypialni z kilkoma puszkami piwa i deską kreślarską.

324

Mam takie ćwiczenie, które mnie relaksuje, a równocześnie zmusza wyobraźnię do wejścia na wyższe obroty. Zaczyna się od dwóch piw, dobrej płyty i niespiesznych, mających w sobie coś z rytuału przygotowań. Rozkładam na desce czysty arkusz papieru, strugam ołówki, sprawdzam pędzle, rozwadniam zbyt gęste farby.

Później, bardzo szybko, niemal bez zastanowienia, kreśrzę parę linii, zostawiam gdzieś większą plamę lub pokrywam kawałek przestrzeni bezsensownymi cętkami. Zajmuje to nie więcej niż pięć, może sześć sekund. Krótkie dzieło zniszczenia, namiastka chaosu. Jak przejście Godzilli, huragan, trzęsienie ziemi.

Wreszcie otwieram kolejne piwo, sięgam po ołówek, pędzel, węgiel, piórko czy cokolwiek innego, co pasuje mi do nastroju, i zaczynam zmieniać ten dwuwymiarowy chaos w ład. Wcisnąłem go w ramy, narzucam mu pozory sensu.

Daję sobie godzinę i ani minuty więcej. Przypomina to trochę grę w karty: nigdy nie wiesz, jaką będziesz miał rękę, a jakie atuty trafią się przeciwnikom. Trzeba improwizować, myśleć szybko i jeszcze szybciej

wprowadzać myśli w czyn. Myśli, które przy trzecim piwie zaczynają już szwendać się różnymi ścieżkami i kto wie, mogą zaprowadzić cię w miejsce, którego nigdy wcześniej nie odwiedziłeś.

Tym razem przebudzenie z tego mojego artystycznego transu było jak haust powietrza po zbyt długim nurkowaniu – nigdy wcześniej nie przeżyłem czegoś podobnego. Jakbym wrócił z zupełnie innego wymiaru, innej rzeczywistości. Zatraciłem się zupełnie w tym, co robiłem, i dopiero Gabryśka przywróciła mnie światu szarpięciem za ramię.

Kiedy spojrzałem jej w twarz, natychmiast zrozumiałem, że coś jest nie tak. Była blada, wytrzeszczone oczy wpatrywały się we mnie z przerażeniem.

– Co się stało? – spytałem.

– O to samo chciałem zapytać. Dobrze się czujesz?

– Oczywiście. Czemu... – urwałem, kiedy kątem oka dojrzałem zegarek. Wyświetlacz wskazywał kwadrans po drugiej w nocy. Rysowałem bez przerwy przez ponad pięć godzin. Spojrzałem na moje dłonie, na palce czarne od węgla. Nawet nie pamiętałem, żebym sięgał po ten cholerny węgiel! Myślałem, że...

Bardzo powoli obróciłem się w stronę deski i przypiętego do niej papieru. Bałem się tego, co mogę zobaczyć.

– Nie chciałem ci przeszkadzać, ale podeszłam pod drzwi – kontynuowała Gabryśia. Musiała wyczuć mój nastrój, bo instynktownie ściszyła głos. Z każdym kolejnym słowem czułem, jak coś mi się skręca w żołądku. – Myślałam, że może wypiłeś o jedno piwo za dużo i przysnaleś, ale zamiast pochrapywania usłyszałam twój szept.

Oparłem dlonie na spodniach... nie, raczej wzepiłem je w nogawki. Miałem gdzieś brudne paluchy. Musiałem jakoś powstrzymać drżenie rąk. Kiedy dotarło do mnie, co widzę przed sobą, poczułem, że między łopatkami spływa mi strużka zimnego potu.

– Mówiąłeś coś o pełzającym chaosie. Powtarzałeś te dwa słowa w kółko, jakbyś... – Nie dokończyła, popatrzyła tylko na mnie z wyraźną troską.

– Na pewno dobrze się czujesz?

Pełzający chaos. Natychmiast poczułem nagłącą, nieodpartą ochotę, żeby wypowiedzieć te słowa na głos, a równocześnie coś podpowiadało mi, żebym tego nie zrobił.

Rysunek wykonany węglem przedstawiał właśnie pełzający chaos. Były tam wijące się macki, olbrzymie oczy o pionowych i poziomych żrenicach, otwarte paszcze o zębiskach sklejonych nitkami śliny przypominającej gęsty śluz. Były twarze wykrzywione w grymasach bólu i przeżenia, ale w jakiś sposób pozbawione życia, jak woskowe maski. Były wreszcie pióra, szpony i łuski, i gigantyczny włochaty jazor zakończony czymś, co przypominało przesłonięte bielmem oko. Wszystko splatające się w jeden nienazwany, niewytłumaczalny byt.

Pełzający chaos.

Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że wystarczy, żebym odwrócił wzrok, a to coś na obrazie zacznie się poruszać.

Popatrzyłem Gabrysi w oczy, ale nie miałem pojęcia, co mógłbym powiedzieć, żeby poczuła się lepiej. Była przeróżona. Objąłem ją delikatnie i zasugerowałem, że chyba trzeba kłaść się spać. Wahała się przez moment, ale w końcu skinęła głową i pozwoliła zaprowadzić się do łazienki.

Nie wiedziałem, czy też zauważała kształt pięcioramiennej gwiazdy ukryty w rogu rysunku niczym sygnatura artysty.

Identycznej pięcioramiennej gwiazdy jak ta, która pojawiła się parokrotnie wśród symboli na szkatułce.



Przez następne dni ciągle biłem się z myślami. Zaczęło do mnie docierać, że pojawienie się w moim domu szkatułki, tajemnicze niepokojące sny, ten dziwny trans, w który wpadłem podczas malowania... to wszystko może być ze sobą powiązane. Przyszło mi nawet do głowy, że może w tym pudełku jest coś niezwykłego, w nim samym albo w tych posrebrzanych symbolach, że drzemie w tym przedmiocie jakaś przedziwna, budząca grozę moc. Potem jednak, za sprawą rozmowy z Gabryską,

zdałem sobie sprawę z istnienia znacznie prostszego i bardziej wiarygodnego wytłumaczenia.

– Wydaje mi się, że to zupełnie normalne – stwierdziła dziewczyna, kiedy wreszcie przyznałem się do regularnie dręczących mnie koszmarów.

– Normalne? – zdziwiłem się.

– Biorąc pod uwagę to, co się działa u ciebie na przestrzeni ostatnich miesięcy – dodała, a potem, widząc, że nic nie rozumiem, wyjaśniła: – Domi, straciłeś mamę, to raz. Ludzie bardzo poważnie przeżywają takie rzeczy, szczególnie jeśli nie są równie mocno związani z drugim z rodziców. Do tego dochodzą inne duże zmiany. Sporo poważnych zleceń to sporo nowych obowiązków i w efekcie sporo stresu.

– Brzmi to tak, jakbym był jakimś emocjonalnym mięczakiem – burknąłem.

– Nie emocjonalnym mięczakiem, tylko sumiennym, szalenie utalentowanym i ambitnym facetem, który nie chce nawalić – poprawiła mnie Gabryśka, ściskając mocno i całując w policzek. – Zobaczysz, minie kilka tygodni albo miesięcy, oswoisz się z nową sytuacją i jestem pewna, że wszystko wróci do normy.

Z początku nie byłem przekonany, ale potem to jej wyjaśnienie coraz bardziej do mnie przemawiało. Poczytałem trochę na ten temat na Internecie i w efekcie zacząłem kwestionować coraz więcej spraw. Dlaczego akurat wtedy poszedłem na strych domu rodziców? Naprawdę chodziło o stare komiksy i winyle, czy może były one tylko pretekstem? Może – jak sugerowały niektóre artykuły z zakresu psychologii – tak naprawdę szukałem tam właśnie czegoś takiego jak ta dziwaczna skrzyneczka? Czegoś, co przypominałoby mi o matce? Jakiegoś przedmiotu, którego nikt inny nie potrzebował, o którego istnieniu może nikt inny nie pamiętał – czegoś, co mogłoby symbolizować naszą więź, moją i matki, niepowtarzalną, jedyną na świecie. Może wszystko, co się działa, działa się wyłącznie w mojej głowie i świadczyło o tym, że próbuję na swój po-krętny sposób pogodzić się z odejściem jednej z najważniejszych osób w moim życiu. To praca po raz kolejny przyszła mi z odsieczą. Miałem tyle zajęć, że wkrótce zabrakło mi czasu na prowadzące donikąd rozważania

z zakresu chałupniczej psychologii. Udawałem przed samym sobą, że to nieważne bzdury, że o wszystkim zapomniałem. Wyparłem skrzyneczkę ze świadomości, nawet unikałem patrzenia w jej kierunku.

Jakiś czas później stwierdziłem, że sny wciąż się pojawiają, ale rzadziej. Przyszło mi nawet do głowy, że się do nich w końcu przyzwyczaję, ale nic z tego: wizje gigantycznej studni, której dno ginęło w mroku, za każdym razem sprawiały, że budziłem się całym rozdygotany. Szczęście w nieszczęściu, że nie krzyczałem ani nie mówiłem przez sen i Gabryśia przeważnie nie zdawała sobie sprawy z tych koszmarów.

Wyjątkowo paskudna wizja nawiedziła mnie w noc poprzedzającą wyjazd na galę organizowaną przez wydawnictwo, dla którego pracowałem. Zaczęło się od czarnego mężczyzny pozbawionego twarzy, który przechadzał się po lesie zatopionym w nocnej ciszy. Sen był niesłychanie realistyczny – czułem zapach żywicy, pod palcami dotyk chropowatej kory olbrzymich sekwoi. Ściółka uginała się pod stopami. Kroczyłem śladem mężczyzny, widziałem jego plecy, czarne i lśniące jak świeża wypolerowana heban, zgrabne łydki i umięśnione uda, wszystko gładkie, bez jednego włoska, ale choćbym nie wiem ile razy próbował skrócić dystans i spojrzeć mu w twarz, nie mogłem. Wyprzedzał mnie nieustannie, ale bez pośpiechu, wskazywał mi kierunek, a ja szedłem za nim. Płuca wypełniało mi mroźne powietrze, wśród drzew pohukiwał puszczyk.

Dotarliśmy do rozległej polany, pustego placu jałowej ziemi w sercu pradawnego lasu. Naraz uzmysłowiłem sobie, że mój przewodnik zniknął. W tym momencie spłynął na mnie strach, zwarta ściana drzew wydała mi się nagle jakimś odpychającym, nienawistnym bytem, tysiącem nieruchomych, czających się macek należących do jednej ukrytej pod ziemią formy życia. Spojrzałem ku niebu, jakbym zamierzał wyglądać stamtąd ratunku, ale zawieszone na nim gwiazdy były wyblakłe i wcale nie dawały światła. Przypominały oczy, setki albo tysiące bladych, nigdy nie mrugających ślepi, a wszystkie były wpatrzone w mnie. Poczułem się mały i kruchy.

Naraz otoczyło mnie ciepło i blask. Okazało się, że wszędzie wokół mnie czekają płonące ogniska, dziesiątki buzujących stosów. W centrum

każdego stał pal, do którego przywiązano ludzką postać. Przez kilka przeraźliwie długich sekund temu wszystkiemu nie towarzyszył żaden dźwięk – wyglądało to jak dziwaczny niemy film – po czym nagle eksplodowała fonia: rozległ się trzask ognia, wrzask bólu z wielu gardeł, skrzypienie szarpanych więzów. Postacie wiły się w agonii i nie przestały wyć, skamleć, kaszleć i dławić się, gdy ich skóra czerniała, pękała, odpadała całymi płatami.

Dopiero kiedy płomienie sięgnęły nieco wyżej, zauważyłem, że wszystkie płonące postacie mają moją twarz.

Cofałem się o krok i nagle straciłem grunt pod nogami. Zacząłem spadać w przepaść. Rozrzuciłem ręce w desperackiej próbie uratowania życia i poczułem pod palcami kamienną cembrownię. Z przerażeniem odkryłem, że wpadłem do studni. Do tej studni, która nawiedzała mnie w snach. Strach zatkał mi gardło. Nie miałem dość siły, żeby się podciągnąć, więc po prostu wisiałem, a z góry wlewał się do środka agonalny chór palonych ludzi oraz wewnętrzny smród ich zwęglanych ciał. Wtedy usłyszałem coś dochodzącego z głębi studni. Dźwięk miał w sobie coś z mlaśnięcia, ale też coś z syku, stęknięcia, jęku. Usłyszałem go mimo wszystkich krzyków i zawodzeń, usłyszałem go tak, jak pustelnik w dzicy słyszy głos Boga. Spojrzałem w dół, ale mrok był tak gęsty, że nie widziałem własnych stóp.

Niespodziewanie dotarło do mnie z oszałamiającą pewnością, że kaźń, która rozgrywa się na polanie, to coś więcej niż tylko szaleńczy bezmiar cierpienia. To rytuał. To ofiara. To zew przyzywający coś wielkiego i strasznego.

Coś czającego się na dnie studni.

Wtedy poczułem, że jak jakiś lodowaty, lepki przedmiot zaciska się wokół mojej kostki.

Kiedy się obudziłem, Gabryśka ściskała moje ramię, a w uszach wciąż słyszałem własny krzyk.



Przez cały ranek czułem się rozbity. Winny był nie tylko koszmar i związańe z nim niewyspanie (tej nocy oczywiście już nie zasnąłem), ale również to, że napędziłem Gabryśce solidnego stracha. Żyło mi się z nią dobrze i nie chciałem, żeby myślała, że brakuje mi piątej klepki. Stwierdzenie „mój facet jest jakiś dziwny” bardzo niewiele dzieli od „mój BYŁY facet BYŁ jakiś dziwny”. Cóż, wstyd przyznać, ale ze zdeklarowanego kawalera i samotnika zmieniłem się w zakochanego po uszy szczeniaka.

Tym trudniej jest mi wytłumaczyć to, co miało miejsce później, na gali wydawnictwa.

Do Krakowa jechałem autostradą, ruch był niewielki, ale i tak spędziłem w trasie prawie trzy godziny. Później długo krażyłem po mieście – najpierw w poszukiwaniu hotelu, następnie miejsca do parkowania. W efekcie na imprezę dotarłem głodny i zmęczony, a alkohol już na wejściu płynął wartkim strumieniem. Nie pomagał fakt, że całe mnóstwo nieznajomych gratulowało mi takiej czy innej grafiki; klepano mnie po plecach i ściskano dłoń... Wydawało się, że wszyscy na gali mnie znają. Bawiłem się przednio, choć było w tym coś nierealnego; coś, co nie pozwalało traktować całej sytuacji poważnie.

Później, gdzieś po siódmym czy ósmym drinku, śliczna blondynka w bardzo kusej sukience powiedziała, że nazywa się Daria i że w sposobie, w jaki rysuję, jest coś bardzo podniecającego. Pogadaliśmy, zatańczyliśmy ze dwa tańce, w pewnym momencie zaczęliśmy się całować. Kiedy – w niecałe pół godziny po tym, jak mi się przedstawiła – bez żadnego skrępowania zapytała, czy nie mam ochoty się z nią pieprzyć, przepadłem z kretesem.

Nie chcę się tłumaczyć. Zrobiłem, co zrobiłem. Byłem pijany, sodówka uderzyła mi do głowy. Poczułem, że cały świat legł u moich stóp i czeka na rozkazy.

Rano obudziłem się w hotelowym łóżku z potwornym kacem (fizycznym i moralnym) tylko po to, by przekonać się, że najgorsze dopiero miało nadzieję. Wmusiłem w siebie śniadanie i zszedłem do kafejki internetowej, żeby sprawdzić pocztę i posurfować po necie. Czułem się tak podle, że przed obiadem nie zamierzałem siadać za kółkiem.

Odpowidałem na maile, powchodziłem na regularnie odwiedzane strony, wreszcie zajrzałem i na portal wydawnictwa. Dodali już zdjęcia z gali i zacząłem je przeglądać. Z zaskoczeniem odkryłem, że jednym z gości, którzy poprzedniej nocy najserdeczniej mi gratulowali, a których wcześniej nie znałem z twarzy, był nie kto inny, ale sam Andrzej Kosmecki, as wydawnictwa i jeden z absolutnie topowych polskich pisarzy. Poczułem ukłucie dumy na wspomnienie tego, z jakim szacunkiem mówił o mojej pracy.

A później kliknąłem na kolejną fotkę i mój świat posypał się w drobny mak.

Na zdjęciu tańczyłem z Darią, czule przytulony do jej skąpo odzianego ciała, a pocałunek, który nas połączył, na pewno nie był niewinny. Podpis pod zdjęciem mówił coś o gorącej atmosferze gali i niezapomnianych chwilach, ale nie czytałem całości. Gapiłem się jak głupi na fotkę i kalkulowałem, jakie są szanse, że poproszę wydawnictwo o jej usunięcie, zanim Gabryśka na nią trafi.

Moment później odezwała się moja komórka. Wiadomość była krótka:

331

Chyba się dobrze bawiłeś

W życiu nie sądziłem, że jedna emotikonka może złamać człowiekowi serce.



Dzwoniłem do niej przez cały dzień, ale nie odbierała. Próbowałem jeszcze z Krakowa, a później, na trasie, dwa razy ze stacji benzynowych. Jechałem szybko i nieostrożnie, gnany idiotycznym poczuciem, że jeśli tylko się pospieszę, może jeszcze ją znajdę i naklonię do rozmowy.

Prułem po autostradzie tak szybko, jak tylko pozwalało na to moje wysłużone auto i błagałem wszystkie świętości, aby dała mi jeszcze jedną szansę. Modliłem się, prosiłem, targowałem, groziłem. Nagle stało się dla mnie oczywiste, że Gabryśka jest najlepszym, co mnie w życiu spotkało,

i że oddałbym wszystko, byle ze mną została. Nie chciałem jej stracić. Nie mogłem jej stracić.

– Jedna szansa – mruczałem gdzieś na wysokości Opola. – Tylko jedna pieprzona szansa! Tylko o to proszę. O nic więcej. Jedna szansa, a więcej tego nie spartolę, obieczę!

Dojechałem do Wrocławia koło szóstej. Minęła chwila, nim przecisnąłłem się przez miasto i trafiłem pod swój blok. Nawet nie pamiętam, czy zamknąłem samochód – wpadłem do bramy i pogoniłem schodami na górę. Wciąż słyszę swój ciężki oddech, czuję łomotanie serca w piersi i tę przerażającą świadomość, że moje być i nie być zależy od tego, co się stanie, gdy nacisnę klamkę.

Zatrzymałem się przed progiem. Sapałem ciężko, w oczach miałem łzy. Żołądek ciążył, jakbym wcześniej połknął cegłę, a wyrzuty sumienia wrzeszczały mi pod czaszką, że znowu wszystko schrzaniłem.

Zamknąłem oczy, ostatni raz poprosiłem w myślach, żeby los okazał się dla mnie litościwy. Nacisnąłm klamkę.

332

Drzwi były otwarte.

Za progiem usłyszałem szelest papieru i coś jeszcze, czego nie mogłem rozpoznać. Żelazne szczypce strachu zaciśniły mi się na gardle – nie mogłem wykrztusić ani słowa, nie mogłem nawet oddychać. Ruszyłem w stronę dużego pokoju powolnym krokiem skazanego na śmierć.

Gabryśka siedziała na podłodze. Obok niej leżały kartki papieru i koperty – wyglądało to jak listy, przynajmniej z dziesięć długich, kilkustronicowych listów. Łzy spływały jej po policzkach brudnych od rozmazanego tuszu do rzęs. Wyglądała żałosnie, jak niesłusznie zbité dziecko.

Ale nie odeszła.

Zbliżyłem się, upadłem na kolana. Nie odtrąciła mnie, kiedy objąłem ją i wyszeptałem, że przepraszam. Przepraszałem długo i szczerze, jakbym się bał, że kiedy umilknę, to wszystko okaże się tylko snem, a rzeczywiste mieszkanie przywita mnie lodowątą pustką.

W końcu przestała płakać, a ja umilkłem. Tuliłem ją do siebie i powoli, bardzo powoli spływał na nas spokój.

– Chciałam odejść – powiedziała, kiedy mogła już zapanować nad głosem. – Naprawdę. Kiedy zobaczyłam to zdjęcie... To bolało. Poczułam się, jakbyś mnie spoliczkował, jakbyś napluł mi w twarz. Nie wyobrażasz sobie...

Nie wyobrażałem sobie, to prawda. Wyrzuty sumienia odezwały się ze zdwojoną siłą. Poczułem, że nienawidzę tego człowieka, który trzyma w ramionach moją cudowną Gabrysię. Nienawidziłem samego siebie.

– Zaczęłam pakować swoje rzeczy. Miałam nadzieję, że wyjdę, zanim wrócisz... ale w pewnym momencie popatrzyłam na tę szkatułkę od rodziców i pomyślałam, że nigdy nie sprawdziłam, co w niej właściwie trzymasz. Nagle poczułam, że to ważne; że chyba zwariuję, jeśli się nie dowiem. A w środku znalazłam to.

Wskazała na listy i zdobyła się na łagodny uśmiech. Pogładziła mnie po twarzy, ale wcale nie oszalałem z radości i wdzięczności. Informacja o listach znalezionych w skrzyneczce zmroziła mnie, sprawiła, że włoski zjeżyły mi się na całym ciele, krew zwolniła bieg.

– To, jak w nich piszesz o tym, co do mnie czujesz... – powiedziała i popatrzyła mi w oczy. – Nie sądziłam, że drzemie w tobie coś takiego. Ja... chyba oboje musimy się jeszcze wiele o sobie dowiedzieć. Zrozumieć swoje uczucia. Nauczyć się o nich mówić. Wtedy będzie nam łatwiej. Czytałam i czytałam, i coraz bardziej docierało do mnie, jak nie-wiele w porównaniu z tym wszystkim znaczy jeden pocałunek wymieniony w tańcu.

Wolałem jej nie wyjaśniać, że mogła mi zarzucić znacznie więcej niż jeden pocałunek wymieniony w tańcu.

– Aż w końcu dotarłam do tego listu – powiedziała, podsuwając mi arkusz specjalnie odłożony na bok. – I chcę, żebyś wiedział, że się nie boję. Każde z nas ma swoje demony. Wszyscy mamy wady. I jeśli tylko ty jesteś gotów zaakceptować moje, ja pokocham twoje. I odpowiedź brzmi: „tak”.

Uśmiechnęła się i podniosła lewą dłoń, tak żebym mógł przyjrzeć się subtelnemu pierścionkowi z diamentem na jej serdecznym palcu. Później pocałowała mnie w usta, bardzo czule i bardzo mocno, a ja zrobiłem co w mojej mocy, żeby poczuła, że ją kocham.

Dyskretnie rzuciłem okiem na list, który mi podała, a w którym – ujmując rzecz skrótnie – autor prosił ją o rękę, bo nie wyobrażał sobie życia bez niej. To do tego listu musiał być dołączony pierścionek.

Pocałowałem ją raz jeszcze, po czym przeprosiłem na moment i poszedłem do łazienki. Dopiero tam rozpięłam koszulę i ochlapałem twarz wodą. Nie pomogło. Patrzyłem w lustro, w swoje odbicie, i zastanawiałem się, czy zwariowałem.

Mimo że nigdy nie napisałem tych listów i nie ukryłem ich w szkatułce, charakter pisma bez wątpienia należał do mnie, a pierścionek, który Gabryśia nosiła na palcu, dawno temu podarowała mi matka. Dostała go od ojca i bardzo chciała, żeby pewnego dnia trafił do wybranki mojego serca.



Jeszcze tego wieczora zadzwoniłem do ojca. Wybierając numer, oszukiwałem się, że chcę mu powiedzieć o zaręczynach. Prawda jednak była taka, że szkatułka coraz bardziej mnie przerżała. Chciałem dowiedzieć się o niej czegoś więcej, a ojciec był jedynym źródłem informacji, jakie przychodziło mi do głowy.

Nie odbierał.

Spróbowałem jeszcze ze trzy razy, po czym dałem sobie spokój. Jakiejś części mnie ulżyło – głupio byłoby mi przyznać się przed ojcem do kradzieży. Poza tym czułem pod skórą coś jak dziwne mrowienie... jakby intuicja mi podpowiadała, że może to i lepiej. Wszystkie te dziwaczne zdarzenia – sny, znalezione w potrzebie kluczyki do auta, malowany w transie obraz, listy, których nigdy nie napisałem – były powiązane ze skrzyneczką i zwyczajnie bałem się tego, co mogę usłyszeć na jej temat. Wystarczyło, że moja wyobraźnia już ruszyła z kopyta i zaczęła podsuwać mi kolejne niestworzone historie i możliwości. Nierealne i niewiarygodne, fakt, ale wciąż przerażające.

Ledwo położyliśmy się do łóżka, kiedy zadzwonił telefon. Nie zapalałem światła, tylko wygrzebałem się z pościeli i poszedłem po komórkę. Spojrzałem na wyświetlacz, ale numeru nie poznałem.

– Halo?

– Dobry wieczór, mówi doktor Jan Smoła ze szpitala w Trzebnicy. Czy rozmawiam z panem Dominikiem Terczewskim?

– To ja – odpowiedziałem. Móglbym przysiąć, że temperatura w pokoju raptownie spadła. – O co chodzi?

– Panie Terczewski, przed niespełna godziną trafił do nas pański ojciec.

Odebrało mi mowę.

– Pański ojciec miał udar mózgu spowodowany niedokrwieniem, nastąpił częściowy paraliż.

Gdy Gabrysia zobaczyła moją twarz, zaraz poderwała się z łóżka i stanęła przy mnie.

– Ale... On... Ja – dukałem bez ładu i składu. Minęło kilka sekund, nim ułożyłem sensowne pytanie. – Jak on się teraz czuje? Czy już wszystko w porządku?

Doktor Smoła westchnął ciężko. Miał znużony głos człowieka po dwudziestu godzinach dyżuru.

– Panie Terczewski, jeśli tylko pan może, proszę przyjechać do nas, do szpitala. Pana ojciec jest w ciężkim stanie. Jeśli się pan pospieszy...

Nie dokończył, nie musiał. Aż tak głupi nie byłem.



Doktor Smoła był potężnie zbudowanym mężczyzną o różowawej cerze. Ledwo mieścił się w lekarskim kitlu, pachniał tytoniem. Powitał mnie już w korytarzu, w chorobliwie żółtawym świetle jarzeniówek, na wytartym, zielonym linoleum.

Zabrał mnie do pokoju, w którym leżał ojciec. Zatrzymał się przed drzwiami, jakby chciał dać do zrozumienia, że o losie chorego decydują teraz inne siły niż personel medyczny.

– Proszę wejść – poradził mi. – Porozmawiamy później.

Wahałem się przez moment, ale w końcu skinąłem głową. Podszedłem do ojca. Spał, pościel miał naciągniętą pod brodę, na twarzy pojawiły się

paskudne plamy. Nie wiedziałem, czy były efektem jakiegoś wylewu, czy może ojciec upadł i nabił sobie rozległego siniaka. Nie mogłem uwierzyć, że to on. Patrzyłem na niego i szukałem w nim tego silnego, szorstkiego człowieka, który kiedyś był dla mnie tak ważny, a którego z biegiem lat nauczyłem się nienawidzić. Nie potrafiłem – leżał przede mną ktoś inny, ktoś wątpliwy, bezradny, na wpół martwy.

Usiadłem na krześle. Spod nakrycia wystawała jego dłoń, więc ją ująłem. Czułem się dziwnie, jakby to wszystko wokół mnie nie działało się naprawdę, jakbym był aktorem odgrywającym wyjątkowo smętną scenę w taniej amerykańskiej produkcji.

Prawda była taka, że nie miałem pojęcia, jak się zachować.

Siedziałem przez jakiś czas w półmroku – jedyne światło wpadało z korytarza – i ściskałem dłoń człowieka, który od dawna był mi właściwie obcy. Coś mi podpowiadało, że nie znam tego mężczyzny, który leży na szpitalnym łóżku, nie znam już od wielu lat i że nie powiniensem nad nim rozpaczlać bardziej niż nad setkami innych pacjentów. I choć nie ciepłe wspomnienia z nim związane były rozmażane i odległe jak kadry z filmu obejrzanego tylko raz, w dzieciństwie, nie mogłem nic poradzić na pustkę, która z każdą chwilą rosła gdzieś wewnętrz mnie. W ojcu wciąż tliło się życie, ale ja już czułem przejmującą strategię... może tym bardziej przejmującą, że w moim odczuciu nieuzasadnioną.

Kiedy usłyszałem słaby, szeleszczący głos, w pierwszej chwili nie zdałem sobie sprawy, że należy do mojego ojca.

– *Wer ist da?* – zapytał. Zobaczyłem jak mruga lewą powieką, prawa pozostała nieruchoma, bez życia. Aż drgnąłem na ten widok. Poczułem na dłoni dotyk jego palców, głowa lekko przekrzywiła się w moją stronę. Otwarte oko spoczęło na mnie. – *Du...*

– To ja, tato – bąknąłem, starając się podtrzymać kontakt. Równocześnie obejrzałem się w poszukiwaniu lekarza. Nie miałem pojęcia, czy przebudzenie jest ważne, czy to jakiś sygnał i czy nie należałoby wezwać Smoły. – To ja, Dominik. Twój syn.

Patrzył na mnie uporczywie, jakby rozważając moje słowa, doszukując się w nich kłamstwa.

– *Mein Sohn... Dominik. Domino.*

Nagle coś ścisnęło mnie w gardle. Nie nazywał mnie tak od chwili, kiedy skończyłem podstawówkę.

– Tak, to ja. Jestem przy tobie, tato. Wszystko będzie dobrze. Jesteś bezpieczny. Wszystko będzie dobrze.

Zamknął oczy, ale poczułem, jak jego dłoń zaciska się na mojej. Od dziesięciu lat nie mieliśmy ze sobą równie bliskiego kontaktu. Nawet nie wiem, kiedy nieproszone łzy napłynęły mi do oczu.

– *Maria?* – mruknął ojciec. – *Ist Maria hier?*

To tylko kolejne słowa, a poczułem się, jakby mnie ktoś zdzielił obuchem w głowę.

– Tato, mama nie żyje.

– *Maria... Meine Maria... tot?*

Przymknął oczy, uścisnął na mojej dłoni niespodziewanie zelżał. Z na wpół otwartych ust uciekł syk, jakby wraz z powietrzem uciekała z ojca dusza.

Nagle zrozumiałem, że mam bardzo mało czasu.

– Tato. – Pochyliłem się niżej, potrząsnąłem delikatnie za jego lewe ramię. – Tato, muszę cię o coś zapytać.

Zamrugał powieką, ale nie otworzył jej. Może nie miał sił. Może po prostu nie chciał.

– Tato, muszę to wiedzieć. Na... na waszym strychu... była szkatułka. Drewniana skrzyneczka, z metalowymi symbolami. Pamiętasz, skąd ją macie?

Lewa powieka zaczęła trzepotać jak skrzydło motyla, który desperacko próbuje oderwać się od pajęczyny. Niedobrze mi się zrobiło na ten widok.

– *Die Kiste* – wyszeptał ojciec. Zdołał raz jeszcze na mnie spojrzeć. Grymas bólu albo zawodu wykrzywił mu twarz. – *Domino...*

Wymamrotał coś, czego nie zrozumiałem. Pochyliłem się jeszcze niżej, czułem na policzku jego nieświeży oddech. Albo mi się wydawało, albo trafił do szpitala na rauszu. Powiedział coś, tym razem nieco wyraźniej.

– Wyszkowski? – spytałem. Ledwie widocznie skinął głową i wymamrotał kolejne słowo. Imię. Tadeusz. – Tadeusz Wyszkowski?

Przytaknął i wydawało się, jakby uszły z niego wszystkie siły. Zamknął oczy, znieruchomiał, świszący oddech przeszedł w cichutki szmer. Tylko unosząca się klatka piersiowa sugerowała, że wciąż żyje.

Wyszedłem z pokoju. Póki doktor Smoła nie podał mi chusteczki, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że cały jestem zapłakany. Zaprowadził mnie do swojego gabinetu – klatki z małеньким okienkiem, w której mieścił się obity skajem fotel, niewysoki stoliczek i biurko z komputerem.

– Domyślam się, że nie jest panu łatwo – zaczął. – Czy często widywał się pan z ojcem?

– Rzadko. Zbyt rzadko. – Odetchnąłem głęboko, bo wiedziałem, że następne pytanie będzie mnie wiele kosztować. – Jakie ma szanse?

– Niewielkie. Udar dotknął znacznej części mózgu.

– Rozmawiał ze mną po niemiecku. To dlatego? Przez udar?

– Najprawdopodobniej. Ze wstępnych badań wynika, że nastąpił paraliż prawej części ciała. Kilka najbliższych godzin pokaże, czy jego stan się pogorszy, czy unormuje. W drugim przypadku jest szansa na cofnięcie się paraliżu. Niewielka, ale jest. Jednak... Panie Terczewski, czy pan wie, że pański ojciec pije?

Zatkało mnie. Bąknąłem coś bez sensu i umilkłem. Chciałem powiedzieć coś o tym, że dawniej nie raz widziałem go z otwartym piwem, ale nigdy pijanego; że matka się nie skarżyła i że chyba bym wiedział, gdyby...

Tyle że nie mogłem wiedzieć. Od pogrzebu matki nawet mi nie przyszło do głowy, żeby chociaż do niego zadzwonić.

– Rezonans wykazał rozległe zmiany w mózgu – dodał lekarz. – Zmiany, które nie mogły być spowodowane udarem.

– Co to znaczy?

Smoła popatrzył mi w oczy.

– To znaczy, że nawet jeśli pański ojciec przeżyje najbliższe parę godzin, a nie zmieni dotychczasowego stylu życia, zostanie mu nie więcej niż kilka miesięcy. W najlepszym przypadku rok.

Bardzo chciałem zachować poważną minę, ale zamiast tego ukryłem twarz w dloniach i zacząłem płakać, głośno i gorzko, jak nigdy wcześniej.



Problem picia miał już wkrótce okazać się bez znaczenia. W niecałą godzinę po mojej wizycie doszło do kolejnego udaru. Ojciec zmarł o drugiej w nocy. Odszedł bez pożegnania, z wyrazem bolesnego uporu na twarzy.

Nie zdążyłem mu powiedzieć, że się zaręczyłem. Że jest mi przykro i że mu wybaczam.

Nie zdążyłem mu powiedzieć, jak bardzo go kochałem.



Kiedy rano wróciłem do domu, Gabryski już nie było, musiała wyjść do pracy. Byłem fizycznie i emocjonalnie wycieńczony, marzyłem tylko o tym, żeby ukryć się pod kołdrą i zapaść w pozbawiony rojeń sen. A jednak, kiedy mój wzrok padł na skrzyneczkę, poczułem, że wcale łatwo nie zasnę.

Tadeusz Wyszkowski – powtórzyłem w myślach. Kim był człowiek, którego nazwisko podał mi ojciec? Właścicielem szkatułki? Czy to on sprzedał ją rodzicom? A może im ją podarował? Może była jego dziełem? Ojciec natychmiast przypomniał sobie jego nazwisko, a jednak byłem pewien, że nigdy o nikim podobnym nie słyszałem. Nie należał do grona bliskich znajomych rodziców...

Wpisałem nazwisko w wyszukiwarce internetowej. Znalazłem tylko informacje o dyrektorze jakiegoś urzędu w Białymstoku. Pudło. Przez jakiś czas rozważałem inne opcje, ale jedynym sensownym rozwiązaniem wydawała się wizyta u rodziców i próba znalezienia czegoś u nich.

Pięć minut później siedziałem już w samochodzie.

Dom, kiedyś pełen życia, przywitał mnie pustką i ciszą. Dopiero kiedy przekroczyłem próg, zrozumiałem, że teraz należy do mnie. Wzdrygnąłem się na tę myśl.

Sędziłem, że ból osłabił przez ostatnie parę godzin, ale myliłem się. Odezwał się ze zdwojoną siłą, kiedy zobaczyłem talerz z niedojedzoną kanapką i zgniecone puszki po piwie leżące na kuchennym blacie. Obok kosza na śmieci stała bateria opróżnionych flaszek. W dużym pokoju czekała sterta prania przygotowanego do prasowania – w naszym domu to ojciec najczęściej chwytał za żelazko. Pilot do telewizora leżał na oparciu fotela.

Wydawało mi się, że w powietrzu wciąż unosi się słaby zapach jego wody po goleniu i poczułem, że znowu zbiera mi się na płacz.

W notesie ojca faktycznie znalazłem numer telefonu niejakiego Tadka Wyszkowskiego. Dla pewności sprawdziłem jeszcze organizator mamy i tam również trafiłem na to nazwisko. Podany był ten sam numer.

Wystukałem ciąg cyfr na komórce i czekałem, a moje serce tukło coraz szybciej i mocniej, szybciej i mocniej...

– Halo?

– Czy pan Wyszkowski? Tadeusz Wyszkowski?

– Przy aparacie. Z kim mam przyjemność?

Miał dojrzały, głęboki głos, który kojarzył mi się z kimś łagodnym, ale i stanowczym.

– Nazywam się Dominiki Terczewski. Marian Terczewski był moim ojcem.

Po drugiej stronie przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– Był? – upewnił się Wyszkowski.

– Ojciec zmarł dziś w nocy. W szpitalu w Trzebnicy. Udar mózgu.

– Przykro mi to słyszeć. Marian był dobrym człowiekiem i wiernym przyjacielem. Będzie mi go brakować. Proszę przyjąć moje najszczersze kondolencje.

Umilkliśmy, a ja nie mogłem się zdobyć na to, żeby przejść do meritum. W końcu Wyszkowski mnie wyręczył.

– Domyślam się, że nie dzwoni pan do mnie, żeby poinformować o śmierci ojca.

– Nie. Chciałem pana zapytać... Rozmawiałem z ojcem, jeszcze przed jego... – Jakoś nie mogłem znaleźć właściwych słów. Wreszcie

postawiłem wszystko na jedną kartę. – Czy wie pan coś na temat nie-duzej skrzynki, którą rodzice trzymali na strychu? Z ciemnego drewna, ozdobiona metalowymi, jakby posrebrzonymi symbolami.

Parę sekund upłynęło w ciszy. Wystarczyło, żebym poczuł, że coś jest nie tak.

– Czemu pan pyta? – dobiegło z drugiej strony.

– Ja... znalazłem ją... jakiś czas temu. Ojciec kazał mi o nią pana zapytać... Czy... czy ona należy do pana?

W słuchawce usłyszałem ponury, pozbawiony wesołości śmiech. Nie spodobał mi się, tak samo jak westchnienie, które nadeszło po nim.

– Ta skrzyneczka nie należy do nikogo – odparł Wyszkowski. – Przez pewien czas była w moim posiadaniu, to prawda. Do chwili, kiedy poprosiłem pańskich rodziców, żeby ją przechowali.

– Kiedy to było?

– Trzydzieści jeden lat temu.

Znowu zamilkłem. Wszystko to było dziwne, cała ta rozmowa przebiegała według jakiegoś surrealistycznego scenariusza, którego nie mogłem zrozumieć.

– Panie Wyszkowski... Nie dzwoniłbym, gdyby...

– Dobrze się panu powodzi, prawda? – przerwał mi. Mówił szybciej, jakby był na mnie trochę zły, albo może wystraszony. – Pomijając śmierć ojca, oczywiście, ale ona, jak sądzę, nie ma z tym nic wspólnego. Dobrze się panu żyje? Sukcesy zawodowe? Osobiste? Świat legł panu u stóp?

Coś mnie chwyciło za gardło. Pomyślałem o ofertach pracy, które zaczęły się pojawiać jak grzyby po deszczu w parę dni po tym, jak szkatułka trafiła do mnie. O kluczykach, które się zmateriaлизowały, gdy najbardziej tego potrzebowałem. O listach, których nigdy nie napisałem, a dzięki którym Gabryśia została ze mną.

– Ale to nie wszystko, prawda? – kontynuował Wyszkowski. – Pan milczy; pan wie, o czym mówię. Mówię o pełzającym chaosie, panie Terczewski. O snach, całym mnóstwie różnych snów. Proszę powiedzieć, panie Terczewski, czy widział pan już Jego twarz? Czy spojrzał pan w głąb studni bez dna?

- Jego? – zapytałem.
– Twarz człowieka na tronie z kości słoniowej. Egipcjanina.
– O czym pan mówi, do jasnej cholery?!
– On wkrótce nadjejdzie. Pojawi się w snach. Panie Terczewski, pan zaciągnął dług u handlarza równie starego jak nasz świat... może nawet starszego. A tego rodzaju dług przedzej czy później trzeba spłacić. Boski lichwiarz upomni się o swoje.

Słuchałem go ogłupiały. Jakaś część mnie bardzo chciała, by cała ta rozmowa okazała się tylko kolejnym pokręconym snem, ale nieważne, ile się szcypałem, nie mogłem się obudzić.

- To wszystko przez tę gównianą szkatułkę? – zapytałem. – Przez to, że ją zabrałem? Co ja mam teraz zrobić, do diabła?

– Nie wiem. Nie wiem, czy cokolwiek da się zrobić. On odbierze swoją należność. Nie ma znaczenia, co pan zdecyduje.

Mysiąłem, że szlag mnie zaraz trafi.

- To jakieś pieprzone szaleństwo – warknął. – Czy może mi pan powiedzieć cokolwiek przydatnego? To przez pana ta szkatułka trafiła do moich rodziców. Chyba jest mi pan coś winien.

Tym razem Wyszkowski milczał znacznie dłużej.

– Zgodzili się przechować szkatułkę w zamian za przysługę, jaką im oddałem dawno temu – odparł wreszcie. Mówił powoli, jakby cedził słowa przez zęby albo dbał o to, by nie powiedzieć za dużo. – Nie chcę jej z powrotem, panie Terczewski. Boję się jej. Bałem się jej przez każdy dzień ostatnich trzydziestu jeden lat.

- W takim razie trzeba ją zniszczyć.
– Naprawdę sądzi pan, że nie próbowałem? – w jego głosie znowu pojawiła się nuta posępniego rozbawienia.
– A co jeśli się jej pozbędę? Wyrzucę ją gdzieś? Sprzedam?
– Może pan próbować. Ale to nie rozwiąże pańskiego problemu. Sprawi natomiast, że ktoś inny padnie jej ofiarą. Ktoś inny zaciągnie dług, którego żaden człowiek nie chciałby spłacać.

Milczeliśmy obaj. On czekał, ja szukałem pytań, które jeszcze mógłbym zadać. Nasunęło mi się tylko jedno.

– Czy to możliwe, że śmierć mojego ojca... że w ten sposób spłaciłem ten dług? Może już jest po wszystkim?

Wyszkowski prychnął cicho.

– Na pewno nie jest po wszystkim – odrzekł. – Wręcz przeciwnie. To dopiero początek. Teraz przepraszałam, ale muszę już kończyć. Proszę przyjąć moje szczerze kondolencje.

Rozłączył się, a ja usiadłem na kanapie. Wciąż ściskałem komórkę w dłoni i patrzyłem przed siebie, gapiłem się w ścianę jak ofiara wypadku. Nie mogłem się ruszyć, tylko gdzieś wewnętrz mnie coś się trzęsło i telepało.

– Wariat – wychrypiałem. – To po prostu wariat.

W końcu zdobyłem się na to, żeby wstać i wcisnąć komórkę do kieszeni. Ruszyłem w kierunku drzwi wejściowych, przed progiem zatrzymałem się, żeby jeszcze raz rzucić okiem na ten przerażająco pusty, cichy dom. Powoli przesuwałem wzrokiem po znajomych sprzętach, spoglądałem na ściany pokryte tapetami i boazerią przez co wnętrze domu wyglądało, jakby w najlepsze trwał XX wiek, a Wałęsa wciąż obradował z komunistami przy Okrągłym Stole. Tyle razy sugerowałem mamie, żeby coś z tym zrobiła, mieli przecież dość pieniędzy na solidny remont, ale zawsze mnie zbywała albo zmieniała temat.

Wątpliwości nadeszły jak stado wron lądujących wokół padliny.

Teraz to mój dom – pomyślałem. – Mogę zrobić, co mi się podoba. Mam do tego prawo. Mam prawo wiedzieć.

Minęła chwila, zanim znalazłem skrzynkę z narzędziami ojca. Potem przez kilka chwil mocowałem się z panelami boazerii polakierowanej na miodowy kolor. Stare, wysuszone listewki łamały się z suchym trzaskiem, jak kości miażdżone w psim pysku. W końcu usunąłem kilka metrów kwadratowych deseczek i popatrzyłem na swoje dzieło, odrobinę zasapany i spocony, z drzazgami w ubraniu i ustami pełnymi kurzu. Patrzyłem przed siebie i czułem, jakby ktoś uwiesił mi na sercu kamień albo kawał ołowiu.

Ścianę mojego rodzinnego domu pokrywały czarne ślady, jak odciski ubabranych atramentem macek. Wiele z nich wyglądało po prostu jak

bezładnie ponanoszone smugi, ale dojrzeałem tam również coś niepokojąco przypominające sierp księżyca, ułamany fragment egipskiego krzyża czy koślawej pięcioramiennej gwiazdy.

Musiałem wyjść z domu i odetchnąć świeżym powietrzem, inaczej bym się porzygał.

Chwilę później wsiadłem do auta. Wsadziłem kluczyki do stacyjki, ale ich nie przekręciłem. Zamarłem z ręką na kierownicy; patrzyłem na krople deszczu rozbijające się o przednią szybę auta, ale ich nie widziałem. W głowie miałem głos Wyszkowskiego, kiedy mówił, że oddał skrzyneczkę moim rodzicom trzydzieści jeden lat temu. Udzielił tej odpowiedzi bez zajęknięcia, bez śladu wahania. Może kłamał. A może tak dobrze pamiętał tamten dzień, może tak ważna była dla niego ta data.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że drżą mi ręce i szczećkam zębami. Nie byłem w stanie nic na to poradzić, czułem się, jakbym przed momentem wygramolił się z przerębla.

Niemal dokładnie trzydzieści jeden lat temu moja matka zaszła w ciążę. Dziewięć miesięcy później przyszedłem na świat.



Biłem się z myślami przez całą drogę do domu. Z jednej strony słowa Wyszkowskiego niebezpiecznie przypominały rojenia wariata i pół roku wcześniej potraktowałbym je jako socjologiczne kuriozum, świadectwo kruchości ludzkiego umysłu. Z drugiej wydarzyło się ostatnio tyle dziwacznych, nierealnych rzeczy, że tylko skończony kretyń obstawałby przy tym, że wszystko da się racjonalnie wytlumaczyć.

Zaraz po powrocie do domu, zabrałem skrzyneczkę z komody i zaniosłem ją do piwnicy. Nie miałem pojęcia, co z nią zrobić – jakakolwiek próba jej unicestwienia nawet nie przeszła mi przez myśl, najpewniej przez to, co usłyszałem od Wyszkowskiego – ale wiedziałem, że nie chcę jej dłużej mieć w domu. Nie zamierzałem zaciągać kolejnych długów.

Uruchomiłem komputer. Ponownie wpisałem w wyszukiwarce nazwisko Wyszkowskiego, ale tym razem nie poddałem się tak łatwo jak wcześniej. Jeśli skrzyneczka od trzydziestu jeden lat znajdowała się w posiadaniu moich rodziców, założyłem, że cokolwiek spotkało przyjaciela moich rodziców, musiało mieć miejsce wcześniej. Dogrzebałem się w końcu pewnych informacji na jego temat: okazało się, że doktor habilitowany Tadeusz Wyszkowski wykłada na wydziale historycznym wrocławskiego uniwerku. Jego biogram był skrajnie oszczędny, ale dostarczył mi pomysłów, gdzie szukać dalej. Szperałem, grzebałem, kombinowałem z hasłem wyszukiwania, dodawałem daty, kombinowałem z ksywami mogącymi być wariacją nazwiska, przejrzalałem chyba wszystkie wyniki oferowane przez Google.

I w końcu znalazłem. Ledwie kilka zdań, podawaną na jakimś studenckim forum informację o wykładowcy, ale to wystarczyło. Jeden z użytkowników twierdził, że Wyszkowski, obecnie raczej pozbawiony ambicji uczelniany wyrobnik, stukał niegdyś publikację za publikacją i jeszcze za komuny brał udział w dużych międzynarodowych współpracyach archeologicznych. Z opisu wynikało, że był prawdziwym asem polskiej archeologii, człowiekiem, któremu wieszczono wczesną profesurę, a następnie światową karierę, prestiżowe nagrody, doktoraty honoris causa i Bóg wie, co jeszcze.

Potem jego żona i dwójka dzieci zginęły w wypadku samochodowym. Nic dziwnego, że facet się załamał. I nic dziwnego, że próbował obwiniać o swoje nieszczęścia tajemne moce zaklęte w skrzyneczce.

Odetchnąłem z ulgą, zadowolony, że znalazłem racjonalne wyjaśnienie dla słów Wyszkowskiego. Później przypominałem sobie to, co zobaczyłem pod boazerią w domu rodziców, i zadrżałem.

Szukałem dalej. Spróbowałem zawiązać w haśle opis skrzyneczki, obecnych na niej symboli, łączyć je z nazwiskiem Wyszkowskiego. Byłem jak w transie, nie zwracałem uwagi na upływ czasu, przestałem odczuwać pragnienie, głód, zmęczenie.

Szukałem.

I w końcu znalazłem.

Zwięzły opis znaleziska obecny w skanie artykułu naukowego pisanej jeszcze na maszynie. Na skryneczce natrafiono podczas inwentaryzacji zasobów zamkniętego muzeum w Egipcie i pierwsze badania pokazały, że nie była wykonanym wspólnie falsyfikatem. Autor wy-suwał hipotezę, że to dzieło osiemnastowiecznego rzemieślnika, który należał do raczkującą wówczas w Kairze loży masońskiej albo podobnego stowarzyszenia, ale zaznaczał również, że stan drewna, technologia wykonania metalowych elementów, a także styl dekoracji są na tyle niespotykane, że uniemożliwiają datowanie przedmiotu bez wykorzystania specjalistycznych technologii.

Autorem artykułu był T. Wyszkowski.

Mimo że spędziłem przed ekranem jeszcze dobre pół godziny, nie znalazłem nic więcej. Wyłączyłem komputer i zaparzyłem sobie kawę. Usiadłem przy kuchennym stole i zapatrzyłem się na zegar, zastanawiając się, co począć z resztą dnia. Po śmierci ojca, nieprzespanej nocy i rozmowie z Wyszkowskim byłem rozbity, a w głowie miałem potworny mietlik. Wiedziałem, że trzeba zabrać się za organizację pogrzebu i innych formalności, ale nie sądziłem, bym miał na to teraz siły. Marzył mi się długi, kojący sen.

Miałem wstać od stołu i ruszyć do sypialni, kiedy usłyszałem szczęk klucza w zamku. Było przed jedenastą, Gabryśka powinna o tej porze jeszcze siedzieć w pracy.

Kiedy zobaczyłem ją w drzwiach, poczułem, jak moje serce staje, a powietrze w płucach gęstnieje. Moja ukochana była blada jak styczniowy śnieg, ledwo się trzymała na drżących nogach.

Dług! – pomyślałem panicznie. I zaraz zacząłem błagać: *Tylko nie ona. Proszę, tylko nie ona.*

Doskoczyłem do Gabrysi, jakbym się spodziewał, że zaraz upadnie. Z wdzięcznością przyjęła moje ramię i pozwoliła się doprowadzić do stołka, na którym ciężko usiadła.

– Rzygałam cały ranek – wyjaśniła. – Od przyjścia do pracy. Cały czas mnie muli i jestem taka słaba...

- Chcesz się położyć?
- Za chwilę. Nie wiem, czy mnie znowu nie zemdli.
- Coś ci zaszkodziło?
- Tak. Ty.

Uśmiechnęła się – słabo, ale szczerze – i to był jeden z najpiękniejszych uśmiechów, jakie w życiu widziałem. Później wyciągnęła z kieszeni papierek z jakimiś kolorami i powiedziała:

- Będziemy mieli dziecko.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, jak zareagować. Później przyszedł czas na radosne krzyki, na śmiech, na czułe całusy w twarz, szyję, dekolt, ręce. Zapewniałem, że o niczym tak nie marzyłem i że jestem bardzo szczęśliwy. Widać było, jak tajony niepokój opuszcza Gabryskę, a na jej twarzy pojawia się prawdziwa radość. Kiedy nieco później pomagałem jej położyć się do łóżka, płakała ze szczęścia.

Wydawało mi się, że dobrze odegrałem rolę uradowanego przyszłego ojca. Dałem jej to, czego potrzebowała – poczucie akceptacji, dzielonej radości, spełnionych marzeń. W rzeczywistości byłem przerażony. Strach chwycił mnie mocno, ściskał, miażdżył, utrudniał złapanie tchu i sprawiał fizyczny ból. Nie chodziło o ojcostwo, sądziłem, że dojrzałem już do tego, by założyć rodzinę.

Bałem się, bo na wieść o dziecku zaraz pomyślałem o słowach Wyszkowskiego. I o jego żonie oraz dzieciach, którzy zginęli, gdy wydawało mu się, że cały świat legł u jego stóp.

„To dopiero początek” – powiedział wtedy, przez telefon.

Oddałbym wszystko, żeby się okazało, że jednak nie miał racji.



Wyniszczało mnie to. Co noc towarzyszyły mi koszmary; spałem po dziesięć godzin na dobę, a i tak chodziłem wiecznie zmęczony. Bałem się panicznie o Gabrysię i dziecko – wystarczyło, że stęknęła, a mi już się jeżyły włosy na karku. Jednego dnia niemal odszedłem od zmysłów, bo została dłużej w pracy, a na rozładowaną komórkę nie mogłem się dodzwonić.

Czekałem na katastrofę, ale ta nie nadchodziła.

Minął pierwszy miesiąc, później drugi. Byłem wrakiem człowieka, jednym wielkim strzępkiem nerwów. Gabryśia udawała, że niczego nie zauważa; pewnie podejrzewała, że zwyczajnie stresuję się perspektywą ojcostwa. Do pewnego stopnia mi to pasowało – nie musiałem odpowiadać na pytania, które w innym wypadku mogłyby paść z jej ust.

Nadszedł czas wizyty u lekarza i pierwszego badania ultrasonografem. Przez całą noc nie zmrużyłem oka, paznokcie ze strachu poobgryzałem do krwi. Byłem przekonany, że teraz wyda się potworna prawda. Czułem pod skórą, że USG pokaże nam, że Garbysia nosi w sobie jakąś maszkarę, coś strasznego i niezrozumiałego, co przedzej czy później pożre ją od środka, rozplata jej wnętrzności, wychłepce z niej krew i życie. Spodziewałem się zobaczyć w jej wnętrzu macki, dzioby, oczy o dziwacznych żrenicach, wszystko w nieprzerwanym szaleńczym ruchu. To coś z mojego obrazu, z mojej głowy. Pełzający chaos. Nic takiego nie miało miejsca. Wizyta przebiegła bez zarzutu, a kiedy zobaczyłem na ekranie trzycentymetrową fasolkę, która miała stać się moim dzieckiem, poczułem gdzieś w głębi ukłucie niemożliwej do stłumienia radości. Wewnątrz mojej narzeczonej rosło życie, któremu dałem początek. Było w tym coś pięknego, tak nieskończenie pięknego, że powziąłem mocne postanowienie, by się nie przejmować. Chciałem uwierzyć, że Wyszkowski jednak się mylił.

Mijały kolejne dni i tygodnie, a szara codzienność zmusiła mnie, że bym zaczął twardo stąpać po ziemi. Miałem mnóstwo pracy, a brałem wszystkie możliwe zlecenia, bo spodziewałem się, że po narodzinach dziecka nasza sytuacja finansowa znacznie się pogorszy. Chciałem wyczekanie odłożyć możliwie dużo pieniędzy, żeby później mieć mniej powodów do zmartwień. Praca dała mi namiastkę upragnionego spokoju, a Gabryśka zarażała dobrym humorem.

Na początku piątego miesiąca dowiedziałem się, że będę miał syna. Nie umiem opisać tego, jak się wtedy poczułem. Szczęście, euforia... to brzmi tak trywialnie. Cóż, nie wszystko da się wyrazić słowami.

Zdecydowaliśmy, że mały będzie miał na imię Kuba.

Nastały tygodnie cichej radości i coraz bardziej niecierpliwego wy- czekiwania. Każdy dzień, który nie niósł ze sobą niepożądanych wieści, traktowałem jak małe prywatne zwycięstwo. Coraz częściej pozwala- łem sobie wierzyć, że los jednak okazał się dla nas łaskawy. Mały rósł i rozwijał się podręcznikowo, a Gabryśia potrzebowała coraz więcej odpoczynku.

W chwili, kiedy położyłem głowę na jej brzuchu i poczułem na policz- ku kopnięcie mojego maleńkiego Kubusia, autentycznie uwierzyłem, że wszystko będzie dobrze i że czeka nas wspaniałe życie.

Na półtora miesiąca przed planowanym terminem rozwiązania pojechałem do Lublina na konwent miłośników fantasyki. Miałem podpi- sywać książki – na tym etapie już ponad piętnaście tytułów – w których pojawiły się moje grafiki. Kilka godzin promocyjnej roboty, dwie noce w podróży.

Od tamtej pory nie było dnia, żebym nie przeklinał chwili, w której wsiadłem do autobusu na wrocławskim PKS-ie.

349



Do Lublina dotarłem bez problemu. Dzień spędziłem miło – porozda- wałem trochę autografów, pogadałem z różnymi ludźmi, wypiłem piwo w towarzystwie kilku bardziej utytułowanych grafików, którzy też pojawi- się na konwencie. Kiedy późnym wieczorem wsiadałem w powrotny au- tobus, byłem w skrajnie optymistycznym nastroju. Wymięty i zmęczony, ale pozytywnie nakręcony, usiadłem z tyłu, nałożyłem słuchawki na uszy i puściłem głośno muzykę, żeby choć trochę zagłuszyć warkot starego silnika.

Zasnąłem w mgnieniu oka.

Sen nie przypominał wcześniejszych wizji: powolnych, nastrojowych, niemal leniwyh. Tu kolejne mary przeplatały się ze sobą, obrazy zmie-niały w zawrotnym tempie, jak kształty w kalejdoskopie, jak karty taszo- wane przez krupiera.

Szu, szu, szu.

Ciemny las i czarny człowiek bez twarzy. Prowadzi mnie na rzeź, a ja idę za nim z ochotą, niemal błagając, by się pospieszył. Chcę krwawić, chcę krzyczeć, chcę płakać z radości, gdy będą mnie szlachtować obcy dzicy ludzie o głowach zwierząt.

Szu, szu, szu.

Pochód zakapturzonych postaci. Każda trzyma w dłoniach płócienne zawiniątko. Dziesiątki głosów mruczą coś ponuro na jedną melodię i w jednym tempie. Gdyby napisano kiedyś psalm zawierający błaganie o śmierć i wieczne potępienie, brzmiałby on właśnie tak. Widzę ich z oddali, ale wiem, że ich zawiniątko cuchną zgnilizną, rozkładem, że roją się od robactwa i much.

Szu, szu, szu. Szelest kart drażni uszy, wyciska na skronie zimny pot. Boję się.

Człowiek na tronie z kości słoniowej patrzy mi prosto w oczy. Ma ciało wysokiego Egipcjanina, jego ubiór przypomina szatę faraona. Tylko twarz przywdziała na tę okazję znajomą – twarz mojego ojca, ale uśmiechającą się złośliwie.

– Jesteś odrażający – mówią jego usta, ale głos należy do Gabrysi.

Egipcjanin kładzie dłoń na brzuchu, a twarz mojego ojca wykrzywia się w koszmarnym uśmiechu.

Dopiero teraz widzę, że ma puste oczodoły.

Szu, szu, szu.

Stoję na cembrowinie studni i patrzę w otchłań u moich stóp. Na plecach czuję wiatr pchający mnie ku ciemności, a nogi mi drżą i z każdą mijającą sekundą coraz bardziej odmawiają posłuszeństwa. Nagle za mną rozlega się wrzask tłumu – dziesiątki głosów skandujących jedno imię. Nie ma w tym skandowaniu radości, jest tylko ponura satysfakcja tych, którzy tym razem zostaną oszczędzeni.

– Nyarlathotep! Nyarlathotep!

Obracam się, żeby zerknąć przez ramię i wtedy moja lewa nogą się poddaje. Padam na kolana, próbuję podeprzeć się na rękach, ale dłoń ześliszguje się po wilgotnym kamieniu i osuwam się w mrok, ku czemuś, co czeka w ciemności...

Szu, szu, szu.

Dzwony. Setki dzwonów. Biją wszystkie naraz, ale w różnym tempie i różnej tonacji, tak że powstaje koszmarna kakofonia, ściana rozedrganych huczących dźwięków, manifestacja chaosu. A gdzieś pośród tych dzwonów widzę tron z kości słoniowej. Mężczyzna, który z niego wstaje, wciąż trzyma się za brzuch. Teraz ma pociągłą, smagłą twarz, która pasuje do egipskiej szaty. I oczy, lśniące i czarne, wielkie i głębokie jak cały kosmos, tak samo jak on zimne i pozbawione życia.

Cofa dłoń, a z jego brzucha wydostaje się gruba oślizgła macka. Dziura powiększa się z każdą sekundą, obok pierwszej macki pojawia się druga, kształtem przypominająca czarny, włochaty jazor. Mężczyzna ciągle się śmieje, śmieje tak głośno, że zagłusza nawet dzwony, a tymczasem z jego wnętrza wykuwa się coś potwornego, oślizgłego, nienazwanego, niemożliwego do opisania. Ciało Egipcjanina wywraca się na lewą stronę, tyle że wewnętrz nie ma kości, krwi i mięsa. Jest tylko...

Chaos. Pełzający chaos.

A dzwony w swojej szaleńczej polifonii wybijają jego imię.

351

– Nyarlathotep! Nyarlathotep!

Wtedy czuję, że mogę się poruszyć. Instynkt każe mi cofnąć się o krok i zaczynam spadać w głęb studni, olbrzymiej studni, na dnie której czeka...

Obudziłem się rozdygotany, zdezorientowany, zagubiony. Za oknem autobusu przesuwały się czarne kształty drzew i krzaków, jednostajny warkot silnika wypełniał wnętrze pojazdu. A jednak wciąż słyszałem odległe echo dzwonów z koszmaru.

Minęło parę sekund, nim zrozumiałem, że to moja komórka. Wygrzebałem ją pospiesznie z kieszeni kurtki i rzuciłem okiem na wyświetlacz.

Gabryśka.

– Słucham – powiedziałem. Miałem ściśnięte gardło. Musiało stać się coś złego, inaczej nie dzwoniłaby do mnie o trzecie nad ranem.

Po drugiej stronie usłyszałem tylko pociąganie nosem i ciche łkanie. Miałem wrażenie, że spadam, że nagle kurczę się, imploduję, gubię się wewnątrz siebie samego.

– Gabryśia, jesteś tam? – wychrypiąłem.

– Dominik...

Łamał się jej głos, ledwo mogła mówić. Brzmiała jak zrozpaczone dziecko.

– Gabryśka, co się stało?

– Kochanie, tak się boję. Nic nie rozumiem. Ja...

Coś po jej stronie nam przerwało. Jakiś głos – nie rozumiałem słów, ale docierał do mnie zawarty w nim pośpiech i przejęcie.

– Skarbie – wydusiłem z siebie. – Gdzie jesteś? Co się stało?

Nie odpowiadała. Słyszałem ją, jak połyka kolejne łzy, jak walczy z samą sobą, żeby zdobyć się na odwagę i mi odpowiedzieć.

– W szpitalu. Jestem w szpitalu.

Poczułem się, jakby trafiła mnie błyskawica. Zesztywniałem, dlonie zaczęły mi tak drzeć, że omal nie upuściłem komórki.

– Ale czemu?

– Ja... dziecko... Dominik, nie mogę, tak się boję... muszę kończyć.

– Gabryśka...

– Kocham cię, Domi.

– Gabryśka, posłuchaj...

Rozłączyła się.



Próbowałem dzwonić, ale nie odbierała. Resztę drogi do Wrocławia pokonałem pełen czarnych myśli. Strach opanował mnie doszczętnie i godzinami trząsłem się, szczekałem zębami i płakałem jak dziecko. Kiedy przy wjeździe do miasta stanęliśmy w korku, wcisnąłem sobie pięść do ust, żeby nie zacząć wrzeszczeć. Skórę na palcach poprzegryzałem do kości.

Mieszkanie powitało mnie cichą, ponurą pustką. Oczywiście zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli coś z Gabryśką było nie tak, to najpewniej została w szpitalu na obserwacji. Mimo wszystko fakt, że nie zastałem jej w domu, podziałał na mnie przygnębiająco.

Bałem się najgorszego.

Obdzwoniłem szpitale i w końcu dowiedziałem się, że przyjęli ją na Chałubińskiego. Recepjonistka nie była w stanie udzielić mi żadnych dokładniejszych informacji, ale tak naprawdę ich nie potrzebowałem. Pracował tam przyjaciel rodziców, doktor Bogdan Miarka, i zadzwoniłem do niego z prośbą o pomoc. Obiecał, że jak najprędzej dowie się wszystkiego. Kazał mi siedzieć w domu i czekać na telefon.

Oddzwonił piętnaście minut później. Po tonie poznałem, że nie jest dobrze. Słuchałem kolejnych słów jak wyroku, ale docierały do mnie tylko niektóre frazy, pojedyncze wyrażenia. Komplikacje, niezwykłe objawy, USG, ciąża rzekoma, poronienie, żal, strata, autosugestia... Rozumiałem z tego tak mało, że rozmowę musiałem poukładać sobie w głowie jak puzzle, w których zamiast klocków znajdują się kolejne pojęcia i domysły.

– Moment – przerwałem mu. – Chce pan powiedzieć, że Gabryśia nie była w ciąży?

Bogdan westchnął ciężko.

– Dominik, nie wiem. Nikt tutaj nie wie. Ciąża rzekoma wydaje się najbardziej sensowna, jeśli zważyć na to, że obecnie nie ma śladu po... po dziecku. Rozumiesz, Dominik, żadnego śladu. Ale...

– Ale zostaje USG, które robiliśmy – dodałem. – I jej późniejsze wizyty u ginekologa, zdjęcia, karta ciąży... Urojenia przecież...

– Tak. Ciąża rzekoma może wpływać na samopoczucie kobiety, ale nie oszuka ultrasonografu.

Zapadła cisza. Miałem wrażenie, że wszystkie mięśnie w moim ciele zamieniły się w cieniutkie, rozdygotane niteczki. Trząłem się, jakbym miał się lada moment posypać w drobiazgi. W głowie miałem równocześnie pustkę i okrutny jazgot.

– A poronienie? – wykrztusiłem. – Czy jest możliwe, że ona po prostu straciła dziecko? Albo... albo je usunęła?

– Teoretycznie. Ale... zostałyby ślady. Dominik, dziecko pod koniec ósmego miesiąca jest już bardzo duże, sporo waży. Sama pępowina przypomina gruby kabel... Do tego dochodzi jakieś półtora litra płynów... Dominik, to nie jest utrata zarodka, którą można wziąć za opóźnioną miesiącczkę.

– Więc co? Jakie jest wyjaśnienie?

– Nie ma – odparł Bogdan i dopiero wtedy dotarło do mnie, że on też jest przerażony, że on też kompletnie nie rozumie tego, co się dzieje. – Gabriela nie potrafiła nic powiedzieć. Dominik, nikt nie rozumie, co się stało. A ona... Dla niej to prawdziwa trauma. Jej stan jest zły i to głównie z powodu psychiki. Fizycznie nic poważnego jej nie dolega, ale ona... Gabryś marnieje w oczach. Coraz trudniej się z nią porozumieć.

Jakbym słyszał echo głosów sprzed ośmiu miesięcy.

– Przyjadę tak szybko, jak to możliwe.

– Dobrze. Będę na ciebie czekał.

Rozłączyłem się, ale nie wstałem z kanapy. Nie zamierzałem jechać do szpitala. Nie od razu.

Miałem jeszcze coś do zrobienia.



354 Pół godziny później zszedłem do piwnicy. Stałałem ciężko, zarówno z powodu niesionego ładunku, jak i dlatego, że wcale nie chciałem zglądać do naszej komórki.

Bałem się tego, co mogę tam znaleźć.

Smród uderzył we mnie zaraz po tym, jak otworzyłem drzwi. Uchyliły się ze skrzypnięciem zawiasów, światło z korytarza odbiło się w kałuży mietnej cieczy na betonowej wylewce. Osłoniłem usta i nos, ale to wcale nie pomogło. O mało mnie nie zemdliło.

Człowiek, który podchodził do skrynek stojącej na półce, nie przypominał mnie sprzed paru dni – młodego, szczęśliwego grafika, przed którym życie stało otworem. Kojarzył się raczej ze zgrzybiałym starcem, uginającym się i utykającym pod ciężkim brzemieniem.

Zaciągnąłem dług.

Stanąłem przed szkatułką, położyłem dlonie na zdobionym wieczku. Gdzieś w mojej głowie słyszałem echo głosów skandujących tajemnicze, napawające podświadomyem przerażeniem imię.

Nyarlathotep. Pełzający chaos. Boski lichwiarz.

Zaciągnąłem dług.

Podniosłem wieczko i z trudem przełknąłem ślinę. Nie wiem, jakim cudem ustałem w pionie, mimo że nogi miałem jak z waty, a w żołądku diabeł tasmański wiercił się i fikał kozły.

Pochyliłem się i zwymiotowałem, ciągle mając przed oczyma maleńką twarzyczkę, drobne dłonie, maciupkie nóżki.

Nasze dziecko. Nasze nienarodzone dziecko.

Moje dziecko.

Martwe.

Spłaciłem dług.

A przynajmniej miałem nadzieję, że już go spłaciłem.

Dochodziłem do siebie długo, bardzo długo. Nie mam pojęcia, ile to trwało. Wiem tylko, że wychodząc, opróżniłem w piwnicy oba kanistry benzyny, a później podłożyłem ogień i wybiegłem, zatrzaszając za sobą drzwi.

Następnie pojechałem do szpitala, z nadzieją, że wygram przynajmniej tę jedną walkę.



Było późne majowe popołudnie, słońce chyliło się nisko nad dachami kamienic. Co bardziej niecierpliwi handlarze sprzątali już swoje stanowiska. Stare obrazki, srebrne sztućce, mniej lub bardziej tandemne rękodzieła, cynowe naczynia pamiętające jeszcze rzady Habsburgów – wszystko wędrowało z powrotem do skrzynek, toreb, kartonów.

Jowita najpierw poczuła na brzuchu silny ucisk, później czuły, mokry pocałunek na szyi. Uśmiechnęła się, ale nie odwróciła wzroku od oglądanej skrzyneczki.

– Znalazłaś coś ciekawego? – spytał Maciek, po czym znowu cmoknął ją w kark. Byli razem od roku, ale nic nie wskazywało na to, żeby mieli się sobą kiedykolwiek znudzić.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Co myślisz o tej skrzyneczce?

Szkatułka była nieduża, wykonana z ciemnego, lekko czerwonawego drewna. Metalowe symbole na wieczku wydawały się posrebrzane i nie przypominały niczego, co Jowita kiedykolwiek wcześniej widziała.

– Wygląda nieźle. Ładnie podkreśla kolor twoich oczu.

– Głupek – mruknęła dziewczyna z uśmiechem i klepnęła Maćka w ramię. Później zwróciła się do sprzedawcy. – Ile kosztuje?

– Sto złotych.

– Strasznie dużo.

– To stara rzecz. – Handlarz wzruszył ramionami. – I ładnie wykonana.

Warta tej ceny.

– No to po sprawie – zauważył Maciek. – Mam przy sobie tylko pięćdziesiątkę, a podejrzewam, że pan nie przyjmuje kart...

Dziewczyna nie odłożyła skryneczki. Oglądała ją ze wszystkich stron, jakby w życiu nie widziała niczego równie interesującego. Ważyła ją w dłoni i gładziła kolejne symbole, przesuwała opuszkami po delikatnej fakturze surowego drewna.

– Jest piękna – wymamrotała. – Czy mogę zająrzeć do środka?

– Proszę.

Jowita uchyliła wieczko i przez chwilę trwała w bezruchu. Później uśmiechnęła się szeroko i zapytała:

– Mówił pan, że ile za nią chce?

– Stówę.

Dziewczyna sięgnęła do szkatułki i z uśmiechem wyciągnęła z niej pięćdziesięciozłotowy banknot.

– Tu jest pięćdziesiąt – powiedziała, wręczając pieniądze zaskoczonemu sprzedawcy. – Maciek, zapłać panu resztę.

Minutę później odeszli, chichocząc na wspomnienie miny handlarza. Byli młodzi, zakochani, a wszystko właśnie wskazywało na to, że los się do nich uśmiechnął.

Nie mogli opanować dziwnego wrażenia, że teraz, kiedy mieli tę skryneczkę, świat stanął przed nimi otworem.

OSTATNI ŚNIEG W ROKU

Nazywam się Conan Doyle. Sir Arthur Conan Doyle.

Umieram.

Za oknem pada deszcz, chyba deszcz ze śniegiem, nad ranem mróz malował kwiaty na szybie. Pokój jest pusty, szary, nijaki; pokój człowieka, który niczego nie potrzebuje, bo ma wszystko. Próbuję zamknąć oczy i zasnąć, ale nie mogę. Jest dzień, za wcześnie, by spać.

Unoszę powieki i patrzę w sufit, tak jakbym potrafił przelać ból w drewniany strop. Nie potrafię. Boli tak bardzo, że nie zwracam już nawet uwagi na łzy cieknące po policzkach.

Najgorszy jednak jest nie ból, ale głos – młody męski głos należący do człowieka pewnego siebie i ufnie spoglądającego w przyszłość.

– Chcę napisać książkę – mówi. *Książkę o człowieku, który błędzi.*

– Nikt nie chce takich książek – odpowiadam szeptem. Na nic więcej mnie nie stać.

– Ja chcę! – oznajmia głos. Brzmi znajomo, jakby towarzyszył mi od stuleci.

– Kim jesteś? – pytam. Wargi mi drżą, język mam zdrętwiały, wysuszony. Umieram. A na dodatek boję się, że znam odpowiedź.

– *Jak to kim?* – dziwi się głos. – *Nazywam się Sherlock Holmes. Pozwól, że napiszę o tobie książkę.*



A jednak zasnąłłem. Budzę się, gdy zaczyna się ściemniać. Sięgam do lampy, moment później w pokoju jest już jasno. Dobrze, głos w ciemności jest wyraźny, złowrogi, ale w świetle słabnie. Przyzwyczajam się powoli do tego, że prawie nigdy nie milknie.

Ból również ustąpił. Nie mam wątpliwości, że wróci, ale cieszę się na myśl o kilku chwilach spokoju. W domu panuje cisza. Jean najpewniej zapadła w poobiednią drzemkę. I dobrze. Potrzebuje snu, może nawet bardziej niż ja.

Przez chwilę patrzę na odbiornik radiowy, ale nie włączam go. Zamiast tego podnoszę się z łóżka, bardzo ostrożnie, jakby ból był psem śpiącym u moich stóp. Nie chcę go obudzić.

358

Podchodzę do biblioteczki, przesuwam dlonią po grzbietach kolejnych pozycji. Jakieś trzydzieści tytułów, wszystkie moje. Czemu więc myśl o tym, że jestem pisarzem, wydaje się tak absurdalna?

Pozwól, że napiszę o tobie książkę.

Spoglądam na najwyższą półkę. Stoi tam szereg niemal identycznych tomów. Zamykam oczy i dotykam palcami żłobień na grzbietach, śledzę kolejne litery. Arthur Conan Doyle – Sherlock Holmes. Który to autor, a który to twór? Nie mam odwagi otworzyć żadnej z nich i się przekonać.

Nazywam się Sherlock Holmes. Jestem pisarzem.

Ból pojawia się znikąd. Opieram dłoń o stół i wracam do łóżka. Jakoś docieram na miejsce, ale na pościel osuwam się zmęczony, z imadłem zaciskającym się wokół serca. Litości, co za ból!

Co się ze mną stało? Kiedyś byłem na wojnie, na prawdziwej przeklejtej wojnie, nie zwracałem uwagi na świst kul i krew cieknącą między palcami. Nie zważyłem na ból. Wtedy byłem mężczyzną, byłem sir Arthurem Conanem Doylem, kimś więcej niż tylko pisarzem.

Byłem kimś więcej niż kłębkiem bólu. Decydowałem o swoim losie. Było tak, przysięgam!

Pozwól, że napiszę o tobie książkę.

Ból słabnie na moment przed tym, jak rozlega się pukanie do drzwi. Skrzypią zawiasy, w szczelinie pojawia się twarz Jean. Zatroskana, z drobnymi promyczkami nadziei kryjącymi się gdzieś w kącikach oczu. Ona też wie, że umieram. Ma tylko nadzieję, że nie cierpię za bardzo.

– Śpisz, skarbie?

– Nie – szepczę tak cicho, że muszę pokrącić głową, żeby mnie zrozumiała.

– Jak się czujesz?

Podchodzi bliżej, siada na krawędzi łóżka. Gładzi mnie dlonią po policzku.

– Dobrze, ślicznotko, dobrze – mówię.

Uśmiecha się. Jej oczy mają tę samą barwę i błysk, co w dniu, gdy się poznaliśmy.

– Przyszedł doktor Watkins. Mogę go wpuścić? – pyta.

Kiwam głową. Po chwili ona znika, wchodzi natomiast szanowny doktor. Czuję wilgoć, którą wniosł ze sobą, oraz przyjemny zapach czarnej skóry jego lekarskiej torby.

Nie rozmawiamy ze sobą, ja i doktor Watkins – jedyny kontakt to życzliwe skinięcie głową. Kiedy bada mnie stetoskopem, myślę o setkach pacjentów, których sam w ten sposób badałem. Było to dawno temu, tak dawno, jakby za życia kogoś innego, jakby...

W pierwszym tomie.

– Cicho, na litość boską – mruczę rozzłoszczony.

– Słucham? – odzywa się doktor Watkins. Zbywam go machnięciem dłoni. To mu wystarczy; jest profesjonalny, życzliwy, nienachalny... stereotypowy lekarz z wieloletnim stażem i właściwą Anglikom flegmą. Człowiek, który nigdy nie wyszedł ze swojej roli, człowiek, który nie...

Nazywam się Sherlock Holmes. Chcę napisać książkę o człowieku, który błędzi.

...błędzi. Czasami chciałbym móc powiedzieć to samo o sobie. Może takie życie nie byłoby wcale złe? Egzystencja spędzona na pomaganiu

innym, zamiast rzucania się od pisania do polityki, od zabawy w detektywa do flirtu ze spirytualizmem. Może wtedy Luiza...

Nie pochlebiaj sobie. Musiała umrzeć. Słyszałeś chyba o czymś takim jak punkt zwrotny w fabule, prawda?

– Dość! – na wpół krzyczę, na wpół jęczę, bo tylko na to starcza mi sił.

Doktor Watkins spogląda na mnie zaniepokojony, chowa stetoskop do torby i rusza do drzwi.

– Nie będę pana dłużej niepokoił – mówi. – Przyjdę jutro.

W pierwszej chwili chcę go zatrzymać, ale szybko daję sobie spokój. Umieram, konwenanse przestają mieć znaczenie. Niech go diabli, tego idiotycznego, sztampowego lekarza płaskiego jak... jak kartka papieru. Jak drugoplanowy bohater.

Zza drzwi docierają do mnie strzępy rozmowy Watkinsa z Jean. Pojawiają się słowa takie jak „pobudzony”, „słaby”, „ból”. I najgorsze z nich: „wkrótce”. Budzi się uśpiony pisarz, jakaś część mnie z tych kilku wyrazów składa spójną fabułę. Gdy do części pisarza dołącza medyczne doświadczenie, nie mam wątpliwości, że punktem kulminacyjnym tej opowieści będzie moja śmierć. Wkrótce. Na miłość boską. Wkrótce.

Kroki Watkinsa giną w korytarzu, przez moment w domu panuje cisza. Otwierają się drzwi do pokoju, Jean podchodzi bliżej, siada, bierze mnie za rękę. Znam ją od dawnego, wiem, że jest przerzązona. Zarezerwowała jednak dość sił na jeszcze jeden uśmiech. Kochana Jean.

– Umieram – mówię. Tego już nie może zignorować, łzy pojawiają się właściwie znikąd, uśmiech zamiera na wargach.

– Nie mów tak, skarbie.

– Umieram i nawet nie wiem, kim jestem. – Patrzę Jean w oczy, widzę, jak pęka jej serce. – Kim ja jestem?

– Wspaniałym człowiekiem. – Gładzi mnie dłonią po policzkach i czole.

– Ale kim? Kim ja jestem?

Waha się, nie rozumie. To niedobrze, bo ja też nie bardzo wiem, o co mi chodzi. Pytanie, które jeszcze ułamek sekundy temu wydawało się logiczne, teraz sprawia wrażenie pozbawionego sensu. Jak całe moje

życie... kiedyś logiczne, ale u skraju, z perspektywy... bezsensowne. I nierzeczywiste.

Musi takie być. Przecież to fikcja.

Wiem, że dłużej tego nie zniszę. Patrzę na biblioteczki, z trudem opanowuję szybsze bicie serca i drżenie rąk. Jestem zdecydowany; przeróżony i zdecydowany. Muszę wiedzieć. Choćby to oznaczało szaleństwo.

– Jean – odzywam się. Zwilżam wargi językiem, ale to nie pomaga. Usta mam wyschnięte na wiór, cały się trzęsę. Muszę wiedzieć. – Poczytasz mi?

Jean oddycha z ulgą, czuje, że wracamy do normalności. Podchodzi do szafki i sięga po moją ulubioną pozycję.

– Nie – mówię – nie to. Wyżej. Na samej górze, po lewej.

Wiedzie dlonią zgodnie z moimi słowami, zatrzymuje ją, kiedy kiwam głową. Waha się przez krótką chwilę, później bierze książkę do ręki. Na grzbiecie dwa nazwiska układają się w autora i tytuł.

Arthur Conan Doyle – Sherlock Holmes.

361

Sherlock Holmes – Arthur Conan Doyle.

– Jesteś pewien? – pyta miłość mojego życia, siadając z powrotem na łóżku.

Kiwam głową.

Jean czeka jeszcze moment i zaczyna czytać. Ma ładny głos – to jedna z rzeczy, które się u niej nie zmieniły. Słucham z przymkniętymi oczyma, w myślach wyprzedzam jej słowa o ułamek sekundy. Znam je, znam je tak dobrze, jak znać można własne dzieci. Pamiętam poszczególne zdania układające się w ten niepowtarzalny rytm opowieści; rytm hipnotyzujący chyba bardziej nawet niż gra nigeryjskich bębniarzy. Zatracam się w nim, odnajduję spokój.

Na krótko. Zaraz wdziera się dysonans, powstaje chaos, budzę się z transu. Mrugam oczami; przez ułamek sekundy nie wiem, co się dzieje. Jean zauważa to, przestaje czytać i przygląda mi się uważnie.

– Przeczytaj jeszcze raz ostatnie zdanie – proszę. Głos mi się łamie, czuję, jak na czoło występuje pot.

Jean patrzy na mnie przez moment, po czym przenosi wzrok na tekst i czyta:

– „To było jeszcze zanim zdecydowałem się pójść na szkolenie chirurga wojskowego i uczestniczyć w tym makabrycznym szaleństwie, które nazwano drugą wojną burską”. – Zerka na mnie, w jej oczach dostrzegam troskę. – Wszystko w porządku, kochanie?

Nie słucham. Czy pamięć płata mi figle? Przecież Watkins... tfu, nie Watkins! Watson, ten Watson, którego stworzyłem, nieodłączny towarzysz detektywa wszech czasów, służył w Afganistanie! To ja byłem na wojnie burskiej! Nie on, ja!

A może się mylę? Tyle czytałem o obu tych konfliktach, sam napisałem niemało... może to ja byłem w Afganistanie, a Watson w Oranii?

Problem w tym, że to nie jest powieść o Watsonie. To powieść o człowieku, który błędzi.

– Dość, proszę! – cedzę przez zaciśnięte zęby. Czuję, że po moich policzkach ściekają paciorki łez. Jean ściska mnie za rękę; wiem, że mój widok sprawia jej ból. Nic nie mogę na to poradzić. Wątpliwości rozsadzają mi głowę, podczas gdy serce tłoczy krew jak stara, zardzewiała pompa. Ból sprawia, że nie wiem, co się wokół mnie dzieje. Ledwo słyszę głos Jean, prawie nie czuję na ustach dotyku szklanki; leki z trudem odnajdują drogę przez ścisły przełyk.

Po chwili ból słabnie, czuję się zmęczony, bezradny.

Zasypiam.



Sen jest bolesnie realny. Gdyby nie fakt, że nie ma w nim mnie samego, uwierzyłbym, że ta wizja faktycznie ma miejsce.

Pokój jest ciemny, na potężnym dębowym biurku pali się samotna lampka. Okno jest zamknięte, w powietrzu kłębi się dym z fajki. Fajka zaś tkwi w ustach Sherlocka Holmesa. Mojego dziecka. Człowieka, który uczynił mnie tym, kim jestem.

Mojego koszmaru.

Za biurkiem siedzi mężczyzna z twarzą doktora Watkinsta. Nie odzywa się, czeka.

– Chciałbym napisać książkę – mówi Holmes. – Wielką realistyczną powieść o człowieku, który błądzi.

– Do czego ja ci jestem potrzebny? – pyta człowiek z twarzą doktora Watkinsta. Głos ma inny, młodszy, ale w jakiś sposób bardziej doświadczony. Głos kogoś, kto był w Afganistanie albo w Oranii; kogoś, kto słyszał świd kul i grał w kanastę ze śmiercią.

– Nie mam pieniędzy. Ty masz. Móglbyś pomóc mi ją wydać.

Doktor waha się, przygryza wargi. Patrzy przyjacielowi w oczy.

– Powiedz mi coś więcej. O czym ona miałaby być?

– To historia niezwykłego, a zarazem zupełnie zwyczajnego człowieka. Długa, obszerna, pełna niezwykłych epizodów. Historia lekarza, weterana, popularnego pisarza. Ale też niespełnionego polityka, wzgardzonego obrońcy potrzebujących. Człowieka do bólu logicznego, a jednak wytrwale poszukującego i pokładającego ufność w tym, co niezwykłe, nadprzyrodzone, cudowne. Kogoś, kto bardzo chciał wierzyć, tylko nie wiedział, w co. Lekarza tak zajętego sobą, że pozwolił umrzeć żonie.

To nieprawda! – ryczę w myślach. Luiza była ciężko chora, nie miałem możliwości jej uratować!

Chcę krzyczeć, ale nie mogę. Tak naprawdę mnie tam nie ma, nie ma więc też ust, które mogłyby wydać z siebie dźwięk.

– To niemożliwe, drogi Holmesie! – mówi doktor. – To zupełnie nieprawdopodobna postać. Któz chciałby czytać o kimś takim?

– Każdy, Watsonie – odpowiada Sherlock, ale nie patrzy na rozmówcę. Patrzy na mnie i w końcu puszczą do mnie oko. – O to chodzi w literaturze. Ludzie uwielbiają czytać o tym, czego nie ma.



Budzę się zlany potem, oddycham szybko i płytka. Jest noc, spojrzenie na zegar mówi mi, że do świtu zostało niecałe pół godziny. Za oknem łagodnie prószy śnieg. Pewnie ostatni w tym roku.

– To niemożliwe – mówię sobie. – Całe moje życie nie może być fikcją, nie może być wyłącznie igraszką jakiegoś człowieka z piorem w ręku.

Wszystko mi się miesza, a żywe wspomnienia snu oraz nigdy nieuchichnący głos wcale nie ułatwiają sprawy.

Nazywam się Sherlock Holmes. Jestem pisarzem. Chcę napisać powieść o...

Podnoszę się z łóżka. Wzrok wciąż mam utkwiony w płynących za oknem białych płatkach. Zarzucam na ramiona szlafrok, później zawieszone na drzwiach palto. Wychodzę z pokoju powoli i ostrożnie, żeby nie obudzić Jean. Po chwili docieram do drzwi wychodzących na ogród. Wsuwanie stopy w stare znoszone buty i wychodzę na zewnątrz.

Jest zimno – mróz szczypie w dlonie i w twarz, każdy oddech budzi do krótkiego życia obłoczek pary. Ziemię pokrywa cienka warstwa białego puchu, która najpewniej nie doczeka południa. Stąpam moją ulubioną ścieżką i na moment zapominam o głosie, o zbliżającej się śmierci, o tym, że tak naprawdę nie mam pojęcia, kim jest ten schorowany mężczyzna, którym niepostrzeżenie uczyniło mnie życie. A przecież nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był kimś innym.

Nagle widzę kształt wychylający się wstydiście spod śniegu – pierwszy w tym roku przebiśnieg. Pochylam się nad nim, ale starczemięśnie nie są tak elastyczne jak dawniej. Muszę znaleźć się na kolanach, żeby sięgnąć go dlonią. Jest śliczny, drobny i delikatny, kompletnie niepowtarzalny w tym półmroku poprzedzającym kolejny dzień. Od świtu dzielą mnie minuty, a płatki śniegu osiadają mi na ramionach.

Chcę napisać książkę...

„Jak to możliwe – powiedział ktoś dawno temu, chyba w moim poprzednim życiu – że krople wody są do siebie takie podobne, a nie sposób znaleźć dwóch identycznych płatków śniegu?”

Olsnienie przychodzi znienacka. Fikcja czy nie fikcja? Życie czy jego imitacja? Czy odpowiedź może być taka prosta? Czy może nią być niepowtarzalność płatków śniegu?

Musi nią być. Bo mam dość. Bo muszę wiedzieć.

...o człowieku, który błędzi.

Wyciągam dłoń, aby spadło na nią parę płatków i pochylam nad nimi twarz, zanim zdążą się roztopić.

Ten człowiek będzie się nazywał...

W chwili gdy słońce wreszcie wydostaje się nad horyzont, ja osuwam się na ziemię z bolesnym jękiem. Jedną dlonią ściiskam serce, drugą pierwszy w tym roku przebiśnieg. Błagam, żeby śmierć wreszcie nadeszła. Nie chcę zaakceptować tego, co zobaczyłem.

...będzie się nazywał Conan Doyle. Sir Arthur Conan Doyle.

Nie chcę wiedzieć, że wszystkie płatki śniegu przypominają moją twarz.

Projekt Fantazmaty tworzony jest także przez:

Redaktorzy: Magda Brumirska-Zielińska, Sylwester Gdela, Karolina Grzeszczak, Magdalena Kozłowska, Aleksandra Miaskowska, Izabela Palińska, Michał Pięta, Zuzanna Pikul, Anna Rozenberg, Krzysztof Rudomin, Łukasz Skoneczny, Magdalena Świerczek, Alicja Tempłowicz, Paulina Tomasić,

Korektorzy: Milena Macul, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Anna Rozenberg, Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak, Dominika Świątkowska, Alicja Tempłowicz, Matylda Zatorska

Weryfikatorzy: Agnieszka Chodkiewicz, Mariusz Flejszar, Sylwester Gdela, Eliza Gościńska, Mateusz Kempa, Damian Lupa, Marcin Majchrzak, Alicja Makowska, Anna Misztal, Jakub Moroński, Adam Otfinowski, Michał Pięta, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Łukasz Skoneczny, Damian Szandecki, Magdalena Świerczek-Gryboś, Anna Twarowska, Joanna Zając

367

Recenzenci: Agnieszka Chodkiewicz, Magdalena Czarnecka, Anna Flasza-Szydlik, Eliza Gościńska, Szymon Góraj, Ewa Iwaniec, Patryk Janczur, Mateusz Kempa, Marcin Knyszyński, Maria Kubiak, Alicja Makowska, Anna Minge, Beata Mróz, Adam Otfinowski, Anna Sikorska, Damian Szandecki, Magdalena Świerczek-Gryboś, Dagmara Trembicka-Brzozowska, Anna Twarowska, Agata Włodarczyk, Emilia Zolska

Marketing: Patryk Janczur, Maria Kubiak, Dennis Latzke, Aleksandra Piwowarczyk, Dagmara Trembicka-Brzozowska:

Strona: Artur Główczyński, Sebastian Zarębski

